Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

**ALEXANDRE**

**DUMAS**

# TOWARZYSZE JEHUDY

# (Sprzysiężeni)

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# Table d'hôte

Dnia 9 października 1799 r. w piękny dzień jesieni południowej, dzięki której na dwóch krańcach Prowansji dojrzewają pomarańcze w Hyères i winogrona w Paint–Péray, zaprzężona w trzy konie pocztowe kolasa przejeżdżała przez most na Durancji, między Cavailhonem a Château–Renard, kierując się ku Awinionowi, dawnemu miastu papieskiemu, przyłączonemu do Francji przed ośmiu laty mocą dekretu z 25 maja 1791 r. Przyłączenie to potwierdzone zostało przez traktat między generałem Bonaparte i papieżem Piusem VI, podpisany w 1797 r. w Tolentino.

Kolasa wtoczyła się przez bramę od strony Aix, przejechała nie zwalniając biegu przez całe miasto o ulicach wąskich i krętych, zbudowane tak, że było jednocześnie osłonięte od wichru i słońca, i zatrzymała się o pięćdziesiąt kroków od bramy, prowadzącej do Oulle, przed hotelem Palais–Egalité, który zaczynano powoli nazywać ponownie Palais–Royal.

Tych kilka prawie nic nie znaczących słów z powodu nazwy hotelu, przed którym zatrzymała się ekstrapoczta, zajmująca naszą uwagę – wskazuje dostatecznie położenie, w jakim była Francja pod rządem reakcji termidorowej, ochrzczonym nazwą Dyrektoriatu.

Po walce rewolucyjnej, która trwała od 14 lipca 1789 r. do 9 termidora 1794 r. po dniach 5 i 6 października, 21 czerwca, 10 sierpnia, 2 i 3 września, 21 maja, 29 termidora i l preryala, po przyjrzeniu się spadającym głowom króla i jego sędziów, królowej i jej oskarżyciela, Żyrondystów i Franciszkanów, umiarkowanych i Jakobinów, Francję ogarnął najstraszliwszy ze wszystkich przesytów, przesyt krwi!

Odczuła jeśli nie potrzebę króla, to przynajmniej pragnienie silnego rządu, któremu mogłaby zaufać, na którym mogłaby się oprzeć, który działałby za nią i pozwolił jej odpocząć.

W miejsce takiego niewyraźnie pożądanego rządu posiadała słaby i niezdecydowany Dyrektoriat, złożony z lubieżnego Barrasa, intryganta Sieyèsa, dzielnego Moulina, bezbarwnego Rogera Ducosa i uczciwego, lecz zbyt naiwnego Gohiera.

Stąd wynikła mierna powaga na zewnątrz i bardzo wątpliwy spokój wewnątrz.

Dwaj podróżni, którzy wysiedli z ekstrapoczty przed bramą hotelu Palais–Royal, mieli niewątpliwie pewne powody do obawiania się nastroju ustawicznie wzburzonej ludności miasta papieskiego, albowiem nieco powyżej Orgonu, w miejscu, gdzie podróżny ma trzy drogi do wyboru – jedną do Nimes, drugą do Carpentras, trzecią do Awinionu – pocztylion zatrzymał konie, obrócił się i zapytał:

– Czy obywatele jadą przez Awinion, czy przez Carpentras?

– Która z dwóch dróg jest krótsza? – zapytał krótko ostrym głosem starszy podróżny, który mógł mieć zaledwie lat trzydzieści.

– Droga na Awinion, obywatelu, o dobre półtorej mili przynajmniej.

– W takim razie – odparł podróżny – jedźmy drogą na Awinion.

I kareta potoczyła się galopem, który świadczył, że obywatele podróżni, jak nazywał ich pocztylion, jakkolwiek nazwa pan zaczynała wracać do rozmowy, płacili co najmniej trzydzieści sous napiwku.

Ta sama chęć unikania straty czasu objawiła się gdy tylko weszli do hotelu.

Głos zabrał znów, podobnie jak w drodze, starszy podróżny. Zapytał, czy można niezwłocznie zjeść obiad, a sposób, w jaki zadane było pytanie, wykazywał, że podróżny gotów był pominąć niejedno wymaganie gastronomiczne, byleby podano jedzenie jak najśpieszniej.

– Obywatelu – odparł gospodarz, który na odgłos turkotu kół wybiegł z serwetą w ręce na powitanie podróżnych – będziecie szybko i przyzwoicie obsłużeni w waszym pokoju; ale gdybym się ośmielił dać wam radę...

Zawahał się.

– O, proszę o radę, bardzo proszę! – odezwał się młodszy podróżny, zabierając głos po raz pierwszy.

– A więc najlepiej byłoby zjeść po prostu table d'hôte, jak podróżny, na którego czeka zaprzężony powóz. Obiad jest doskonały i już podany.

Gospodarz jednocześnie wskazywał powóz, urządzony w niesłychanie wygodny sposób i zaprzężony w dwa konie, które grzebały ziemię kopytami, gdy pocztylion czekał cierpliwie, siedząc na brzegu okna i wychylając butelkę wina z Cahors.

Pierwszy ruch tego, któremu gospodarz uczynił tę propozycję, był przeczący. Wszelako po chwili namysłu starszy podróżny, jak gdyby zaniechał pierwotnego postanowienia, zwrócił się ruchem pytającym do towarzysza. Ten zaś odpowiedział spojrzeniem, które znaczyło:

„Wszak pan wie, że jestem na pańskie rozkazy".

– Niech i tak będzie – rzekł ten, który widocznie obowiązany był podejmować inicjatywę – zjemy obiad przy table d'hôte.

Zwracając się do pocztyliona, który z kapeluszem w ręku czekał na jego rozkazy, dodał:

– Niech najpóźniej za pół godziny konie będą zaprzężone.

Prowadzeni przez gospodarza weszli obaj do jadalni, starszy idąc naprzód, młodszy zaś za nim.

Wiadomo, jakie wrażenie wywierają nowi przybysze przy table d'hôte. Wszystkie spojrzenia skierowały się na wchodzących; dosyć ożywiona rozmowa urwała się.

Biesiadnicy składali się ze zwykłych gości hotelu. Był podróżny, którego powóz czekał zaprzężony przed domem, handlarz win z Bordeaux, przebywający w Awinionie z przyczyn, o których później, i grono osób, jadących z Marsylii do Lugdunu dyliżansem.

Przybysze powitali towarzystwo lekkim skinieniem głowy i zasiedli na krańcu stołu tak, że kilka nakryć dzieliło ich od innych biesiadników.

To arystokratyczne odosobnienie podwoiło ciekawość, której byli przedmiotem. Zresztą każdy widział, że są to ludzie niezaprzeczalnej dystynkcji, jakkolwiek strój ich był bardzo skromny, taki jaki nosiła cała ówczesna młodzież. Od wytwornisiów paryskich a nawet i prowincjonalnych odróżniały ich długie, gładko przyczesane włosy i czarny krawat owiązany dokoła szyi, taki, jakie nosili wojskowi.

Powierzchowność młodzieńców przedstawiała dwa najzupełniej różne typy.

Starszy, którego głos nawet w najpoufniejszych intonacjach wykazywał przyzwyczajenie do rozkazywania, był, jak wspomnieliśmy, mężczyzną jakich trzydziestu lat, włosy miał czarne, rozdzielone na środku, gładko przyczesane i spadające wzdłuż skroni na ramiona. Twarz jego była ogorzała, jak u człowieka, który podróżował po krajach południowych. Wargi miał wąskie, nos prosty, zęby białe i oczy sokole, jakie Dante przypisuje Cezarowi.

Wzrostu był raczej małego, rękę miał delikatną, stopę wąską, kształtną. W jego obejściu nie było swobody, wydawał się skrępowany, co wskazywało, że nosił ubranie, do którego nie przywykł. Gdyby zaś przemówił a był nad brzegami Loary, zamiast Rodanu, jego interlokutor mógłby zauważyć, że miał w wymowie akcent włoski.

Towarzysz jego mógł być o jakieś trzy lub cztery lata młodszy.

Był to piękny młodzieniec o cerze różowej, włosach jasnych, oczy miał błękitne, nos prosty, podbródek wydatny, prawie bez zarostu. Mógł być o dwa cale wyższy od towarzysza, a jakkolwiek wzrostu był mniej niż średniego, całą postać miał tak kształtną, taki był swobodny we wszystkich ruchach, że nietrudno było odgadnąć, iż posiadał, jeśli nie siłę, to przynajmniej niepospolitą zwinność i zręczność.

Jednakowo ubrany, wydawał się być pozornie na równej stopie z towarzyszem, niemniej okazywał młodemu brunetowi wybitny szacunek, który nie mógł wynikać z wieku, lecz pochodził niewątpliwie z niższego stanowiska społecznego. Poza tym nazywał towarzysza obywatelem, gdy ten nazywał go po prostu Rolandem.

Te uwagi, które czynimy, by wtajemniczyć głębiej czytelnika w nasze opowiadanie, nie przyszły prawdopodobnie wcale na myśl współbiesiadnikom przy table d'hôte, albowiem po kilku sekundach przyglądania się przybyszom oderwano od nich spojrzenia i na chwilę przerwaną rozmowę ponownie podjęto.

Przyznać trzeba, że temat rozmowy był dla podróżnych niesłychanie interesujący; mówiono o zatrzymaniu dyliżansu wiozącego sześćdziesiąt tysięcy franków pieniędzy rządowych. Stało się to poprzedniego dnia na drodze z Marsylii do Awinionu, między Lambesc i Pont-Royal.

Po pierwszych słowach o tym wypadku, dwaj młodzieńcy wytężyli słuch ze szczerym zainteresowaniem.

Wydarzyło się to na tej samej drodze, którą jechali, a opowiadający był jednym z głównych aktorów sceny z gościńca.

Był to handlarz win z Bordeaux.

Najchciwsi szczegółów okazali się podróżni, którzy przybyli dyliżansem i mieli wnet odjechać. Inni współbiesiadnicy, ludzie miejscowi, obeznani byli widocznie z takimi katastrofami, gdyż sami przytaczali szczegóły, zamiast ich słuchać.

– A więc, obywatelu – mówił gruby jegomość, do którego tuliła się w trwodze kobieta wielka, sucha i chuda – mówicie, że to na tej właśnie drodze, którą jechaliśmy, dokonano kradzieży?

– Tak jest, obywatelu, między Lambesc i Pont-Royal. Czy zauważyliście miejsce, gdzie droga idzie pod górę i zwęża się między dwoma wzgórzami? Jest tam mnóstwo skał.

– Tak, tak, mój drogi – rzekła kobieta, ściskając ramię męża – zauważyłam; powiedziałam nawet, chyba pamiętasz: „To niedobre miejsce, wolę przejeżdżać tędy dniem, niż nocą".

– Ależ pani – odezwał się młodzieniec, który w zwykłych czasach wodził rej w rozmowie przy table d'hôte – dla panów towarzyszy Jehudy nie ma dnia ani nocy.

– Jak to! Obywatelu – zapytała dama, bardziej jeszcze przerażona – zatrzymano was w biały dzień?

– W biały dzień, obywatelko, o dziesiątej rano.

– I iluż ich było? – pytał gruby jegomość.

– Czterech, obywatelu.

– Ukrytych na drodze?

– Nie. Przyjechali konno, zamaskowani i uzbrojeni od stóp do głów.

– Taki ich zwyczaj – wtrącił młodzieniec, stały gość table d'hôte'u – powiedzieli: „Nie brońcie się, nie stanie się wam nic złego, chcemy tylko pieniędzy rządowych", nieprawda?

– Słowo w słowo, obywatelu.

– Następnie — mówił dalej ten, który się wydawał tak doskonale poinformowany – dwaj zsiedli z konia, rzucili cugle towarzyszom i zażądali od konduktora, żeby im wręczył pieniądze.

– Obywatelu – rzekł gruby jegomość, zachwycony – opowiadacie zajście tak, jak byście je widzieli.

– Może też pan był przy tym – odezwał się jeden z podróżnych, na wpół żartobliwie, na poły z powątpiewaniem.

– Nie wiem, obywatelu, czy mówiąc to, macie zamiar powiedzieć mi niegrzeczność – rzekł lekkim tonem młodzieniec, który tak uprzejmie i tak właściwie przyszedł w sukurs opowiadającemu – ale moje zapatrywania polityczne sprawiają, że nie uważam waszego podejrzenia za obelgę. Gdybym miał nieszczęście należeć do napadniętych albo honor

zaliczania się do tych, którzy napadali, przyznałbym się szczerze, zarówno w jednym jak i w drugim wypadku; ale wczoraj rano, o godzinie dziesiątej, właśnie w chwili, gdy zatrzymywano dyliżans o cztery mile stąd, jadłem najspokojniej śniadanie na tym samym miejscu i nawet z tymi samymi dwoma obywatelami, którzy w tej chwili raczą siedzieć po mojej prawej i lewej stronie.

– A – zapytał młodszy z dwóch podróżnych, którego towarzysz nazywał Rolandem – ilu było mężczyzn w dyliżansie?

– Zaraz; zdaje mi się, że było... tak, tak jest, było nas siedmiu mężczyzn i trzy kobiety.

– Siedmiu mężczyzn, nie licząc konduktora? – powtórzył Roland.

– Ma się rozumieć.

– I siedmiu mężczyzn pozwoliło się ograbić czterem bandytom? Winszuję panom.

– Wiedzieliśmy z kim mamy do czynienia – odparł handlarz wina – i nie myśleliśmy się bronić.

– Jak to! – zawołał młodzieniec. – Z kim mieliście do czynienia? Ależ, zdaje mi się, mieliście do czynienia ze złodziejami, bandytami!

– Bynajmniej; przedstawili się.

– Przedstawili się?

– Powiedzieli: „Panowie, obrona wasza jest zbyteczna; panie, nie obawiajcie się, nie jesteśmy bandytami, jesteśmy towarzyszami Jehudy”.

– Tak – rzekł młodzieniec, stały gość table d'hôte'u – uprzedzają, żeby nie było pomyłki; taki ich zwyczaj.

– Kim jest ów Jehuda, który ma takich grzecznych towarzyszy? Czy to ich kapitan?

– Panie – odezwał się mężczyzna w stroju podobnym do ubioru świeckiego księdza i który również wydawał się nie tylko stałym gościem table d'hôte'u ale nadto człowiekiem świadomym tajemnic czcigodnej korporacji, o jakiej mówiono – gdyby pan znał lepiej Pismo Święte, wiedziałby pan, że mniej więcej dwa tysiące sześćset lat temu Jehuda umarł i stąd nie może obecnie zatrzymywać dyliżansów na gościńcach.

– Księże dobrodzieju – odparł Roland, który poznał duchownego – ponieważ pomimo cierpkiego tonu, jakim przemawiasz, wydajesz się wielce wykształcony, przeto pozwól biednemu nieświadomemu człowiekowi, żeby cię zapytał o niektóre szczegóły o tym Jehudzie, który umarł dwa tysiące sześćset lat temu, a jednakże ma zaszczyt posiadania towarzyszy, noszących jego imię.

– Jehuda – odparł człowiek duchowny tym samym cierpkim tonem – był królem Izraela, namaszczonym przez Eliasza pod warunkiem, że ukarze zbrodnie rodu Achaba i Jezabeli i wyda wyrok śmierci na wszystkich kapłanów Baala.

– Księże dobrodzieju – rzekł młodzieniec, śmiejąc się – dziękuję za wyjaśnienie. Nie wątpię, że jest dokładne a bardzo uczone, tylko, wyznaję, niewiele mnie nauczyło.

– Jak to, obywatelu, nie rozumiecie, że Jehuda to Jego Królewska Mość Ludwik XVIII, namaszczony pod warunkiem, że ukarze zbrodnie rewolucji i wyda wyrok śmierci na kapłanów Baala, to jest na tych wszystkich, którzy mieli jakikolwiek udział w wytworzeniu wstrętnego stanu rzeczy, nazwanego od lat siedmiu rzecząpospolitą?

– Owszem, rozumiem – odpowiedział młodzieniec. – Ale czy do tych, których towarzysze Jehudy mają obowiązek zwalczać, zaliczacie też walecznych żołnierzy, którzy odparli cudzoziemców od granic Francji i znakomitych generałów, którzy dowodzili armiami Tyrolu, Sambre-et-Meuse i włoską?

– Ależ naturalnie, ci przede wszystkim.

Oczy młodzieńca rzuciły błyskawicę, nozdrza wydęły się, wargi zacisnęły, uniósł się na krześle; ale towarzysz pociągnął go za surdut i spojrzeniem nakazał mu milczenie.

Następnie ten, który dał dowód swojej władzy, zabrał głos po raz pierwszy.

– Obywatelu – rzekł, zwracając się do stałego gościa table d'hôte'u – wybaczcie dwom podróżnym, którzy opuścili Francję przed dwoma laty i przybywają z krańca świata, jakby z Ameryki albo z Indii. Nie wiemy zupełnie co się dzieje w kraju, pragnęlibyśmy się dowiedzieć.

– A jakże – odparł ten, do którego słowa były skierowane – żądanie jest aż nadto słuszne, obywatelu; pytajcie a otrzymacie odpowiedź.

– A więc – ciągnął dalej młody brunet o oku orlim, włosach kruczych i gładko przyczesanych, cerze granitowej – teraz kiedy wiem, kim jest Jehuda i w jakim celu została utworzona jego kompania, pragnąłbym dowiedzieć się, na co jego towarzysze przeznaczają zabierane pieniądze.

– Ach, Boże! To bardzo proste, obywatelu, wszak wiecie, że powstał zamiar przywrócenia monarchii burbońskiej?

– Nie, nie wiedziałem – odparł młody brunet tonem, któremu na próżno usiłował nadać brzmienie naiwne – przybywam, jak rzekłem, z krańca świata.

– Jak to! Nie wiedzieliście o tym? Oznajmiam wam tedy, że za sześć miesięcy będzie to fakt dokonany.

Dwaj młodzieńcy o postawie wojskowej wymienili spojrzenia i uśmiechy, chociaż blondyn wyraźnie tłumił żywą niecierpliwość.

Ich rozmówca ciągnął dalej:

– Lugdun jest główną kwaterą konspiracji, jeżeli konspiracją można nazwać spisek, który organizuje się w pełnym świetle dziennym; lepiej odpowiadałaby tutaj nazwa rządu tymczasowego.

– A więc, obywatelu – rzekł młody brunet z grzecznością nie pozbawioną szyderstwa – powiedzmy rząd tymczasowy.

– Ten rząd tymczasowy ma swój sztab główny i własne armie.

– Ba! sztab główny, może... ale armie...

– Własne armie, powtarzam.

– Gdzież są?

– Jedna tworzy się w górach Owernii, pod wodzą pana de Chardona. Druga w górach Jury, pod wodzą pana Teyssonneta. Trzecia wreszcie, która w tej chwili jest czynna, nawet z niemałym powodzeniem, w Wandei, słucha rozkazów d'Escarboville'a, Achillesa Leblonda i Cadoudala.

– Doprawdy, obywatelu, oddajecie mi istotną przysługę, opowiadając te wszystkie nowiny. Mniemałem, że Burbonowie pogodzili się już zupełnie z wygnaniem; zdawało mi się, że organizacja policji jest tego rodzaju, iż nie istnieją ani tymczasowe komitety rojalistyczne w wielkich miastach, ani bandyci na gościńcach. Wreszcie zdawało mi się, że Wandea jest zupełnie uśmierzona przez generała Hoche'a.

Młodzieniec, do którego skierowana była ta odpowiedź, wybuchnął śmiechem.

– Skąd przyjeżdżacie? – zawołał.

– Już wam powiedziałem, obywatelu – z krańca świata.

– Widać.

Po czym, kontynuując.

– Otóż, widzicie – mówił – Burbonowie nie są bogaci; emigranci, których dobra sprzedano, są zrujnowani. Niepodobna organizować dwóch armii i utrzymywać trzeciej bez pieniędzy. Powstały kłopoty; jedynie rzeczpospolita mogła wypłacać żołd swoim wrogom; niepodobna było jednak przypuszczać, że zdecyduje się na to z dobrej woli. Nie próbując zatem wchodzić z nią w niepewne a niebezpieczne układy, postanowiono, iż prościej będzie zabierać jej pieniądze, niż ją o nie prosić.

– A! Rozumiem nareszcie.

– To bardzo szczęśliwie.

– Towarzysze Jehudy są pośrednikami między rzecząpospolitą a kontrrewolucją, poborcami generałów rojalistycznych.

– Tak, to już nie kradzież, to operacja wojskowa, czyn wojenny, jak każdy inny.

– Właśnie, obywatelu, odgadliście i jesteście obecnie pod tym względem równie mądrzy, jak my.

– Ale wtrącił nieśmiało handlarz wina z Bordeaux – jeśli panowie towarzysze Jehudy – zwracam uwagę, że nie mówię o nich nic złego – jeśli panowie towarzysze Jehudy zagięli parol tylko na pieniądze rządowe...

– Jedynie na pieniądze rządowe. Nie zdarzyło się, żeby zabrali pieniądze osobie prywatnej.

– Nie zdarzyło się?

– Nie zdarzyło się.

– Jak więc się stało, że wczoraj, wraz z pieniędzmi rządowymi, zabrali dwieście ludwików, które były moją własnością?

– Kochany panie – odparł młodzieniec, stały gość table d'hôte'u– powiedziałem już, że zaszła niewątpliwie pomyłka i zaręczam panu, jak nazywam się Alfred de Barjols, że te pieniądze prędzej czy później będą panu zwrócone.

Handlarz win westchnął głęboko i potrząsnął głową jak człowiek, który mimo danego zapewnienia, zachowuje jeszcze pewne wątpliwości.

Ale w tejże chwili, jak gdyby zobowiązanie podjęte przez młodego szlachcica, który wymieniając nazwisko odsłonił swoje stanowisko społeczne, obudziło poczucie delikatności w tych, za których ręczył, koń zatrzymał się przed bramą, z korytarza dobiegł odgłos kroków, drzwi jadalni otworzyły się i w progu stanął zamaskowany mężczyzna, uzbrojony od stóp do głowy.

– Panowie – rzekł, wśród głębokiej ciszy wywołanej jego ukazaniem się – czy jest między wami podróżny, nazwiskiem Jan Picot, który był wczoraj w dyliżansie, zatrzymanym między Lambesc i Pont-Royal?

– Jest — odparł handlarz win, zdumiony.

– To pan? – spytał mężczyzna.

– To ja!

– Czy panu nic nie zabrano?

– Owszem, zabrano mi dwieście ludwików, które powierzyłem konduktorowi.

– Muszę nadmienić — dodał młody szlachcic — że przed chwilą pan mówił właśnie o tym i uważał pieniądze za stracone.

– Pan się mylił – rzekł nieznajomy – prowadzimy wojnę z rządem, nie z ludźmi prywatnymi; jesteśmy partyzantami politycznymi, nie zaś złodziejami. Oto pańskie dwieście ludwików, a gdyby podobna pomyłka zdarzyła się w przyszłości, niech się pan upomni i powoła na nazwisko Morgana.

Po tych słowach zamaskowany człowiek złożył worek złota po prawej ręce handlarza win, wytwornie ukłonił się obecnym i wyszedł, pozostawiając jednych w trwodze a innych w zdumieniu, z powodu tak zuchwałej odwagi.

# Przysłowie włoskie.

Choć wskazane właśnie dwa uczucia przeważały, nie objawiały się u wszystkich w jednakowym stopniu. Zależały od płci, wieku, charakteru, nawet stanowiska społecznego słuchaczy.

Handlarz win, Jan Picot, głównie zainteresowany zajściem, jakie się odbyło, poznawszy od pierwszego rzutu oka po stroju, broni i masce jednego z ludzi, z którymi miał do czynienia poprzedniego dnia, zrazu osłupiał na jego widok. Następnie stopniowo, dowiadując się o przyczynie wizyty złożonej mu przez tajemniczego bandytę, pan Picot wpadł z osłupienia w radość, przechodząc przez wszystkie odcienie pośrednie, jakie dzielą te uczucia. Jego własny worek złota leżał przed nim i rzekłbyś, iż nie śmie go dotkąć: może obawiał się, że w chwili, gdy wyciągnie po niego rękę, worek zniknie, jak znika złoto, które znajdujemy nieraz we śnie i które ulatnia się, zanim zdążymy otworzyć oczy.

Otyły jegomość z dyliżansu i jego małżonka byli, podobnie jak ich towarzysze podróży, szczerze przestraszeni. Siedząc po lewej stronie Jana Picota, na widok bandyty zbliżającego się do handlarza win, jegomość ów w złudnej nadziei utrzymania należytej odległości między sobą a towarzyszem Jehudy, przysunął krzesło do krzesła swojej żony, która pod naciskiem usiłowała cofnąć z kolei swoje krzesło. Ponieważ jednak na krześle następnym siedział obywatel Alfred de Barjols, nie mający żadnego powodu obawiania się ludzi, o których wyraził właśnie pochlebny sąd, przeto krzesło żony otyłego jegomościa napotkało przeszkodę w nieruchomym krześle młodego szlachcica.

On zaś, podobnie jak ksiądz, który dał biblijne wyjaśnienie dotyczące króla izraelskiego Jehudy i misji, jaką mu powierzył Eliasz, zachował się jak człowiek nie tylko nie odczuwający żadnej obawy, ale nawet spodziewający się tak zaskakującego zdarzenia. Z uśmiechem na ustach śledził zamaskowanego człowieka i gdyby wszyscy biesiadnicy nie byli zajęci dwoma głównymi aktorami rozgrywającej się sceny mogliby zauważyć prawie niedostrzegalne porozumiewawcze spojrzenie między bandytą a młodym szlachcicem i następne, prawie w tej samej chwili, pomiędzy szlachcicem, a księdzem.

Dwaj podróżni wreszcie, których wprowadziliśmy do sali table d’hôte'u siedzący z dala od innych, na krańcu stołu, zachowali postawę zgodną z ich różnymi charakterami. Młodszy podniósł instynkownie rękę, jak gdyby szukał broni, i wstał niczym pod działaniem sprężyny, by rzucić się do gardła zamaskowanemu mężczyźnie; co nastąpiłoby z pewnością, gdyby był sam. Natomiast starszy, który, jak się zdawało, wydawał mu rozkazy nie tylko z

przyzwyczajenia, ale i z prawa, zadowolił się, jak to uczynił już poprzednio, schwytaniem go za surdut, mówiąc tonem rozkazującym, a nawet twardym:

– Siedź, Rolandzie!

I młodzieniec usiadł.

Najobojętniejszy podczas zajścia, przynajmniej pozornie, pozostał mężczyzna, mogący mieć trzydzieści trzy do trzydziestu czterech lat, blondyn z ryżą brodą, twarzą spokojną i piękną, o wielkich niebieskich oczach, cerze jasnej, ustach inteligentnych i wąskich, postaci smukłej i wysokiej. W mowie miał akcent cudzoziemski, wskazujący na człowieka urodzonego na wyspie, której rząd toczył obecnie z Francją zaciętą wojnę.

O ile można było sądzić z rzadkich słów, jakie mu się wymykały, mówił, mimo wspomnianego akcentu, językiem francuskim niezwykłej czystości. Na pierwsze słowo jakie wypowiedział, starszy z dwóch podróżnych drgnął, poznając ten akcent zza kanału La Manche i zwracając się do towarzyszą, przywykłego czytać myśl w jego spojrzeniu, spytał go wzrokiem, w jaki sposób Anglik znajduje się we Francji w chwili, gdy prowadzona przez te dwa narody zacięta wojna z natury rzeczy wypędza Anglików z Francji i Francuzów z Anglii. Niewątpliwie wyjaśnienie wydało się Rolandowi niemożliwe, albowiem odpowiedział ruchem oczu i ramion, który mówi: „Wydaje mi się to równie nadzwyczajne, jak tobie; ale jeśli nie znajdujesz wyjaśnienia tego zagadnienia ty, matematyk z powołania, nie pytaj mnie o nie".

Jedna tylko w tym wszystkim była rzecz jasna dla obu młodzieńców, a mianowicie, że mówiący akcentem anglosaskim blondyn jest podróżnym, na którego przed bramą hotelu czeka zaprzężona wygodna kolasa i że pochodzi on z Londynu albo przynajmniej z jednego z hrabstw czy księstw Wielkiej Brytanii.

Przy okazji wyjaśniania sytuacji we Francji, Anglik ostentacyjnie wydobywał z kieszeni notatnik i prosząc bądź handlarza win, bądź księdza, czy też młodego szlachcica o powtórzenie – co każdy czynił z uprzejmością równą kurtuazji, z jaką czynione było zapytanie – zapisywał to, co powiedziano najważniejszego, nadzwyczajnego i najbardziej malowniczego o zatrzymaniu dyliżansu, stanie rzeczy w Wandei, towarzyszach Jehudy. Za każdym razem zaś dziękował głosem i ruchem, z tym sztywnym chłodem, właściwym naszym sąsiadom zza morza, chowając jednocześnie w boczną kieszeń surduta wzbogacony świeżą nowiną notatnik.

Wreszcie, jak widz radujący się niespodziewanym zakończeniem, na widok zamaskowanego człowieka krzyknął z zadowoleniem, wytężył słuch, wytrzeszczył oczy, nie odwrócił odeń wzroku, dopóki drzwi nie zamknęły się za nim. Wydobył szybko notatnik z kieszeni.

– Ooo, panie – rzekł do sąsiada, którym był ksiądz – czy zechciałby pan łaskawie, gdybym nie pamiętał, powtórzyć mi słowo w słowo, co mówił dżentelmen, który stąd wyszedł?

Zabrał się niezwłocznie do pisania i wspierając pamięć własną pamięcią księdza, mógł zapisać dokładnie przemowę towarzysza Jehudy do obywatela Jana Picota.

Napisawszy to zdanie, zawołał z akcentem, który nadawał szczególne piętno oryginalności jego słowom:

– Ooo! Doprawdy tylko we Francji zdarzają się podobne rzeczy; Francja jest najciekawszym krajem na świecie. Jestem uszczęśliwiony, panowie, że podróżuję po Francji i poznaję Francuzów.

Ostatnie zdanie wypowiedziane było z taką uprzejmością, że nie pozostawało nic innego, tylko podziękować temu, który je wygłosił, choćby był potomkiem zwycięzców spod Crécy, Poitiers i Azincourt.

Młodszy z dwóch podróżnych tonem z lekka kostycznym, który, jak się zdawało, był jego tonem naturalnym, odpowiedział na tę uprzejmość;

– Dalibóg! I ja również, milordzie; mówię: milordzie, bo przypuszczam, że pan jest Anglikiem.

– Tak jest, panie – odparł dżentelmen – mam ten zaszczyt.

– Otóż – ciągnął dalej młodzieniec –jestem uszczęśliwiony, że podróżuję po Francji i bywam ciągle zaskakiwany. Trzeba żyć pod rządami obywateli Gohiera, Moulina, Rogera Ducosa, Sieyèsa i Barrasa, żeby być świadkiem takiego figla. Gdy za lat pięćdziesiąt opowiadać będą, że w mieście mającym trzydzieści tysięcy dusz, w biały dzień złodziej z gościńca, zamaskowany, z dwoma pistoletami i szablą u pasa, przyszedł oddać uczciwemu kupcowi dwieście ludwików, które mu zabrał; gdy dodadzą, że stało się to przy table d'hôte, gdzie siedziało dwadzieścia czy dwadzieścia pięć osób, i że ten wzorowy bandyta oddalił się, a nikt z dwudziestu czy dwudziestu pięciu obecnych osób nie skoczył mu do gardła; założę się, że ten, który się ośmieli rzeczy takie opowiadać, nazwany będzie niecnym kłamcą.

I młodzieniec, przechylając się w tył na krześle, wybuchnął śmiechem tak nerwowym i ostrym, że wszyscy spojrzeli nań ze zdumieniem, jego towarzysz zaś patrzył na niego z ojcowskim niemal zaniepokojeniem.

– Panie – rzekł obywatel Alfred de Barjols – pozwoli pan powiedzieć sobie, że człowiek, którego pan tu widział, nie jest złodziejem z gościńca.

– Ba! Kim więc jest, mówiąc szczerze?

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to młodzieniec z równie dobrej rodziny, jak pan i ja.

– Hrabia de Horn, którego regent kazał zatłuc kołem na placu Grève, był również młodzieńcem z dobrej rodziny, czego dowodem, że cała arystokracja paryska przysłała powozy na jego egzekucję.

– Hrabia de Horn, jeśli się me mylę, kazał zabić Żyda, żeby mu ukraść weksel, którego nie mógł zapłacić. Nikt nie ośmieli się powiedzieć, że którykolwiek towarzysz Jehudy naruszył włos na głowie dziecka.

– Niech i tak będzie; przypuśćmy, że instytucja została założona ze względów filantropijnych, by przywrócić równowagę między majątkami, naprawić kaprysy losu, zreformować nadużycia społeczeństwa. Jakkolwiek to złodziej w rodzaju Karola Moora, ten pański przyjaciel Morgan... czy ten uczciwy obywatel nie powiedział, że nazywa się Morgan?

– Tak – odparł Anglik.

– A więc przyjaciel pański Morgan jest złodziejem.

Obywatel Alfred de Barjols pobladł bardzo silnie.

– Obywatel Morgan nie jest moim przyjacielem – odparł młody arystokrata – ale, gdyby nim był, uważałbym to za zaszczyt.

– Niewątpliwie – odpowiedział Roland, wybuchając śmiechem – wszak pan de Voltaire mówi:

Przyjaźń wielkiego człowieka jest dobrodziejstwem bogów.

– Rolandzie, Rolandzie! – szepnął mu towarzysz.

– Generale – odpowiedział ten, umyślnie może wymieniając tytuł należny towarzyszowi – pozwól mi, błagam, prowadzić dalej z tym panem dyskusję, która mnie zajmuje w najwyższym stopniu.

Młody arystokrata wzruszył ramionami.

– Tylko, obywatelu – ciągnął dalej młodzieniec ze szczególnym uporem – przypominam, że opuściłem Francję przed dwoma laty, a od mojego wyjazdu zmieniło się tyle rzeczy, strój, obyczaje, akcent, język także chyba uległ zmianie. Jakże nazywa pan w języku, jakim mówią dzisiaj we Francji, zatrzymywanie dyliżansów i zabieranie pieniędzy, które przewożą?

– Panie – odparł arystokrata, tonem człowieka zdecydowanego podtrzymać dyskusję do ostatka – nazywam to prowadzeniem wojny. Towarzysz pański, którego pan przed chwilą

nazwał generałem, powie panu jako wojskowy, że poza przyjemnością zabijania i zostania zabitym, generałowie od najdawniejszych czasów robili to samo, co obywatel Morgan.

– Jak to! – zawołał młodzieniec, którego oczy rzuciły błyskawicę – pan śmie porównywać?...

– Pozwól panu rozwinąć jego teorię, Rolandzie – odezwał się brunet, przysłaniając oczy długimi czarnymi rzęsami, by nie zdradziły, co się działo w jego sercu, gdy oczy towarzysza, przeciwnie, rozszerzyły się, by rzucać płomienie.

– A co! – rzekł młodzieniec. – I generał teraz zaczyna się interesować dyskusją.

Po czym zwracając się do tego, który upierał się przy swoim:

– Proszę, niech pan mówi dalej – rzekł. – Generał pozwala.

Młody arystokrata zarumienił się równie widocznie, jak pobladł przed chwilą, i z zaciśniętymi zębami, z łokciami opartymi o stół, podbródkiem na pięści, by zbliżyć się jak najbardziej do przeciwnika, mówił coraz wyraźniejszym akcentem prowansalskim, w miarę jak dyskusja stawała się bardziej zacięta.

– Skoro generał pozwala – wyraz generał wymówił ze szczególnym naciskiem – będę miał zaszczyt powiedzieć jemu i wam, obywatelu, zarazem, że przypominam sobie, iż czytałem w Plutarchu, że w chwili gdy Aleksander wyruszał do Indii, zabierał ze sobą tylko osiemnaście czy dwadzieścia talentów w złocie, czyli mniej więcej sto do stu dwudziestu tysięcy franków. Otóż, czy panowie sądzicie, że to owymi osiemnastoma czy też dwudziestoma talentami w złocie karmił armię, podbił Azję Mniejszą, zdobył Tyr, Syrię, Egipt, zbudował Aleksandrię, wtargnął aż do Libii, kazał wyroczni Amona ogłosić, że jest synem Jowisza, dotarł do Hypanisu, a ponieważ żołnierze nie chcieli iść dalej za nim, przeto powrócił do Babilonu, gdzie przewyższał zbytkiem, zepsuciem i lubieżnością najwięcej lubujących się w zbytku, najbardziej zepsutych i najlubieżniejszych królów azjatyckich? Czy to z Macedonii otrzymywał pieniądze i czy pan mniema, że król Filip, jeden z najuboższych królów biednej Grecji, pokrywał przekazy, które syn wystawiał na niego? Bynajmniej. Aleksander postępował, jak obywatel Morgan; tylko, zamiast zatrzymywać dyliżanse na gościńcach, ograbiał miasta, pobierał haracz od królów, nakładał kontrybucję na kraje zdobyte. Przejdźmy do Hannibala. Wszak wiecie panowie, jak wyruszył z Kartaginy? Nie miał nawet owych osiemnastu czy dwudziestu talentów swego poprzednika, Aleksandra. Ale, ponieważ potrzeba mu było pieniędzy, złupił podczas pokoju i wbrew zawartym traktatom miasto Sagunt; a wzbogacony tym łupem mógł wyruszyć na wyprawę. Przepraszam, tym razem to już nie Plutarch, lecz Korneliusz Nepos. Nie będę opowiadał o zejściu z Pirenejów, wejściu na Alpy, trzech bitwach, które wygrał, przywłaszczając sobie za każdym razem skarby zwyciężonego, i przechodzę do pięciu czy sześciu lat, jakie spędził w Kampanii. Czy myślicie, że on i jego armia płacili pensję Kapuańczykom i że bankierzy kartagińscy, którzy się z nimi poróżnili, posyłali mu pieniądze? Nie, wojna karmiła wojnę, system Morgana, obywatelu. Przejdźmy do Cezara. A! Cezar to rzecz inna. Wyrusza z Hiszpanii z jakimiś trzydziestoma milionami długów, jedzie do Galii, pozostaje przez dziesięć lat u naszych przodków. Przez ten czas posyła przeszło sto milionów do Rzymu, wraca przez Alpy, przekracza Rubikon, idzie prosto na Kapitol, wyłamuje wrota świątyni Saturna, gdzie przechowywany jest skarb, bierze z niego na swoje potrzeby prywatne, a nie rzeczypospolitej, trzy tysiące liwrów w szatabach złota i umiera. On, którego wierzyciele dwadzieścia lat przedtem nie chcieli wypuścić z domku na Suburze, pozostawia dwa czy trzy tysiące sestercji na głowę każdego obywatela, dziesięć czy dwanaście milionów Kalpurnii i trzydzieści czy czterdzieści milionów Oktawiuszowi. Znów system Morgana, z tą tylko różnicą, że Morgan, jestem pewien, umrze nie ruszywszy na swój rachunek pieniędzy Gallów ani złota Kapitolu. Teraz przeskoczmy tysiąc osiemset lat i weźmy generała Buonaparté...

I młody arystokrata, jak zwykli byli czynić wrogowie zwycięzcy Włoch, położył nacisk na u, które Bonaparte wyrzucił ze swego nazwiska, i na e, nad którym wykreślił akcent.

– Rozdrażniło to Rolanda, który poruszył się, jak gdyby chciał się rzucić naprzód, ale towarzysz go powstrzymał.

– Daj pokój – rzekł – daj pokój, Rolandzie; jestem pewien, że obywatel Barjols nie powie, iż generał Buonaparté, jak go nazywa, jest złodziejem.

– Nie, tego nie powiem; ale jest przysłowie włoskie, które mówi to za mnie.

– Jakież to przysłowie? – spytał generał, uprzedzając towarzysza, i tym razem zwrócił na młodego arystokratę spojrzenie spokojne i głębokie.

– Brzmi w swej prostocie: Francesi non sono tutti ladroni, ma buona parte. Co znaczy: „Nie wszyscy Francuzi są złodziejami, ale..."

– Znaczna część? – przerwał Roland.

– Tak, ale Buonaparté – odparł Alfred de Barjols.

Zaledwie zuchwały arystokrata powiedział te słowa, talerz, którym bawił się Roland, wysunął się z jego rąk i uderzył prosto w twarz de Barjolsa.

Kobiety krzyknęły, mężczyźni powstali. Roland wybuchnął swoim zwykłym nerwowym śmiechem i opadł na krzesło.

Młody arystokrata zachował spokój, mimo że krew sączyła się spod jego brwi i spływała na policzek.

W tejże chwili wszedł konduktor, mówiąc według zwykłej formuły:

– Obywatele podróżni, wsiadać!

Podróżni, którym pilno było oddalić się od miejsca starcia, jakiego byli świadkami, rzucili się ku drzwiom.

– Przepraszam pana – rzekł Alfred de Barjols do Rolanda – mam nadzieję, że pan nie jedzie dyliżansem?

– Nie, panie, jadę ekstrapocztą; ale niech pan będzie spokojny, zostaję.

– I ja również – rzekł Anglik. – Wyprzegnąć konie, nie jadę.

– A ja jechać muszę – rzekł z westchnieniem młody brunet, którego Roland tytułował generałem – wiesz dobrze, że trzeba, mój drogi, i że moja obecność jest tam niezbędna. Ale przysięgam ci, że nie opuszczałbym cię tak, gdybym mógł postąpić inaczej...

Gdy to mówił, jego głos, zazwyczaj ostry i metaliczny, zdradzał wielkie wzruszenie.

Roland, wprost przeciwnie, nie posiadał się z radości; rzekłbyś, iż ta wojownicza natura rozkoszowała się grożącym niebezpieczeństwem, którego może nie wywołał, ale którego nie starał się też uniknąć.

– Generale – rzekł – mieliśmy się rozstać w Lugdunie, skoro dałeś mi łaskawie miesięczny urlop, bym mógł odwiedzić rodzinę w Bourgu. Skrócimy naszą wspólną podróż o jakie sześćdziesiąt mil. Spotkamy się w Paryżu. Tylko pamiętaj, generale, gdybyś potrzebował człowieka oddanego, który się nie dąsa, pomyśl o mnie.

– Bądź spokojny, Rolandzie – odparł generał.

Spojrzał bacznie na dwóch przeciwników.

– Przede wszystkim, Rolandzie – rzekł do towarzysza tonem niewymuszonej tkliwości – nie pozwól się zabić; ale, jeśli to możliwe, nie zabijaj też swego przeciwnika. Ten młodzieniec jest człowiekiem serca i chcę, gdy nadejdzie czas, mieć za sobą wszystkich ludzi posiadających serce.

– Zrobię, co będzie można, generale, bądź spokojny.

W tejże chwili gospodarz ukazał się w progu.

– Ekstrapoczta do Paryża czeka – rzekł.

Generał wziął kapelusz i laskę, złożone na krześle; Roland zaś z obnażoną głową wyszedł za nim, żeby widziano, iż nie zamierza wyjechać wraz z towarzyszem.

Toteż Alfred de Barjols nie sprzeciwiał się bynajmniej jego wyjściu. Zresztą łatwo było domyślić się, że przeciwnik należał raczej do tych, którzy szukają kłótni, niż do tych, którzy ich unikają.

Roland towarzyszył generałowi do pojazdu.

– Przykro mi – rzekł ten ostatni, wsiadając – że cię zostawiam tu samego, Rolandzie, bez przyjaciela, który mógłby ci służyć za świadka.

– Nie troszcz się o to generale; świadek znajdzie się zawsze. Nie brak i nie braknie nigdy ludzi ciekawych, którzy zechcą widzieć jak człowiek zabija człowieka.

– Do widzenia, Rolandzie; słyszysz, nie mówię ci: żegnam, tylko: do widzenia!

– Tak, drogi generale – odparł młodzieniec głosem rozrzewnionym prawie – słyszę i dziękuję ci bardzo.

– Przyrzeknij, że mi doniesiesz, skoro tylko sprawa będzie skończona, albo że każesz do mnie napisać, gdybyś sam pisać nie mógł.

– O! Nie obawiaj się, generale; najdalej za cztery dni otrzymasz ode mnie list – odparł Roland.

Po czym dodał z głęboką goryczą:

– Czy nie zauważyłeś, generale, że zawisło nade mną fatum, które nie pozwala mi umrzeć?

– Rolandzie! – zawołał tonem surowym – Znów!...

– Nic, nic – odparł młodzieniec, potrząsając głową i usiłując nadać twarzy pozór niefrasobliwej wesołości, która była niewątpliwie zwykłym wyrazem jego oblicza, zanim spotkało go nieznane nieszczęście, sprawiające, że, choć taki młody, już pragnął śmierci.

– Ale, słuchaj: postaraj się dowiedzieć, jak to się dzieje, że w chwili, kiedy prowadzimy wojnę z Anglią, Anglik spaceruje sobie po Francji z taką swobodą, jak gdyby był u siebie.

– Dobrze, dowiem się.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Ale skoro panu przyrzekam, że się dowiem, będę wiedział, choćbym miał zapytać o to jego samego.

– A więc raz jeszcze do widzenia i uściskaj mnie.

Roland, w porywie gorącej wdzięczności, rzucił się na szyję temu, który dał mu pozwolenie.

– Generale! – zawołał. – Jakiż byłbym szczęśliwy... gdybym nie był taki nieszczęśliwy!

Generał spojrzał na niego z głębokim przywiązaniem.

– Opowiesz mi kiedyś o swoim nieszczęściu, nieprawdaż, Rolandzie? – rzekł.

Roland wybuchnął bolesnym śmiechem.

– O nie – odparł – wyśmiałbyś mnie, generale.

Generał spojrzał na niego takim wzrokiem, jak gdyby patrzył na wariata.

– Trudno – rzekł – trzeba brać ludzi takimi, jakimi są.

– Zwłaszcza, gdy nie są takimi, jakimi się wydają.

– Bierzesz mnie za Edypa i zadajesz mi zagadki, Rolandzie.

– Jeśli tę odgadniesz, generale, składam ci pokłon, królu Teb. Ale ja tu plotę głupstwa i zapominam, że każda twoja minuta jest droga i że zatrzymuję cię niepotrzebnie.

– Masz słuszność. Czy masz jakieś zlecenia do Paryża?

– Trzy: pozdrowienia dla Bourrienne'a, wyrazy szacunku dla pańskiego brata Lucjana i hołd najwyższy dla pani Bonaparte.

– Stanie się, jak pragniesz.

– Gdzie znajdę pana w Paryżu?

– W moim domu, przy ulicy de la Victoire a może...

– Może...

– Kto wie? Może w Luksemburgu!

Cofnął się w głąb pojazdu, jak gdyby żałował, że powiedział tak wiele nawet temu, którego uważał za najlepszego przyjaciela.

– Droga do Orange! – krzyknął do pocztyliona. – Co koń wyskoczy.

Pocztylion, który czekał tylko na rozkaz, zaciął konie. Pojazd potoczył się szybko, z łoskotem grzmotu i zniknął za bramą, wiodącą do Oulle.

# Anglik

Roland, potrząsając głową, jakby chcąc otrząsnąć z czoła chmurę, która je zasnuła, powrócił do hotelu i zażądał pokoju.

– Zaprowadź pana pod nr 3 – rzekł gospodarz do jednej z pokojówek.

Pokojówka zdjęła klucz, zawieszony na długiej tablicy z czarnego drzewa, gdzie widniały dwa szeregi białych numerów, i dała znak młodemu podróżnemu, że może iść za nią.

– Proszę mi przysłać na górę papier, pióro i atrament – rzekł Roland do gospodarza – a jeśli pan de Barjols zapyta o mnie, proszę mu podać numer mojego pokoju.

Gospodarz przyrzekł, że zastosuje się do tych poleceń, a Roland, gwiżdżąc *Marsyliankę*, poszedł za pokojówką.

W pięć minut później siedział przy stole, mając przed sobą papier, pióro i atrament, i zabierał się do pisania.

Ale w chwili, gdy zamierzał nakreślić pierwszą literę, zapukano trzy razy do jego drzwi.

– Proszę wejść – rzekł, obracając na jednej z tylnych nóg fotel, na którym siedział, by zwrócić twarz do wchodzącego. Przypuszczał, że mógł to być tylko pan de Barjols albo jeden z jego przyjaciół.

Drzwi otworzyły się ruchem miarowym, jakby mechanicznie, i w progu stanął Anglik.

– A! – zawołał Roland, uradowany wizytą, ze względu na polecenie, od generała otrzymane. – To pan?

– Tak – odparł Anglik – to ja.

– Witam pana serdecznie.

– Ooo! Tym lepiej, że mnie pan serdecznie wita, bo nie wiedziałem, czy przyjść.

– A to dlaczego?

– Z powodu Abukiru.

Roland roześmiał się.

– Były dwie bitwy pod Abukirem – rzekł – ta, którą przegraliśmy i ta, w której zostaliśmy zwycięzcami.

– Z powodu tej, którą przegraliście.

– Ludzie się biją, zabijają, mordują wzajemnie na polu bitwy; ale to nie przeszkadza im bynajmniej witać się uściskiem dłoni, gdy się spotykają na gruncie neutralnym. Powtarzam panu zatem, że witam serdecznie, zwłaszcza, jeżeli pan zechce mi powiedzieć, co pana tu sprowadza.

– Dziękuję; przede wszystkim, niech pan to przeczyta.

I Anglik wydobył z kieszeni papier.

– Co to? – spytał Roland.

– Mój paszport.

– Co mnie obchodzi pański paszport? Nie jestem żandarmem.

– Nie; ale ponieważ przychodzę ofiarować panu swoje usługi, może pan nie zechciałby ich przyjąć, gdyby pan nie wiedział, kim jestem.

– Pan mnie swoje usługi?

– Tak jest; ale niech pan czyta.

I Roland czytał:

„W imieniu Rzeczypospolitej Francuskiej, Komitet Wykonawczy poleca, by pozwolono sir Johnowi Tanlay'owi, esq., przebywać swobodnie na całym obszarze Rzeczypospolitej i, w razie potrzeby, nie odmawiać mu opieki i pomocy.

Podpisano: Fouché".

– A niżej, proszę.

„Polecam szczególnie, komu należy, sir Johna Tanlay'a, jako filantropa i przyjaciela wolności.

Podpisano: Barras".

– Przeczytał pan?

– Tak, przeczytałem; no i co?...

– Mój ojciec, lord Tanlay, oddał usługi panu Barrasowi, dlatego to pan Barras pozwala, żebym wędrował po Francji. Jestem bardzo zadowolony, że mogę to robić, bawię się doskonale.

– Tak, pamiętam; raczył pan powiedzieć nam to już przy stole.

– Powiedziałem, prawda; powiedziałem także, iż bardzo lubię Francuzów.

Roland skłonił się.

– A zwłaszcza generała Bonaparte – ciągnął dalej sir John.

– Pan lubi bardzo generała Bonaparte?

– Podziwiam go; to wielki, bardzo wielki człowiek.

– Dalibóg, żałuję sir Johnie, że on nie słyszy tych słów, przez Anglika wypowiedzianych.

– Ooo! Nie powiedziałbym tego w jego obecności.

– Dlaczego?

– Nie chciałbym, żeby przypuszczał, że mówię to, by mu się przypodobać. Mówię to, bo takie jest moje mniemanie.

– Nie wątpię, milordzie – rzekł Roland, który nie rozumiał, dokąd Anglik zmierza, a dowiedziawszy się z paszportu, co chciał wiedzieć, zachowywał się powściągliwie.

– A gdy zobaczyłem – ciągnął dalej Anglik z niezmąconą flegmą – że pan staje w obronie generała Bonaparte, sprawiło mi to przyjemność.

– Istotnie?

– Wielką przyjemność – zapewnił Anglik, potwierdzając słowa skinieniem głowy.

– Tym lepiej.

– Ale, gdy zobaczyłem, że rzucił pan talerz w głowę pana Alfreda de Barjolsa, sprawiło mi to przykrość.

– Sprawiło ci to przykrość, milordzie? A to z jakiego powodu?

– Bo w Anglii dżentelmen nie rzuca talerzem w głowę dżentelmena.

– Milordzie – rzekł Roland, wstając i marszcząc brwi – czy pan przypadkiem nie przyszedł, żeby mi prawić morały?

– O nie; przyszedłem, żeby pana zapytać, czy ma pan może kłopot ze znalezieniem sekundanta?

– Wyznaję szczerze, że w chwili, gdy pan zapukał do drzwi, zastanawiałem się właśnie, kogo o tę przysługę poprosić.

– Mnie. Jeśli pan zechce, będę pańskim sekundantem.

– Ach, na honor! Przyjmuję i to z wdzięcznym sercem! – zawołał Roland, podając mu rękę. – Dziękuję.

Anglik skłonił się.

– A teraz – odezwał się znów Roland — miałeś tyle taktu, milordzie, że zanim ofiarowałeś mi swoje usługi powiedziałeś mi, kim jesteś. Skoro te usługi przyjmuję i pan powinien wiedzieć, kim ja jestem.

– Ooo! Jak pan zechce.

– Nazywam się Ludwik de Montrevel; jestem adiutantem generała Bonaparte.

– Adiutantem generała Bonaparte! Bardzo mi przyjemnie.

– Wytłumaczy to panu, dlaczego wziąłem, trochę może za gorąco, w obronę mego generała.

– Nie, nie za gorąco; tylko talerz...

– Tak, wiem dobrze, wyzwanie mogłoby obejść się bez talerza. Ale widzi pan, trzymałem go w ręku, nie wiedziałem, co z nim zrobić i cisnąłem w głowę pana de Barjolsa; poleciał sam, ja nie chciałem...

– Ale jemu pan tego nie powie?

– O! Niech pan będzie spokojny; mówię to panu, żeby uspokoić pańskie sumienie.

– Doskonale, a więc będzie się pan bił?

– Dlatego właśnie zostałem.

– I na co będziecie się bili?

– To nie pańska rzecz, milordzie.

– Jak to nie moja rzecz?

– Nie; pan de Barjols jest obrażony i do niego należy wybór broni.

– A więc pan przyjmie broń, którą on zaproponuje?

– Nie ja, lecz pan w moim imieniu, skoro pan robi mi ten zaszczyt, że chce być moim sekundantem.

– A jeśli on wybierze pistolety, na jaką odległość i jak chce się pan bić?

– To już twoja rzecz, milordzie, nie moja. Nie wiem, czy taki jest zwyczaj w Anglii, ale we Francji przeciwnicy nie wtrącają się do niczego. Sekundanci układają warunki, a to, co oni postanowią, jest nie do podważenia.

– A zatem i to, co ja postanowię, będzie ważne?

– Najzupełniej, milordzie.

Anglik skłonił się.

– Godzina i miejsce spotkania?

– O, jak najprędzej; już dwa lata nie widziałem rodziny i przyznam się panu, że pilno mi ucałować ich wszystkich.

Anglik spojrzał na Rolanda z pewnym zdumieniem; mówił z taką pewnością siebie, jak gdyby z góry wiedział, że nie zostanie zabity.

W tejże chwili zapukano do drzwi i głos gospodarza zapytał:

– Czy można wejść?

Roland odpowiedział twierdząco; drzwi otworzyły się i gospodarz wszedł, trzymając w ręce kartę wizytową, którą podał gościowi.

Młodzieniec wziął kartę i przeczytał: „Karol de Valensolle”.

– Od pana Alfreda de Barjolsa – rzekł gospodarz.

– Dobrze! – odparł Roland.

Podając kartę Anglikowi, dodał:

– Proszę, to już pańska sprawa; nie mam potrzeby widzieć się z tym panem, skoro tutaj nie jesteśmy już obywatelami... Pan de Valensolle jest świadkiem pana de Barjolsa, pan zaś jest moim świadkiem; ułóżcie sprawę między sobą. Tylko – dodał młodzieniec, ściskając za rękę Anglika i wpatrując się w niego bystro – proszę pana usilnie, traktujcie sprawę poważnie; odrzucę wasze warunki jeśli się okaże, że obaj możemy pozostać na placu boju.

– Niech pan będzie spokojny – rzekł Anglik – postąpię, jak gdyby chodziło o mnie.

– Doskonale, gdy ułożycie warunki, niech pan wróci tutaj. Nie ruszę się, będę czekał.

Sir John wyszedł z gospodarzem; Roland usiadł, obrócił krzesło w stronę przeciwną i znalazł się znów przed biurkiem.

Wziął pióro i zaczął pisać.

Gdy sir John powrócił, Roland, napisawszy dwa listy, adresował trzeci.

Skinął ręką na Anglika na znak, żeby zaczekał, dokończył pisanie adresu, zamknął list i odwrócił się.

– I cóż – spytał – wszystko załatwione?

– Tak – odparł Anglik – i to bez żadnych trudności; ma pan do czynienia z prawdziwym dżentelmenem.

– Tym lepiej! – rzekł Roland.

– Pojedynkujecie się za dwie godziny, przy wodotrysku Vaucluse – cudowna miejscowość – na pistolety, idąc wzajemnie ku sobie, każdy może strzelać do woli i iść w dalszym ciągu po strzale przeciwnika.

– Na honor, sir Johnie, trudno o lepsze warunki. Czy pan tak wszystko ułożył?

– Ja i świadek pana de Barjolsa, pański przeciwnik bowiem wyrzekł się wszystkich przywilejów obrażonego.

– A broń?

– Ofiarowałem swoje pistolety; zostały przyjęte, na moje słowo honoru, że są nieznane zarówno panu jak i panu de Barjolsowi; są doskonałe, ręczę za nie.

– A więc za dwie godziny?

– Tak; powiedział mi pan, że się panu śpieszy.

– I to bardzo. Jak daleko stąd do owej cudownej miejscowości?

– Stąd do Vaucluse?

– Tak.

– Cztery mile.

– Droga potrwa półtorej godziny, nie mamy czasu do stracenia; trzeba zatem załatwić rzeczy nudne, żeby pozostała nam już tylko rozrywka.

Anglik spojrzał na młodzieńca ze zdumieniem.

Roland nie zwrócił uwagi na to spojrzenie.

– Oto trzy listy – rzekł –jeden dla pani de Montrevel, mojej matki, drugi dla panny de Montrevel, mojej siostry, trzeci dla obywatela Bonaparte, mojego generała. Jeśli padnę w pojedynku, wyśle je pan po prostu pocztą. Czy nie będzie to zbyt kłopotliwe?

– Jeśli to nieszczęście nastąpi, wręczę listy osobiście. Gdzie mieszka pańska rodzina?

– W Bourgu, głównym mieście departamentu Ain.

– To blisko stąd – odparł Anglik. – Co zaś do generała Bonaparte, pojadę, jeśli zajdzie potrzeba do Egiptu. Byłbym niesłychanie rad zobaczyć generała Bonaparte.

– Jeśli zechcesz, jak mówisz, milordzie, wręczyć mu list osobiście, nie będziesz miał potrzeby odbywać takiej długiej drogi; za trzy dni generał będzie w Paryżu.

– Ooo! – rzekł Anglik, nie okazując najmniejszego zdziwienia. – Tak pan sądzi?

– Jestem tego pewien – odparł Roland.

– To istotnie człowiek nadzwyczajny, ten generał Bonaparte. A teraz, panie de Montrevel, czy ma pan jeszcze jakieś polecenia dla mnie?

– Tylko jedno, milordzie.

– Nawet kilka.

– Nie, dziękuję, jedno, ale bardzo ważne.

– Słucham.

– Jeśli zostanę zabity... ale wątpię, żeby mi się to udało.

Sir John spojrzał na Rolanda tym samym zdziwionym wzrokiem, jaki już kilkakrotnie nań skierował.

– Jeśli zostanę zabity – powtórzył Roland – bo, ostatecznie, trzeba wszystko przewidzieć...

– Tak, jeśli zostanie pan zabity...

– Posłuchaj uważnie, milordzie, bo zależy mi na tym bardzo, żeby stało się tak, jak panu powiem.

– Stanie się tak, jak pan powie – odparł sir John. – Jestem człowiekiem bardzo sumiennym.

– Jeśli zostanę zabity — powtórzył raz jeszcze Roland, kładąc dłoń na ramieniu swego sekundanta, jak gdyby chcąc lepiej wrazić w jego pamięć polecenie, jakie mu dać zamierzał – złoży pan moje zwłoki, tak jak będą ubrane, nie pozwalając, żeby ktokolwiek ich dotknął, w trumnę ołowianą, którą każe pan zalutować w swojej obecności. Trumnę ołowianą wstawi pan do dębowej, którą również każe pan zamknąć w swojej obecności. A potem wyśle pan to wszystko do mojej matki, o ile nie będzie pan wolał wrzucić tego do Rodanu, co pozostawiam panu do swobodnego wyboru, byleby tylko zostało wrzucone.

– Skoro zabieram list – odparł Anglik – mogę też zabrać i trumnę, nie sprawi mi to najmniejszego kłopotu.

– Milordzie, jesteś stanowczo człowiekiem nieocenionym – zawołał Roland, wybuchając swoim osobliwym śmiechem – i to Opatrzność na pewno zesłała mi pana. A teraz w drogę, milordzie, w drogę!

Wyszli z pokoju Rolanda. Pokój sir Johna był na tym samym piętrze. Anglik wszedł do siebie po broń, Roland czekał w korytarzu.

Po kilku sekundach sir John ukazał się, niosąc w ręku pudełko z pistoletami.

– A jak pojedziemy do Vaucluse, milordzie? – spytał Roland. – Konno czy powozem?

– Powozem, jeżeli pan zechce. Powóz będzie daleko wygodniejszy w razie otrzymania rany. Mój czeka na nas.

– Zdawało mi się, że pan kazał wyprzęgnąć?

– Taki wydałem rozkaz, ale go odwołałem.

Zeszli ze schodów.

– Tom! Tom! – zawołał sir John, gdy stanęli w drzwiach, gdzie czekał na niego lokaj w surowej liberii grooma angielskiego. – Weź i trzymaj to pudełko.

– Am I going with my lord? – zapytał lokaj.

– Yes! – odparł sir John.

Po czym wskazał Rolandowi stopień kolasy, który lokaj spuszczał.

– Proszę, panie de Montrevel – rzekł.

– Roland wsiadł do kolasy i rozparł się z rozkoszą.

– Doprawdy – rzekł – tylko wy, Anglicy, umiecie podróżować; ten pański powóz jest wygodny jak łóżko. Założę się, że macie nawet wyścielane. trumny!

– Tak, to fakt – odparł sir John – naród angielski zna się na wygodach, ale naród francuski jest ciekawszy i zabawniejszy... Pocztylionie, do Vaucluse!

# Pojedynek

Droga możliwa dojazdy kołowej jest tylko z Awinionu do l'Isle. Sir John i Roland przebyli w ciągu godziny trzy mile dzielące 1'Isle od Awinionu.

Przez tę godzinę Roland, jak gdyby wziął sobie za zadanie skrócenie czasu towarzyszowi podróży, był rozmowny i pełen werwy. W miarę zbliżania się do miejsca walki, wzmagała się jego wesołość. Nie znający przyczyny podróży, nie domyśliłby się nigdy, że ten młodzieniec, gawędzący i śmiejący się nieustannie, jest narażony na śmiertelne niebezpieczeństwo.

W wiosce de 1'Ilse trzeba było wysiąść z powozu. Zapytawszy kogo należało, Roland i sir John dowiedzieli się, że przybyli pierwsi.

Weszli na drogę prowadzącą do wodotrysku.

– Oho! – rzekł Roland. – Ręczę, że tutaj jest świetne echo. Rzucił kilka okrzyków, na które echo odpowiedziało istotnie z wielką dokładnością.

– Dalibóg – zawołał młodzieniec – znakomite. Tylko echo Seinonnetty w Mediolanie może się z nim równać. Poczekaj, milordzie.

Zaczął śpiewać pieśń tyrolską, która wydawała się jakby wyzwaniem, rzuconym przez zbuntowaną muzykę krtani ludzkiej, a jego modulacje ujawniły jednocześnie przedziwny głos i znakomitą metodę.

Sir John patrzył na Rolanda i słuchał go ze zdumieniem, którego nawet nie usiłował ukryć.

– Zdaje mi się, niech mnie Bóg skarze – rzekł sir John, gdy ostatnia nuta przebrzmiała – że pan ma spleen.

Roland drgnął i spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

Ale widząc, że sir John nic więcej nie mówi zapytał:

– Z czego pan to wnosi?

– Jest pan tak hałaśliwie wesoły, że nie może nie mieć w sercu głębokiego smutku.

– Tak, i ta anomalia dziwi pana?

– Nic mnie nie dziwi, każda rzecz ma swoją rację bytu.

– Słusznie, trzeba tylko zawsze znać ukrytą przyczynę. Otóż powiem ją panu.

– Nie zmuszam pana do tego.

– Jest pan zbyt dobrze wychowany, by nalegać; ale niech pan przyzna, że sprawiłoby to panu przyjemność, gdyby pan o mnie coś wiedział.

– Zapewne, bo mnie osoba pańska zajmuje.

– Rozwiążę więc zagadkę, i tobie milordzie powiem to, czego jeszcze nie powiedziałem nikomu. Pomimo pozorów świetnego zdrowia, mam anewryzm serca, który przyprawia mnie

o straszne cierpienia. Napadają mnie co chwila spazmy, osłabienia, omdlenia, których powstydziłaby się nawet kobieta. Całe moje życie to jedno śmieszne wystrzeganie się wszystkiego. Larrey uprzedził mnie, że muszę być przygotowany, iż lada chwila zniknę z tego świata, ponieważ chora arteria może pęknąć w mojej piersi przy najlżejszym wysiłku. Niech pan osądzi, jakie to miłe dla żołnierza! Pojmuje pan, że z chwilą, kiedy powiedziano mi jak rzeczy stoją, postanowiłem dać się zabić z jak największym rozgłosem i niezwłocznie zabrałem się do dzieła. Innemu, szczęśliwszemu ode mnie, byłoby się to udało już sto razy; ale ja, doprawdy, jestem zaczarowany: ani kule, ani pociski mnie nie chcą. Rzekłbyś, że szable obawiają się wyszczerbić na mojej skórze. A jednak nie brak mi sposobności, łatwo pan może osądzić z tego, co zaszło przy stole. Mamy się bić, nieprawdaż? Otóż będę się narażał, jak wariat, zrobię przeciwnikowi wszelkie ustępstwa i to nic nie pomoże: będzie strzelał do mnie z piętnastu kroków, dziesięciu, pięciu i chybi albo strzał spali na panewce. A wszystko po to – piękna wygrana, pomyśl pan tylko – żebym zdechł pewnego pięknego dnia, w chwili, kiedy będę się tego najmniej spodziewał, zdejmując buty! Ale cicho, mój przeciwnik nadchodzi.

Istotnie, na krętej drodze, którą szli Roland i sir John ukazała się między skałami górna część postaci trzech mężczyzn, którzy powiększali się w miarę zbliżania.

– Trzech. Dlaczego trzech – rzekł Roland – skoro nas jest tylko dwóch?

– A, zapomniałem – odparł Anglik – pan de Barjols, zarówno ze względu na pana, jak i na siebie, zażądał, by zabrano ze sobą chirurga.

– A to po co? – zapytał Roland tonem szorstkim, niemal marszcząc brwi.

– Na wypadek, gdyby któryś z panów został zraniony; puszczenie krwi, w pewnych okolicznościach, może człowiekowi uratować życie.

– Sir Johnie – rzekł Roland, a twarz jego przybrała wyraz niemal dziki – nie rozumiem tych wszystkich ceremonii w sprawach pojedynkowych. Jak się ludzie ze sobą biją, to po to, żeby się zabić. Wcześniej niech sobie wyświadczają najrozmaitsze grzeczności, jak pańscy przodkowie i moi w Fontenoy, zgoda; ale z chwilą, gdy szpady są obnażone albo pistolety nabite, życie człowieka musi opłacić podjęte trudy i stracone uderzenia serca. Otóż żądam od pana, żeby mi pan przyrzekł, pod słowem honoru, iż, bez względu na to, czy zostanę zraniony, czy zabity, chirurg pana de Barjolsa mnie nie dotknie.

– Jednakże, panie Rolandzie...

– Pańskie słowo honoru, milordzie, albo niech mnie diabli wezmą, bić się nie będę!

Anglik spojrzał na młodzieńca ze zdumieniem. Twarz Rolanda okryła się śmiertelną bladością, drżał cały tak, jak gdyby ogarnęła go trwoga.

Nie rozumiejąc zupełnie tego niepojętego wrażenia, sir John dał słowo honoru.

– Dziękuję panu – rzekł Roland. – Widzi pan, to jeszcze jeden skutek tej ślicznej choroby: robi mi się zawsze słabo na myśl o narzędziach chirurgicznych, na widok lancetu. Pobladłem bardzo silnie, nieprawda?

– Przez chwilę myślałem, że pan zemdleje.

Roland wybuchnął śmiechem:

– Ładna byłaby to historia – rzekł – gdyby tak nasi przeciwnicy przybyli i zastali pana zajętego trzeźwieniem mnie solami, jak zemdloną kobietę. Czy pan wie, co powiedzieliby i co pan powiedziałby pierwszy? Że stchórzyłem.

Trzej przybysze podeszli tymczasem tak blisko, że mogli słyszeć rozmowę, sir John nie miał więc czasu odpowiedzieć Rolandowi.

Przystanąwszy na miejscu, złożyli ukłon. Roland z uśmiechem na ustach, ukazując olśniewające zęby w rozchylonych wargach, odpowiedział na ich ukłon.

Sir John szepnął mu do ucha:

– Pan jest jeszcze blady; niech się pan przejdzie do wodotrysku; przyjdę po pana, gdy będzie czas.

– Dobra myśl – odparł Roland – miałem zawsze ochotę zobaczyć ten słynny wodotrysk Vaucluse, tę hipokrenę Petrarki. Czy pan zna jego sonet?

Chiare, fresche e dolci acqque,
Ove le belle mambra
Pose colei, che sola a me perdona.

A gdy ta sposobność minie może nie znajdę podobnej. Z której strony jest ten wodotrysk?

– O trzydzieści kroków stąd; niech pan idzie tą drogą dalej, a znajdzie go pan na zakręcie, u stóp tej olbrzymiej skały, której szczyt pan widzi.

– Milordzie – rzekł Roland –jesteś najlepszym przewodnikiem, jakiego znam; dziękuję.

Pożegnawszy swego sekundanta przyjaznym skinieniem ręki, oddalił się w kierunku wodotrysku, nucąc przez zęby prześliczną wilanellę Filipa Desportesa:

Żeś mnie, Rozetto, miesiąc nie widziała,
Serduszko twoje nowych szuka burz.
Widząc, Rozetto, żeś taka niestała,
Jam także innej serce oddał już.
Serce twe słucha podmuchów wiaterka,
Widzą, gdy rzucą wzrok w przeszłości dal.
Ale zobaczy przewrotna pasterka,
W czyje się pierwej serce wkradnie żal.

Sir John zwrócił się do młodych ludzi, którzy na niego czekali; chirurg stał trochę dalej z boku.

Anglik niósł pudełko z pistoletami; postawił je na skale, mającej kształt stołu, wyjął z kieszeni kluczyk, który wydawał się raczej zrobiony przez jubilera, niż przez ślusarza, i otworzył pudełko.

Pistolety były przepyszne, jakkolwiek zupełnie proste; pochodziły z warsztatów Mentona, dziada tego, który jeszcze dzisiaj jest jednym z najlepszych puszkarzy w Londynie. Sir John podał broń sekundantowi pana de Barjolsa, który spuścił powoli kurek, chcąc się przekonać, czy pistolety są na dwa spusty.

Okazało się, że są na jeden spust.

Pan de Barjols spojrzał na nie, ale ich nawet nie ruszył.

– Czy nasz przeciwnik nie zna pańskiej broni? – zapytał pan de Valensolle.

– Nawet jej jeszcze nie widział – odparł sir John – daję panu słowo honoru.

– O! – rzekł pan de Valensolle. – Proste zaprzeczenie wystarczy.

Powtórzono raz jeszcze – by uniknąć wszelkich nieporozumień – ułożone już warunki walki; po czym, by jak najmniej tracić czasu na niepotrzebne przygotowania, nabito pistolety, złożono je w pudełko, które powierzono chirurgowi i sir John, zabrawszy kluczyk od pudełka do kieszeni, poszedł po Rolanda.

Zastał go rozmawiającego z pastuszkiem, który pilnował trzech kóz, pasących się na stromych i skalistych stokach góry, i rzucał kamyki do wodotrysku.

Sir John otworzył usta, by powiedzieć Rolandowi, że wszystko gotowe, ale on, nie dopuszczając Anglika do słowa, rzekł:

– Nie wyobrażasz sobie, milordzie, co mi ten dzieciak opowiada! Istną legendę znad brzegów Renu. Mówi, że ten wodotrysk, którego dna nikt dotąd nie zgłębił, ciągnie się przeszło dwie albo trzy mile pod górą i służy za siedzibę wieszczce. Ta wieszczka, na wpół kobieta, na wpół wąż, podczas cichych, pogodnych letnich nocy wypływa na powierzchnię wody i woła górskich pasterzy, pokazując im oczywiście tylko głowę o długich włosach,

obnażone ramiona i cudne ręce. Głupców nęci ten pozór kobiecy, zbliżają się, dają jej znaki, by zbliżyła się do nich, gdy ona ze swej strony wzywa ich do siebie. Nierozważni idą naprzód, nie patrząc na drogę; nagle ziemia usuwa im się spod stóp, wieszczka wyciąga ramiona, zanurza się wraz z nimi do swoich wilgotnych pałaców i nazajutrz ukazuje się sama. Kto, u diabła, mógł dla tych idiotów pasterzy stworzyć tę samą bajkę, którą Wergiliusz opowiada takim przecudnym wierszem Augustowi i Mecenasowi?

Przez chwilę stał zadumany, ze wzrokiem wlepionym w tę wodę lazurową i głęboką; po czym, zwracając się do sir Johna, rzekł:

– Mówią, że najdzielniejszy nawet pływak, zanurzywszy się raz w tę przepaść, nigdy się już z niej nie wydostał; gdybym się w tę toń zanurzył, byłoby to może pewniejsze, niż kula pana de Barjolsa. Zresztą może to być zawsze ucieczka ostateczna; tymczasem spróbujmy kuli. Milordzie, pójdźmy.

I biorąc pod rękę oczarowanego tą bystrością umysłu Anglika, wrócił z nim do oczekujących.

Ci przez ten czas zajęli się odszukaniem odpowieniego miejsca i znaleźli je.

Był to mały płaskowyż, jakby przyczepiony do stromego stoku góry, tonący w blasku zachodzącego słońca. Znajdowały się tam ruiny zamku, w których szukali schronienia pasterze, zaskoczeni przez groźne podmuchy mistrala.

– Służymy panom – rzekł sir John.

– Jesteśmy gotowi, panowie – rzekł pan de Valensolle.

– Niechaj przeciwnicy zechcą słuchać uważnie warunków pojedynku – odezwał się sir John.

– Zechciej je pan powtórzyć – dodał, zwracając się do pana Valensolle'a. – Pan jest Francuzem, a ja cudzoziemcem, wyjaśni je pan wyraźniej ode mnie.

– Pan jest jednym z tych cudzoziemców, milordzie, którzy mogliby uczyć języka takich skromnych Prowansalczyków, jak my; ale skoro ustępuje mi pan uprzejmie głosu, będę posłuszny wezwaniu.

I złożył ukłon sir Johnowi, który mu odpowiedział ukłonem.

– Panowie – ciągnął dalej szlachcic, który służył za sekundanta panu de Barjolsowi – ułożyliśmy, że staniecie w .odległości czterdziestu kroków naprzeciwko siebie. Będziecie szli ku sobie; każdy strzeli, kiedy zechce i bez względu na to, czy zostanie zraniony czy nie, będzie mu wolno iść dalej po strzale przeciwnika.

Przeciwnicy skłonili się na znak zgody i jednakowym głosem, prawie jednocześnie rzekli:

– Broń!

Sir John wyjął kluczyk z kieszeni i otworzył pudełko, po czym zbliżył się do pana de Barjolsa i podał mu je.

On zaś chciał zostawić wybór broni przeciwnikowi, lecz Roland ruchem ręki odmówił i głosem, w którym dźwięczała kobieca niemal słodycz, rzekł:

– Po panu, panie de Barjols; dowiaduję się, że chociaż zelżony przeze mnie, zrzekł się pan wszystkich swoich przywilejów, niechże więc pozostawię panu chociaż ten jeden, o ile można to nazwać przywilejem.

Pan de Barjols nie nalegał więcej i wziął, na chybił trafił, jeden z pistoletów.

Sir John podał drugi Rolandowi, który go wziął i, nie spojrzawszy nawet na mechanizm, opuścił rękę.

Przez ten czas pan de Valensolle odmierzał owe czterdzieści kroków od laski, którą zatknął w ziemię.

– Czy pan zechce zmierzyć po mnie? – zapytał sir Johna.

– To zbyteczne – odparł Anglik – pan de Montrevel i ja ufamy panu najzupełniej.

Pan de Valensolle zatknął drugą laskę po czterdziestym kroku.

– Panowie – rzekł – wszystko gotowe.

Przeciwnik Rolanda był już na stanowisku, bez kapelusza i fraka.

Chirurg i dwaj sekundanci trzymali się z boku.

Roland zrzucił frak i kapelusz i stanął w odległości czterdziestu kroków naprzeciwko pana de Barjolsa.

Obaj, jeden na prawo, drugi na lewo, rzucili spojrzenie na ten sam widnokrąg.

Widok, jaki przedstawiał, odpowiadał najzupełniej straszliwej scenie, która miała się rozegrać.

Z prawej strony Rolanda, z lewej pana de Barjolsa nie było nic widać, wznosiła się tu bowiem góra, zbiegająca ku nim spadzistym stokiem, wyżej zaś zwieńczona olbrzymim dachem.

Ale ze strony przeciwnej, to jest po prawej ręce pana de Barjolsa a lewej Rolanda, rozpościerał się bezgraniczny widnokrąg.

Na pierwszym planie widniała płaszczyzna, o gruncie czerwonawym, przedziurawiona ze wszystkich stron spiczastymi głazami. Przypominała cmentarz z porozrzucanymi kośćmi Tytanów.

Na drugim planie na tle zachodzącego słońca zarysowywał się, opasany murami, Awinion i jego olbrzymi pałac, podobny do przyczajonego lwa, trzymającego dyszące miasto pod swymi pazurami.

Za Awinionem Rodan płynął wstęgą świetlaną niby strumień roztopionego złota.

Wreszcie z drugiej strony Rodanu wznosił się pasmem ciemnego lazuru łańcuch pagórków, dzielących Awinion od Nimes i Uzès.

W głębi słońce, na które jeden z tych dwóch mężczyzn patrzył prawdopodobnie po raz ostatni, zsuwało się z wolna i majestatycznie w ocean złota i purpury.

Dwaj mężczyźni, stojący naprzeciwko siebie, stanowili szczególny kontrast.

Jeden, brunet, o cerze smagłej, postaci wątłej i ciemnych oczach, był typem rasy południowej, która posiada wśród swoich przodków Greków, Rzymian, Arabów i Hiszpanów.

Drugi, o cerze różowej, blondyn z oczyma lazurowymi, rękoma pulchnymi, kobiecymi, stanowił typ rasy krajów strefy umiarkowanej, która zalicza do swoich przodków Gallów, Germanów i Normandczyków.

Roland stał pogrążony w zachwycie wobec wspaniałego widowiska i zdawało się przez chwilę, że zapomniał o sekundantach, pojedynku i przeciwniku. Głos pana de Barjolsa wyrwał go z tego poetycznego upojenia.

– Panie, jestem gotów – rzekł.

Roland drgnął.

– Przepraszam, że pozwoliłem panu czekać – odparł. – Ale nie trzeba zwracać na mnie uwagi, jestem bardzo roztargniony. Służę panu.

I z uśmiechem na ustach, z włosami rozwianymi podmuchem wieczornego wiatru, nie zasłaniając się, jak gdyby odbywał zwykłą przechadzkę, gdy natomiast przeciwnik jego nie zaniechał ani jednego środka ostrożności zwykłego w podobnych wypadkach, Roland szedł prosto ku panu de Barjolsowi. Na obliczu sir Johna, pomimo jego zwykłej obojętności, odmalowała się głęboka trwoga.

Przestrzeń między przeciwnikami szybko malała.

Pan de Barjols zatrzymał się pierwszy, wycelował i dał ognia w chwili, gdy Roland był oddalony od niego tylko o dziesięć kroków.

Kula pistoletu zerwała pukiel włosów Rolanda, ale go nie dosięgła.

Młodzieniec zwrócił się do swego sekundanta.

– No, widzi pan, nie mówiłem? – zapytał.

– Niech pan strzela, niechże pan strzela! – wołali sekundanci.

– Przepraszam panów – odparł Roland – ale pozwolicie, mam nadzieję, że sam osądzę, kiedy i jak mam na strzał odpowiedzieć. Skoro kula pana de Barjolsa przeleciała już nade mną, muszę powiedzieć kilka słów, których poprzednio powiedzieć mu nie mogłem.

Po czym, zwracając się do młodego arystokraty, który stał blady ale spokojny, rzekł:

– Panie, może uniosłem się nieco podczas naszej rozmowy dzisiaj rano.

I czekał.

– Teraz kolej na pana – odpowiedział pan de Barjols.

– Ale – ciągnął dalej Roland, jak gdyby tego nie słyszał – zrozumie pan przyczynę uniesienia i może mi pan wybaczy, gdy panu powiem, że jestem żołnierzem i adiutantem generała Bonaparte.

– Proszę strzelać, panie – odparł młody arystokrata.

– Niech pan odwoła choćby jednym słowem to, co pan powiedział – rzekł młody oficer – niech pan powie, że generał Bonaparte ma taką sławę człowieka honorowego, że złośliwe przysłowie włoskie, ukute w przystępie złego humoru przez zwyciężonych, nie może go dotyczyć; niech pan to powie a rzucę broń i uścisnę pańską dłoń, bo widzę, że z pana człowiek dzielny.

– Nie złożę hołdu tej sławie człowieka honorowego, o której pan mówi, dopóki pański głównodowodzący generał nie użyje swojego wpływu na sprawy Francji, jaki zdobył swoim geniuszem, w tym samym celu co Monk, to jest, żeby zwrócić tron prawemu monarsze.

– O! – rzekł Roland z uśmiechem. – Za wiele pan żąda od generała republikańskiego.

– W takim razie powtarzam, co już powiedziałem – odparł młody arystokrata – strzelaj pan, strzelaj!

Po czym, ponieważ Roland nie śpieszył się usłuchać wezwania:

– Ależ, do pioruna! Strzelaj pan! – krzyknął, tupiąc nogą.

Roland na te słowa uczynił ruch, wskazujący, że wystrzeli w powietrze.

– Nie strzelaj pan w powietrze, błagam! – zawołał pan de Barjols — Inaczej zażądam, byśmy zaczęli na nowo i by pan strzelał pierwszy!

– Na honor! – krzyknął Roland, który pobladł śmiertelnie. – Nigdy w życiu jeszcze nie czyniłem dla nikogo takich ustępstw. Skoro pan nie chcesz życia, bierz śmierć!

I w tejże chwili, nie próbując nawet dokładnie wymierzyć, opuścił broń i dał ognia. Alfred de Barjols schwycił się za lewą pierś, zakołysał się naprzód i w tył, zawirował i padł twarzą na ziemię.

Kula Rolanda przeszyła mu serce.

Sir John, widząc pana de Barjolsa upadającego, podszedł do Rolanda i odprowadził go na miejsce, w którym leżały frak i kapelusz.

– To trzeci – szepnął Roland z westchnieniem. – Ale pan świadkiem, że ten chciał sam.

I oddawszy dymiący jeszcze pistolet sir Johnowi, włożył frak.

W tym czasie pan deValensolle podniósł pistolet, który wypadł przyjacielowi z ręki i odniósł broń wraz z pudełkiem sir Johnowi.

– I cóż? – spytał Anglik, wskazując oczyma Alfreda de Barjolsa.

– Nie żyje – odparł sekundant.

– Czy postąpiłem jak człowiek honorowy? – spytał go Roland, ocierając chustką pot, który zalał mu nagle twarz.

– Najzupełniej – odparł pan de Valensolle – tylko pozwoli pan, że powiem: ma pan nieszczęśliwą rękę.

I ukłoniwszy się z wyszukaną grzecznością Rolandowi i jego sekundantowi, powrócił do zwłok przyjaciela.

– A ty, milordzie, co powiesz? – spytał Roland.

– Powiem – odparł sir John jakby z przymusowym podziwem – że pan jest jednym z ludzi, którym boski Szekspir każe mówić o sobie: „Niebezpieczeństwo i ja to dwa lwy, jednego dnia urodzone; ale ja jestem starszy”.

# Roland

Powrót był milczący i smutny; rzec by można, iż wobec utraty możliwości śmierci minął pogodny nastrój Rolanda.

Katastrofa, której był sprawcą, mogła odgrywać pewną rolę w tym smutku. Jednak trzeba dodać, że Roland na polu bitwy, zwłaszcza podczas ostatniej wyprawy przeciw Arabom, zbyt często przeskakiwał konno przez wrogów, których położył trupem, by wrażenie, jakie wywarła na nim śmierć nieznajomego, mogło być takie silne.

Inna tedy musiała być przyczyna tego smutku; oczywiście ta, o której młodzieniec mówił sir Johnowi. Nie był to zatem żal z powodu śmierci cudzej, lecz rozczarowanie, że nie nastąpiła śmierć własna.

Powróciwszy do hotelu Palais-Royal, sir John zaniósł do swego pokoju pistolety, których widok mógłby w duszy Rolanda obudzić coś podobnego do wyrzutów sumienia, następnie powrócił do młodego oficera, by mu oddać trzy listy, które od niego otrzymał.

Zastał go zadumanego, siedzącego z łokciami opartymi na stole.

Nie mówiąc słowa, Anglik położył trzy listy przed Rolandem.

Młodzieniec rzucił okiem na adresy, wziął list przeznaczony dla matki, odpieczętował go i zaczął czytać.

A w miarę jak czytał, wielkie łzy spływały po jego policzkach.

Sir John patrzył ze zdumieniem na tę nową postać, pod jaką ukazywał mu się Roland.

Nie przypuszczałby nigdy, że ta natura, taka różnorodna, jest zdolna do wylewania łez.

Po chwili Roland, potrząsając głową i nie zwracając najmniejszej uwagi na obecność sir Johna, szepnął:

– Biedna matka! Byłaby bardzo płakała; może to i lepiej, że tak się stało; matki nie są stworzone po to, żeby opłakiwać swoje dzieci!

Odruchowo rozdarł list napisany do matki i drugi, napisany do siostry, i ten, który napisał do generała Bonaparte.

Po czym spalił starannie wszystkie szczątki listów. Następnie zadzwonił po pokojówkę.

– Do której godziny przyjmują listy na poczcie? – zapytał.

– Do pół do siódmej – odparła pokojówka. – Ma pan jeszcze tylko kilka minut czasu.

– To proszę zaczekać.

Wziął pióro i napisał:

„Drogi Generale,

Stało się, jak powiedziałem: ja żyję a on zabity. Przyzna Pan, że dzieje się, jakby o zakład. Oddany do śmierci

Wierny rycerz
Roland”

Zapieczętował list, zaadresował: Wielmożny Generał Bonaparte, ulica de la Victoire w Paryżu i wręczył go pokojówce, zalecając, żeby bez straty sekundy czasu podążyła z nim na pocztę.

Wtedy dopiero Roland zauważył sir Johna i wyciągnął doń rękę.

– Wyświadczyłeś mi wielką przysługę, milordzie – rzekł –jedną z tych, które wiążą dwóch mężczyzn na wieczność. Ja już jestem pańskim przyjacielem, a czy pan zechce zaszczycić mnie swoją przyjaźnią?

Sir John uścisnął dłoń Rolanda.

– Ooo! – rzekł. – Dziękuję bardzo. Nie śmiałbym żądać od pana tego zaszczytu; ale pan mi go ofiarował... przyjmuję.

Teraz niewzruszony Anglik z kolei poczuł, że serce wzbiera mu tkliwością i otrząsnął łzę, która drgała mu na rzęsach.

– Nieszczęśliwie się składa – rzekł, spoglądając na Rolanda – że panu tak pilno odjechać; byłbym niesłychanie zadowolony, gdybym mógł spędzić z panem jeszcze dzień lub dwa.

– Dokąd jechałeś, milordzie, gdyśmy się spotkali?

Ja? Nigdzie, podróżowałem, żeby przepędzić nudę. Mam nieszczęście nudzić się często.

– A zatem nie jechał pan nigdzie?

– Jechałem wszędzie.

– Co znaczy najzupełniej to samo – odparł młody oficer z uśmiechem. – Czy zechce pan coś uczynić?

– Ooo! Bardzo chętnie, jeśli to możliwe.

– Najzupełniej możliwe, zależy tylko od pana.

– Niech pan powie.

– Gdybym został zabity, odwiózłby mnie pan do matki, czy wrzucił do Rodanu?

– Byłbym pana, zmarłego, odwiózł do matki.

– Zamiast więc odwieźć mnie umarłego, niech mnie pan odwiezie żywego; spotka pan stokroć lepsze przyjęcie.

– Ooo!

– Pozostaniemy przez dwa tygodnie w Bourgu. To moje miasto rodzinne, jedno z najnudniejszych we Francji, ale ponieważ pańscy rodacy słyną z oryginalności, zdarzyć się przeto może, iż pan będzie się bawił tam, gdzie inni się nudzą. A więc rzecz ułożona?

– Rad bym bardzo – odparł Anglik – ale zdaje mi się, że to byłoby nie bardzo przyzwoicie z mojej strony.

– Przecież nie jesteśmy w Anglii, milordzie, gdzie etykieta jest wszechwładną panią. My nie mamy już ani króla, ani królowej i nie po to ucięliśmy głowę tej biednej istocie, którą nazywano Marią Antoniną, żeby jej miejsce zajęła Jej Królewska Mość Etykieta.

– Mam wielką ochotę – rzekł sir John.

– Zobaczy pan, moja matka jest idealnie dobra a nadto bardzo dystyngowana. Moja siostra miała lat szesnaście, gdy wyjeżdżałem, teraz ma zatem osiemnaście; była ładna, powinna być piękna. A mój brat, Edward, bardzo miły dwunastoletni chłopiec, będzie panu płatał figle i mówił z panem po angielsku. Po dwóch tygodniach pojedziemy do Paryża.

– Ja wracam z Paryża – odrzekł Anglik.

– Zaraz. Chciał pan jechać do Egiptu, żeby zobaczyć generała Bonaparte, stąd do Paryża nie jest przecież tak daleko, jak stąd do Kairu. Przedstawię pana generałowi; i niech pan będzie spokojny, gdy ja pana przedstawię, będzie pan dobrze przyjęty. Wszak pan mówił przed chwilą o Szekspirze?

– Tak, mówię o nim zawsze.

– Dowodzi to, że pan lubi komedie, dramaty.

– Lubię bardzo, prawda.

– Otóż generał Bonaparte zamierza wystawić dramat według swojego pomysłu, który będzie bardzo zajmujący, ręczę panu.

– A zatem – rzekł sir John, wahając się jeszcze – mogę, nie będąc niedyskretny, przyjąć pańską propozycję?

– Ależ naturalnie i sprawi pan przyjemność wszystkim, zwłaszcza zaś mnie.

– Przyjmuję tedy.

– Brawo! Kiedy zatem chce pan wyjechać?

– Decyzja należy do pana. Moja kolasa była zaprzężona, gdy rzucił pan talerz w głowę nieszczęsnego Barjolsa; ale, ponieważ, gdyby nie ten talerz, nie poznałbym pana nigdy, przeto zadowolny jestem, że pan go w de Barjolsa rzucił; tak, bardzo zadowolony.

– Czy chce pan, żebyśmy wyjechali dzisiaj wieczorem?

– Ależ tak. Idę powiedzieć pocztylionowi, żeby posłał jednego ze swych kolegów po świeże konie, a gdy powróci, ruszymy w drogę.

Roland skinął głową na znak zgody.

Sir John wyszedł, by wydać rozkazy, a wróciwszy oznajmił, że kazał podać dwa kotlety i trochę drobiu na zimno.

Roland wziął walizkę i zszedł.

Anglik schował pistolety do kufra pojazdu.

Obaj pożywili się, by móc jechać całą noc bez zatrzymywania się, a gdy biła dziewiąta na kościele Franciszkanów, usadowili się wygodnie w powozie i opuścili Awinion.

W kwadrans później obaj spali, a przynajmniej milczenie, w jakim byli pogrążeni, kazało wnosić, że ogarnął ich sen.

Skorzystamy z tej chwili wypoczynku, by dać czytelnikom kilka niezbędnych objaśnień o Rolandzie i jego rodzinie.

Roland urodził się l lipca 1773 r., w cztery lata i kilka dni po Bonapartem. Był synem pana Karola de Montrevela, pułkownika, który długo pełnił służbę na Martynice, na której poślubił kredkę, Klotyldę de la Clémènciere.

Z tego małżeństwa urodziło się troje dzieci, dwaj chłopcy i córka; Ludwik, którego poznaliśmy pod imieniem Rolanda, Amelia, której urodę sławił jej brat sir Johnowi i Edward.

Wezwany z powrotem do Francji około 1789 r. pan de Montrevel, uzyskawszy pozwolenie, umieścił młodego Ludwika de Montrevela (zobaczymy później, dlaczego zmienił imię Ludwik na Roland) w szkole wojskowej w Paryżu. Tam to Bonaparte poznał chłopca, gdy w wyniku raportu pana de Keralio, uznano, iż zasługuje na przejście ze szkoły w Brienne do szkoły wojskowej.

Ludwik był najmłodszym z uczniów.

Mimo, że miał dopiero trzynaście lat, zwracał uwagę nieokiełznanym i zawadiackim charakterem, którego próbkę dał w siedemnaście lat później przy stole hotelowym w Awinionie.

Bonaparte, również dziecko jeszcze, posiadał dobre strony tego charakteru, a więc nie będąc kłótliwym, był despotyczny, uparty, niepodległy; poznał w dziecku niektóre własne zalety a ta równość uczuć sprawiła, że przebaczył mu jego błędy i przywiązał się do niego.

Dziecko ze swej strony, czując podporę w młodym Korsykaninie, oparło się na nim.

Pewnego dnia dziecko przyszło do swego dużego przyjaciela – tak bowiem nazywało Napoleona – w chwili, gdy ten był zajęty rozwiązywaniem zadania matematycznego.

Chłopiec wiedział, jaką wagę przyszły oficer artylerii przywiązywał do tej nauki, której zawdzięczał dotąd największe, a raczej jedyne swoje triumfy.

Stał tedy przy nim, nie mówiąc, nie ruszając się.

Młody matematyk odgadł obecność dziecka i zatopił się jeszcze głębiej w dedukcjach matematycznych tak, że po dziesięciu minutach wywiązał się nareszcie z zadania z honorem.

Wówczas zwrócił się do młodego kolegi z satysfakcją człowieka, który wychodzi zwycięsko z walki stoczonej bądź przeciw nauce, bądź przeciw materii.

Dziecko stało blade, z zaciśniętymi zębami, sztywno opuszczonymi rękoma i zamkniętymi pięściami.

– Oho! – rzekł młody Bonaparte. – Co się stało?

– Stało się, że Valence, bratanek gubernatora, dał mi w twarz.

– Patrzcie! – odparł Bonaparte ze śmiechem. – A ty przychodzisz po mnie, żebym mu ten policzek oddał?

Dziecko potrząsnęło głową.

– Nie – rzekło – przychodzę po ciebie, bo chcę się bić.

– Z Valencem?

– Tak.

– Ależ to Valence ciebie zbije, moje dziecko; jest cztery razy silniejszy od ciebie.

– Toteż ja nie chcę bić się z nim, jak się biją dzieci, tylko jak się biją mężczyźni.

– Ba!

– To cię dziwi? – spytało dziecko.

– Nie – odparł Bonaparte.

– I na co chcesz się bić?

– Na szpady.

– Ależ tylko sierżanci mają szpady, a oni nam ich nie pożyczą.

– Obejdziemy się bez szpad.

– Czymże będziecie się bili?

Dziecko wskazało młodemu matematykowi cyrkiel, którym przed chwilą jeszcze robił swoje równania.

– Moje dziecko – rzekł Bonaparte – rana zadana cyrklem jest niebezpieczna.

– Tym lepiej – odparł Ludwik – ja go zabiję.

– A jeśli on zabije ciebie?

– Wolę śmierć, niż życie z tym niezmazanym policzkiem.

Bonaparte nie nalegał więcej; lubił odwagę instynktownie; odwaga młodego kolegi spodobała mu się.

– Niech i tak będzie! – rzekł. – Pójdę powiedzieć Valence'owi, że chcesz się z nim bić, ale jutro.

– Dlaczego jutro?

– Zastanowisz się przez noc.

– I do jutra Valence będzie mnie uważał za podłego!

Potrząsając głową, dodał:

– To za długo do jutra.

I zwrócił się ku drzwiom.

– Dokąd idziesz? – spytał Bonaparte.

– Pójdę zapytać innego kolegi, czy zechce być moim przyjacielem.

– A więc ja już nim nie jestem?

– Nie jesteś, skoro uważasz mnie za podłego.

– Dobrze więc – rzekł Bonaparte, wstając.

– Idziesz?
– Idę.
– Zaraz?
– Zaraz.
– Przepraszam cię! – zawołało dziecko. – Nie przestałeś być moim przyjacielem.
I chłopiec rzucił mu się na szyję, płacząc.
Były to pierwsze łzy od chwili otrzymania policzka.
Bonaparte udał się do Valence'a i wyjaśnił mu poważnie misję, jaką został obarczony.
Valence był wysokim, siedemnastoletnim chłopcem, mającym już brodę i wąsy. Wyglądał na lat dwadzieścia.
Nadto był o głowę wyższy od dziecka.
Valence odparł, że Ludwik pociągnął go za harcap, jak za sznur do dzwonka – noszono wówczas harcapy – że uprzedzał dwukrotnie, aby tego nie robił, ale Ludwik nie usłuchał. Pociągnął po raz trzeci i wtedy, widząc w nim tylko urwisa, obszedł się z nim, jak z urwisem.
Bonaparte zakomunikował odpowiedź Valence'a Ludwikowi, który odparł, że pociągnąć kolegę za harcap to figiel, zaś uderzyć kogoś w twarz to obelga.
Upór wytwarzał w trzynastoletnim dziecku logikę trzydziestoletniego mężczyzny.
Nowoczesny Popiliusz powrócił z wyzwaniem do Valence'a.
Młodzieniec był bardzo zakłopotany; nie mógł, nie chcąc się ośmieszyć, bić się z dzieckiem; jeśli się będzie bił i zrani chłopca, popełni czyn ohydny; jeśli zaś zostanie zraniony, nie pocieszy się nigdy w życiu.
Wszelako, na skutek uporu Ludwika, który nie chciał ustąpić pod żadnym pozorem, sprawa stawała się poważna.
Zwołano radę starszych, jak zwykło się czynić w doniosłych okolicznościach.
Rada starszych orzekła, że żaden z nich nie może się bić z dzieckiem; ale skoro to dziecko upiera się, żeby je uważano za młodzieńca, Valence powie mu wobec wszystkich kolegów, że przykro mu, iż się uniósł i potraktował go jak dziecko i że odtąd uważać go będzie za młodzieńca.
Posłano po Ludwika, który czekał w pokoju przyjaciela; wprowadzono go między starszych kolegów, którzy stali kołem na dziedzińcu.
Valence, któremu koledzy po długiej naradzie między sobą, mającej na celu uratowanie honoru dużych wobec małych, podyktowali rodzaj przemowy, oświadczył Ludwikowi, że jest zrozpaczony, tym, co się stało, że obszedł się z nim stosownie do jego wieku a nie według jego inteligencji i odwagi, że go prosi, by chciał mu wybaczyć to uniesienie i podał mu rękę na znak, że puścił wszystko w niepamięć.
Ale Ludwik potrząsnął głową.
– Słyszałem – odparł – jak mój ojciec, który jest pułkownikiem, mówił pewnego razu, że kto dostaje policzek i nie pojedynkuje się, jest podły. Jak tylko zobaczę się z ojcem, zapytam go, czy ten, kto wymierza policzek i przeprasza, nie chcąc się pojedynkować, nie jest podlejszy od tego, który policzek otrzymał.
Młodzieńcy spojrzeli po sobie, ale opinia powszechna była przeciw pojedynkowi, który byłby podobny do zabójstwa i młodzieńcy jednogłośnie, nie wyłączając Bonapartego, zapewnili dziecko, że powinno zadowolić się tym, co powiedział Valence, albowiem stanowiło to wyraz opinii powszechnej.
Ludwik odszedł blady z gniewu i nadąsany na swego dużego przyjaciela który – jak mu oświadczył z niezmąconą powagą – zlekceważył sprawę jego honoru.
Nazajutrz, podczas lekcji matematyki w klasie dużych, Ludwik wsunął się cichaczem gdy Valence rozwiązywał zadanie na tablicy, zbliżył się doń niepostrzeżenie, wszedł na stołek, by dosięgnąć do jego twarzy i oddał mu policzek, który otrzymał dnia poprzedniego.

– Masz – rzekł – teraz skwitowaliśmy się, a ja mam nadto twoje przeprosiny; bo ja cię przepraszać nie będę, możesz być spokojny.

Skandal był niesłychany; stało się to w obecności profesora, który musiał złożyć raport gubernatorowi szkoły, margrabiemu Tyburcjuszowi Valence'owi.

– Ten zaś, który nie znał faktów poprzedzających policzek, jaki otrzymał jego bratanek, kazał sprowadzić delikwenta i wypaliwszy mu surową naganę oznajmił, że nie jest już uczniem szkoły i że tego samego dnia jeszcze ma się przygotować do powrotu do Bourgu, do matki.

Ludwik odpowiedział, że za dziesięć minut spakuje rzeczy a za kwadrans nie będzie go już w szkole.

O policzku, jaki sam otrzymał, nie wspomniał słowa.

Odpowiedź wydała się margrabiemu Tyburcjuszowi Valence'owi więcej niż nieprzystojna. Miał wielką ochotę skazać zuchwalca na tydzień kozy, ale nie mógł jednocześnie wsadzić go do kozy i wyrzucić ze szkoły.

Dano dziecku dozorcę, który miał mu towarzyszyć do poczty, jadącej do Mâcon; panią de Montrevel zaś miano uprzedzić żeby oczekiwała syna, gdy wysiądzie z karety pocztowej.

Bonaparte spotkawszy chłopca w towarzystwie dozorcy zapytał go, co ma znaczyć ta straż obok jego osoby.

– Odpowiedziałbym panu, gdyby pan był jeszcze moim przyjacielem – odparło dziecko – ale pan już nim nie jest; dlaczego więc niepokoi się pan tym, co mnie spotyka dobrego lub złego?

Bonaparte skinął na dozorcę, który wyszedł przed drzwi, gdy Ludwik pakował rzeczy.

I Bonaparte dowiedział się, że dziecko wydalono ze szkoły.

Kara była poważna, przyprawiłaby o rozpacz całą rodzinę i mogła zniweczyć przyszłość młodszego kolegi.

Bonaparte szybko (energia była jedną z jego cech charakterystycznych) postanowił zażądać posłuchania u gubernatora, zaleciwszy dozorcy, żeby nie naglił Ludwika do odjazdu.

Bonaparte był uczniem doskonałym, bardzo lubianym w szkole i bardzo cenionym przez margrabiego Tyburcjusza Valence'a, który wysłuchał jego prośby.

Wprowadzony do gubernatora, opowiedział mu wszystko i, nie oskarżając bynajmniej Valence'a, usiłował uniewinnić Ludwika.

– Czy to, co pan mi tu opowiada, jest istotnie prawdą? – zapytał gubernator.

– Niech pan zechce sam zapytać bratanka.

Posłano po Valence'a. Dowiedział się już o wydaleniu Ludwika i zamierzał sam udać się do stryja, by mu opowiedzieć, co zaszło.

Opowieść jego zgadzała się najzupełniej z tym, co powiedział Bonaparte.

Dobrze – rzekł gubernator – nie Ludwik odjedzie, tylko ty; jesteś już w takim wieku, że możesz opuścić szkołę.

Po czym zadzwonił.

– Niech mi dadzą spis wakujących stanowisk podporuczników – rzekł do ordynansa.

Tego samego dnia została wysłana do ministra nagląca prośba o stanowisko podporucznika dla młodego Valence'a.

Wieczorem Valence wyjeżdżał do swojego pułku.

Poszedł pożegnać Ludwika, którego pocałował na wpół dobrowolnie, na poły z przymusem, gdy Bonaparte trzymał mu ręce.

Dziecko przyjęło uścisk z niechęcią.

– To dobre na teraz – rzekło – ale jeśli spotkamy się kiedykolwiek i będziemy mieli obaj szpadę u boku...

Ruch groźby zakończył zdanie.

Valence odjechał.

10 października 1785 r. Bonaparte sam otrzymał nominację na podporucznika: była to jedna z pięćdziesięciu ośmiu nominacji, jakie Ludwik XVI podpisał dla szkoły wojskowej.

W jedenaście lat później, 15 listopada 1796 r. Bonaparte, głównodowodzący armią włoską, u wejścia na most d'Arcole, którego broniły dwa pułki kroackie i dwie armaty, widząc, jak pociski i kule dziesiątkują jego szeregi, czując, że zwycięstwo wymyka mu się z rąk, przerażony wahaniem najodważniejszych, wyrwał ze zdrętwiałych palców trupa sztandar trójkolorowy i rzucił się na most, z okrzykiem: „Żołnierze! Nie jesteście już bojownikami z Lodi?" Nagle spostrzegł, że wyprzedza go młody porucznik, który go osłania własnym ciałem.

Nie tego bynajmniej chciał Bonaparte; pragnął, gdyby to było możliwe, przejść sam.

Pochwycił młodzieńca za połę munduru i, ciągnąc go w tył, rzekł:

– Obywatelu, jesteś tylko porucznikiem, a ja generałem głównodowodzącym, mnie należy się pierwszeństwo.

– I słusznie – odparł porucznik.

I poszedł za Bonapartem, zamiast go wyprzedzać.

Wieczorem, dowiadując się, że dwie dywizje austriackie zostały zupełnie rozbite, widząc dwa tysiące jeńców, których wziął do niewoli, licząc zabrane armaty i sztandary, Bonaparte przypomniał sobie młodego porucznika, którego ujrzał przed sobą w chwili, gdy mniemał, że wyprzedza go tylko śmierć.

– Berthier – rzekł – wydaj rozkaz adiutantowi Valence'owi, żeby mi poszukał młodego porucznika grenadierów, z którym miałem zajście dzisiaj rano na moście d'Arcole.

– Generale – odparł Berthier z wahaniem – Valence jest ranny.

– Istotnie, nie widziałem go dzisiaj. Ranny, gdzie? W jaki sposób? Na polu bitwy?

– Nie, generale; pokłócił się wczoraj i otrzymał cios szpadą, która mu przeszyła pierś.

Bonaparte zmarszczył brwi.

– Przecież wiedzą w moim otoczeniu, że nie lubię pojedynków; krew żołnierza nie należy do niego, jest własnością Francji. Wydaj zatem rozkaz Muironowi.

– Zabity, generale.

– W takim razie Elliotowi.

– I on zabity.

Bonaparte wydobył z kieszeni chustkę i otarł nią zroszone potem czoło.

– A więc komu zechcesz, ale muszę widzieć tego porucznika.

Nie śmiał już wymieniać nikogo w obawie, że usłyszy fatalne słowo: „Zabity".

W kwadrans później wprowadzono młodego porucznika do namiotu. Lampa rzucała słaby blask.

– Zbliż się, poruczniku – rzekł Bonaparte.

Młodzieniec postąpił parę kroków naprzód i wszedł w krąg światła.

– A więc to ty – ciągnął dalej Bonaparte – chciałeś dzisiaj rano mnie wyprzedzić?

– Chodziło o zakład, generale – odparł wesoło młody porucznik; generał drgnął na dźwięk jego głosu.

– I przeze mnie przegrałeś?

– Może tak, może nie.

– O co się założyłeś?

– Że zostanę dzisiaj mianowany kapitanem.

– Wygrałeś.

– Dziękuję, generale.

I młodzieniec rzucił się naprzód, jak gdyby chciał uścisnąć dłoń Bonapartego, lecz wnet się cofnął.

Blask przez sekundę oświetlił jego postać; ta sekunda wystarczyła, by generał zauważył twarz, tak jak usłyszał głos.

Szukał przez chwilę w pamięci, ale pamięć mu nie dopisywała.

– Ja cię znam – rzekł.

– To możliwe, generale.

– To nawet pewne; tylko nie mogę sobie przypomnieć twojego nazwiska.

– A pan, panie generale, postarał się, żeby pańskiego nazwiska nie zapomniano.

– Kim jesteś?

– Spytaj, generale, Valence'a.

Bonaparte wydał okrzyk radości.

– Ludwik de Montrevel – rzekł.

I otworzył ramiona.

Tym razem młody porucznik rzucił się mu w objęcia bez żadnych trudności.

– To dobrze – rzekł Bonaparte – przez tydzień pełnić będziesz służbę w nowym stopniu, żeby się przyzwyczajono widzieć na tobie epolety kapitańskie, a potem zastąpisz mego wiernego Muirona, jako adiutant. Idź teraz.

– Jeszcze raz – rzekł młodzieniec z takim ruchem, jak gdyby chciał otworzyć ramiona.

– Na honor! Tak! – zawołał Bonaparte z radością.

I zatrzymując go przy sobie po powtórnym uścisku, zapytał:

– Słuchaj, to ty poczęstowałeś szpadą Valence'a?

– Trudno, generale – odparł świeży kapitan i przyszły adiutant – byłeś przy tym, jak mu to przyrzekłem; żołnierz ma tylko swoje słowo.

W tydzień później kapitan Montrevel sprawował służbę oficera ordynansowego przy głównodowodzącym, który zamienił jego imię Ludwik, niedobrze brzmiące w owej epoce, na pseudonim Roland.

I młodzieniec zostając bratankiem Karola Wielkiego pocieszył się, że nie pochodzi już od świętego Ludwika.

Roland – nikt nie odważył się nazwać go odtąd Ludwikiem – odbył wraz z generałem głównodowodzącym wyprawę włoską i powrócił z nim do Paryża, po zawarciu pokoju w Campo Formio.

Skoro została postanowiona wyprawa do Egiptu, Roland – który na skutek zgonu generała brygady de Montrevela, zabitego nad Renem, gdy jego syn walczył nad Adygą i nad Mincio, powrócił do matki – był jednym z pierwszych wyznaczonych przez generała głównodowodzącego do uczestniczenia w niepotrzebnej lecz poetycznej krucjacie, jaką Bonaparte przedsięwziął.

Pozostawił matkę, siostrę Amelię i młodego brata Edwarda w Bourgu, mieście rodzinnym generała de Montrevela; mieszkali trzy czwarte mili za miastem, w Noires-Fontaines, w ślicznym domu, któremu nadano miano zamku i który wraz z folwarkiem i kilkuset morgami gruntu, położonymi w okolicach, stanowił cały majątek generała, przynoszący sześć do ośmiu tysięcy liwrów rocznej renty.

Wyjazd Rolanda na tę awanturniczą wyprawę był ciężkim ciosem dla serca biednej wdowy; śmierć męża stanowiła jakby przepowiednię śmierci syna, a pani de Montrevel, kreolka łagodna i tkliwa, daleka była od posiadania surowych cnót matki spartańskiej.

Bonaparte, który z całego serca kochał dawnego kolegę ze szkoły wojskowej, pozwolił mu przybyć w ostatniej chwili do Tulonu.

Wszelako obawa spóźnienia się sprawiła, że Roland nie skorzystał z tego pozwolenia w pełnej mierze. Opuścił matkę, przyrzekając jej to, czego nie miał bynajmniej zamiaru dotrzymać; że nie będzie się narażał, chyba w wypadkach nieodzownej konieczności. Przybył do Marsylii na tydzień przed odpłynięciem floty.

Nie mamy zamiaru opisywać wyprawy do Egiptu, podobnie jak nie opisywaliśmy wyprawy do Włoch. Powiemy tylko to, co będzie niezbędne dla zrozumienia niniejszej opowieści i dla rozwoju charakteru Rolanda.

19 maja 1798 r. Bonaparte i cały jego sztab główny odpływali na Wschód; 15 czerwca kawalerowie maltańscy wręczyli mu klucze od cytadeli; 2 lipca armia wylądowała w Marabucie; tego samego dnia wzięli Aleksandrię; 25 Bonaparte wkroczył do Kairu, pobiwszy mameluków pod Szebreisem i pod Piramidami.

Podczas tego szeregu marszów i bitew Roland był takim, jakim go poznaliśmy – oficerem wesołym, odważnym, inteligentym, znoszącym doskonale upał dzienny i lodowatą rosę nocy, rzucający się, jak bohater albo jak wariat, między szable tureckie lub kule Beduinów.

Nadto zaś w ciągu czterdziestu dni pochodu nie opuścił tłumacza Ventury; tak że przy wrodzonych zdolnościach doszedł do tego, iż mógł się porozumieć w języku arabskim.

Toteż zdarzało się często, że gdy generał głównodowodzący nie chciał się uciekać do pomocy tłumacza przysięgłego, obarczał Rolanda różnymi poleceniami do muftich, ulemów i szejków.

W nocy z 20 na 21 października Kair się zbuntował; o godzinie piątej rano nadeszła wiadomość o śmierci generała Dupuy'a, który poległ, przebity dzidą; o godzinie ósmej rano, w chwili, gdy mniemano, że rokosz jest uśmierzony, nadbiegł adiutant zmarłego generała, oznajmiając, że okoliczni Beduini zagrażają Babel-Nasrowi, czyli bramie Zwycięstwa.

Bonaparte jadł śniadanie ze swoim adiutantem Sułkowskim, który z trudnością wstawał z łoża, ciężko ranny pod Salahieh. Na wieść o zagrożeniu generał zapomniał o stanie, w jakim znajdował się młody Polak.

– Sułkowski – rzekł – weź piętnastu przewodników i idź zobacz, czego od nas chce ta hołota.

Sułkowski podniósł się.

– Generale – rzekł Roland – powierz mnie tę misję; wszak widzisz, generale, że mój kolega może zaledwie ustać na nogach.

– Prawda – odparł Bonaparte. – Idź zatem.

Roland wyszedł, wziął piętnastu przewodników i ruszył w drogę.

Ale rozkaz został wydany Sułkowskiemu i Sułkowski postanowił go wykonać.

Wyruszył tedy również z pięcioma czy sześcioma ludźmi, których zastał gotowych.

Czy to wskutek przypadku, czy też znał lepiej od Rolanda ulice Kairu, dość, że przybył przed nim do bramy Zwycięstwa.

Przybywając jako drugi, Roland ujrzał oficera uprowadzanego przez Arabów. Jego ludzie już nie żyli.

Niekiedy Arabowie, którzy mordowali bezlitośnie żołnierzy, oszczędzali oficerów w nadziei okupu.

Roland rozpoznał Sułkowskiego; wskazał go końcem szabli swoim piętnastu ludziom i ruszył galopem.

W pół godziny później jeden z przewodników powrócił sam do kwatery głównej, oznajmiając śmierć Sułkowskiego, Rolanda i. jego dwudziestu jeden towarzyszy.

Bonaparte, który kochał Rolanda jak brata, jak syna, jak kochał Eugeniusza, chciał znać wszystkie szczegóły katastrofy i zaczął wypytywać przewodnika.

Przewodnik widział, jak Arab ścinał głowę Sułkowskiemu i przywiązywał ją do siodła.

Co do Rolanda zaś, to koń jego został zabity. On sam wyswobodził się ze strzemion i przez chwilę walczył stojąc, ale niebawem znikł wśród strzelaniny.

Bonaparte westchnął, łza zakręciła mu się w oku, szepnął: „Jeszcze jeden!” i zdawało się, że więcej o tym nie myśli. Zapytał tylko, do jakiego szczepu należeli Beduini, którzy zabili mu dwóch ulubionych żołnierzy.

Dowiedział się, że pochodzili ze szczepu Arabów nie podbitych jeszcze, których wioska była oddalona mniej więcej o dziesięć mil.

Bonaparte pozostawił im miesiąc, by uwierzyli w swoją bezkarność; po czym rozkazał jednemu ze swoich adiutantów, nazwiskiem Croisier, by osaczył wioskę, zburzył chaty, kazał

pościnać głowy mężczyznom, włożyć je w worki a resztę ludności, to jest kobiety i dzieci, przyprowadzić do Kairu.

Croisier wykonał rozkaz ściśle; przyprowadzono do Kairu wszystkie kobiety i dzieci, jakie zdołano zabrać, a między nimi jednego żywego Araba, związanego i przymocowanego do konia.

– Dlaczego ten człowiek żyje? – zapytał Bonaparte. – Powiedziałem, Żeby uciąć głowę każdemu, kto może nosić broń.

– Generale – odparł Croisier, który również mówił trochę po arabsku – w chwili, gdy miałem kazać ściąć głowę temu człowiekowi, zrozumiałem, że ofiarowuje on w zamian za życie własne życie pewnego jeńca. Pomyślałem, że zawsze będziemy mieli jeszcze czas ściąć mu głowę i przyprowadziłem go. Jeśli się omyliłem, ceremonia odbędzie się tutaj; co zostało odroczone, nie jest stracone.

Przyprowadzono tłumacza Venturę i zaczęto badać Beduina. Beduin odpowiedział, że uratował życie pewnemu oficerowi, ciężko rannemu pod bramą Zwycięstwa; ten oficer, który mówił trochę po arabsku, mienił się adiutantem generała Bonaparte. Posłał go do brata, który uprawiał rzemiosło lekarza w sąsiednim szczepie, oficer był jeńcem tego szczepu i, jeśli mu darują życie, napisze do brata, żeby odesłał jeńca do Kairu.

Może to była bajka dla zyskania na czasie, a może prawda; czekanie nie mogło przynieść żadnej szkody.

Umieszczono Araba pod dobrą strażą, dano mu thaleba, który pisał pod jego dyktando, po czym Beduin zapieczętował list swoją pieczęcią i Arab wyruszył z Kairu celem przeprowadzenia układów.

W razie, gdyby pośrednik sprawę załatwił, Beduin miał przyrzeczone życie a pośrednik pięćset piastrów.

W trzy dni później pośrednik powrócił wraz z Rolandem.

Bonaparte spodziewał się tego powrotu, ale w niego nie wierzył.

To serce spiżowe, które wydawało się nieczułe na ból, roztkliwiło się pod wpływem radości. Bonaparte otworzył ramiona, jak w dniu, kiedy Rolanda odnalazł, i dwie łzy, dwie perły – łzy Bonapartego były rzadkie – spłynęły z jego oczu.

Roland zaś, rzecz osobliwa! Pozostał chmurny wśród radości, wywołanej jego powrotem, potwierdził opowiadanie Araba, swoje uwolnienie, ale odmówił wszelkich szczegółów co do sposobu, w jaki został wzięty do niewoli przez Beduinów i traktowany przez thaleba. Sułkowskiego ścięto na oczach Rolanda.

Gdy Roland powrócił do zwykłej służby, zauważono, że to, co było dotąd u niego odwagą, stało się zuchwalstwem; że to, co było potrzebą sławy, stało się jakby potrzebą śmierci.

Z drugiej strony, jak to się zdarza ludziom, którzy wyzywają żelazo i ogień, ogień i żelazo unikały go jakby cudem; przed Rolandem, za nim, obok niego ludzie padali – on pozostawał nietknięty i nietykalny, jak szatan wojny.

Podczas kampanii syryjskiej posłano dwóch parlamentariuszy do Dżezara paszy, by oddał Saint-Jean-d'Acre; nie powrócili: ścięto im głowy.

Trzeba było wysłać trzeciego; Roland zgłosił się, nalegał usilnie, żeby jemu powierzono tę misję, uzyskał wreszcie pozwolenie wyjazdu od generała głównodowodzącego i powrócił.

Uczestniczył we wszystkich dziewiętnastu atakach na fortecę; podczas każdego widziano go na wyłomie; był jednym z dziesięciu, którzy wtargnęli do Wieży Przeklętej; dziewięciu w niej pozostało, on jeden powrócił bez żadnego zadraśnięcia.

Podczas odwrotu Bonaparte rozkazał, aby wszyscy jeźdźcy, którzy pozostali w armii, oddali swoje konie rannym i chorym; nikt nie chciał dać konia swego zadżumionym, obawiając się zarazy.

Roland najchętniej właśnie dawał konie zadżumionym; trzech spadło z siodła na ziemię; on zaś wsiadł na konia po nich i przybył zdrów i nietknięty do Kairu.

W Abukirze rzucił się w największy tłum, dotarł do paszy, przełamawszy kordon czarnych, który go otaczał, przytrzymał go za brodę i otarł się o ogień z jego dwóch pistoletów. Kula z drugiego przeszła mu pod ramieniem i zabiła przewodnika.

Gdy Bonaparte postanowił wrócić do Francji, Roland był pierwszym, którego generał głównodowodzący o tym zawiadomił. Każdy inny byłby podskoczył z radości, on pozostał smutny i ponury, mówiąc:

– Wolałbym, żebyśmy pozostali tutaj, generale; mógłbym tu prędzej umrzeć, miałbym więcej sposobności.

Wszelako byłaby to niewdzięczność z jego strony, gdyby teraz opuścił generała Bonaparte; pojechał zatem.

Podczas całej podróży był ponury i milczący. Ósmego dnia wylądowano w Fréjus.

Każdy chciał pierwszy stanąć na ziemi francuskiej; Roland wylądował ostatni.

Zdawało się, że generał głównodowodzący nie zwraca uwagi na te wszystkie szczegóły, a jednak nie pominął ani jednego; odesłał Berthiera, Bourrienne'a, swoich adiutantów, swój orszak drogą przez Gap i Draguignan.

Sam incognito udał się drogą wiodącą do Aix, chcąc się przekonać naocznie o położeniu na Południu i zabrał z sobą tylko Rolanda.

W nadziei, że widok rodziny ożywi to serce, rozdarte ciosem nieznanym, Bonaparte po przybyciu do Aix oznajmił mu, że go pozostawi w Lugdunie i że daje mu trzytygodniowy urlop, tytułem gratyfikacji dla niego i niespodzianki dla matki i siostry.

Roland odpowiedział:

– Dziękuję, generale; siostra i matka ucieszą się bardzo, gdy mnie zobaczą.

Dawniej Roland odpowiedziałby: „Dziękuję, generale, cieszę się bardzo, że zobaczę matkę i siostrę”.

Byliśmy świadkami tego, co zaszło w Awinionie; widzieliśmy, z jaką głęboką pogardą niebezpieczeństwa, z jaką pełną goryczy odrazą życia Roland stanął do strasznego pojedynku. Słyszeliśmy, jaką przyczyną wytłumaczył sir Johnowi swoją obojętność wobec śmierci: była to przyczyna dobra czy zła, prawdziwa czy fałszywa? Sir John musiał się nią zadowolić; widocznie Roland nie był usposobiony do podania innej.

A teraz, jak powiedzieliśmy, obaj spali lub udawali, że śpią, zmorzeni galopem dwóch koni pocztowych po drodze z Awinionu do Orange.

# Morgan

Porzućmy na chwilę Rolanda i sir Johna, o których nie ma powodu się niepokoić, wobec ich siły fizycznej i moralnej, a zajmijmy się poważnie postacią, która zaledwie mignęła nam wśród tych wydarzeń, a która jednak odegra w nich wielką rolę.

Mówimy o człowieku, który wszedł uzbrojony w masce do jadalni oberży w Awinionie i oddał Janowi Picotowi kiesę z dwustoma ludwikami, skradzionymi mu przez pomyłkę w przypuszczeniu, że są to pieniądze rządowe.

Widzieliśmy, jak zuchwały bandyta, który się przezwał Morganem, przybył do Awinionu konno, zamaskowany w biały dzień. Wchodząc do oberży „Palais Egalité", zostawił konia pod bramą. Znalazł go, odwiązał, dosiadł i wyjechał przez bramę d'Oulle, po czym puściwszy się galopem wzdłuż murów miasta, zniknął na drodze do Lugdunu.

Ćwierć mili od Awinionu jeździec otulił się płaszczem, aby ukryć przed okiem przechodniów broń, zdjął maskę i wsunął do olster.

Ci, których pozostawił w Awinionie wysoce zaintrygowanych co do osobistości strasznego Morgana, owego „postrachu Południa", mogliby się snadnie przekonać, gdyby znaleźli się obecnie na drodze z Awinionu do Bédarrides, czy wygląd bandyty odpowiadał strasznej o nim opinii.

Musimy przyznać, że wygląd bandyty zupełnie nie odpowiadałby tym wyobrażeniom, które wytworzyli sobie o nim. Istotnie, zobaczyliby bez maski twarz młodzieńca zaledwie 24 – 25 lat, twarz, którą ze względu na regularność rysów i słodycz wyrazu można by wziąć za twarz kobiecą. Jeden rys tylko nadawał wyrazowi twarzy charakter dziwnej stanowczości, a mianowicie piękne blond włosy rozwiane nad czołem i koło skroni, jak to było wówczas w modzie, oraz czarne jak heban brwi, oczy i rzęsy. Poza tym jego twarz, jak powiedzieliśmy, miała wyraz prawie kobiecy.

Składały się na nią dwoje małych uszu, których koniuszki zaledwie było widać spod bujnych włosów, nos prosty, doskonale proporcjonalny, trochę za duże usta, lecz różowe i zawsze uśmiechnięte, przecudne zęby, delikatny podbródek, z lekka niebieskawy, wskazujący na to, że gdyby nie był tak starannie golony, jego broda byłaby tego samego koloru co brwi i rzęsy. Dość wysoki wzrost, proporcjonalna figura dowodziły jeśli nie ogromnej siły fizycznej, to w każdym razie wielkiej zwinności i ruchliwości. Ze sposobu siedzenia na koniu można było wnioskować, że był to jeździec wytrawny.

Odrzuciwszy płaszcz na ramiona i nasunąwszy kapelusz na oczy, jeździec popędził konia i przeleciał przez Bédarrides galopem, dopadł do pierwszego z brzegu domu w Orange i

wjechał w bramę, która natychmiast zamknęła się za nim. Czekał nań już jakiś człowiek, który przytrzymał konia. Jeździec zeskoczył na ziemię.

– Pan w domu? – zapytał służącego.

– Nie, panie baronie, musiał wyjechać dziś w nocy. Kazał mi powiedzieć, gdyby pan pytał, że wyjechał za interesami towarzystwa.

– Dobrze, Baptysto. Oddaję twemu panu konia zmęczonego, ale zdrowego. Dawaj mu przez kilka dni jęczmień zamiast owsa; zrobiliśmy od wczoraj rana około 40 mil.

– Czy pan baron jest z niego zadowolony?

– Bardzo. Czy karetka gotowa?

– Tak, panie baronie. Już zaprzężona stoi pod wozownią. Pocztylion pije z Julianem. Kazał przecież pan baron, aby usunąć go z domu pod jakim bądź pozorem.

– Czy będzie myślał, że wiezie twego pana?

– Tak, panie baronie. Oto paszport mego pana, z którym wynajęliśmy konie na poczcie. A ponieważ mój pan odjechał z paszportem pana barona w kierunku Bordeaux, a pan baron jedzie w kierunku Genewy z paszportem mego pana, sądzę zatem, że zmylimy trop i tak zaplączemy wszystkie nici, że pani policja, chociaż bardzo zręczna, nie rozplącze ich.

– Odczep tłumoczek od siodła i podaj mi go.

Baptysta usłuchał, lecz o mało nie upuścił tłumoczka na ziemię.

– O! – zawołał, śmiejąc się. – Pan baron nie uprzedził mnie! Tam, do diabła! Zdaje mi się, że pan baron nie zmarnował czasu.

– Otóż właśnie mylisz się, Baptysto. Straciłem dużo czasu i dlatego chciałbym zaraz wyjechać.

– Bez śniadania?

– Zjem cokolwiek, byle prędko.

– Nie spóźni się pan: druga po południu, a od dziesiątej rano czekam już ze śniadaniem; całe szczęście, że z zimnym.

Baptysta począł robić honory domu, wskazując gościowi drogę do jadalni.

– Nie trudź się; znam drogę. Zajmij się karetką; niech stoi pod podjazdem; drzwiczki niech będą otwarte, abym mógł wsiąść tak szybko, żeby mnie nie widział pocztylion. A oto zapłata za pierwszy dystans.

Mówiąc to nieznajomy, tytułowany baronem, wręczył Baptyście paczkę asygnat.

– Ależ, panie. Tymi pieniędzmi można by opłacić drogę aż do Lugdunu.

– Zapłać tylko do Valence, pod pozorem, że chcę spać. Resztę weź sobie za fatygę.

– Czy tłumoczek mam włożyć do kufra karetki?

– Nie, sam go włożę.

Biorąc walizkę z rąk służącego, jak gdyby nic nie ważyła, nieznajomy skierował się do jadalni; Baptysta zaś udał się do sąsiedniej oberży, porządkując asygnaty.

Droga do jadalni, jak zaznaczył nieznajomy, była mu dobrze znana. Poszedł korytarzem, otworzył bez wahania pierwsze drzwi, potem następne, za którymi dojrzał nakryty stół.

Kurczęta, dwie kuropatwy, zimna szynka, kilka gatunków serów i dwie butelki wina składały się na śniadanie, które, jak można było sądzić z jednego nakrycia miało zaspokoić głód jednej osoby, a mogło wystarczyć na trzech i czterech.

Wszedłszy do jadalni młody człowiek skierował się do lustra, zdjął kapelusz, przyczesał włosy małym grzebykiem; potem podszedł do małego basenu z fontanną, umoczył w wodzie serwetkę i umył ręce.

Dokonawszy toalety – staranność z jaką to robił wskazywała, że był człowiekiem przywykłym do elegancji – nieznajomy zasiadł do stołu.

W kilka minut zaspokoił głód, który ze względu na zmęczenie i młodość był dość dotkliwy. Gdy Baptysta przyszedł, żeby oznajmić, że karetka gotowa, nieznajomy był już gotów do drogi.

Nasunąwszy kapelusz na oczy i zasłoniwszy się szczelnie płaszczem nieznajomy, z walizką pod pachą, wskoczył do karetki tak szybko, że pocztylion nie zdążył go zobaczyć.

Baptysta zatrzasnął drzwiczki i zwracając się do woźnicy w długich butach rzekł:

– Zapłacone aż do Valence. Wszak tak?

– Wszystko. Czy mam dać pokwitowanie?

– Nie trzeba. Ale pan markiz de Ribier, mój pan, chce, aby go nie budzono aż do Valence.

– Dobrze – odparł pocztylion. – Nie będziem niepokoili obywatela markiza. Jazda!

I zaciął konie, trzaskając z bata z brawurą, która zdawała się mówić: „Ej tam, ostrożnie! Wiozę człowieka, który płaci suto i który ma prawo przejeżdżać innych".

Markiz de Ribier opuścił okno, zasunął firanki, podniósł siedzenie i ukrył pod nim swą walizkę, po czym siadł, otuliwszy się płaszczem, i zasnął z takim samym młodzieńczym rozmachem, z jakim zjadł śniadanie.

Drogę od Orange do Valence przejechali w osiem godzin; przed samą Valence nasz podróżny obudził się, podniósł ostrożnie firankę i poznał, że mijali małe miasteczko de la Paillasse. Była noc. Naciśnięty zegarek wydzwonił jedenastą.

Nie warto było już zasypiać. Obliczywszy opłatę za drogę do Lugdunu, podróżny przygotował odpowiednią sumę.

W Valence, gdy nowy pocztylion zbliżył się do kolegi, którego miał zastąpić, podróżny usłyszał, jak dotychczasowy pocztylion mówi do nowego:

– Zdaje się, że to jakiś z „tamtych". Lecz ponieważ płaci hojnie, trzeba go wieźć, jak patriotę.

– Dobrze – odpowiedział drugi – powieziemy go, jak się patrzy.

W tej chwili podróżny uznał za stosowne wtrącić się do rozmowy. Podniósł firankę i rzekł:

– I dobrze zrobisz. Patriota, u diabła! Szczycę się, że nim jestem i to pierwszego gatunku. A na dowód masz – wypij za zdrowie Rzeczypospolitej!

To mówiąc, dał asygnatę stufrankową pocztylionowi, który go polecał swemu koledze. A widząc, że drugi patrzy na papierek pożądliwie, rzekł:

– A to taki sam dla ciebie, tylko poleć mnie tak samo swemu następcy.

– Och! Bądźcie spokojni, obywatelu. Od Valence do Lugdunu będziecie jechali co koń wyskoczy!

– A oto z góry zapłata za szesnaście przejazdów i dwadzieścia sous dla konduktora. Podzielcie się.

Pocztylion wskoczył na konia i pomknęli galopem.

Do Lugdunu przyjechali koło czwartej po południu.

Gdy przeprzęgano konie, jakiś człowiek w ubiorze tragarza, z noszami na plecach, zbliżył się do karety i szepnął młodemu towarzyszowi Jehudy kilka słów, które, jak się zdawało, zdziwiły go bardzo.

– Czyś pewny? – zapytał tragarza.

– Przecież mówię ci, że go widziałem na własne oczy.

– Więc mogę zakomunikować to naszym przyjaciołom, jako rzecz pewną?

– Możesz! Ale śpiesz się!

– Czy rano dać znać do Servas?

– Tak. Znajdziesz gotowego konia pomiędzy Servas i Sue.

Pocztylion zbliżył się. Młody człowiek mrugnął do tragarza; ten szybko się oddalił.

– Dokąd jedziemy, obywatelu? – zapytał pocztylion.

– Do Bourgu. Muszę być w Servas o dziewiątej wieczorem. Płacę trzydzieści sous.

– Czternaście mil w pięć godzin. Trochę trudno. Ale zresztą można spróbować.

I pocztylion puścił konie galopem.

Gdy biła dziewiąta, wjeżdżali do Servas.

– Dostaniesz sześć liwrów, tylko nie przeprzęgaj i jedź na pół drogi do Sue! – zawołał przez drzwiczki młody człowiek.

– Dobrze – odparł pocztylion.

Kareta minęła pocztę. O ćwierć mili od Servas Morgan zatrzymał karetę, wysunął głowę przez drzwiczki, zwinął dłonie, zbliżył je do ust i wydał głos przeraźliwie miaucz̨ącego kota.

Naśladowanie było tak dobre, że z sąsiedniego lasu odpowiedział takim samym głosem kot.

– To tutaj – zawołał Morgan.

Pocztylion zatrzymał konie. Młody człowiek wyjął walizkę, otworzył drzwiczki, wysiadł i, zbliżywszy się do pocztyliona, rzekł:

– Oto obiecane sześć liwrów.

Pocztylion wziął monetę, włożył ją w oko, tak jak wkładają monokl eleganci naszych czasów.

Morgan domyślił się znaczenia tej pantomimy.

– Co to ma znaczyć?

– A to – odparł pocztylion – że jeszcze widzę na jedno oko.

– Rozumiem – zaśmiał się młodzieniec. – A jeśli zasłonię i drugie oko...

– No to nic nie będę widział.

– Ot, łajdak. Woli być ślepy, niż jednooki. Cóż robić? Co kto woli. Masz!

I dał mu jeszcze jedną sztukę.

Pocztylion wsadził ją w drugie oko, zawrócił konie i odjechał w kierunku Servas.

Towarzysz Jehudy poczekał, aż kareta zniknęła w ciemnościach, po czym zaświstał przeciągle.

Odpowiedział mu taki sam głos. W tejże chwili z lasu wysunął się jeździec, który podjechał galopem.

Na jego widok Morgan zakrył twarz maską.

– W czyim imieniu przychodzisz? – zapytał jeździec, którego twarz osłaniał szeroki kapelusz.

– W imieniu proroka Elizeusza – odparł zamaskowany młodzieniec.

– A więc na ciebie czekam – odparł ten i zsiadł z konia.

– Czyś prorok, czy uczeń? – zapytał Morgan.

– Jestem uczniem – odparł nowo przybyły.

– A gdzie twój mistrz?

– Znajdziesz go w klasztorze Kartuzów w Seillon.

– Czy wiesz, ilu naszych towarzyszy zebrało się tam dzisiaj?

– Dwunastu.

– Dobrze. Jeśli spotkasz innych, przyślij ich tam.

Ten, który nazwał się uczniem pokłonił się na znak posłuszeństwa, pomógł Morganowi przytroczyć walizkę do siodła i przytrzymał cugle konia.

Morgan, zanim włożył drugą nogę w strzemię, dał koniowi ostrogę i pomknął galopem.

Po prawej stronie drogi ciągnął się las Seillon, jak morze ciemności, na którym wiatr podnosił ciemne fale.

Ćwierć mili od Sue jeździec skręcił konia poprzez pola i zaczął się zbliżać do boru. Koń, prowadzony pewną ręką, zanurzył się bez wahania w gąszcz. Po dziesięciu minutach jeździec znalazł się na przeciwnym skraju lasu.

Sto kroków dalej wznosiła się budowla, samotna wśród polany.

Był to gmach solidny, zacieniony kilkoma wiekowymi drzewami.

Jeździec zatrzymał się przed wielkimi wrotami, nad którymi widniały trzy figury ustawione w trójkąt: N. Marii Panny, Jezusa i Jana Chrzciciela. Figura Matki Boskiej stała na najwyższym szczycie trójkąta.

Tajemniczy podróżny dotarł do kresu swej podróży – do klasztoru Kartuzów w Seillon.

Klasztor zbudowany został w 1178 r.

W 1672 r. na miejscu dawnego stanął gmach nowożytny. Do dziś widać jeszcze świetne ruiny tej budowli, a mianowicie fasadę z trzema figurami, przed którą stanął podróżny i małą kapliczką wewnątrz z wejściem na prawo od wielkich wrót.

W 1791 r. Kartuzi zostali wygnani z klasztoru. W 1792 r. klasztor z przyległościami wystawiono na sprzedaż, jako dobra kościelne. Przyległości te składały się najpierw z parku dotykającego budynków, a wreszcie z pięknego lasu, który do dziś nazywa się lasem Seillon.

Lecz w Bourgu, mieście katolickim i religijnym, nikt nie chciał gubić duszy przez kupno majątku, który należał do zacnych mnichów, powszechnie szanowanych. W rezultacie park i las, jako dobra państwowe, przeszły na własność Rzeczypospolitej, czyli innymi słowy, nie należały do nikogo, gdyż Rzeczpospolita od siedmiu lat miała inne sprawy do załatwienia niż odbudowanie murów, utrzymywanie ogrodu i wycinanie lasu.

Od siedmiu więc lat klasztor był zupełnie opuszczony. Gdy przypadkiem ktoś ciekawy zajrzał przez otwór od klucza, zobaczył podwórze porośnięte trawą, zupełnie tak jak porastał krzakami otaczający las, który poza dwiema drogami i kilku ścieżkami zdawał się nie do przebycia.

Niedaleko klasztoru, w lesie, stał jeszcze pawilon, zwany Correrie.

O obu budowlach opowiadano w okolicy dziwy. Mówiono, że w ruinach tych nocą bywają jacyś goście, których nie widywano za dnia. Węglarze i włościanie, którzy wybierali w lesie drzewo, twierdzili, że widywali przez szpary okiennic płomienie na schodach i korytarzach klasztoru i słyszeli dźwięki łańcuchów, wleczonych po kamiennej posadzce i po bruku podwórca. Niedowiarki zaprzeczali temu. Natomiast ludzie, którzy dawali opowiadaniom wiarę, dzielili się na dwie kategorie i odmiennie tłumaczyli przyczyny podejrzanych zjawisk. Patrioci twierdzili, że były to dusze biednych mnichów, których tyrania klasztorna pogrzebała żywcem i którzy wzywali pomsty niebios na swych prześladowców, włócząc za sobą łańcuchy, w których chodzili za życia. Rojaliści twierdzili, że harcuje tam diabeł we własnej osobie, który nie bojąc się kropidła i zacnych mnichów wyprawia brewerie tam, gdzie przedtem nie odważyłby się wsunąć koniuszka swych pazurów.

Lecz z jednego powodu te objaśnienia były wątpliwe, a mianowicie nikt z zaprzeczających ani z opowiadających o tych dziwach nie miał odwagi pójść, by w godzinie uroczystej przekonać się o prawdziwości opowiadań i orzec, czy klasztor pusty, albo też, jeśli był nawiedzany, to przez jakiego rodzaju gości.

Jednakże wszystkie opowieści uzasadnione czy też bezpodstawne nie obchodziły tajemniczego jeźdźca, gdyż, jak widzieliśmy, zatrzymał konia pod bramą klasztoru, chociaż dziewiąta wybiła w Bourgu. Jeździec, nie zsiadając z konia, wyjął pistolet z olster, zastukał trzykrotnie rękojeścią we wrota na wzór wolnych mularzy i słuchał...

Przez chwilę wątpił, czy w klasztorze odbywa się jakieś zebranie, albowiem pomimo wytężenia wzroku i słuchu nie dojrzał żadnego światła, nie dosłyszał żadnego dźwięku.

Jednak wydało mu się, że ktoś ostrożnie zbliża się od wewnątrz ku bramie.

Zastukał po raz drugi w ten sam sposób.

– Kto idzie? – zapytał jakiś głos.

– Ktoś, przysłany przez Elizeusza – odparł podróżny.

– Jakiemu królowi mają być posłuszni synowie Izaaka?

– Jehudzie.

– Czyj ród mają wytępić?

– Achaba.

– Czy prorok, czy uczeń?

– Prorok.

– Bądź błogosławiony w domu Pana – odparł głos.

I w tej chwili sztaby żelazne opadły, zgrzytnął zamek i obie połowy bramy rozwarły się cicho, koń i jeździec zniknęli pod ciemnym sklepieniem bramy. Za nimi zawarły się wrota.

Ten, kto je otworzył ubrany był w biały habit Kartuzów. Kaptur, który miał na głowie, zupełnie zasłaniał mu twarz.

# Klasztor Kartuzów w Seillon

Prawdopodobnie ten, który otworzył wrota, tak samo jak i ten, który ukazał się na drodze, zajmował podrzędne stanowisko w konfraterni, gdyż przytrzymywał konia, gdy jeździec zsiadał, oddając mu przysługę zwykłego masztalerza. Morgan odtroczył walizkę, wyjął pistolety z olster i wsadził je za pas. Zwrócił się do mnicha tonem rozkazującym:

– Mam nadzieję, że zastanę braci zebranych na naradzie.

– Tak jest; już się zebrali.

– Gdzie?

– W Correrie. Przed kilkoma dniami bowiem widzieliśmy podejrzanych osobników, włóczących się koło klasztoru, wobec tego wyższa hierarchia nakazała środki ostrożności.

Młody człowiek wzruszył ramionami, jak .gdyby chciał dać do zrozumienia, iż uważa te środki za zbyteczne, i tym samym rozkazującym tonem powiedział:

– Odprowadzić konia do stajni, a mnie zaprowadzić na naradę.

Mnich zawołał innego braciszka, któremu rzucił cugle, zapalił pochodnię od lampki palącej się w kaplicy i ruszył przed nowo przybyłym.

Przeszedł przez gmach klasztorny, kilka kroków zrobił w ogrodzie, otworzył drzwi, prowadzące do pewnego rodzaju studni, wprowadził tam Morgana, za którym starannie zamknął drzwi, odsunął nogą kamień, który, zdawało się, leżał tam przypadkowo. Pod kamieniem ukazało się kółko żelazne i płyta kamienna, która zamykała wejście do podziemi. Gdy braciszek podniósł płytę Morgan dojrzał kilka schodów idących w głąb. Schody te prowadziły do okrągłego sklepionego korytarza, który mógł pomieścić dwu ludzi rzędem.

Morgan i braciszek szli tym korytarzem przez jakieś sześć minut, po czym zatrzymali się koło kraty. Mnich wyjął spod habitu klucz i otworzył kratę, którą potem zamknął za sobą.

– Jak mam oznajmić pańskie przybycie? – zapytał.

– Brat Morgan.

– Tu pan poczeka; za pięć minut będę z powrotem.

Młodzieniec zrobił ruch głową, dając do zrozumienia, że jest oswojony z tymi wszystkimi ostrożnościami.

Siadł następnie na jakimś grobowcu – byli bowiem w podziemiach klasztoru – i czekał. W istocie, nie upłynęło pięć minut, jak mnich był z powrotem.

– Proszę za mną: bracia są uszczęśliwieni pańskim przybyciem.

W kilka chwil potem Morgan znalazł się w sali obrad.

Dwunastu zakapturzonych mnichów oczekiwało na niego. Gdy drzwi się zamknęły i Morgan zrzucił maskę, wszyscy zdjęli kaptury. Byli to w większości młodzi ludzie; dwóch czy trzech tylko wyglądało na lat czterdzieści.

Wszystkie ręce wyciągnęły się do Morgana.

– Ach! Doprawdy – rzekł jeden z obecnych – zdjąłeś nam kamień z serca; myśleliśmy, żeś zabity lub uwięziony.

– Zabity – zgoda! Ale uwięziony – nigdy, „obywatelu" (jak to mówią niekiedy, ale jak, mam nadzieję, niedługo już mówić nie będą). Mogę powiedzieć, że wszystko poszło bardzo gładko. Konduktor, jak tylko nas dostrzegł, kazał stanąć i, zdaje mi się, powiedział: „Już wiem o co chodzi". A ja mu na to: „Skoro wiesz, o co chodzi, mój kochanku, długo gadać nie będziemy". – „Czy pieniądze rządowe?" – zapytał. – „Właśnie, właśnie" – odparłem. Ponieważ w karecie powstał popłoch, powiedziałem konduktorowi: – „Poczekaj, mój kochany. Najpierw złaź z kozła i powiedz tym panom a zwłaszcza paniom, że jesteśmy ludźmi dobrze wychowanymi, że ich nie tkniemy, tych dam oczywiście, i nie będziemy nawet na nie patrzyli, chyba że która wysunie głowę przez okno". Jedna istotnie odważyła się. A ładna była... Posłałem jej całusa. Krzyknęła z lekka i wnet się schowała. Przez ten czas konduktor pośpiesznie wydobywał pieniądze rządowe, a z pośpiechu oddał wraz z nimi pieniądze należące do jakiegoś biednego kupca z Bordeaux.

– Tam do diabła! – zawołał jeden z braci. – Wszak wiesz, że Dyrektoriat organizuje bandy opryszków, którzy działają pod naszą nazwą, aby wpoić w ogół przekonanie, że nastajemy na majątki prywatne, że słowem jesteśmy zwykłymi złodziejami.

– Poczekajcie. Otóż to właśnie spowodowało moje opóźnienie. Słyszałem już coś o tym w Lugdunie. Spostrzegłem błąd w połowie drogi do Valence, po adresie na worku. Adres głosił: Jan Picot, kupiec win we Fronsac, pod Bordeaux.

– No i odesłałeś mu pieniądze?

– Jeszcze lepiej. Sam oddałem.

– We Fronsac?

– Nie. W Awinionie. Przypuszczałem, że taki kupiec musiał się zatrzymać w pierwszym mieście, aby zasięgnąć wiadomości o swych dwustu ludwikach. I nie omyliłem się. Pytam w hotelu, czy nie znają obywatela Jana Picota. Mówią mi, że właśnie je obiad w hotelu. Wchodzę do sali. Domyślacie się, że rozmowa toczyła się o ograbieniu dyliżansu. Wyobraźcie sobie wrażenie zebranych, gdy stanąłem przed nimi. Pytam, który z obecnych nazywa się Picot. Właściciel tego dźwięcznego i pięknego nazwiska wstaje; składam przed nim dwieście ludwików, przepraszając go za pomyłkę w imieniu stowarzyszenia Jehudy. Zamieniłem ukłony z Barjolsem i księdzem de Rians, ukłoniłem się całemu towarzystwu i wyszedłem. Bagatela wszystko razem, ale zajęło mi to piętnaście godzin. Sądziłem, że lepiej będzie spóźnić się, niż pozostawiać opinię publiczną w mylnym o nas mniemaniu. Czy dobrze zrobiłem?

Zebrani odpowiedzieli oklaskami.

– Uważam jednak – rzekł jeden z zebranych – że było nierozsądnie oddawać samemu pieniądze Picotowi.

– Kochany pułkowniku – odparł młodzieniec – włoskie przysłowie powiada: „Kto chce, sam idzie, kto nie chce – ten posyła". Otóż chciałem i poszedłem.

– Taki osobnik, zamiast być ci wdzięczny, pozna cię, jeśli przypadkowo wpadniesz mu w ręce. Takie spotkanie może się skończyć obcięciem głowy.

– O, nie radzę mu poznawać mnie.

– A któż mu w tym przeszkodzi?

– Czyż myślicie, że takie wyprawy urządzam z twarzą odkrytą? Przecież nie zdejmuję maski wśród obcych. Czyż nie jesteśmy w pełni karnawału? Dlaczego nie mam przebierać się

za Abellina lub Karola Moora, jeśli pp. Gohier, Sieyès, Roger Ducos, Moulin i Barras przebierają się za królów Francji.

– I do miasta wjechałeś w masce?

– I do miasta, i pod hotel, i do sali. Prawda, że miałem odsłonięty pas. Ale widzicie, jak pięknie jest on udekorowany.

Po tych słowach młodzieniec odrzucił płaszcz i ukazał pas, za którym tkwiły cztery pistolety i krótki nóż myśliwski.

A potem z wesołością, która cechowała, zdaje się, całe zgromadzenie, dodał:

– Musiałem mieć wygląd straszny, nieprawdaż? Musieli mnie wziąć za nieboszczyka Mandrina, wracającego z gór Sabaudii. A propos. Oto sześćdziesiąt tysięcy franków Jego Wysokości Dyrektoriatu.

I młodzieniec trącił pogardliwie nogą walizkę, która wydała metaliczny dźwięk złota.

Potem wmieszał się w grupę przyjaciół.

Jeden z mnichów podniósł walizkę.

– Gardź sobie złotem, Morganie, chociaż je zbierasz; lecz wiem, że są dobrzy ludzie, oczekujący tych sześćdziesięciu tysięcy franków z taką samą niecierpliwością, jak karawana na pustyni czeka na krople wody, ocalające przed śmiercią.

– Nasi przyjaciele w Wandei? – zapytał Morgan. – Niech im służy! Egoiści. Sami się biją. Sobie wybrali róże, a nam zostawili kolce. A cóż to, czy nic nie dostają z Anglii?

– A jakże – zamruczał jeden mnich – w Quiberon dostali kule i mitraliezy.

– Nie mówię od Anglików, lecz z Anglii.

– Ani grosza.

– Są w coraz gorszej sytuacji.

– Zdaje mi się jednak – powiedział jeden z obecnych – że nasi książęta mogliby posłać trochę złota tym, którzy przelewają swoją krew za sprawę monarchii. Czyż nie boją się, że Wandea prędzej czy później zniechęci się i zaniecha poświęcenia, za które dotychczas nie dostała, o ile wiem, nawet podziękowania?

– Wandea, przyjacielu, – odparł Morgan –jest to ziemia szlachetna i nie zniechęci się, bądź pewien. Zresztą, cóż by to była za zasługa wierności, gdyby nie miała do czynienia z niewdzięcznością? Z chwilą, gdy poświęcenie spotyka się z wdzięcznością – przestaje być poświęceniem, albowiem jest zamiana, skoro poświęcenie zostaje wynagrodzone. Bądźmy wierni zawsze, panowie, i oby niebo sprawiło, aby ci, dla których się poświęcamy, byli niewdzięczni. A będziemy mieli, wierzcie mi, piękną kartę w historii naszych wojen domowych.

Zaledwie Morgan skończył ten rycerski aksjomat, gdy rozległy się trzy puknięcia masońskie.

– Panowie! – zawołał mnich, który przewodniczył naradzie. – Kaptury na głowy i maski na twarze. Nie wiemy, co nas czeka.

# Na co szły pieniądze Dyrektoriatu

Wszyscy usłuchali rozkazu: mnisi naciągnęli kaptury, Morgan nałożył maskę.
– Proszę! – rzekł przełożony.
Drzwi się otwarły, wszedł braciszek usługujący.
– Wysłaniec generała Jerzego Cadoudala.
– Czy odpowiedział na trzy umówione pytania?
– Tak jest.
– Niech wejdzie.
Braciszek powrócił do podziemia i w sekundę potem ukazał się znowu, prowadząc człowieka, w którym po ubraniu poznać można było chłopa, a po kwadratowej głowie i wielkim rudym kapeluszu – Bretończyka.
Przybysz doszedł do środka koła, nie okazując onieśmielenia i powiódł okiem po dwunastu mnichach, czekając na pytania.
Przewodniczący przerwał ciszę.
– Od kogo przychodzisz?
– Ten, kto mnie posłał, polecił mi odpowiedzieć, że przychodzę od Jehudy.
– Czy masz zlecenia ustne, czy na piśmie?
– Mam odpowiadać na wasze pytania, a następnie zostawić świstek papieru za pieniądze.
– Dobrze. Zacznijmy od pytań. Gdzie są nasi bracia z Wandei?
– Złożyli broń, ale czekają tylko od was rozkazu, aby za nią pochwycić.
– A dlaczego złożyli broń?
– Otrzymali rozkaz od Jego Królewskiej Mości Ludwika XVIII.
– Mówiono o własnoręcznej odezwie królewskiej.
– Oto kopia – z tymi słowy chłop wręczył papier pytającemu.
Ten rozłożył i czytał:

„Wojna może wzbudzić tylko nienawiść do monarchii. Królowie wracający na tron przez wojnę nie mogą być kochani. Trzeba więc zarzucić środki krwawe i polecić się potędze opinii, która sama przez się powraca do zbawczych zasad. Trzeba połączyć w potężnym związku rozproszone elementy monarchii, pozostawić wojującą Wandeę jej własnemu losowi i wejść na drogę bardziej pokojową i nie tak bezładną. Rojaliści z Zachodu już swoje zrobili, trzeba nareszcie oprzeć się na rojalistach w Paryżu, którzy już wszystko przygotowali do bliskiej restauracji monarchii”...

Prezydujący podniósł głowę i szukając wzrokiem Morgana, rzekł:

– Otóż, bracie, życzenie twoje spełnione. Rojaliści Wandei i Południa Francji będą mieli pełnię zasług poświęcenia.

Następnie zwracając wzrok na odezwę, z której pozostało tylko kilka wierszy do odczytania, ciągnął dalej:

„Żydzi ukrzyżowali swego króla i od tej chwili błąkają się po całym świecie; Fracuzi ścięli swego i będą rozproszeni po całej Ziemi.

Dane w Blankenbourgu, 25 sierpnia roku 1799, w dniu naszych imienin, a w szóstym roku naszego panowania.

Podpisano: Ludwik”

Młodzieńcy popatrzyli na siebie.

– Quos vult perdere Jupiter, dementat! – rzucił Morgan.

– Tak – dodał prezydujący – lecz ci, których Jowisz chce ukarać, reprezentują zasadę, trzeba więc ich popierać nie tylko przeciw Jowiszowi, lecz i przeciw nim samym. Ajax wśród błyskawic i piorunów, wdzierając się na skałę, wyciągał do niebios zaciśniętą pięść i wołał: „Uratuję się wbrew bogom”.

A zwracając się do wysłańca Cadoudala, zapytał:

– Co odpowiedział na tę odezwę ten, który cię wysłał?

– Mniej więcej to samo. Kazał mi dowiedzieć się, co wy postanowiliście czynić nawet wbrew życzeniu króla.

– Jesteśmy zdecydowani na wszystko – odparł prezydujący.

– W takim razie – rzekł chłop – wszystko będzie dobrze. Oto prawdziwe nazwiska dowódców i ich przezwiska. Generał poleca, aby w listach używać przezwisk. To samo on robi, gdy pisze o was.

– Czy masz listę?

– Nie; mogłem być aresztowany. Piszcie, podyktuję.

Prezydujący siadł za stołem, wziął pióro i pisał pod dyktando wandejskiego chłopa następujące nazwiska:

„Jerzy Cadoudal – Jehuda albo Okrągła Głowa; Józef Cadoudal – Judasz Machabeusz; Lahaye Saint-Hilaire – Dawid; Burban Malabry – Brave-la-Mort; Poulpiquez – Royal-Carnage; Bonfils – Brise-Barrière; Dampherné – Piquevers; Duchayla – Korona; Dupare – Straszny; la Roche – Mitrydates; Puisaye – Jan Blondyn”.

– Oto następcy Charette'ów, Stoffietów, Bonchampów, Rochejacqueleinów, Lescure'ów! – odezwał się jeden z obecnych.

Bretończyk, zwracając się doń, rzekł:

– Jeśli gotowi są zginąć, jak ich poprzednicy, to co im radzicie robić?

– A bo co? – zapytał Morgan.

– A bo to – odparł chłop – że generał, skoro tylko otrzyma waszą odpowiedź, wnet chwyci za broń.

– A jeśli damy odpowiedź przeczącą? – zapytał ktoś.

– Tym gorzej dla was! W każdym razie powstanie wyznaczono na 20 października.

– Otóż dzięki nam – powiedział prezydujący – generał miał z czego wypłacić żołd za pierwszy miesiąc. Gdzie masz pokwitowanie?

Chłop wyjął z kieszeni papier, który brzmiał:

„Otrzymaliśmy od naszych braci z Południa i Wschodu dla należytego użytku na rzecz sprawy sumę...

Jerzy Cadoudal,
generał głównodowodzący armią królewską w Bretanii".

Suma nie została wymieniona.

– Czy umiesz pisać? – zapytał prezydujący.

– Dosyć, aby wypełnić trzy czy cztery brakujące wyrazy.

– No to pisz: „sto tysięcy franków".

Bretończyk napisał te słowa i oddając papier prezydującemu powiedział:

– Oto pokwitowanie. A gdzie pieniądze?

– Schyl się i podnieś worek, który masz pod nogami. Zawiera on sześćdziesiąt tysięcy franków.

A zwracając się do mnichów:

– Montbar! Gdzie reszta?

Zapytany mnich otworzył szafę i wyjął nieco mniejszy worek, przyniesiony przez Morgana, z okrągłą sumą czterdziestu tysięcy franków.

– Oto wszystko – rzekł mnich.

– Teraz, przyjacielu – rzekł prezydujący – posil się i wypocznij; jutro odjedziesz.

– Oczekują mnie – odparł Wandejczyk – zjem i prześpię się na koniu. Żegnam panów. Niech was Bóg chroni!

I skierował się ku drzwiom.

– Zaczekaj! – zawołał Morgan.

Wysłaniec Jerzego zatrzymał się.

– Nowina za nowinę – mówił Morgan. – Powiedz generałowi Cadoudalowi, że generał Bonaparte opuścił armię w Egipcie i wylądował wczoraj w Fréjus, a za trzy dni będzie w Paryżu. Czyż moja nowina nie warta twojej?

– Niemożliwe! – zawołali jednogłośnie wszyscy zebrani.

– A jednak prawda. Wiem o tym od naszego przyjaciela księdza, który go widział na godzinę przed widzeniem się ze mną w Lugdunie i poznał go.

– Po co powrócił do Francji? – zapytało kilka głosów.

– Doprawdy – rzekł Morgan – dowiemy się o tym prędzej czy później. Być może nie będzie ukrywał się w Paryżu.

– Nie trać ani chwili czasu i nieś tę wiadomość naszym braciom z Zachodu – rzekł prezydujący. – Przed chwilą zatrzymywałem cię, ale teraz mówię ci: śpiesz się.

Chłop pokłonił się i wyszedł. Gdy drzwi zamknęły się za nim, prezydujący powiedział:

– Wiadomość, którą nam przyniósł Morgan, jest tak ważna, że chcę zaproponować specjalne zarządzenia.

– Jakie? – zapytali jednym głosem towarzysze Jehudy.

– Jeden z nas, na którego padnie los, pojedzie do Paryża i będzie informował o wszystkim przy pomocy szyfru.

– Przyjęte.

– W takim razie – ciągnął dalej prezydujący – napiszmy nasze nazwiska na kawałkach papieru; włóżmy je do kapelusza i ciągnijmy losy.

Młodzieńcy pośpiesznie wykonali rozkaz.

Najmłodszy z nich zbliżył się do kapelusza i wyciągnął karteczkę, którą oddał prezydującemu.

– Morgan – przeczytał ten.

– Proszę o rozkazy.

– Pamiętaj – zaczął uroczyście prezydujący – że nazywasz się baron de Sainte-Hermine; że ojciec twój był ścięty na placu Rewolucji, a brat twój zabity w armii Kondeusza. Noblesse oblige – oto instrukcja dla ciebie.

– A co do pozostałych kwestii? – zapytał młodzieniec.

– Polegamy – odparł prezydujący – na twym rojaliźmie i lojalności.

– Pozwólcie tedy, przyjaciele, że pożegnam was zaraz. Chcę przed dniem być już na drodze do Paryża, a mam jeszcze jedną wizytę przed odjazdem.

– Idź – rzekł prezydujący, biorąc Morgana w ramiona. – Inny powiedziałby: „Bądź mężny i odważny!" Ja mówię: „Bądź ostrożny".

Młodzieniec pożegnał uśmiechem przyjaciół, zawinął się w płaszcz, nasunął kapelusz na oczy i wyszedł.

# Romeo i Julia

Koń Morgana był już gotów do drogi.

Zaledwie młodzieniec wskoczył na siodło, wrota klasztoru rozwarły się przed nim; koń pomknął ostro, jakby już zapomniał o odbytej niedawno drodze.

Za wrotami Morgan po krótkiej chwili wahania skręcił na prawo; czas jakiś jechał wzdłuż ścieżki, prowadzącej z Bourgu do Seillon, skręcił znowu na prawo poprzez pole, zanurzył się w las, wkrótce wyjechał na bity gościniec Pont-d'Ain i po półgodzinnej jeździe zatrzymał się przy grupie domów, zwanej obecnie Maisons-des-Gardes.

Nad jednym z tych domów wisiał pęk ostrokrzewu, wskazując, że tu odpoczywali i posilali się włościanie i piesi podróżni.

I tutaj, jak pod klasztorem Kartuzów, Morgan zastukał we wrota rękojeścią pistoletu.

Wkrótce usłyszał kroki stajennego; wrota zaskrzypiały, a człowiek, który je otworzył, zobaczywszy jeźdźca z pistoletem w ręku, zrobił instynktowny ruch, jak gdyby chciał wrota zamknąć.

– To ja, Pataut – rzekł młodzieniec. – Nie bój się.

– A prawda. To pan Karol. Ale widzi pan, teraz ostrożność jest najlepszym środkiem bezpieczeństwa!

– Masz rację, Pataut – odparł młodzieniec, dając mówiącemu sztukę srebra. – Ale bądź spokojny. Wrócą lepsze czasy.

– A czy długo będziem na to czekali?

– Pataut, obiecuję ci postarać się, abyś długo nie czekał. Śpieszę się nie mniej, niż ty. Toteż chciałbym, abyś się nie kładł spać, kochany Pataut.

– Pan wie, że kiedy pan tu jest, nie kładę się wcale. Co się tyczy konia... Pan chyba co dzień zmienia konia. Dziś pan jest na karym.

– Tak, jestem kapryśny z natury. Zresztą koń niczego nie potrzebuje. Popuść mu wędzidła, siodło postaw. Czekaj no! Włóż pistolet do olster, a te dwa potrzymaj.

Z tymi słowy młodzieniec oddał chłopcu pistolety zza pasa.

– Ho! – zaśmiał się ten. –Pistoletów mamy dosyć.

– Wiesz, Pataut, że drogi nie są bezpieczne.

– Ja myślę. Czyż mało mamy, panie Karolu, rozboi? Przecież w ostatnim tygodniu zatrzymano i ograbiono dyliżans, jadący z Genewy do Bourgu.

– Tak? – zapytał Morgan. – A kogo o to posądzają?

– Komedia prawdziwa! Mówią, że towarzysze Jezusa. Ale nie wierzę temu. Przecież towarzysze Jezusa – to apostołowie?

– No, chyba – odparł wesoło Morgan – innych nie było.

– Otóż to – ciągnął Pataut – oskarżać dwunastu apostołów o ograbienie dyliżansu! Tylko tego brakowało. Oj, panie, żyjemy w czasach, kiedy nie ma nic świętego.

I potrząsnąwszy głową, jak zdeklarowany mizantrop, Pataut odprowadził konia do stajni.

Morgan zaś, popatrzywszy chwilę za odchodzącym chłopakiem, obszedł płot otaczający ogród i skierował się do grupy wysokich drzew, ocieniających małą wioskę, nazywaną pompatycznie zamkiem des Noires-Fontaines.

Gdy Morgan doszedł do ogrodzenia zamku, na kościele w Montagnac zegar wybijał godzinę. Młodzieniec naliczył jedenaście uderzeń.

Morgan zrobił jeszcze kilka kroków, obejrzał ogrodzenie, jakby szukając znajomego miejsca, a znalazłszy je, oparł się końcem buta o wyłom w kamieniach, podskoczył jak jeździec na siodło, złapał za wierzch muru lewą ręką, z rozpędu siadł okrakiem na murze i w okamgnieniu zsunął się na drugą stronę.

Tam zatrzymał się na chwilę, wpatrując się pilnie w ciemności. Wszędzie było cicho i spokojnie.

Morgan ostrożnie posunął się naprzód, przemknął na brzeg klombu drzew. Doszedłszy do polanki, na drugiej stronie której stał zameczek, pilnie wpatrywał się w okna domu.

W jednym tylko oknie widniało światło, mianowicie na piętrze w rogu domu.

Pod oknem tym był balkonik, spowity winem. Nad oknem, wychodzącym wprost na balkon, splatały się gałęzie dwóch drzew.

W oknie wisiała żaluzja, podnoszona przy pomocy sznurów. Poprzez tę żaluzję właśnie Morgan dojrzał światło.

W pierwszym odruchu młodzieniec chciał iść wprost przez trawnik, lecz z obawy przed zdemaskowaniem zmienił zamiar.

Pod zajazd prowadziła aleja lipowa. W tę to aleję wszedł Morgan. W kilku susach przebył przestrzeń od końca alei do domu i skrył się w cieniu rzucanym przez budynek. Cofając się tak, aby nie wyjść z cienia, miał oczy utkwione w oknie. Po chwili klasnął trzykrotnie w ręce.

Na ten znak jakiś cień zamigotał w pokojach i zbliżył się do okna.

Morgan zaklaskał ponownie.

Otworzono okno, podniesiono żaluzje. Czarująca dziewczyna w nocnym odzieniu, z blond włosami rozsypanymi na ramionach, ukazała się w ramach zieleni. Młodzieniec wyciągnął ręce. Naprzeciw nim wysunęły się dwie ręce dziewczyny i dwa głosy wybiegły na spotkanie:

– Karolu!

– Amelio!

Młodzieniec, chwytając się splotów wina i występów w murze, wdrapał się na balkon.

To co mówili sobie potem młodzi ludzie, było tylko szeptem miłości, zagłuszonym nieskończonymi pocałunkami.

Młodzieniec wprowadził dziewczynę jedną ręką do pokoju, a drugą puścił sznur żaluzji, która spadła z hałasem.

Zamknięto okno, światło zgasło i cały dom pogrążył się w ciemnościach.

Ciemności trwały z kwadrans. Wtem rozległ się turkot kół na drodze, idącej od Pont-d'Ain ku zamkowi.

Turkot ucichł; kolasa zatrzymała się przed bramą.

# Rodzina Rolanda.

Powóz, który zatrzymał się przed bramą, przywiózł Rolanda i sir Johna.

Tak dalece nie spodziewano się gości, że wszystkie światła w domu były pogaszone, wszystkie okna były ciemne, nawet okno w pokoju Amelii.

Prawda, że pocztylion jakieś pięćset kroków od domu strzelał z bata, lecz strzały te nie mogły rozbudzić mieszkańców prowincji z pierwszego snu.

Gdy powóz stanął przed zajazdem, Roland otworzył drzwiczki, wyskoczył nie zważając na stopień wozu i zaczął dzwonić.

Dzwonił tak z pięć minut, podczas których po każdym szarpnięciu dzwonka zwracał się do powozu i mówił:

– Niech się pan nie niecierpliwi, sir Johnie.

Wreszcie jedno z okien otworzyło się i jakiś głos dziecinny, lecz mocny, zawołał: – Kto tam?

– To ty, Edwardku? – zapytał Roland. – Otwieraj prędko.

Dzieciak z okrzykiem radości cofnął się i zniknął.

– Mamo! Obudź się, to Roland!... Siostro! Wstawaj, starszy brat!

Jak stał w koszuli, pośpiesznie nałożył pantofle i zbiegając ze schodów wołał:

– Czekaj, czekaj, Rolandzie. Już idę, idę!

W chwilę potem klucz zgrzytnął w zamku, drzwi się rozchyliły, biała postać ukazała się na ganku i pomknęła w kierunku bramy, która również, zaskrzypiawszy w zawiasach, rozwarła się na oścież.

Chłopiec skoczył na szyję Rolandowi i zawisł.

– Bracie, bracie! – wołał, całując młodzieńca, śmiejąc się i płacząc. – Jakżeż mama się ucieszy! A Amelia!... Wszyscy zdrowi, tylko ja chory... Dlaczegoś nie w uniformie żołnierskim? Jakże ci brzydko po cywilnemu!... Wracasz z Egiptu?... Czyś przywiózł mi pistolety nabijane srebrem i piękną szablę zakrzywioną? Nie! No toś niedobry. Nie chcę cię całować. Ale nie bój się i tak cię kocham. I znowu malec zasypał go pocałunkami.

Anglik, wyglądając przez okno powozu, z uśmiechem przyglądał się scenie.

Braterskie czułości przerwał głos kobiecy – głos matki.

– Roland, mój ukochany syn? – pytała pani de Montrevel wzruszona i szczęśliwa zarazem. – Naprawdę wrócił? Więc nie wzięty do niewoli? Żyje?

Na głos ten, chłopak wyśliznął się jak wąż z objęć brata i podbiegł do matki.

Roland zawołał:

– Doprawdy, jestem niewdzięczny wobec Boga, skoro życie darowuje mi takie radości.

Łkając, rzucił się na szyję pani de Montrevel, zapominając o sir Johnie, który również czuł, że niknie gdzieś jego angielska flegma i który po cichu ocierał łzy.

Chłopiec, matka i Roland tworzyli cudowną grupę.

Wtem mały Edwardek odbiegł z okrzykiem:

– Siostro Amelio, chodźże! Siostro Amelio! Wstawaj, biegnij! Na pomoc! Matko, Rolandzie, siostrze zrobiło się niedobrze.

Pani Montrevel i jej syn pobiegli do domu. Sir John jako doświadczony podróżnik, miał w tłumoczku lancet i flakon z solami. Wysiadł z powozu i odruchowo podszedł pod ganek.

Na krzyk dziecka Amelia odzyskała jeśli nie siły, to wolę; wstała, mówiąc: „Cicho, Edwardku! Milcz w imię Boga! Już jestem". –i oparłszy się jedną ręką o poręcz a drugą na ramieniu brata, schodziła ze schodów.

Na ostatnim stopniu spotkała matkę i brata i ruchem gwałtownym, prawie rozpaczliwym, zarzuciła obie ręce na szyję Rolanda wołając:

– Bracie, bracie mój!

Roland poczuł, że dziewczyna zwisła mu na ramieniu i ze słowami – „Zemdlała! powietrza!" – wyniósł ją na ganek.

Powietrze ocuciło Amelię, która odetchnęła i podniosła głowę.

Sir John wydał okrzyk zachwytu. Nigdy nie widział statuy z marmuru tak doskonale pięknej, jak ta, którą miał przed sobą.

Bo też istotnie Amelia wyglądała pięknie.

Ubrana w batystową, nocną szatę, która uwydatniała kształty antycznej Polihymnii, z twarzą bladą, z lekka pochyloną na ramieniu brata, z włosami złoto-blond, spadającymi na ramiona, ramieniem dookoła szyi matki, opuszczonym na czerwonym szalu – tak ukazała się oczom sir Johna siostra Rolanda.

Na okrzyk Anglika Roland przypomniał sobie, że ten jest przy nich, i pani de Montrevel spostrzegła jego obecność.

Tymczasem chłopak, zdziwiony widokiem obcego, zszedł trzy stopnie niżej i zapytał:

– Kim pan jest? Co pan tu robi?

– Mój kochany Edziu – odparł sir John – jestem przyjacielem twego brata i przywożę pistolety nabijane srebrem oraz damascenkę, które on ci obiecał.

– Gdzież one są? – zapytał chłopak.

W Anglii – odparł sir John. – Musisz poczekać na nie jakiś czas. Ale twój brat zaręczy za mnie, że dotrzymuję słowa.

– Tak, Edziu – wtrącił się Roland – jeśli milord obiecuje ci, będziesz je miał.

A zwracając się do pani de Montrevel i do siostry:

– Wybacz mi, matko! Wybacz mi Amelio, albo też wytłumaczcie się, jak umiecie, same wobec milorda; w przeciwnym razie uzna mnie za obrzydliwego niewdzięcznika.

Po czym, zbliżywszy się do sir Johna, wziął go za rękę.

– Matko – rzekł – milord oddał mi wielką przysługę. Wiem, że takich rzeczy nie zapominacie. Mam nadzieję, że zechcecie pamiętać, iż sir John jest moim i waszym najserdeczniejszym przyjacielem. A da wam dowód tego, oświadczając wraz ze mną, że gotów jest nudzić się przez dwa lub trzy tygodnie z nami.

– Pani! – rzekł sir John. Pozwól, że nie będę powtarzał słów mego przyjaciela Rolanda. Nie dwa i nie trzy tygodnie chciałbym spędzić wśród waszej rodziny, ale całe życie.

Pani de Montrevel zeszła z ganku i wyciągnęła dłoń do sir Johna, który ucałował podaną sobie rękę z zupełnie francuską galanterią.

Milordzie – powiedziała – ten dom jest twoim domem. Radosny był dzień, w którym tu wszedłeś, a dniem smutku i żalu będzie ten, w którym go opuścisz.

Sir John zwrócił się do Amelii, która zażenowana swoim negliżem, owijała się w fałdy nocnej koszuli.

– Mówię w imieniu swoim i mojej córki – mówiła dalej pani de Montrevel – która zbyt jest wzruszona powrotem brata, aby mogła przyjąć pana tak, jak to za chwilę uczyni.

– Siostra – wtrącił Roland – pozwoli, aby sir John ucałował jej rękę i sądzę, że on przyjmie ten sposób powitania.

Amelia wymówiła kilka słów i wyciągnęła dłoń do sir Johna z uśmiechem prawie bolesnym. Anglik ujął dłoń, lecz czując, iż jest lodowata' i drżąca, zamiast złożyć pocałunek, rzekł:

– Rolandzie, twoja siostra jest naprawdę chora. Jestem po trosze lekarzem i, jeśli pozwoli, mogę zbadać puls.

Lecz Amelia, jakby bojąc się, że odkryją istotną przyczynę niedyspozycji, cofnęła szybko rękę mówiąc:

– Milord jest w błędzie. Tylko radość spowodowała tę niedyspozycję, ale to zaraz przejdzie.

A zwracając się do pani de Montrevel:

– Matko – rzekła – nie zapominajmy, że panowie przyjechali z dalekiej podróży. Pójdę zająć się przygotowaniem posiłku.

I weszła do domu, aby zbudzić służbę.

W tym samym czasie Morgan dosiadł konia i galopem pomknął w kierunku klasztoru Kartuzów. Przed bramą zatrzymał się, wyjął notatnik i na kartce nakreślił kilka słów ołówkiem, po czym kartkę zwinął i wrzucił przez dziurkę od klucza, nie schodząc wcale z konia.

Na kartce zaś napisał te słowa:

„Ludwik de Montrevel, adiutant generała Bonaparte, przyjechał dziś w nocy do zamku Noires–Fontaines. Baczność, towarzysze Jehudy!”

Ostrzegając w ten sposób przyjaciół, Morgan jednak narysował nad swym podpisem krzyż, który miał oznaczać, że młody oficer był dla nich nietykalny.

Każdy towarzysz Jehudy mógł w ten sposób ratować swego przyjaciela, nie podając motywów takiego zastrzeżenia.

Z tego przywileju skorzystał Morgan. Ratował brata Amelii.

# Zamek des Noires-Fontaines

Zamek des Noires-Fontaines znajdował się w najładniejszym miejscu doliny, w której leżało miasto Bourg.

Park zamku otaczał z trzech stron mur, w którym od strony zajazdu była piękna kuta krata, z czwartej zaś płynęła rzeka de la Reyssouse, biorąca początek w Jaurnaud i płynąca z południa na północ. Rzeka ta wpada do Saôny pod mostem Fleurville, naprzeciw Pont-de-Vaux, miasta rodzinnego Jouberta, który na miesiąc przed opisywanymi zdarzeniami zginął w bitwie pod Novi.

Za rzeką i na jej brzegach rozsiadły się na prawo i na lewo od zamku wsie: Montagnat, Saint-Just i Ceyzeriat.

Za ostatnim miasteczkiem zarysowują się sylwetki wzgórz Jury, nad którymi widnieje niebieskawy szczyt Bugey.

Na ten cudowny obraz spojrzał sir John, gdy się obudził. I gdy stał zapatrzony na góry, rozległo się pukanie do drzwi: Roland, gospodarz, przyszedł dowiedzieć się, jak jego gość spędził tę noc.

Znalazł go wesołego i rozpromienionego.

– Winszuję, sir Johnie. Sądziłem, że zastanę pana smutnego, jak ci Kartuzi w białych szatach, których tak się bałem w dzieciństwie, chociaż w ogóle nie byłem bojaźliwy; a tymczasem widzę, żeś uśmiechnięty, jak poranek majowy, chociaż to połowa smutnego, jak zwykle u nas, października.

– Drogi Rolandzie! – odparł sir John. – Jestem sierotą. Matka moja zmarła, gdy przyszedłem na świat; ojciec – gdy miałem dwanaście lat. W wieku szkolnym posiadałem już majątek, który przynosił mi około miliona dochodu. Lecz byłem sam, nie miałem nikogo, kogo mógłbym kochać i nikt mnie nie kochał. Nie znam zupełnie radości życia rodzinnego. Od dwunastego do osiemnastego roku życia studiowałem w Cambridge. W osiemnastym zacząłem podróżować. Błądziłem jak widmo pośród cieni, nie mając gdzie się zatrzymać, ramienia, na którym mógłbym się wesprzeć i nikogo, przed kim mógłbym otworzyć moje serce. Lecz wczoraj wieczorem, kochany Rolandzie, w okamgnieniu, moje życie się wypełniło. Żyłem dzięki wam. Widziałem radość, którą przeżywaliście. Patrząc na waszą matkę, powiedziałem sobie: „Taka być musiała moja matka". Patrząc na twą siostrę, westchnąłem w duchu: „Gdybym miał mieć siostrę, chciałbym mieć taką". Całując brata twego, pomyślałem, że przecież i ja mógłbym mieć dziecko w tym wieku i zostawić coś po sobie. Wiem jednak, że umrę, jak żyłem, smutny, ponury dla innych, nieznośny dla samego siebie. Tyś szczęśliwy, Rolandzie. Masz rodzinę, sławę, młodość i nawet – co nie zawadza i mężczyźnie – urodę. Nic ci nie brakuje do szczęścia.

Powtarzam: jesteś szczęśliwy, bardzo szczęśliwy.

– No, dobrze – odparł Roland – zapominasz jednak, milordzie, o mojej chorobie.

Sir John popatrzył na młodzieńca z niedowierzaniem. Istotnie bowiem Roland wyglądał na zupełnie zdrowego.

– Oddaj mi swój anewryzm za milion dochodu, Rolandzie – odrzekł z głębokim smutkiem lord Tanlay. – Ale daj mi wraz z nim tę matkę, która płakała z radości, żeś powrócił, tę siostrę, która zasłabła ze szczęścia na twój widok, to dziecko, które rzuca ci się na szyję, ten

zamek, tę rzekę, ładne wioski. Daj mi swój anewryzm, Rolandzie, śmierć za trzy, dwa lata, za rok, za pół roku, ale daj mi sześć miesięcy swego życia tak bogatego i tak urozmaiconego, tak słodkiego i tak sławnego, a będę się miał wówczas za człowieka szczęśliwego.

Roland wybuchnął właściwym sobie nerwowym śmiechem.

– Oho! Oto turysta, Żyd wieczny tułacz, wiecznie błądzący, który nigdzie się nie zatrzymuje, nic nie ocenia i nie pogłębia, sądzi rzeczy na zasadzie wrażeń, nie otwierając drzwi tych klatek, gdzie są zamknięci wariaci, zwani ludźmi, i powiada: Za tym murem są szczęśliwi! Otóż mój drogi, ta rzeka, te łąki, te piękne wioski, ten Eden!... Zaludniają je ludzie, którzy mordują się wzajemnie. W dżunglach Kalkuty, w puszczach Bengalu nie ma dzikszych i bardziej krwiożerczych tygrysów i panter, niż w tych pięknych wioskach i na tych błoniach, które widzisz na brzegach tej rzeczki.

I podniesionym głosem począł Roland wyliczać okrucieństwa, popełnione przez rewolucję.

Sir John milczał, ze zdziwieniem przysłuchując się wybuchom mizantropii Rolanda.

Potem młodzieniec skierował rozmowę na zdarzenie w hotelu z Morganem, a w końcu zawołał: „Przede wszystkim chciałbym się z bliska przekonać, kim są towarzysze Jehudy".

– Ach, teraz rozumiem. Nie zabił cię Barjols, chcesz więc, aby cię zabił Morgan.

– Albo kto inny – odpowiedział spokojnie Roland. – Oświadczam, że nie mam żadnej specjalnej pretensji do pana Morgana. Przeciwnie; chociaż pierwszą moją myślą, gdy wszedł do sali i wypowiedział „speech" – wszak tak to nazywasz?

Sir John potwierdził ruchem głowy.

– Chociaż pierwszą moją myślą – ciągnął dalej Roland – było skoczyć mu do gardła i zerwać maskę.

– Rozumiem cię, kochany Rolandzie. Ale znając cię, dziwię się, dlaczego nie urzeczywistniłeś tego zamiaru?

– Nie moja wina! Chciałem, ale powstrzymał mnie mój towarzysz.

– Ach, więc są ludzie, którzy mogą cię powstrzymać?

– Niewielu, ale ten...

– Jednym słowem, żałujesz?

– Prawdę mówiąc, nie. Ten grabieżca dyliżansów grał z odwagą, którą lubię. Instynktownie lubię ludzi odważnych. Gdybym nie zabił pana de Barjolsa, mógłbym być jego przyjacielem. Niestety, nie walcząc z nim, nie mogłem przekonać się o jego odwadze. Lecz mówimy o czym innym. Po cóż przyszedłem? Po to, aby dowiedzieć się, co zamierzasz tu porabiać. Będę czynił wszystko, aby cię zabawić, ale dwie okoliczności utrudnią mi zadanie: okolica nie jest wesoła i ciebie, jako Anglika, zabawić trudno.

– Już ci mówłem – odparł lord Tanlay, wyciągając rękę do młodzieńca – że zamek Noires-Fontaines jest dla mnie rajem.

– Zgoda. Lecz boję się, że wkrótce ten raj znudzi cię, postaram się więc rozerwać cię, jak będę umiał. Może lubisz archeologię? Mamy cudny kościół w Brou; są o nim piękne legendy. Zobaczysz tam groby Małgorzaty Burbon, Filipa Pięknego, Małgorzaty austriackiej. Rozwiążesz nam jej dewizę: „Fortune, infortune, fortune", którą ja tłumaczę tak z łacińska: „Fortuna, infortuna, fortiuna".

Jeśli lubisz łapać ryby, masz rzeczkę Reyssouse i całą kolekcję wędek Edwardka oraz kolekcję sieci Michała. Jeśli lubisz polowanie, masz las Seillon o sto kroków; ale polować można tylko ze strzelbą. Mówią, że dawne lasy Kartuzów roją się od dzików, kozłów, zajęcy i lisów. Nikt tam nie poluje, gdyż są to lasy rządowe, a rządu tymczasem nie ma żadnego. Uzupełnię tę lukę w charakterze adiutanta generała Bonaparte. Zobaczymy, czy kto mi weźmie za złe, jeśli po polowaniach na Austriaków nad Adygą i na Mameluków nad Nilem, zapoluję na jelenie, dziki, kozy, lisy i zające nad Reyssouse'ą. Jednego dnia archeologia, drugiego – wędka, trzeciego – polowanie, i już trzy dni zapełnione. Możemy więc być spokojni o te dwa tygodnie pobytu tutaj.

– Kochany Rolandzie – odezwał się wreszcie sir John z głębokim smutkiem – czy powiesz mi wreszcie, jaka gorączka cię trawi, jakie zmartwienie gnębi?

– Daj pokój! Nigdy nie byłem tak wesół, jak dzisiejszego ranka. To ty cierpisz na spleen, milordzie, i wszystko widzisz w czarnych barwach.

– Kiedyś będę naprawdę twoim przyjacielem; wtedy zwierzysz mi się ze wszystkiego, a wówczas przejmę część twych trosk – rzekł sir John.

– I połowę mojej choroby... Czyś głodny, milordzie?

– Po co to pytanie?

– Bo słyszę na schodach kroki Edwarda, który idzie zawiadomić nas, że śniadanie gotowe.

W tejże chwili drzwi się otworzyły i chłopak zawołał:

– Bracie Rolandzie. Matka i siostra Amelia proszą ciebie i milorda na śniadanie.

Potem wziąwszy za rękę Anglika, przyglądał się bacznie jego palcom.

– Dlaczego tak patrzysz? – zapytał sir John.

– Patrzę, czy ma pan atrament na palcach.

– A bo co?

– Znaczyłoby to, żeś pisał do Anglii o moje pistolety i szablę.

– Nie, nie pisałem, ale napiszę dzisiaj.

– Słyszysz Rolandzie? Za dwa tygodnie będę miał pistolety i szablę!

I chłopak z radości nadstawił swe policzki Anglikowi do pocałunku. Sir John ucałował go serdecznie.

Potem wszyscy trzej zeszli do jadalni, gdzie oczekiwały ich Amelia i pani de Montrevel.

# Przyjemności prowincji

Tego dnia Roland wykonał część projektów, zaprowadził bowiem gościa do kościoła w Brou, cacka z epoki Odrodzenia.

Roland chciał czynić honory przy zwiedzaniu tego klejnotu historycznego, którego nie widział już od siedmiu lat. Jakże jednak zdziwił się, gdy zobaczył puste nisze, w których stały figury świętych i posążki w portyku z odbitymi głowami.

Zapytał o zakrystiana; roześmiano mu się w nos: zakrystiana nie było. Na pytanie, gdzie są klucze od kościoła, odpowiedziano mu, że u kapitana żandarmerii.

Kapitan mieszkał niedaleko; klasztor, sąsiadujący z kościołem, zamieniono na koszary.

Roland poszedł do pokoju kapitana, przedstawił się jako adiutant Bonapartego. Kapitan z biernym posłuszeństwem podwładnego wobec zwierzchnika wręczył mu klucze i poszedł za nim.

Sir John czekał przed portykiem, podziwiając szczegóły fasady.

Roland otworzył drzwi i cofnął się: kościół napchany był sianem, jak armata nabita po koniec lufy.

– Co to takiego? – zapytał kapitana żandarmów.

– Panie oficerze! Jest to środek ostrożności, przedsięwzięty przez radę miejską.

– Co? Zarządzenie rady miejskiej?

– Tak.

– W jakim celu?

Aby uratować kościół. Chciano go zburzyć, ale burmistrz postanowił, że za karę, iż służył kultowi błędów, będzie zamieniony na magazyn.

Roland wybuchnął śmiechem, a zwracając się do sir Johna:

– Kochany lordzie – powiedział – kościół wart obejrzenia, ale sądzę, że to, co nam mówi ten pan, jest również ciekawe. Znajdziesz w Strasburgu, Kolonii, Mediolanie kościół lub katedrę równie ciekawe, jak kaplica w Brou. Ale nie znajdziesz tak głupich urzędników, którzy chcieliby zniszczyć arcydzieło ani tak sprytnego burmistrza, który zrobiłby z kościoła magazyn paszy. Dziękujemy panu, kapitanie. Oto klucze.

– Już ci mówiłem w Awinionie, kochany Rolandzie – odparł sir John – że Francuzi to naród bardzo zabawny.

– Zbytnia grzeczność, milordzie – odparł Roland – powiedz: głupi, a nie zabawny. Rozumiem kataklizmy polityczne, Żakierię, noc św. Bartłomieja, Ligę, Frondę, Rewolucję; rozumiem 14 lipca, 5 i 6 października, 20 czerwca, 10 sierpnia, 2 i 3 września, 21 stycznia, 31

maja, 30 października, 9 termidora; rozumiem pochodnie wojen domowych; rozumiem wzbieranie fali rewolucyjnej, której nic nie może powstrzymać, oraz jej odpływ, unoszący z sobą gruzy instytucji, które obalił jej przypływ. Wszystko to rozumiem, lecz niech to będzie szabla na szablę, człowiek na człowieka, naród na naród! Rozumiem wściekły gniew zwycięzcy i krwawy opór zwyciężonych; rozumiem wulkany polityczne, które wstrząsają ziemią, obalają trony, zrzucają głowy i korony na szafot... lecz nie rozumiem, po co niszczyć granit, wyjmować spod prawa zabytki, niszczyć rzeczy martwe, które nie należą ani do tych, co je burzą, ani do czasu, który je znosi. Co za wandale i barbarzyńcy! Gorzej – idioci, którzy mszczą się na kamieniach za zbrodnie Borgii i orgie Ludwika XV! Dobrze znali ludzi ci faraonowie, Menesy i Cheopsy, którzy budowali piramidy z bloków granitowych po 50 stóp długości. Musieli się śmiać z głębi swych grobów, gdy widzieli, jak czas tępi na nich swą kosę a paszowie łamią swe pazury. Budujmy piramidy, kochany lordzie! Nietrudne to pod względem architektonicznym i niepiękne, jako sztuka. Ale za to mocne! To właśnie pozwoliło rzec pewnemu generałowi po czterech tysiącach lat: „Żołnierze. Z wyżyn tych pomników patrzy na was czterdzieści stuleci!" — Doprawdy, chciałbym w tej chwili spotkać wiatrak, aby z nim walczyć.

I Roland wybuchnął po. tej tyradzie swym zwykłym śmiechem, prowadząc gościa w kierunku zamku.

Sir John zatrzymał go.

– Czy nie ma nic do obejrzenia w mieście poza kościołem?

– Dawniej odparł Roland – mógłbym cię zaprowadzić do podziemi książąt sabaudzkich. Poszukalibyśmy jednego przejścia podziemnego na milę prawie długiego, które się łączy, jak mówią, z grotą w Ceyzeriat. Chodźmy...

– A dokąd pójdziemy?

– Nie wiem doprawdy... Przed dziesięcioma laty zaprowadziłbym cię do turgarni pulard breskich, cieszących się sławą europejską. Podczas terroru zakład zamknięto. Kto jadł pulardę, uważany był za arystokratę. A znasz tę zwrotkę braterską:

„Ah ça ira, ça ira, les aristocrates à la lanterne!

Po upadku Robespierre'a otwarto go ponownie. Lecz od 18 fruktidora nakazano chudnąć nawet kurom. Chodźmy jednak. Pokażę ci co innego – plac, na którym ścinano tych, co jadali pulardę.

– Cóż to, nie jesteś republikaninem? – zapytał sir John.

Ja? Ależ uważam się za doskonałego republikanina. Gotów jestem spalić sobie rękę, jak Mucius Scevola, lub skoczyć w przepaść, jak Curtius dla zbawienia rzeczypospolitej. Ale nie lubię śmieszności. Zgadzam się na konstytucję z 1791 r. Ale uważam, że za daleko posunął się taki Hérault de Séchelles, który zażądał od dyrektora biblioteki narodowej ustaw króla Minosa, aby napisać konstytucję na wzór ustaw starożytnej Krety. Uważam, że styczeń, luty, marzec są równie dobre jak nivôse, pluviôse i ventôse. Nie rozumiem, dlaczego ktoś, kto w 1789 r. nazywał się Antoni lub Chryzostom, w 1793 nazywa się Brutus albo Casjus. Oto mamy! Ulica ta nazywała się kiedyś Targową, a teraz nazywa się ulicą Rewolucji. A oto druga – ongi ulica Notre-Dame, dziś ulica du Temple. Dlaczego du Temple? Chyba dla uwidocznienia miejsca, w którym podły Simon chciał nauczyć rzemiosła następcę 63 królów. Wreszcie ta ulica: nazywała się kiedyś Crèveocur, dziś nazywa się ulicą Federacji. Federacja jest rzeczą piękną, ale nazwisko Crèveocur jest również piękne. Prowadzi ona wprost na plac Gilotyny. Wolałbym, żeby takich ulic wcale nie było. Ulica ta ma tę dobrą stronę, że jest o sto kroków od więzienia. Oszczędza to pracy panom de Bourg. Rozumiesz! Kat jest szlachcicem. Na domiar jest to plac wygodny dla widzów. Mój dziadek, de Montrevel, którego imię nosi, rozwiązał widać, w przeczuciu swego losu, zagadnienie, nierozwiązane w teatrach, że zewsząd dobrze widać. Więzienie to przed nadejściem Cezara było świątynią galską. Cezar zrobił z tego gmachu twierdzę rzymską, jakiś nieznany architekt przebudował ją na zameczek

średniowieczny; następnie mieli tu swą rezydencję książęta sabaudzcy. Po pokoju w Lugdunie, gdy Bresse powróciło do Francji, umieszczono tu sąd i więzienia. Zaczekaj tu na mnie milordzie. Muszę odwiedzić to więzienie.

– Nie lubię zgrzytu zamków, ale prowadź mnie do tej kaźni.

– No to idźmy prędko; zdaje mi się, że ta gromada ludzi, która się zbliża, chce o czymś ze mną pomówić.

Istotnie, ludzie wychodzili z domów, tworzyli gromadki na ulicach i pokazywali sobie Rolanda. Roland zadzwonił do bramy, prowadzącej na więzienne podwórze. Odźwierny otworzył.

– To wy, ojcze Courtois? – zapytał młodzieniec. A zwracając się do sir Johna:

– Piękne imię dla stróża więziennego, nieprawdaż, milordzie? Dozorca popatrzył na młodzieńca ze zdziwieniem.

– Jakim sposobem pan zna moje nazwisko, a ja pańskiego nie znam?

– Znam nie tylko nazwisko, ale wasze przekonania. Jesteście, ojcze Courtois, starym rojalistą.

– Panie! – zawołał przestraszony dozorca. – Bez niemądrych żartów, jeśli łaska. Mów pan, czego chcesz.

– Ojcze Courtois! Chciałbym odwiedzić celę, w której więziono moją matkę i siostrę, panią i pannę de Montrevel.

– Co! To pan Ludwik? – zapytał dozorca. – Wyrósł pan na ładnego chłopca.

– Rzeczywiście? No to piękne za nadobne: córka wasza, Karolina, jest naprawdę ładną dziewczyną. Karolina jest panną służącą mojej siostry, milordzie.

– No i dobrze jej tam; lepiej, niż tutaj, panie Rolandzie. Czy to prawda, że pan jest adiutantem generała Bonaparte?

– Niestety! Mam ten zaszczyt. Wolelibyście, ojcze Courtois, żebym był adiutantem hrabiego d'Artois albo księcia d'Angoulême?

– Ależ zamilknij pan, panie Ludwiku!

Zbliżając się do ucha młodego człowieka, zapytał:

– Czy to prawda?

– Co, ojcze Courtois?

– Że generał Bonaparte przejechał wczoraj przez Lugdun.

– Musi być coś z prawdy w tej pogłosce. Rozumiem teraz: ci ludzie, którzy mi się przyglądali z taką ciekawością, jak gdyby chcieli mnie o coś pytać, tak samo jak wy, ojcze Courtois, chcieliby się dowiedzieć o celu powrotu generała Bonaparte.

– A wie pan, o czym jeszcze mówią, panie Ludwiku?

– A mówią jeszcze co innego?

– Mówią, ale po cichutku.

– Cóż takiego?

– Mówią, że Bonaparte chce od Dyrektoriatu odebrać tron jego Królewskiej Mości Ludwika XVIII i że jeśli obywatel Gohier, jako prezydent, nie odda dobrowolnie, to odbierze mu siłą.

– No, no! – zawołał młody oficer, z tonem powątpiewania.

Lecz stary Courtois potwierdził informację ruchem głowy.

– Być może – rzekł Roland. – Teraz, kiedy mnie znasz, wpuść nas do więzienia.

Dozorca, a za nim Roland i Anglik przeszli podwórze i weszli na schody, prowadzące do wnętrza więzienia.

Schody te najpierw prowadziły do przedsionka, gdzie rezydował odźwierny; z przedsionka po dziesięciu stopniach schodziło się do podwórka, oddzielonego od podwórza dla więźniów wysokim murem z trzema drzwiami; w końcu podwórza korytarz doprowadzał do izby

dozorcy; z izby tej wychodziło się przez drugi korytarz wprost do cel więziennych, zwanych klatkami.

Dozorca zatrzymał się przy pierwszej celi, stukając w drzwi, mówił:

– To tutaj wsadziłem pańską matkę i siostrę, ażeby miały pod ręką mnie lub Karolinę.

– Czy jest ktoś w tej celi?

– Nie ma nikogo.

– Bądźcie dobrzy i otwórzcie drzwi. Oto mój przyjaciel, lord Tanlay, który bada, czy lepsze są więzienia we Francji czy w Anglii.

– Wejdź, milordzie.

Dozorca otworzył drzwi, Roland wepchnął przyjaciela do małej kwadratowej celi.

– Trochę ponure miejsce – zauważył sir John.

– Otóż tutaj przeżyły sześć tygodni moja matka i siostra, nie wiedząc, czy nie wyjdą stąd na szafot. Było to pięć lat temu; siostra miała dopiero dwanaście lat.

– A jaką zbrodnię popełniły?

– Straszną! W rocznicę święta dla uczczenia pamięci Przyjaciela Ludu dziewice miały nieść urny ze łzami Francji. Otóż moja matka nie chciała, aby siostra niosła taką urnę. Matce zdawało się, że dość dała ojczyźnie, skoro mąż przelewał krew w Niemczech, a syn we Włoszech. Jednak ojczyzna domagała się jeszcze łez córki. Otóż matka uważała, że za dużo ofiar, zwłaszcza że łzy miały płynąć dla obywatela Marata. W rezultacie matkę uwięziono w dniu samego święta. Na szczęście sprawę udało się przeciągnąć, aż pewnego dnia przyszła wiadomość o śmierci Robespierre'a. Wypadek ten powstrzymał wiele rzeczy, między innymi egzekucje. Sędziom perswadowano, że z Paryża wieje inny wiatr i po 16 dniach oświadczono matce i siostrze, że są wolne... No, żegnajcie, Courtois; byliście dobrzy dla mej matki i siostry; nie jestem bogaty, mam przy sobie tylko pięćdziesiąt ludwików; macie je. Chodźmy, milordzie.

Wychodząc z więzienia, Roland i sir John zobaczyli na placu tłumy ludzi, którzy wołali: „Niech żyje Bonaparte!" Jedni dlatego, że byli wielbicielami zwycięzcy spod Piramid, inni – że powiedziano im, że ten sam zwycięzca zwyciężał dla dobra króla Ludwika XVIII.

Roland i sir John powrócili do zamku. Panie wyszły. Roland usadowił gościa w fotelu prosząc, aby zaczekał kilka minut.

– Kochany gościu – mówił powróciwszy – przynoszę ci program owej uroczystości, przez którą moja matka i siostra o mało nie postradały głów. Przeczytasz sobie ten dokument, ja zaś zajrzę do moich psów; sądzę, że zaraz ruszymy na polowanie.

I wybiegł, pozostawiwszy gościowi uchwałę rady miasta Bourg co do uroczystości żałobnej na cześć Marata w rocznicę jego śmierci.

# Dzik

Sir John kończył właśnie czytanie tego ciekawego dokumentu, gdy weszły pani i panna de Montrevel.

Amelia, która nie wiedziała, że pomiędzy Rolandem a sir Johnem była mowa o niej, zdziwiła się na widok wyrazu oczu gościa, kiedy na nią spojrzał.

Anglikowi Amelia wydała się jeszcze bardziej zachwycająca.

Rozumiał dobrze matkę, która z narażeniem własnego życia nie chciała profanować tej pięknej istoty i pozwolić jej na uczestnictwo w uroczystości, w której bogiem miał być Marat. I przypomniał sobie zimną i wilgotną celę i zadrżał na wspomnienie, że tam przecież sześć tygodni spędziło to białe i delikatne stworzenie.

Myśli, jakie przebiegały przez głowę sir Johna, nadawały jego twarzy wyraz tak różny od tego, jaki miał zazwyczaj, że pani de Montrevel zapytała, co mu jest.

Sir John na to odpowiedział o wizycie w więzieniu. Gdy kończył opowiadanie, rozległy się dźwięki pobudki myśliwskiej i Roland wszedł z trąbą przy ustach.

– Kochany gościu – rzekł, opuszczając trąbkę – podziękuj matce. Dzięki niej będziemy mieli świetne polowanie.

– Dzięki mnie? – zapytała pani de Montrevel.

– W jaki sposób? – dorzucił sir John.

– Oglądałem moje psy. Miałem dwa doskonałe psy: sukę i psa.

– Czy nie zdechły czasem?

– Otóż, wyobraź sobie, że moja kochana matka nie pozwoliła utopić żadnego ze szczeniaków. I oto potomstwo tej pary jest tak liczne, jak potomstwo Izmaela. Mam tedy całą sforę dwudziestu pięciu psów myśliwskich. Wszystkie czarne z białymi łapami. Słowem, cały regiment ogonów poskręcanych w trąbkę, aż miło popatrzeć.

I Roland zatrąbił po raz drugi; na głos tej fanfary przybiegł młodszy brat.

– Co to! – zawołał. – Idziesz jutro na polowanie? I ja pójdę, i ja pójdę!

– Dobrze – rzekł na to Roland. – A czy wiesz, na co polujemy?

– Nie wiem. Wiem tylko, że i ja pójdę.

– Polujemy na dzika.

– Ach, to doskonale!

– Zwariowałeś! – zawołała, blednąc pani de Montrevel.

– Dlaczego, mamo?

– Przecież polowanie na dzika to rzecz bardzo niebezpieczna.

– Mniej niebezpieczna, niż polowanie na ludzi, z którego przecież wrócił cało mój brat.

– Rolandzie – zwróciła się matka do syna – wytłumacz Edwardowi, iż nie ma najmniejszego sensu...

– Wziąłbym cię chętnie – odezwał się Roland – ale czy ty znasz przynajmniej strzelbę?

– E, panie Rolandzie – odparł żywo Edwardek. – Chodź no ze mną do parku, a pokażę ci, co to jest strzelba.

– Gdzie nauczyłeś się strzelać? – zawołała pani de Montrevel.

– U puszkarza w Montagnat, u którego są strzelby ojca i Rolanda. Pytałaś mnie nieraz mamo, co robię ze swymi pieniędzmi? Otóż kupowałem proch i kule i uczyłem się tłuc Austriaków i Arabów, jak to robi Roland.

Matka załamała ręce.

– Cóż robić, mamo. Dobry pies ma instynkt do polowania. Trudno; Montrevel nie może bać się prochu. Pójdziesz jutro z nami.

Chłopiec skoczył bratu na szyję.

– Ja zaś – wtrącił sir John – podejmuję się pasować cię na myśliwego, jak ongi pasowali na rycerza. Mam ładny karabinek; z nim cierpliwiej będziesz czekać na pistolety i szablę.

– No, kontent jesteś, Edwardzie? – zapytał Roland.

– Tak, ale kiedy dostanę ten karabinek? Jeśli ma pan pisać do Anglii, to nie wierzę obietnicy.

– Nie, przyjacielu; idź na górę i otwórz pudło z bronią.

– No to idźmy zaraz do pańskiego pokoju.

– Chodźmy – rzekł Anglik.

I wyszli.

W chwilę potem wyszła również wciąż zamyślona Amelia.

Matka i Roland dyskutowali jeszcze, czy Edward ma iść na polowanie, gdy ten powrócił już z karabinem na ramieniu.

– Popatrz no, Rolandzie, co za ładny prezent zrobił mi milord.

I dziękował wzrokiem sir Johnowi, który stał na progu i spojrzeniem szukał Amelii.

Roland wziął karabin do ręki, przymierzył go, popróbował cyngli i kurków i przerzuciwszy z ręki do ręki oddał Edwardowi.

– Podziękuj – rzekł jeszcze raz – milordowi; masz królewską broń. Chodźmy spróbować.

I wszyscy trzej wyszli. W kwadrans potem Edward wszedł z miną triumfatora, trzymając w ręku krążek tekturowy, przebity pięcioma kulami, na danych dwanaście strzałów z odległości pięćdziesięciu kroków.

Roland i sir John pozostali w parku.

Pani de Montrevel wysłuchała z lekka upiększonego opowiadania Edwarda i popatrzywszy chwilę ze smutkiem na niego, wzięła go w ramiona:

– I ty także – rzekła przez łzy – ty także kiedyś mnie opuścisz?

– Tak, matko, ale po to, aby zostać generałem, jak mój ojciec lub adiutantem, jak mój brat.

– I po to, aby zginąć, jak zginął ojciec i jak zginie być może brat.

Bo nie uszła uwagi matki dziwna zmiana, jaka zaszła w usposobieniu Rolanda. Do tej troski dołączyły się i inne, a mianowicie: zamyślenie i bladość Amelii.

Śmierć ojca zachmurzyła jasną i radosną młodość Amelii. Zdawało się, że smutek minął i że Amelia zaczyna odzyskiwać wesołość. Niestety, pewnego dnia oblicze jej znowu posmutniało, lica pobladły i uśmiech zniknął z ust.

Pani de Montrevel wypytywała Amelię, lecz ta twierdziła, że nic nie zaszło.

Instynktem macierzyńskim wiedziona, pani de Montrevel pomyślała o miłości. Lecz kogo mogła pokochać Amelia? Wszak nikt nie bywał w zamku, zamieszki polityczne bowiem przerwały życie towarzyskie. a zresztą Amelia nie wyjeżdżała z zamku.

I pani de Montrevel gubiła się w domysłach.

Powrót Rolanda wzbudził w niej pewne nadzieje, które jednak rozwiały się, gdy dostrzegła wrażenie, jakie ten powrót wywarł na Amelii.

Od powrotu Rolanda pani de Montrevel nie spuszczała oka z córki i z bolesnym zdziwieniem dostrzegła, że powrót brata wprost przerażał Amelię.

Wszak przed chwilą zaledwie Amelia wymknęła się do swego pokoju, do jedynego miejsca w zamku, w którym czuła się lepiej i w którym od sześciu miesięcy spędzała większą część wolnego czasu.

Tylko dzwonek obiadowy sprowadzał ją na dół.

Roland i sir John resztę dnia spędzili na przygotowaniach do polowania. Nazajutrz z rana miano tropić zwierzynę, a po południu polować z psami. Michał, znany kłusownik, który, jak oznajmił Edward, niedomagał, raptem poczuł się zdrowszy, gdy dowiedział się o polowaniu, wdrapał się na konia, aby zatrzymać obławę w Saint-Just i Montagnat.

Sam zaś, ponieważ nie mógł iść z nagonkę, miał jechać z psami i czekać w środku lasu z końmi Rolanda, sir Johna i Edwarda.

Wczesnym rankiem obława czekała już na podwórzu zamku.

Michał miał wyruszyć z psami i końmi dopiero o jedenastej.

Ponieważ spodziewano się głównie jeleni, kóz i zajęcy, przeto myśliwi uzbroili się w ładunki śrutowe. Karabin Edwarda zaś powierzono Michałowi, który miał go podać Edwardowi, gdyby ruszono dzika. Na tę drugą część polowania i Roland i sir John mieli przygotowane karabiny dwustrzałowe i ostre kordelasy.

Już z pierwszego zakładu widoczne było, że polowanie będzie dobre: zabito kozę i dwa zające.

W południe zabito trzy jelenie, siedem kóz i dwa lisy. Widziano nawet dziki, ale naboje śrutu nie zrobiły im krzywdy.

Edward nie posiadał się z radości, zabił dwie kozy.

Michał wiedział, gdzie kryje się młody odyniec.

Jakub, starszy syn Michała, przeszukał zarośla z dwoma psami: Barbichonem i Ravaudem. W pięć minut ukazał się dzik tak blisko, że można go było zaraz położyć. Aby jednak przedłużyć polowanie, puszczono wszystkie psy. Dzik, widząc psiarnię, ruszył drobnym truchtem i przebiegł drogę.

Roland zatrąbił na: „pilnuj”! Ponieważ zaś dzik wspiął się w kierunku klasztoru Kartuzów, trzej jeźdźcy pomknęli ścieżką, która przecinała las wzdłuż.

Dzik kołował po lesie do piątej wieczór, nie chcąc opuszczać tak dobrej kryjówki. Około piątej po głosach psów widać było, że został osaczony.

Istotnie, o sto kroków od pawilonu klasztornego psy przydybały dzika w miejscu trudno dostępnym. Trzeba było zsiąść z koni.

Myśliwi zbliżali się powoli do tej grupy.

Edward, najzapalczywszy i najmniejszy, najłatwiej przedzierał się przez gąszcza. Tuż za nim posuwał się Roland. Na końcu szedł sir John, najrozważniejszy i najspokojniejszy.

Dzik, gdy zobaczył myśliwych, przestał zwracać uwagę na psy. Utkwił krwawe oczy w ludzi i tylko wydawał groźne pomruki.

Roland przez chwilę przypatrywał się zwierzowi, chcąc rzucić się z kordelasem.

Spostrzegł ten ruch sir John i powstrzymał Rolanda.

Tymczasem Edward prosił:

– Pozwól mi strzelać!

– No to strzelaj – rzekł Roland, odkładając strzelbę i wyciągając kordelas z pochwy. – Wal, ale uważnie!

– Bądź spokojny – odparł chłopak, zaciskając zęby, i podniósł lufę.

– Jeśli chybi lub tylko zrani – zauważył sir John – dzik rzuci się na nas, zanim się obejrzymy!

– Wiem, milordzie. Ale jestem przyzwyczajony do tego rodzaju polowania – odparł Roland.

– Pal, Edwardzie!

Strzał padł na komendę. Lecz w tej samej chwili dzik rzucił się jak strzała w kierunku chłopca.

Rozległ się drugi strzał, lecz dzik sunął dalej.

Zagradzał mu jednak drogę Roland, który, przyklęknąwszy na jedno kolano, trzymał kordelas w pogotowiu.

Dzik i człowiek zwarli się. Rozległ się trzeci strzał, po czym usłyszano śmiech Rolanda.

– Milordzie! – wołał młody oficer. – Szkoda naboju; przecież dzik już wypatroszony. Wyciągnijcie mnie spod niego; waży bestia ze czterysta.

Zanim jednak Anglik przyszedł z pomocą, już Roland potężnym ruchem ramienia zwalił z siebie zwierza i wstał, ociekając krwią dzika, sam zupełnie nietknięty.

Sir John patrzył na Rolanda po tym drugim pojedynku z tym samym podziwem, z jakim patrzył nań po pierwszym. Psy tarmosiły tymczasem zabitego dzika.

– Czekajcie, zobaczycie, że jeszcze go zjedzą wraz z kordelasem.

– A prawda, gdzie kordelas?

– A w swojej pochwie – rzekł Roland.

– O, tylko rękojeść wystaje! – zawołał chłopak.

I skoczywszy do dzika, wyrwał nóż.

Ostrze kierowane pewną i silną ręką doszło wprost do serca.

Poza tym znaleziono trzy inne rany. Jedna od kuli Edwardka ponad okiem; kula była jednak za słaba, aby przebić czaszkę. Drugą ranę zadał sir John, trzecia zaś pochodziła ze strzału, oddanego już po zabiciu dzika.

# Niemiłe zlecenie

Polowanie było skończone, zapadał mrok, trzeba było wracać do domu.

Trzej myśliwi powrócili do koni, dosiedli ich i dziesięć minut później byli już w zamku.

Pani de Montrevel oczekiwała ich. Biedna matka od godziny drżała z obawy o synów.

Edward, gdy ją tylko spostrzegł, pomknął galopem, wołając z daleka:

– Mamo, mamo! Zabiliśmy ogromnego dzika. Celowałem mu w łeb, Roland wpakował mu nóż w brzuch aż po rękojeść, milord strzelał dwa razy. Prędko posyłać ludzi, niech przywiozą! Roland cały okrwawiony, ale nie lękaj się, to krew dzika, on zdrów.

Matka wyszła naprzeciw syna. Chłopak zeskoczył z kuca i rzucił się jej na szyję.

Na tę chwilę nadjechali Roland i sir John, wkrótce zaś ukazała się na ganku Amelia.

Edward zostawił matkę z Rolandem i podbiegł do siostry, aby jej opowiedzieć o polowaniu.

Amelia słuchała go z roztargnieniem, co uraziło Edwarda, który wobec tego pobiegł do kuchni i opowiedział wszystko Michałowi. Ten słuchał uważnie. Gdy jednak Edward opisał miejsce, w którym padł dzik i powtórzył rozkaz Rolanda, aby szedł z ludźmi po dzika, Michał potrząsnął głową.

– A co to – zapytał Edward – nie słuchasz się mego brata?

– Broń mnie Boże, panie Edwardzie. Jakub zaraz jedzie do Montagnat.

– Myślisz, że nie znajdzie nikogo?

– Nie, znajdzie. Ale tu idzie o czas i o miejsce. Mówi pan, że to tuż przy pawilonie klasztoru Kartuzów?

– O dziesięć kroków.

– Wolałbym, żeby to było o milę – odparł Michał, drapiąc się w głowę. – Ale zresztą, niechaj będzie. Poślę po ludzi, nie mówiąc po co i dlaczego. Jak tu przyjdą, niech im to wytłumaczy pański brat.

– No, dobrze, niech tylko przyjdą, już ja im wytłumaczę.

– Och, gdybym nie był chory, sam bym poszedł! Jakubie!... Jakubie!...

Edward czekał, dopóki Jakub nie wyruszył do Montagnat. Potem poszedł przebrać się.

Przy stole mówiono oczywiście tylko o polowaniu. Edward o niczym innym nie chciał mówić, a sir John, zachwycony odwagą i zręcznością Rolanda, uzupełniał wciąż nowymi szczegółami opowiadanie Edwarda.

Matka najbardziej była wzruszona tym, że Roland uratował Edwarda.

– A czyś mu podziękował? – zapytała chłopca.

– Za co mam dziękować? Przecież zrobiłbym to samo.

– Trudno, pani – wtrącił sir John –jesteś gazelą, która wydała na świat rasę lwów.

Amelia również uważnie słuchała opowiadania, zwłaszcza od chwili, gdy zaczęli opowiadać o tym, co się działo koło klasztoru Kartuzów.

Pod koniec obiadu oznajmiono, że Jakub wrócił z Montagnat, przyprowadziwszy chłopów. Ci chcieli dowiedzieć się dokładnie o miejscu, w którym został dzik.

Roland wstał, aby dać im potrzebne wyjaśnienia, lecz pani de Montrevel, nie chcąc na chwilę tracić syna z oczu, kazała ich wprowadzić.

Po kilku minutach weszło dwóch chłopów, miętosząc czapki w rękach.

– Moi złoci – rzekł Roland – macie pójść do lasu Seillon, po zabitego dzika.

– To da się zrobić – odparł jeden z chłopów i wzrokiem zapytał drugiego.

– Tak, to można – dodał drugi.

– Bądźcie spokojni: dostaniecie za to...

– Nie o to chodzi, znamy przecież pana, panie de Montrevel.

– O tak, wiemy, że pan, jak i pański ojciec, nie kazali robić za darmo. Gdyby wszyscy panowie byli tacy, nie byłoby, proszę pana, rewolucji.

– To się wie – dorzucił drugi.

– Ale gdzież jest ten dzik? – zapytał znowu pierwszy.

– Tak, gdzież dzik? – powtórzył drugi.

– Łatwo go odnajdziecie.

– Tym ci lepiej – odparł chłop.

– Czy znacie ten pawilon w lesie?

– Jaki?

– Ten, który należy do klasztoru Kartuzów.

Chłopi spojrzeli na siebie.

– Otóż dzik leży o dwadzieścia kroków od pawilonu, od strony lasu Genoud.

– Hm! – bąknął jeden chłop.

– Hm! – powtórzył za nim drugi.

– Co to za „hm”? – zapytał Roland.

– No, tak...

– Gadajcie, o co chodzi?

– A bo to wolelibyśmy, żeby to było na drugim końcu lasu.

– Jak to na drugim końcu?

– No tak, na drugim – rzucił drugi chłop.

– Ale dlaczego na drugim końcu lasu? – zapytał zniecierpliwiony już Roland. – Przecież do drugiego skraju macie trzy mile, a do pawilonu tylko milę.

– Tak, ale miejsce, gdzie leży dzik...

– Właśnie – dodał drugi.

– Co właśnie?

– A właśnie za blisko klasztoru.

– Nie klasztoru, ale pawilonu.

– To wszystko jedno. Mówią przecież, że od klasztoru do pawilonu idzie korytarz podziemny.

– Oj, idzie – dodał drugi chłop.

– Ależ co ma klasztor, pawilon i korytarz do dzika?

– A ma to, że dzik leży w niedobrym miejscu; ot co jest.

– A tak, w niedobrym miejscu – powtórzył drugi chłop.

– Gadajcie, bisurmany, zrozumiale! – krzyknął zagniewny Roland, gdy matka już się niepokoiła, a Amelia widocznie pobladła.

– Z przeproszeniem pana, nie jesteśmy bisurmany, lecz ludzie, co się boją Boga. Ot co!

– Do stu tysięcy piorunów! I ja się boję Boga! Cóż dalej?
– Otóż nie chcemy mieć z diabłem do czynienia.
– Nie, nie chcemy – powtórzył drugi.
– Z człowiekiem, co innego, chłop równy chłopu.
– Czasem dwom – dorzucił drugi chłop, tęgi jak Herkules.
– Ale z istotami nadnaturalnymi, z widmami, duchami... ślicznie dziękujemy – ciągnął pierwszy.
– Dziękujemy – powtórzył drugi.
– Czy rozumiecie coś z tego, co gadają ci dwaj głupcy? – zapytał Roland, zwracając się do matki i siostry.
– Głupcy! – rzekł pierwszy chłop. – Być może. Ale jednak faktem jest, że Piotrowi Marey, który chciał popatrzeć przez mur klasztoru, skręciło łeb. Co prawda, to było w sobotę, w dzień sabatu.
– I nikt nie mógł odkręcić – dodał drugi – tak, że pochowali go z głową wykręconą.
– A to zaczyna być ciekawe – wtrącił sir John. – Bardzo lubię historie z duchami.
– Bardziej – dorzucił Edward – niż Amelia, milordzie... Popatrz no na nią.
– Dlaczego?
– Patrz, Rolandzie, jak zbladła.
– Prawda – odparł sir John. – Pani chyba niedobrze?
– Mnie? Ależ nie. To tylko tak z gorąca.
I Amelia otarła spocone czoło.
– Nie – odpowiedziała pani de Montrevel.
– Jednak – rzekła Amelia – czy można otworzyć okno?
– Otwórz, dziecko.
Amelia z pośpiechem podeszła do okna wychodzącego na ogród.
– No, przynajmniej można oddychać.
Sir John wstał, ofiarowując jej flakon z solami.
– Nie, dziękuję panu – zawołała Amelia – już mi dobrze.
– Pięknie, ale przecież chodzi o dzika – rzekł Roland.
– Znajdziemy go jutro.
– Tak, jutro znajdziemy go – powtórzył drugi chłop.
– No, a gdyby dzisiaj?...
– Dzisiaj...
Chłop popatrzył na towarzysza i obaj jednocześnie zawołali:
– Dzisiaj nie można!
– Tchórze!
– Panie Ludwiku, nie jest jeszcze tchórzem ten, kto się boi.
– O, nie! – dorzucił drugi.
– Jakże to? – zapytał Roland.
– To zależy od rzeczy, której się boi. Dajcie mi dobry nóż i porządną pałkę, a pójdę na wilka. Ze strzelbą pójdę na człowieka, nawet gdybym wiedział, że czeka aby mnie zabić.
– Ach, tak! – powiedział Edward. – Ale widma, chociażby cienia mnicha, to się boisz?
– Mój paniczu – odparł chłop – niech to mówi pan Ludwik; panicz za mały, aby żartować z takich rzeczy.
– Tak – dorzucił drugi chłop – niech no paniczowi wyrośnie pierw broda.
– Nie mam brody – odciął się Edward– ale gdybym miał dość siły, aby udźwignąć dzika, poszedłbym sam jeden czy w dzień, czy w nocy.
– Bardzo ładnie, paniczu. Ale ja i mój towarzysz to nie pójdziemy, nawet za ludwika.
– A za dwa? – zapytał Roland.

– Ani za dwa, ani cztery i nawet za dziesięć. Ładny grosz dziesięć ludwików. Ale co robić z nimi jeśli mi łeb ukręcą?

– A tak! Jak Piotrowi Marey.

– Przecież z tych dziesięciu ludwików nie wyżywią się moja żona i dzieci po mojej śmierci.

– Nie z dziesięciu, a z pięciu – zauważył drugi chłop – bo połowa mnie się należy.

– Więc do pawilonu przychodzą duchy? – zapytał Roland.

– Czy do pawilonu, tego nie jestem pewien; ale do klasztoru...

– Na pewno do klasztoru?

– Na pewno.

– Widziałeś je?

– Ja nie. Ale są tacy, co je widzieli.

– Może twój towarzysz? – zapytał oficer, zwracając się do drugiego chłopa.

– Duchów nie widziałem. Widziałem tylko płomienie, a Klaudiusz Philippon słyszał brzęk łańcuchów.

– Ach, mamy więc płomienie i łańcuchy! – odparł Roland.

– Tak! Płomienie sam widziałem – powiedział pierwszy chłop. – A Klaudiusz Philippon słyszał brzęk łańcuchów – dodał drugi.

– A jutro rano pójdziecie?

– Zanim pan wstanie, dzik już będzie.

– No to przyjdźcie do mnie pojutrze.

– Dobrze, panie, ale po co?

– Tak sobie, tylko przyjdźcie.

– Przyjdziemy, skoro pan chce.

– Przyjdźcie, a dam wam pewne wiadomości.

– O kim?

– O duchach.

Amelia wydała stłumiony okrzyk, który usłyszała tylko pani de Montrevel. Chłopi pożegnani przez Rolanda wyszli. Przez resztę wieczoru nie mówiono już ani o klasztorze, ani o pawilonie, ani o duchach.

# Niedowiarek

O dziesiątej wszyscy w zamku już spali, a przynajmniej byli w swoich pokojach.

Amelia kilka razy w ciągu wieczoru zbliżała się do Rolanda, jak gdyby chciała mu coś powiedzieć, ale za każdym razem wyrazy zamierały jej na ustach. Gdy się rozchodzono, wsparła się na ramieniu brata i odprowadziła go aż do drzwi jego pokoju.

Roland ucałował ją i zamknął drzwi, tłumacząc się zmęczeniem.

Tymczasem w rzeczywistości nie rozbierał się. Ze zbioru broni zdjął dwa prześliczne pistolety, ofiarowane jego ojcu przez Konwent, popróbował kurków, dmuchnął w lufę, aby przekonać się, czy nie są nabite.

Po czym ostrożnie otworzył drzwi na korytarz i widząc, że nikogo nie ma, zastukał do drzwi sir Johna.

– Proszę! – zawołał Anglik.

Sir John również nie był jeszcze rozebrany.

– Domyślałem się, że masz mi coś do powiedzenia. Czekam na ciebie – rzekł Anglik.

– Tak jest – odparł Roland, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

– Kochany gospodarzu – mówił Anglik – zaczynam cię poznawać, to znaczy, że tak jak twoi chłopi zaczynam się bać, kiedy jesteś wesoły.

– Słyszałeś, co oni gadali?

– Opowiedzieli przecudną historię o duchach. Mam w Anglii zamek, w którym również ukazują się duchy.

– Czyś je widział, milordzie?

– Tak, kiedy byłem jeszcze mały. Potem zniknęły, niestety.

– No, jak duchy – odparł wesoło Roland – przychodzą i odchodzą. Co za szczęście, że wróciłem właśnie w chwili, gdy się ukazują w klasztorze w Seillon.

– Bardzo szczęśliwie. Ale czy jesteś pewny, że są?

– Nie; ale pojutrze będę wiedział na pewno.

– W jaki sposób?

– Chcę tam spędzić noc.

– Chcesz, to i ja pójdę z tobą – rzekł Anglik.

– Bardzo bym był rad, ale to niemożliwe.

– Niemożliwe? Dlaczego?

– Znasz przecież zwyczaje tych duchów – odparł Roland poważnie.

– Nie.

– Ukazują się tylko w określonych okolicznościach.

– Wytłumacz się.

– We Włoszech na przykład, milordzie, i w Hiszpanii, w krajach najbardziej zabobonnych, nie ma duchów, a przynajmniej zjawiają się co dziesięć, dwadzieścia, co sto lat.

– A dlaczego tam nie ma duchów?

– Bo nie ma mgieł, milordzie.

– No!

– Niewątpliwie. Rozumiesz, milordzie: atmosfera duchów – to mgła. W Szkocji, Danii, Anglii, w krajach mgły, roi się od duchów. Mieliśmy tam ducha Hamleta, ducha Banka, cienie ofiar Ryszarda III. We Włoszech był tylko jeden duch – duch Cezara, który się zjawił tylko Brutusowi i to gdzie? W Tracji, w tej greckiej Danii, w Szkocji Wschodu, gdzie mgły smętkiem przejęły nawet Owidiusza. Wergiliusz dlatego ukazał ducha Anchizesa Eneaszowi, że pochodził z Mantui, kraju błot, mgieł, z tego gniazda widm.

– Mów dalej.

– Widziałeś brzegi Renu?

– Tak.

– Oto jeszcze jeden kraj wróżek, ondyn, a więc widm wskutek mgły.

– Wszystko dobrze, ale dlaczego nie chcesz mnie zabrać z sobą na tę wyprawę? – nalegał sir John.

– Poczekaj. Zaraz wyjaśnię, jakiego trzeba szczęśliwego zbiegu okoliczności, aby zobaczyć ducha.

– Mów, prędzej! – rzucił niecierpliwie sir John.

– Otóż duchy pokazują się po to, aby napędzić strachu temu, komu się ukazują.

– Tak, to prawda.

– Ja myślę! Jeśli nie zastraszą tego, komu się ukazują, to same się go boją. Na przykład historia pana de Turenne z duchami, które, okazało się, były fałszerzami pieniędzy. Dlatego to duchy wybierają noce burzliwe, gdy biją pioruny, migoczą błyskawice i wyje wiatr.

– Muszę przyznać, że masz rację.

– Poczekaj. Są chwile, w których najodważniejszy człowiek czuje strach. Zdarzyło mi się to kilka razy, gdy nie miałem jeszcze anewryzmu, gdy widziałem nad głową błysk szabel i słyszałem huk armat. Od czasu mej choroby, chociaż rzucam się w szał bitew bez strachu, udaje mi się jakoś. Ale duchy nie wiedzą o tym i myślą, że się boję... Ale powiedz, milordzie, czyś widział, aby duchy pokazały się kiedy dwóm osobom naraz?

– W istocie, nie słyszałem o tym nigdy.

– Otóż jest to proste. W dwóch nie ma strachu. Strach jest to uczucie niezależne od nas, rozwijające się w odosobnieniu, w ciemnościach. Przecież chyba duch nie jest groźniejszy od kuli działowej. A jednak żołnierz, bojący się kuli działowej, przestaje się bać, gdy ma przy sobie towarzyszy. Żołnierz albo zabija, albo ginie. Tego właśnie nie chcą duchy, dlatego nie pokazują się naraz dwom osobom. Oto dlaczego sam pójdę do klasztoru. Jeśli nic nie zobaczę lub zobaczę coś godnego uwagi, to pójdziesz tam jutro. Czy zgoda?

– Doskonale! Ale dlaczego nie mam iść pierwszy?

– Najpierw dlatego, że pomysł jest mój; następnie dlatego, że znam okolicę i że, wobec tego, w razie konieczności będę mógł łatwiej salwować się ucieczką lub tropić ducha. Chyba mam rację?

– Najzupełniej; ale jutro pójdę stanowczo.

– Jutro, pojutrze, chociażby co dzień. Ja jednak pójdę pierwszy. Ale niech to pozostanie między nami – dorzucił Roland.

– Dobrze. Ale broń weźmiesz?

– Tak, wezmę pistolety.

– Może weźmiesz moje?

– Nie, dziękuję; chociaż są one doskonałe, ale obiecałem sobie, że nie będę ich używał... Przynoszą mi nieszczęście... Dobranoc, milordzie.

Uścisnąwszy dłoń gościowi, Roland wyszedł i wrócił do swego pokoju.

Uderzyła go jedna okoliczność: znalazł drzwi otwarte, chociaż był pewien, że je zamknął, wychodząc.

Obecność siostry wszystko mu wytłumaczyła.

– To ty? – zapytał na wpół niespokojnie, na pół ze zdziwieniem.

– Tak, to ja – odparła dziewczyna, a zbliżywszy się do brata i pocałowawszy go w czoło, rzekła:

– Nie pójdziesz tam, prawda?

– Dokąd? – zapytał Roland.

– Do klasztoru.

– Masz tobie! A któż ci powiedział, że się tam wybieram?

– Znając cię, nietrudno jest odgadnąć twój zamiar.

– Ale dlaczego nie chcesz, bym tam szedł?

– Boję się, żeby ci się co nie stało.

– Ach tak! Więc wierzysz w duchy? – zapytał Roland, utkwiwszy wzrok w siostrze.

Amelia spuściła oczy.

– Posłuchaj, Amelio – rzekł Roland. – Ta, którą znałem, córka generała de Montrevel, siostra Rolanda, była zbyt rozumna, aby ulegać strachom, właściwym ciemnemu ludowi. Nie możesz chyba wierzyć w te bajdy o duchach, widmach, płomieniach i łańcuchach.

– Gdybym w nie wierzyła, mój kochany, mniej bym się obawiała. Zresztą, dlaczego duchy, jeśli istnieją, miałyby na ciebie nastawać? Nikomu nie zrobiłeś nic złego.

– Ach, zapominasz o tych, których zabiłem na wojnie lub w pojedynku.

Amelia potrząsnęła głową.

– Tych się nie boję.

– Czego więc się boisz?

Dziewczyna podniosła na Rolanda piękne jak noc, zapłakane oczy i rzucając się mu na szyję zawołała:

– Nie wiem, ale trudno, boję się!

Brat podniósł opuszczoną głowę siostry i zapytał:

– Nie przypuszczasz chyba, że pójdę jutro walczyć ze strachami?

– Bracie! Nie chodź do klasztoru – błagała wciąż Amelia.

– Czy to matka przysłała cię w tej sprawie? Przyznaj.

– Ależ nie, bracie, nie! Matka nic mi nie mówiła. To ja sama domyśliłam się, że chcesz tam iść.

– Otóż wiedz, że pójdę tam.

– Nawet, gdybym cię błagała, abyś nie szedł? – zapytała Amelia, osuwając się na kolana.

– Oj, kobiety, istoty niezrozumiałe i tajemnicze, które proszą, drżą, płaczą, nie wiadomo z jakiego powodu!... Pójdę, Amelio, gdyż już tak postanowiłem... A teraz pocałuj mnie, a zdradzę ci sekret...

Amelia podniosła się, patrząc na brata z rozpaczą.

– Przed rokiem mniej więcej doszedłem do wniosku – mówił młodzieniec – że prześladuje mnie nieszczęście: nie mogę umrzeć. Bądź więc spokojna.

Słowa te Roland wymówił z taką goryczą, że Amelia wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju.

Młody oficer zamknął za nią drzwi, szepcząc:

– Zobaczymy, kto ostatecznie zwycięży: ja, czy los.

# Widmo

Nazajutrz wieczorem o tej samej porze Roland, przekonawszy się, że wszyscy w zamku śpią, otworzył cicho drzwi swego pokoju, zszedł ze schodów do przedsionka, odsunął zasuwkę drzwi i skierował się ku bramie zajazdowej. Za bramą poszedł drogą od Pont-d'Ain do Bourgu. W tej chwili na wieżach kościelnych w sąsiednich wioskach wybiła godzina pół do jedenastej.

Obeznany dobrze z okolicą, Roland poszedł wprost przez las Seillon i w pięć minut był już na drugim jego krańcu. Niewielka polanka oddzielała go od murów klasztornych. Stanąwszy pod murem Roland przerzucił płaszcz na drugą stronę. Ubrany był w obcisłą kurtkę, skórzane spodnie, buty z cholewami i szeroki kapelusz. Za pasem miał dwa pistolety. Roland błyskawicznie przelazł przez mur, zakrył twarz płaszczem i szybkim krokiem skierował się do małych drzwi, prowadzących z ogrodu do klasztoru.

Bila jedenasta, gdy wchodził w te drzwi.

Roland zatrzymał się, przeliczył uderzenia zegara i wsłuchał się w ciszę nocną.

Cisza była zupełna... Klasztor był całkowicie opuszczony. Wszystkie drzwi były otwarte.

W refektarzu stały jeszcze stoły. Kilka nietoperzy zaczęło krążyć. Wystraszony puchacz wyleciał przez otwarte okno wydając złowieszczy krzyk.

– Chyba tutaj – powiedział Roland – założę swą kwaterę generalną; nietoperze i puszczyki, to awangarda duchów.

Głos ludzki w tym pustkowiu brzmiał ponuro.

Roland szukał miejsca, z którego można by widzieć całą salę. Wybrał odosobniony stół stojący na wzniesieniu, przy którym siadał zapewne przełożony klasztoru.

Doszukawszy się jakiegoś stołka, siadł za stołem, wyjął pistolety i zastukawszy trzykrotnie w stół, rzekł głośno:

– Posiedzenie otwarte, duchy mogą przyjść.

Ten drwiący głos przerwał ciszę i po chwili zamarł bez echa.

Promienie księżyca dostatecznie oświetlały refektarz, tak że Roland widział dokładnie całą salę.

Chociaż nie bał się, uważnie jednak łowił najlżejsze szmery.

Wybiło pół do dwunastej. Roland drgnął mimo woli. Tym razem bił zegar w samym klasztorze. Jakim sposobem w opuszczonym klasztorze mógł chodzić zegar?

– Ho, ho! – pomyślał Roland. – Wnoszę z tego, że coś ciekawego zobaczę.

Minuty płynęły za minutami; zrobiło się ciemniej; widocznie chmury przysłoniły księżyc. W miarę, jak zbliżała się północ, Roland coraz częściej słyszał jakieś nieuchwytne szmery, pochodzące widocznie z tego świata, który się budzi, gdy zasypia nasz świat.

Lecz Roland-żołnierz, Roland-myśliwy, znał te szmery, które go bynajmniej nie trwożyły. Wtem zabrzmiał znowu nad jego głową zegar... Biła północ. Z ostatnim uderzeniem rozległ się, jak zdawało się Rolandowi, słaby jęk.

Roland nadstawił ucha. Wstał, opierając dłonie na pistoletach. Słychać było szelest sukni lub prześcieradła, ciągnionego po trawie. Szmer dochodził z lewej strony.

Roland nadsłuchiwał coraz uważniej. Nagle w drzwiach refektarza ukazał się cień, przypominający stare statuy z grobowców. Owinięty był w całun, który wlókł za sobą.

Przez chwilę Roland przypuszczał, że padł ofiarą halucynacji, lecz jęk wydawany przez widmo, rozwiał wątpliwości.

– Ach, nareszcie – zawołał ze śmiechem. – Zmierzymy się, przyjadelu-duchu.

Widmo zatrzymało się i wyciągnęło rękę.

– Rolandzie, Rolandzie! – mówił duch głosem stłumionym. – Lepiej byś nie prześladował zmarłych aż do grobów, w które ich wpędziłeś.

I widmo powoli posuwało się dalej.

Roland, przez chwilę zdziwiony, zszedł wreszcie ze wzniesienia i poszedł w ślad za duchem.

Chociaż droga była trudna do przebycia ze względu na porozrzucane stoły i stołki, widmo jednak posuwało się prędko, jak gdyby po gładkiej drodze, ginęło w mroku i wynurzało się z niego, gdy mijało oświetlone przez księżyc okna.

Mając utkwiony wzrok w widmie, Roland nie mógł badać drogi, toteż potykał się na każdym kroku, duch zaś oddalał się coraz bardziej.

Wreszcie widmo doszło do drzwi przeciwnych tym, przez które weszło i pogrążyło się w ciemnym korytarzu. Roland zrozumiał, że strach mu umknie.

– Człowieku lub duchu, złodzieju lub mnichu – zawołał. – Zatrzymaj się, bo będę strzelał!

– Nie zabijesz dwukrotnie tego samego ciała – odparło głucho widmo.

– Kim jesteś?

– Jestem duchem tego, kogoś wyprawił z tego świata.

Młody oficer wybuchnął śmiechem.

– Jeśli mi nie masz nic innego do powiedzenia, to nie będę dłużej czekał.

– Przypomnij sobie fontannę w Vaucluse – odparł duch tak cichym głosem, że zdawało się Rolandowi, iż słowa te wyszły z ust, jak westchnienie raczej, niż mowa artykułowana.

Roland poczuł, że mu pot występuje na czoło. Wysiłkiem woli opanował się jednak i zawołał groźnie:

– Po raz ostatni uprzedzam, że jeśli nie usłuchasz – strzelę!

Widmo szło dalej.

Roland stanął i wymierzył. Widmo było o dziesięć kroków. I w chwili, gdy cień zarysował się wyraźniej pod ciemnym sklepieniem korytarza, Roland wystrzelił.

Blask rozdarł na chwilę ciemności. Widmo szło dalej, nie zwalniając kroku, i zniknęło wreszcie.

Roland rzucił się za nim, przekładając nie wystrzelony pistolet z lewej do prawej ręki.

Przez tę krótką chwilę widmo oddaliło się znacznie; Roland dojrzał je na końcu korytarza, wyraźnie zarysowane na szarym tle nocy. Gdy dobiegał do końca korytarza, widmo zniknęło za drzwiami koło cysterny. Jak gdyby wniknęło w mur; widać było tylko głowę i ramiona.

– Choćbyś był nawet diabłem, jednak cię dogonię! – zawołał Roland i strzelił po raz drugi.

Gdy rozwiał się dym, Roland szukał nadaremnie. Był sam. Rzucił się tedy do lochu; stukał w mur pistoletem, nogą walił w ziemię. Wszędzie ziemia i mur oddawały matowy głos przedmiotów masywnych. Ciemno było zupełnie.

– Światła, światła! – zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział, tylko szemrało źródło, bijące o trzy kroki od niego.

Widząc, że dalsze poszukiwania będą bezowocne, Roland wyszedł z lochu, nabił pistolety. Powrócił tą samą drogą do refektarza i czekał.

Zaświtało.

– Tym razem skończone – rzekł Roland. – Może następnym powiedzie mi się lepiej.

W dwadzieścia minut potem wchodził do zamku Noires-Fontaines.

# Poszukiwania

Dwie osoby oczekiwały Rolanda: jedna z niepokojem, druga z niecierpliwością. Byli to Amelia i sir John. Żadne z nich nie zmrużyło tej nocy oka.

Amelia zdradziła swój niepokój tym, że otworzyła drzwi, słysząc wejście Rolanda i zamknęła je, gdy wchodził na schody.

– Uspokój się, Amelio. To ja.

Amelia wybiegła z pokoju.

– Nic ci się nie stało, Rolandzie? – zawołała, ściskając brata.

– Nie.

– Ani tobie, ani nikomu?

– Ani mnie, ani nikomu.

– Nic nie widziałeś?

– Tego nie mówię.

– Cóżeś widział?

– Opowiem ci później; zresztą nikt nie zginął ani nie został ranny.

– Chwała Bogu!

– A teraz radzę ci, siostrzyczko, idź spać. Dobranoc!

Roland wszedł na drugie piętro. W korytarzu czekał sir John.

– No i co? – zapytał. – Widziałeś duchy?

– Widziałem coś, co na to wygląda.

– Opowiedz mi.

– Oto w kilku słowach cała historia.

I Roland treściwie opowiedział wydarzenia ubiegłej nocy.

– Dobrze – rzekł sir John – mam nadzieję, że zostawiłeś coś dla mnie.

– Boję się – odparł Roland – że zostawiłem dla ciebie rzecz najtrudniejszą... Ale sądzę, że dziś po śniadaniu obejrzymy klasztor za dnia: przyda ci się to na nocną wycieczkę. Tylko nikomu ani słowa.

Roland powrócił do swego pokoju.

Po śniadaniu młodzi ludzie znaleźli się pod murem klasztoru w tym samym miejscu, w którym Roland poprzednio przedostał się do ogrodu klasztornego.

– Oto droga, milordzie.

– No, to idźmy tędy.

Wkrótce obaj byli po drugiej stronie muru.

Roland poprowadził przyjaciela do drzwi wychodzących na ogród z gmachu klasztornego. Zanim weszli do gmachu, Roland rzucił okiem na zegar. Zegar, który szedł w nocy, był nieruchomy w dzień.

Następnie przyszli do refektarza. Roland pokazał Anglikowi przewrócony stołek, na którym położył pistolety i drzwi, przez które wszedł duch. Zbadali potem drogę, którą Roland szedł za widmem, obejrzeli miejsce, z którego strzelał, lecz kuli znaleźć nie mogli.

Kształt korytarza był taki, że skoro kula nie pozostawiła śladów na ścianach, musiała trafić w widmo. A jednak widmo nie zostało nawet zranione, ponieważ nigdzie nie było śladów krwi.

Lord Tanlay gotów był już przypuścić, że Roland miał do czynienia istotnie z duchem.

– Ktoś musiał tu być po mnie – rzekł Roland – i sprzątnąć kulę.

– Jeżeli strzelałeś do człowieka, to dlaczego kula nie przebiła go?

– Bardzo proste; musiał mieć pod całunem pancerz.

Oficer i Anglik prowadzili dalej badania. Doszli wreszcie do końca korytarza i znaleźli się na drugim krańcu ogrodu.

Tutaj to Roland po raz drugi dojrzał widmo, które zniknęło pod ciemnym sklepieniem.

Poszedł prosto do cysterny. Zapalili dwie pochodnie, które przynieśli z sobą i zaczęli szukać przejścia, w którym zniknęło widmo.

Cysterna wybrukowana była płytami kamiennymi, doskonale przystającymi do siebie. Wtem Roland natrafił stopą na kamień; odepchnął go i ujrzał żelazne kółko, wpuszczone w płytę. Nic nie mówiąc, schwycił za kółko, wsparł się na nogach i pociągnął mocno.

Płyta obróciła się lekko (snadź często ją podnoszono) i ukazało się wejście do podziemia.

– A! Tu właśnie zniknęło widmo – zawołał Roland.

Poszli tą samą drogą, którą szedł Morgan, aby zdać sprawę ze swej wyprawy. Po pewnym czasie doszli do kraty zamykającej grobowce.

Roland potrząsnął kratą, która się rozwarła.

Przeszli przez podziemny cmentarz i doszli do drugiej kraty, również, jak i pierwsza, otwartej. Po kilku stopniach weszli do chóru kaplicy, w której rozegrała się znana już czytelnikowi scena pomiędzy Morganem a towarzyszami Jehudy.

Widoczne było, że tu był kres ucieczki pseudoducha.

– Ponieważ – odezwał się Anglik –ja mam dziś wieczorem śledzić duchy i ponieważ mam prawo wyboru miejsca obserwacji, więc będę tutaj czuwał.

I wskazał na rodzaj stołu, zrobionego z pnia dębowego.

– Dobrze – rzekł Roland – ponieważ możesz jednak zastać kamień zapieczętowany albo kratę zamkniętą, więc szukajmy innej, krótszej drogi.

W pięć minut drogę tę znaleźli, mianowicie drzwi starej zakrystii prowadziły na chór, którego okno wychodziło na las.

Młodzi ludzie przez okno weszli w gąszcz leśny w pobliżu miejsca, gdzie zabili dzika.

– W porządku – zwrócił się Roland do Anglika – ale ponieważ w lesie tym nie zorientujemy się w nocy, więc odprowadzę cię aż tutaj.

– Dobrze; ale natychmiast powrócisz do domu. Pamiętam, coś mówił o wrażliwości duchów. Jeśli zwietrzą, że jesteś ze mną, nie zechcą się ukazać. Tyś już widział jednego, ja chciałbym też zobaczyć.

– Odejdę – odparł Roland – ale boję się...

– Czego?

– Te duchy nie będą bardzo rade tobie, jako Anglikowi i heretykowi.

– Co za nieszczęście – odparł poważnie Anglik – że do wieczora nie zdążę wyrzec się swej herezji.

Obejrzawszy wszystko, co było do obejrzenia, młodzi ludzie powrócili do zamku, gdy już podano do stołu.

O godzinie dziesiątej wszyscy rozeszli się jak zwykle do swych pokojów. Tylko Roland był u sir Johna.

Sir John przygotowywał się na wyprawę, jak na pojedynek. Starannie nabił pistolety i ubrał się w krótką kurtkę.

O wpół do jedenastej obaj zeszli ostrożnie. Przed jedenastą byli już pod oknem chóru. Tutaj mieli się rozstać, według umowy, którą przypomniał sir John.

– Umowa, to umowa – rzekł Roland – przyjmij tylko jedną radę.

– Jaką?

– Strzelaj w twarz.

Anglik kiwnął głową na znak zgody, uścisnął dłoń młodego oficera i skacząc po kamieniach znikł w zakrystii.

– Dobrej nocy – zawołał Roland.

I z właściwą żołnierzowi niefrasobliwością, zgodnie z daną obietnicą, powrócił do zamku Noires-Fontaines.

# Sąd

Nazajutrz Roland obudził się o godzinie siódmej i powoli przypomniał sobie wszystko, co zaszło między nim a sir Johnem, i zdziwił się, że Anglik nie wstąpił po powrocie do jego pokoju.

Ubrał się tedy pośpiesznie i, nie zważając, że może obudzić przyjaciela, zastukał do jego drzwi. Nikt mu nie odpowiedział. Zastukał po raz drugi. Takie samo milczenie.

Zaniepokojony już nieco, Roland otworzył drzwi i powiódł szybko wzrokiem po pokoju.

Sir Johna nie było; Anglik nie wrócił wcale, gdyż łóżko było nietknięte.

Nie tracąc chwili Roland powrócił do siebie, ubrał się, przypasał nóż myśliwski, przez ramię przewiesił strzelbę i wyszedł. W zamku jeszcze wszyscy spali, oprócz służącej, którą spotkał na schodach.

– Powiesz pani de Montrevel – zwrócił się do niej – że idę z sir Johnem do lasu i że być może na śniadanie nie wrócimy.

W kilkanaście minut potem był pod oknem zakrystii, pod którym rozstał się z lordem Tanlay'em.

Przez chwilę Roland bacznie się przysłuchiwał. Wewnątrz było cicho. Wlazł więc przez okno i jednym rzutem oka dostrzegł, iż w kapliczce nikogo nie ma. Następnie zza ołtarza doszedł do kraty grobowców i wszedł do podziemi. Dookoła panowały ciemności.

Trzykrotnie wołał sir Johna, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Dotarł do drugiej kraty, która, podobnie jak pierwsza, była otwarta.

Wszedłszy w sklepione przejście, przewiesił strzelbę przez ramię, a w rękę wziął nóż myśliwski.

Pogrążał się w ciemnościach, które stawały się coraz większe, w miarę, jak posuwał się naprzód. Wywnioskował stąd, że płyta w cysternie była opuszczona.

Dotarł wreszcie do schodków, podparł płytę, która się obróciła na zawiasach. Błysnęło światło.

Roland wyskoczył z podziemia. Drzwi prowadzące do ogrodu były otwarte. Przez ogród doszedł do korytarza, a wreszcie do refektarza. I tutaj nikogo nie było.

Znowu zawołał trzykrotnie sir Johna. Odpowiedziało mu tylko ponuro echo.

Roland przebył tę samą drogę w kierunku odwrotnym i znalazł się znowu na chórze kapliczki. Zaledwie tam wszedł, dojrzał na kamiennych płytach ślady krwi.

Po drugiej stronie chóru znalazł drugą plamę krwi, jeszcze świeżej.

Pomiędzy tymi śladami stał piedestał, na którym miał się usadowić sir John. Piedestał również był okrwawiony.

Widać było, że tutaj rozegrał się dramat.

Doświadczony żołnierz, Roland, po ilości krwi wywnioskował, że padło lub zostało zranionych trzech ludzi.

Kałuże krwi po obu stronach piedestału pozostawili prawdopodobnie przeciwnicy sir Johna. Na piedestale ślady krwi pozostawił prawdopodobnie sam sir John.

Zaatakowany z dwóch stron, Anglik musiał strzelić z obu pistoletów naraz i zranił obu napastników. Sam został osaczony przy piedestale i tutaj polała się jego krew.

Obejrzawszy dokładnie ślady walki, Roland przekonany był, że taki właśnie miała przebieg. Pozostawało sprawdzić, co się stało z ciałem sir Johna i jego napastników.

Właściwie, losy tych dwóch mało go obchodziły.

Ślady krwi prowadziły wyraźnie od piedestału do drzwi. Widocznie wyniesiono zwłoki na zewnątrz.

Roland potrząsnął ciężkimi drzwiami; były zaledwie przymknięte.

Ślady krwi widać było także po drugiej strome progu, a następnie w zaroślach. Połamane gałęzie i zmięta trawa doprowadziły Rolanda na skraj lasu koło drogi z Pont-d'Ain do Bourgu. Znać było, że tutaj jakiś czas leżało ciało.

Na tym kończyły się wszystkie ślady.

Roland dojrzał przechodnia, zbliżającego się od strony zamku. Podszedł doń i zapytał:

– Czyś nic nie widział na drodze? Nikogo nie spotkałeś?

– Owszem – odparł tamten – widziałem, jak dwóch ludzi niosło ciało na noszach.

– Jak wyglądał leżący?

– Był blady, bez ruchu; zdaje się, że umarł.

– Czy krew ciekła?

– Widziałem krople krwi na drodze.

– W takim razie żyje!

I zawołał wyciągając z kieszeni ludwika:

– Masz, biegnij do Bourgu, po doktora Millieta; niech jedzie co koń wyskoczy do zamku Noires-Fontaines. Powiedz mu, że chodzi o uratowanie człowieka od śmierci.

Włościanin ruszył żwawo w kierunku Bourgu, Roland zaś pośpieszył do zamku.

Spróbujmy odtworzyć wydarzenia tej nocy w starym klasztorze.

Sir John, przed jedenastą wszedł do pawilonu Correrie, który był po prostu leśną kapliczką. Z zakrystii przedostał się na chór.

Minuty płynęły. Anglik usłyszał wybijaną godzinę na wieży kościoła w Péronnaz, sąsiedniej wiosce.

Z ostatnim uderzeniem zegara zdało mu się, że słyszy jakieś kroki, że widzi światło od strony kraty, prowadzącej do grobów.

Sir John wytężył wzrok. W przejściu ukazał się zakapturzony mnich, trzymający w ręku pochodnię. Mnich miał na sobie habit kartuski. Za nim ukazał się drugi, trzeci... Sir John naliczył ich dwunastu.

Koło ołtarza mnisi rozdzielili się i zajęli miejsca w stellach po obu jego stronach. Wszyscy zachowywali głębokie milczenie. Każdy z nich wetknął swą pochodnię w otwór w oparciu stell. Przez chwilę czekali.

Wszedł trzynasty mnich i stanął przed ołtarzem.

Żaden z mnichów nie wyglądał na ducha, wszyscy mieli ruchy i wygląd ludzi, żyjących na tym świecie.

Sir John, oparty o piedestał, trzymając pistolety w obu rękach, z flegmą przypatrywał się ich manewrom, mającym widocznie na celu otoczenie go.

Wszyscy milczeli i stali.

Milczenie przerwał mnich, stojący przed ołtarzem.

– Bracia – zapytał. – Dlaczego zebrali się mściciele?

– Aby sądzić profana – odparli chórem.

– Jakie przestępstwo popełnił ten profan?

– Usiłował zbadać tajemnice towarzyszy Jehudy.

– Na jaką karę zasłużył?

– Na karę śmierci.

Po chwili milczenia trzynasty mnich zwrócił się do sir Johna:

– Sir Johnie Tanlay – rzekł – jesteś cudzoziemcem, jesteś Anglikiem. Tym bardziej powinieneś był zostawić w spokoju towarzyszy Jehudy i nie wtrącać się do ich walki z rządem, którego zgubę sobie poprzysięgli. Nie zrobiłeś tego, dałeś się pociągnąć swej ciekawości. Zamiast usunąć się z drogi, wpadłeś do legowiska lwa. Lew cię rozszarpie.

Poczekawszy chwilę na odpowiedź Anglika, który zachowywał jednak milczenie, mówił dalej:

– Sir Johnie Tanlay, skazany jesteś na śmierć; przygotuj się.

– Widzę, że wpadłem w gniazdo złodziei. Jeśli tak, to mogę się wykupić.

A zwracając się do mnicha, stojącego przed ołtarzem, zapytał:

– Na ile mnie szacujesz, kapitanie?

Groźny szmer był odpowiedzią na te zuchwałe słowa.

Mnich sprzed ołtarza wyciągnął rękę.

– Mylisz się, sir Johnie. Nie jesteśmy bandą złodziei – mówił spokojnie. – Na dowód możesz nam polecić, co mamy zrobić z pieniędzmi i kosztownościami, jeśli je masz przy sobie, wszystko zostanie oddane albo twej rodzinie, albo osobie przez ciebie wskazanej.

– A jaką mam gwarancję, że moja ostatnia wola będzie wykonana?

– Moje słowo.

– Słowo herszta rozbójników! Nie wierzę mu.

– I tym razem mylisz się, sir Johnie: nie jestem ani hersztem rozbójników, ani kapitanem złodziei.

– Kim więc jesteś?

– Jestem wybrańcem zemsty niebios, wysłańcem Jehudy, króla Izraela, pomazanego przez proroka Elizeusza, aby wytępić ród Achaba.

– Jeśliś jest tym, co mówisz, to po co zasłaniasz twarz? Po co nosicie pancerze pod waszymi szatami? Wybrańcy uderzają jawnie i życie swe ryzykują, zadając śmierć innym. Opuśćcie kaptury, nadstawcie golą pierś, a poznam, czy jesteście tymi, za których się podajecie.

– Bracia, słyszycie? – zapytał mnich, stojący przed ołtarzem.

I zrzucając habit odkrył się cały. Mnisi uczynili to samo.

Byli to ludzie młodzi. Ich ubranie zdradzało elegancję. Żaden nie był uzbrojony.

– Bądź zadowolony, lordzie Tanlay – rzekł mnich trzynasty. – Umrzesz tak, jak chciałeś. Możesz nas poznać i możesz pozabijać. Sir Johnie, masz pięć minut czasu, polecaj duszę Bogu.

Sir John, zamiast myśleć o wiecznym zbawieniu, obejrzał kurki pistoletów, stemplem zaś sprawdził, czy kule dobrze siedzą w lufach.

Po czym, nie czekając aż upłynie pięć minut, rzekł:

– Panowie! Jestem gotów! A wy?

Młodzi ludzie popatrzyli na siebie i na znak, dany przez dowódcę, zaczęli się zbliżać do sir Johna. Mnich stojący przy ołtarzu, pozostał na swym miejscu, przypatrując się rozgrywającej się przed nim scenie.

Sir John miał tylko dwa pistolety; mógł więc zabić tylko dwóch. Wybrał zatem dwie ofiary i strzelił. Dwaj towarzysze Jehudy padli na posadzkę, na którą spłynęła krew. Pozostali, jak gdyby nic się nie stało, posuwali się tym samym krokiem, wyciągając ręce do Anglika.

Sir John chwycił pistolety za lufy i manewrował nimi, jak młotkami. Był silny; walka więc ciągnęła się długo.

Po dziesięciu minutach szamotania się towarzysze Jehudy powrócili do stell, pozostawiając Tanlay'a na środku kaplicy skrępowanego sznurami od habitów.

– Czyś polecił duszę Bogu? – zapytał mnich, stojący przy ołtarzu.

– Tak, zbóju! – odparł sir John. – Możesz mnie zabić.

Mnich wziął z ołtarza sztylet, podszedł z ręką podniesioną do sir Johna i trzymając sztylet nad jego piersią rzekł:

– Sir Johnie Tanlay'u! Jesteś odważny, musisz być lojalny. Przysięgnij, że nic nie powiesz o tym coś tu widział; że w żadnych okolicznościach nas nie poznasz, a darujemy ci życie.

– Jeśli tylko stąd wyjdę, zadenuncjuję was i będę was tropił.

– Przysięgnij! – powtórzył mnich.

– Nie – odparł sir John.

– Przysięgnij! – powtórzył po raz trzeci mnich.

– Nigdy! – powtórzył sir John.

– A więc umieraj, kiedy chcesz!

I mnich pogrążył sztylet w piersi sir Johna aż po rękojeść. Anglik nawet nie westchnął. Mnich donośnym głosem człowieka, który spełnił swój obowiązek, zawołał:

– Sprawiedliwości stało się zadość!

Zostawiwszy sztylet w piersi ugodzonego i powracając do ołtarza, zwrócił się do zebranych:

– Bracia – rzekł – wiecie, że wezwani jesteście do Paryża na ulicę Bac pod nr 35 na bal ofiar, który odbędzie się 21 stycznia dla uczczenia pamięci zmarłego króla Ludwika XVI.

Co rzekłszy, pierwszy wszedł do podziemi, a za nim pozostali mnisi.

W kaplicy pozostały dwie zapalone pochodnie.

W chwilę potem weszli dwaj braciszkowie i podnieśli zwłoki dwóch towarzyszy, które złożyli w grobach klasztornych.

Po chwili wrócili, ciało sir Johna umieścili na noszach! wynieśli z kaplicy przez wielkie drzwi wejściowe, które zamknęli za sobą.

A teraz, jeśli czytelniku zapytasz, dlaczego towarzysze Jehudy inaczej obeszli się z Rolandem, a inaczej z sir Johnem, to przypomnimy ci, że Morgan zastrzegł sobie nietykalność brata Amelii, który zatem pod żadnym pozorem nie mógł paść z ręki towarzysza Jehudy.

# Domek przy ulicy de la Victoire

Przenieśmy się z Bourgu do Paryża i zobaczmy, co działo się 7 listopada, czyli 16 brumaire'a o godzinie czwartej po południu w domku przy ulicy Zwycięstwa, w domku historycznym dzięki słynnemu spiskowi z 18 brumaire'a.

Ściany gabinetu w tym domku pokrywają mapy geograficzne i plany miast. Po obu stronach kominka stoją półki z książkami. Książki leżą na stołach, krzesłach i kanapkach. Zajmują większość miejsc przeznaczonych do siedzenia.

Wśród ksiąg, papierów i raportów siedzi człowiek i mozolnie usiłuje odczytać kartkę, pokrytą notatkami, przy których hieroglify z obelisku w Luxorze byłyby zupełnie zrozumiałe.

W chwili, gdy niecierpliwość odczytującego notatki sekretarza dochodziła do szczytu, drzwi się otwarły i stanął w nich młody oficer w mundurze adiutanta.

Sekretarz podniósł głowę i na jego twarzy odbiła się żywa radość.

– Jesteś nareszcie, Rolandzie! – zawołał. – Generał czeka na ciebie z niecierpliwością. Czy zostałeś wezwany?

– Przez samego generała.

– Specjalną depeszą?

– Własnoręczną; masz – czytaj.

Roland wyjął papier zawierający dwa wiersze dobrze znanego Burrienne'owi pisma. Te dwa wiersze brzmiały:

„Wyjeżdżaj i bądź w Paryżu na 16 brumaire'a. Jesteś mi potrzebny”.

– Tak – bąknął Bourrienne – zdaje mi się, że to będzie osiemnastego.

– Osiemnastego. Ale co?

– Kiedy sam nie wiem. Człowiek ten – znasz go przecie – nie lubi się wywnętrzać. Co będzie 18 – tego nie wiem. Wiem tylko, że coś będzie.

– Ale co przypuszczasz?

– Zdaje mi się, że chce zostać dyrektorem na miejsce Sieyèsa, a może prezydentem na miejsce Gohiera.

– Ślicznie! A konstytucja roku trzeciego?

– Cóż tu ma konstytucja?

– Przecież dyrektorem można być mając lat czterdzieści, a generałowi brak akurat dziesięciu lat.

– Hm! Tym gorzej dla konstytucji. Pogwałcimy ją...

– Jeszcze za młoda, Bourrienne! Nie gwałci się dzieci siedmioletnich. W ręku obywatela Barrasa, mój kochany, dzieci rosną szybko. Siedmioletnia dziewczynka jest już starą kurtyzaną.

Roland potrząsnął głową.

– Cóż tam takiego? – zapytał Bourrienne.

– Nie sądzę, aby generał chciał zostać dyrektorem. Pomyśl tylko. Pięciu królów Francji – to nie dyrektoriat, to cały zaprzęg. Czy myślisz – zapytał Roland – że będziemy się bili?

– Być może.

– No to może uda mi się zginąć, czego bardzo pragnę. Lecz gdzie generał?

– U pani Bonaparte. Czyś kazał oznajmić mu swój przyjazd?

– Nie, chciałem wpierw widzieć się z tobą... Ale poczekaj. Zdaje mi się, że to jego kroki.

W tej samej chwili w drzwiach ukazał się ten sam mężczyzna, który w Awinionie odegrał swą rolę incognito, ubrany w malowniczy mundur dowódcy armii egipskiej.

Bonaparte, ujrzawszy młodzieńca, zawołał z radością w głosie:

– To ty, Rolandzie! Mój wierny Rolandzie! Wzywam cię, a już jesteś. Witam cię.

Wyciągnął dłoń do młodego człowieka i z nieznacznym uśmiechem i zapytał:

– Co robisz u Bourrienne'a?

– Czekam na generała.

– A czekając, gadacie jak stare baby.

– Tak jest, generale! Pokazywałem mu twe wezwanie na 16 brumaire'a.

– Napisałem 16 czy 17?

– 16, generale. 17 byłoby za późno.

– Dlaczego?

– Bourrienne mówi, że są wielkie projekty na 18.

– Masz tobie! – zamruczał Bourrienne – ten narwaniec zmyje mi głowę.

– Ach tak! Powiedział ci, że mamy projekty na 18?

I Bonaparte wziął za ucho Bourrienne'a, mówiąc:

– Drzwi!

A zwracając się do Rolanda:

– Tak, mój kochany! Mamy wielkie projekty na 18: będziemy z żoną na obiedzie u prezydenta Gohiera. Pójdziesz z nami.

Roland popatrzył na Bonapartego.

– To po to zostałem wezwany? – rzekł z uśmiechem.

– Po to, tak! A może i po co innego. Pisz, Bourrienne.

„Kochany prezydencie. Uprzedzam cię, że moja żona, ja i jeden z mych adiutantów przyjdziemy do ciebie na obiad pojutrze, dnia 18.

Stąd wnosić możesz, że zadowolimy się obiadem rodzinnym..."

– A co dalej? – zapytał Bourrienne.

– Co dalej?

– Czy trzeba dodać: „Wolność, równość, braterstwo"?

– Albo śmierć – dorzucił Roland.

– Nie – odparł Bonaparte. – Dawaj pióro.

I dopisał własnoręcznie: „Oddany Bonaparte".

– Bourrienne! Wyślij przez ordynansa. Ma być odpowiedź.

Gdy Bourrienne powrócił, Bonaparte zwrócił się doń:

– Popatrz, Bourrienne, na swego przyjaciela.

– Patrzę, generale.

– A wiesz ty, co on zrobił w Awinionie?
– Chyba nie papieża.
– Nie. Rzucił w twarz pewnemu jegomościowi talerz.
– Tak, to krewki człowiek.
– Myślisz, że to wszystko? Bił się jeszcze z nim.
– I zabił go – odparł Bourrienne.
– A tak. A wiesz za co?
– Nie.
Generał wzruszył ramionami.
– Za to, że ten człowiek nazwał mnie złodziejem... A propos. A cóż Anglik?
– Właśnie o nim chciałem z generałem porozmawiać.
– Czy jest jeszcze we Francji?
– Tak. Mam wrażenie, że chce tu zostać aż do dnia sądnego.
– Czy i tego nie chybiłeś?
– Nie! Jesteśmy w najlepszej zgodzie. To dobry człowiek, tylko oryginał. Proszę cię, generale, o trochę życzliwości dla niego. Bonaparte potrząsnął głową.
– Dla Anglika... Nie lubię Anglików.
– Zgoda. Jako narodu, ale jednostki...
– No więc, cóż mu się stało?
– Był sądzony i skazany.
– Co mi, do licha, bajesz?
– Szczerą prawdę, generale.
– Jaki sąd go skazał?
– Sąd towarzyszy Jehudy.
– Cóż to za jedni?
– Generale, zapomniałeś już o naszym przyjacielu Morganie, człowieku w masce, który odniósł handlarzowi win jego dwieście ludwików.
– Nie – odparł Bonaparte – nie zapomniałem. Bourrienne, czy ci nie opowiadałem o tym śmiałku?
– Tak, generale. Odpowiedziałem wówczas, że na miejscu generała chciałbym dowiedzieć się, kim jest ten Morgan.
– Gdyby generał nie wstrzymał mnie – wtrącił Roland – byłbym już wiedział.
– Czekajże, gaduło. Wróćmy do Anglika. Czy to Morgan go skazał?
– Nie on, lecz jego towarzysze.
– Wszak mówiłeś przed chwilą o trybunale i o wyroku.
– Wyobraź sobie, generale, że koło Bourgu stoi stary klasztor Kartuzów.
– Klasztor w Seillon; znam go.
– Skąd? – zapytał Roland.
– Czyż. generał nie zna wszystkiego? – wtrącił Bourrienne.
– W klasztorze tym ukazują się teraz duchy.
– Czy chcesz mi opowiedzieć historię o duchach?
– Tak, bardzo ciekawą.
– Do diaska. Bourrienne wie, jak ja je lubię. No, mów.
– Ludzie opowiedzieli nam, że do klasztoru przychodzą duchy. Ja i sir John chcieliśmy się przekonać i każdy z nas spędził w klasztorze noc.
– Tak. No, i widziałeś duchy?
– Jednego.
– Cóżeś zrobił?
– Strzeliłem.
– No i co?

– A nic; szedł dalej.
– I dałeś za wygraną?
– Nie, goniłem go; ale duch znał lepiej ode mnie drogę, bo wymknął mi się.
– Do licha!
– Nazajutrz poszedł tam sir John, nasz Anglik.
– Widział ducha?
– Więcej niż jednego. Widział dwunastu mnichów, którzy go sądzili za to, że przeniknął ich tajemnice, skazali go na śmierć.
– Nie bronił się?
– Jak lew. Zabił dwóch.
– I umarł?
– Prawie. Mam jednak nadzieję, że się wyliże. Przyniesiono go do zamku ze sztyletem w piersi. Na sztylecie wyryte były słowa: Towarzysze Jehudy.
– Czy możliwe, aby takie rzeczy działy się we Francji w końcu XVIII wieku?
Czy możliwe! Oto sztylet, generale.
Bonaparte obejrzał go uważnie.
– Mówisz, że mu wpakowali ten sztylet w piersi?
– Aż po rękojeść.
– I nie umarł?
– Przynajmniej dotychczas.
– Słyszałeś, Bourrienne?
– Tak.
– Trzeba, abym o tym sobie przypomniał, Rolandzie.
– Kiedy, generale?
– Gdy... będę władcą. Pójdź, przywitaj się z Józefiną. Chodź, Bourrienne; zjesz z nami obiad. Uważajcie tylko. Będzie Moreau. Sztylet chowam na pamiątkę.
I wyszli. Na schodach spotkali ordynansa, posłanego do Gohiera.
– No i co?
– Oto odpowiedź prezydenta.
– Dawaj.
Bonaparte rozpieczętował list i czytał:

„Prezydent Gohier rad jest z obietnicy generała Bonaparte. Będzie go oczekiwał pojutrze, 18 brumaire'a, wraz z małżonką i adiutantem. Do stołu siadamy o piątej. Jeśli ta godzina nie jest dogodna dla generała Bonaparte, będzie łaskaw wskazać dogodniejszą.

Prezydent
Gohier”.

16 brumaire'a roku VII.

Bonaparte z nieokreślonym uśmiechem schował list do kieszeni, a zwracając się do Rolanda:
– Czy znasz prezydenta Gohiera? – zapytał.
– Nie, generale.
– Poznasz go. Dzielny człowiek.

# Goście Bonapartego

Józefina, pomimo trzydziestu czterech lat, a może i z powodu tych najlepszych w życiu kobiety lat, zawsze piękna, więcej niż kiedykolwiek powabna, była, jak wiadomo, kobietą czarującą.

Czyniła właśnie honory domu, gdy wszedł Roland.

Józefina znała na Martynice matkę Rolanda. Zapytała go więc o jej zdrowie, o siostrę i Edwardka. Otrzymawszy odpowiedź, szepnęła:

– Postaraj się zostać dziś wieczorem po wyjściu wszystkich, a jutro porozmawiać ze mną na osobności. Chcę pomówić o nim (tu wskazała na Bonapartego wzrokiem). Mam ci dużo do opowiedzenia.

A zaraz potem dodała, wzdychając:

– Cokolwiek by się stało, nie opuścisz go, prawda?

– Jak to? – zapytał Roland zdziwiony.

– Domyślam się czegoś – odparła Józefina. – Jestem pewna, że jeśli porozmawiasz trochę z Bonapartem, zrozumiesz mnie. Tymczasem patrz, słuchaj i milcz.

Roland skłonił się i odszedł, postanawiając utrzymać się w roli obserwatora.

A było co obserwować.

Trzy główne grupy zajmowały salon.

Pierwszą stanowili goście, otaczający panią Bonaparte.

Druga – koło Talmy – składała się przeważnie z członków Instytutu.

W trzeciej grupie, do której przyłączył się Bonaparte, dostrzegł Roland Talleyranda, Barrasa, Lucjana, admirała Bruix, Roederera, Regnauda, Fouchégo, kilku generałów, a wśród nich Lefebvre'a.

Po chwili ogólnej rozmowy, Bonaparte wziął pod rękę byłego biskupa z Autun i poprowadził go do framugi okna.

– No i cóż? – zapytał.

Talleyrand popatrzył na Bonapartego w sposób sobie tylko właściwy..

– Cóż ci powiedziałem o Sieyèsie, generale?

– Powiedziałeś mi: „Szukaj oparcia w ludziach, którzy uważają przyjaciół Republiki za jakobinów. Na ich czele stoi de Sieyès”.

– I nie myliłem się.

– Więc kapituluje?

– Lepiej, już skapitulował.

– Człowiek, który chciał mnie zastrzelić za to, że wylądowałem w Fréjus bez kwarantanny!

– Ależ nie za to.

– A więc za co?

– Za to, żeś, generale, nie zauważył go i nie rozmawiał z nim na obiedzie u Gohiera.

– Przyznaję, że zrobiłem to świadomie. Nie znoszę tego eks-mnicha.

Bonaparte za późno spostrzegł się, że jego słowa są obosieczne; Sieyès zrzucił suknię zakonną, Talleyrand zdjął mitrę biskupią.

– Więc mogę na pana liczyć?

– W zupełności.

– A Cambacérès i Lebrun?

– Wziąłem na siebie najoporniejszego – Sieyèsa. Bruix rozmawiał z tamtymi.

Admirał Bruix nie spuszczał oka z generała i dyplomaty. Domyślał się, że rozmawiają o czymś ważnym. Bonaparte dał mu znak, aby się zbliżył.

Bruix, pozornie obojętny, okrążył salon dwa czy trzy razy, po czym jak gdyby spostrzegł dopiero Talleyranda i Bonapartego, podszedł do nich.

– To pewny człowiek – zauważył Bonaparte.

– I bardzo ostrożny – dodał Talleyrand.

– Trzeba go będzie ciągnąć za język.

– O nie. Teraz otwarcie przystąpi do rzeczy.

W istocie Bruix, zaledwie podszedł do nich, wyrzekł wiele znaczące słowa:

– Widziałem ich; wahają się.

– Wahają się? Cambacérès i Lebrun?

– Tak.

– Czyś nie mówił im, że chcę z nich zrobić konsulów?

– Tak daleko nie zobowiązywałem się – odparł, śmiejąc się, Bruix.

– A dlaczego? – spytał Bonaparte.

– Ponieważ dopiero teraz mówisz mi, obywatelu-generale, o swych zamiarach.

– Prawda – odparł Bonaparte, przygryzając wargi.

– Czy mam im to powtórzyć?

– Nie – odparł żywo Bonaparte. – Pomyślą, że ich potrzebuję. Niech się decydują dzisiaj bez żadnych warunków, oprócz tych, które znają. Jutro będzie za późno. Czuję się na siłach, jeśli mam za sobą Barrasa i Sieyesa.

– Barrasa? – zapytali ze zdziwieniem obaj.

– Tak, Barrasa, który uważa mnie za małego kaprala i który nie posyła mnie do Włoch z powrotem, ponieważ robię tam karierę... Tak, Barrasa... Otóż Barras oświadczył mi w oczy, że już dłużej z konstytucją roku III kraj nie może wytrzymać!... Zdaje mi się jednak, że Moreau każe na siebie czekać.

Z tymi słowy odszedł do grupy, w której królował Talma.

W tejże chwili drzwi się otwarły i wszedł Moreau.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w jego stronę.

Trzech ludzi przykuwało do siebie wówczas wzrok całej Francji. Moreau był jednym z nich; dwaj pozostali to: Bonaparte i Pichegru.

Bonaparte nigdy nie widział Moreau, ten zaś nie widział Bonapartego, gdyż obaj walczyli w innych miejscach.

Bonaparte postąpił kilka kroków ku Moreau. Zaledwie zamienili kilka słów, lokaj oznajmił, że podano do stołu.

– Generale – rzekł Bonaparte, prowadząc Moreau do Józefiny – podaj ramię mej żonie.

Zebrani przeszli do jadalni. Po obiedzie Bonaparte pod pretekstem pokazania pięknej broni, przywiezionej z Egiptu, zaprowadził Moreau do gabinetu.

Tam dwaj rywale pozostawali przeszło godzinę. Nikt nie wie o czym rozmawiali. Gdy tylko wyszli, Lucjan zapytał: – No i cóż, Moreau?

Bonaparte odpowiedział:

– Jak przewidywałem, woli on władzę wojskową, niż polityczną; obiecałem mu dowództwo nad jedną armią... A tymczasem...

– A tymczasem co? – zagadnął Lucjan.

– Będzie miał komendę nad Luksemburgiem. Niech wpierw będzie dozorcą dyrektorów, zanim zostanie zwycięzcą Austriaków.

Nazajutrz czytano w „Moniteur”:

„P a r y ż , 1 7 b r u m a i r e ' a . Bonaparte podarował Moreau szablę damasceńską, ozdobioną drogimi kamieniami. Szablę, przywiezioną z Egiptu, oszacowano na dwanaście tysięcy franków”.

# Ważna wiadomość

18 brumaire'a dyrektorowie zostali uwięzieni w pałacu Luksemburskim, a 20 brumaire'a Bonaparte został mianowany pierwszym konsulem na dziesięć lat, mając dwóch konsulów, z którymi dzielił władzę, Cambacérèsa i Lebruna. Tegoż dnia zainstalował się w Luksemburgu, a Rolanda mianował gubernatorem zamku Luksemburskiego.

W jakiś czas po tej wojskowej rewolucji, która odbiła się głośnym echem w całej Europie, rankiem 30 nivôse'a, albo inaczej 30 stycznia 1800 r., Roland przeglądając listy znalazł pośród wielu próśb o posłuchanie u pierwszego konsula list takiej treści:

„Panie gubernatorze!

Znam pańską lojalność. Muszę porozmawiać z panem przez pięć minut; przez ten czas będę zamaskowany. Mam do pana prośbę. Spełnisz ją lub odmówisz. W obu przypadkach chcę wejść do pałacu Luksemburskiego dla dobra konsula Bonaparte i w sprawie monarchii, której służę. Żądam pańskiego słowa honoru, że pozwolisz mi wyjść z pałacu tak samo, jak pozwolisz tam wejść.

Jeśli jutro o siódmej wieczorem zobaczę światło w oknie, mieszczącym się nad zegarem, oznaczać to będzie, że pułkownik Roland de Montrevel daje mi słowo honoru, a stawię się śmiało u małych drzwi wychodzących na ogród w lewym skrzydle pałacu. Zastukam trzykrotnie po masońsku.

Aby pan wiedział, kogo przyjmie lub komu odmówi widzenia, podpisuję się nazwiskiem znanym panu z okoliczności, które pewnie pamiętasz, a które to nazwisko było wobec pana wymówione.

Morgan
Dowódca towarzyszy Jehudy!”

Roland dwa razy odczytał list, a po chwili zamyślenia przeszedł do gabinetu konsula i oddał mu to pismo.

Konsul odczytał je nie zdradzając najmniejszego wzruszenia lub zdziwienia i rzekł lakonicznie:

– Trzeba zapalić światło.

I oddał list Rolandowi.

Nazajutrz o siódmej wieczorem światło błyszczało we wskazanym oknie O siódmej minut pięć Roland osobiście czekał przy drzwiach wychodzących na ogród.

Rozległo się trzykrotne stuknięcie masońskie: dwa razy raz po raz, po chwili trzeci raz.

Roland otworzył drzwi. Ukazał się w nich człowiek otulony w płaszcz. Roland ukryty był w cieniu. Przybysz, nie widząc nikogo, zatrzymał się na chwilę.

– Proszę wejść – rzekł Roland.

– To pan, pułkowniku!

– Skąd pan wie, że to ja?

– Poznaję po głosie.

– Po głosie? Przecież słyszałeś mnie zaledwie przez: kilka sekund w Awinionie.

– No, to musiałem cię słyszeć gdzie indziej.

Roland szukał w pamięci, gdzie Morgan mógł go słyszeć.

Lecz przybysz rzekł wesoło:

– Czy to powód, żebyśmy stali w drzwiach?

– Nie – odparł Roland. – Weź mnie pan za płaszcz i idź za mną. Nie pozwoliłem zapalać światła na schodach.

– Jestem wdzięczny za to. Ale skoro pan dał słowo, gotów jestem przejść przez cały pałac, chociażby był oświetlony a giorno.

– Ma pan moje słowo. Idź śmiało.

Roland zaprowadził Morgana do swego pokoju, oświetlonego tylko dwiema świecami.

Morgan zrzucił płaszcz i złożył pistolety na stole.

– Co pan robi? – zapytał Roland.

– No tak, dla wygody.

– Więc jesteś przekonany, że nic ci tu nie grozi?

– Chyba! Przecież mam twoje słowo.

– Dlaczego nie zdejmiesz maski?

– Bo moja twarz w połowie tylko należy do mnie; druga połowa należy do mych towarzyszy. Kto wie, czy jeden z nas, poznany, nie pociągnie za sobą innych na gilotynę? Sądzę pułkowniku, że zdajesz sobie sprawę z tego, jaką prowadzimy grę.

– Więc po co ją prowadzić?

– Dobre pytanie! Po co pan idzie na pole bitwy gdzie może kula trafić, a kula armatnia zerwać głowę?

– To co innego. Na polu walki mogę ponieść śmierć zaszczytną.

– Czy tak? Czyż w dniu, w którym gilotyna obetnie mi głowę, będę zbeszczeszczony? Bynajmniej. Jestem tak samo żołnierzem, jak i pan. Tylko nie wszyscy służą sprawie w ten sam sposób; każda religia ma swych męczenników i bohaterów. Pierwsi szczęśliwi są na tym świecie, drudzy – na tamtym... Ale nie przyszedłem tu wykładać filozofii polityki. Chcę pomówić z pierwszym konsulem.

– Jak to! Z konsulem? – zawołał Roland.

– No tak; przeczytaj pan jeszcze raz mój list. Wszak pisałem, że mam do pana prośbę.

– Ach, tak.

– Prośba ta, to rozprawa z generałem Bonaparte.

– Przepraszam, ale nie przewidziałem tego...

– Ta prośba pana dziwi, nawet niepokoi. Panie pułkowniku, możesz mnie, jeśli nie ufasz memu słowu, zrewidować od stóp do głowy, a przekonasz się, że oprócz tych oto, tu złożonych pistoletów nie mam żadnej innej broni. Albo lepiej – weź te pistolety, stań między mną a konsulem i pal mi w łeb przy pierwszym moim podejrzanym ruchu. Czy zgadzasz się na ten warunek?

– Czy zaręczasz mi, że wiadomości, jakie przynosisz konsulowi, są tak ważne, że warto go niepokoić?

– Zapewniam, że tak. Po chwili dodał wesoło:

– Jestem wysłannikiem pewnej koronowanej głowy lub raczej pozbawionej korony. Zresztą nie zabiorę dużo czasu generałowi. Może mnie pożegnać, jeśli rozmowa zbyt się przeciągnie.

Roland przez chwilę milczał i rozmyślał.

– Czy swoje wiadomości może pan zakomunikować tylko pierwszemu konsulowi?

– Tylko jemu, gdyż tylko on może mi dać odpowiedź.

– Proszę zaczekać, pójdę po jego rozkazy.

Roland zrobił krok w kierunku pokoju konsula, lecz zatrzymał się i rzucił niespokojne spojrzenie na papiery, rozrzucone na stole.

Morgan dostrzegł to spojrzenie.

– Czy boi się pan, że będę czytał te papiery? Nie lubię czytać w ogóle. Jest to rzecz pisarza. Panie Rolandzie, przez cały czas twej nieobecności będę siedział w fotelu przed kominkiem, nie ruszając się z miejsca.

– Dobrze – odparł Roland.

I wszedł do pierwszego konsula.

Bonaparte rozmawiał z generałem Hedouvillem, dowódcą wojsk w Wandei. Słysząc, że drzwi się otwierają, odwrócił się niecierpliwie.

– Powiedziałem Bourriennowi, że nikogo nie przyjmuję!

– Mówił mi. Ale ja nie jestem byle kim.

– Masz rację. Czego chcesz? Mów prędko.

– On jest u mnie.

– Kto?

– Człowiek z Awinionu.

– A czego chce?

– Chce się widzieć z generałem.

– Widzieć się ze mną?

– Tak, generale; czy cię to dziwi?

– Nie; ale czego może chcieć?

– Uparcie odmawiał mi wyjaśnień, lecz zdaje mi się, że nie jest to ani wariat, ani natręt.

– Może zbir?

Roland zaprzeczył ruchem głowy.

– Zresztą, skoro ty go wprowadzasz...

– Nie ma nic przeciw temu, żebym był obecny przy rozmowie. Będę stał przed nim.

Bonaparte zastanowił się.

– Niech wejdzie – rzekł.

– Generale, oprócz mnie...

– Tak, generał Hedouville zechce chwilę poczekać... Idź Rolandzie.

Roland wyszedł, przeszedł przez gabinet Bourrienne'a, wrócił do swego pokoju i zastał Morgana koło kominka.

– Proszę! Konsul czeka.

Morgan wstał i poszedł za Rolandem.

Gdy weszli do gabinetu pierwszego konsula, Bonaparte był sam.

Morgan zatrzymał się kilka kroków za drzwiami i ciekawie przyglądał się Bonapartemu, poznając w nim mężczyznę, którego widział w Awinionie.

– Proszę się zbliżyć – odezwał się pierwszy konsul.

Morgan skłonił się i postąpił trzy kroki.

Bonaparte odpowiedział na ukłon lekkim ruchem głowy.

– Mówił pan mojemu adiutantowi, pułkownikowi Rolandowi, że ma mi coś do zakomunikowania.

– Tak, obywatelu pierwszy konsulu.
– Czy rzecz, którą masz mi zakomunikować, wymaga rozmowy sam na sam?
– Nie obywatelu, chociaż jest takiej wagi...
– Że wolałby pan, abym był sam.
– Tak, ale ostrożność i rozsądek...
– Rozsądkiem największym we Francji, obywatelu Morganie, jest odwaga.
– Moja obecność u ciebie generale wskazuje, iż jestem tego samego zdania.
Bonaparte zwrócił się do Rolanda:
– Pozostaw nas samych.
– Ależ, generale – zaoponował Roland.
Bonaparte zbliżył się doń i cichutko rzekł:
– Rozumiem. Ciekawy jesteś, co ten tajemniczy człowiek może mieć mi do powiedzenia. Bądź spokojny, dowiesz się.
– Nie o to mi chodzi... lecz, jeśli to jest zabójca?
– Wszak zapewniłeś mnie, że nie. Zostaw więc nas.
Roland wyszedł.
– Otóż jesteśmy sami – rzekł pierwszy konsul.
Morgan, nic nie mówiąc, wyjął z kieszeni list i oddał go generałowi.
Generał obejrzał list: był adresowany do niego, miał pieczęć z trzema liliami Francji.
– A to co?
– Przeczytaj, obywatelu.
Bonaparte rozpieczętował list i poszukał zaraz podpisu.
– „Ludwik" – rzekł.
– „Ludwik" – powtórzył Morgan.
– Co za Ludwik?
– Ludwik Burbon, przypuszczam.
– Hrabia Prowansji, brat Ludwika XVI?
– No i Ludwik XVIII od chwili śmierci Delfina.
Bonaparte znowu popatrzył na nieznajomego; widoczne było bowiem, że nazwisko „Morgan" to tylko pseudonim.
Po czym odczytał list tej treści:

„3 stycznia 1800.

Jakiekolwiek byłoby zachowanie się ludzi takich jak pan, jednak nie wzbudza ono obaw. Przyjął pan stanowisko wybitne, za co jestem mu wdzięczny: lepiej niż ktokolwiek wie pan, że trzeba siły i władzy, aby naród wielki uczynić szczęśliwym. Wybaw Francję od jej własnej furii, a spełnisz pragnienia mego serca. Oddaj jej króla, a pokolenia błogosławić będą twoją pamięć. Jeśli wątpisz o mojej wdzięczności, wyznacz sobie stanowisko i losy twych przyjaciół. Co do moich zasad, to jestem Francuzem; łaskawy z natury, będę nim jeszcze bardziej przez rozum. Nie! Zwycięzca spod Lodi, Castoglione, Arcole, zdobywca Włoch i Egiptu nie przeniesie czczego rozgłosu nad sławę. Nie trać drogiego czasu: możemy zapewnić sławę Francji; mówię możemy, gdyż potrzebuję do tego Bonapartego, a i on beze mnie temu nie podoła. Generale! Europa na ciebie patrzy, sława cię czeka, ja zaś pałam niecierpliwością, aby powrócić szczęście memu ludowi.

Ludwik"

Bonaparte odwrócił się do młodzieńca, który czekał, stojąc i milcząc.
– Znasz treść tego listu? – zapytał.
Młodzieniec skłonił się.
– Tak.

– Był jednak zapieczętowany.
– Odczytano mi go przed wręczeniem.
– A kto ci go wręczył?
– Jerzy Cadoudal.
Bonaparte drgnął.
– Znasz Jerzego Cadoudala? – zapytał.
– To mój przyjaciel.
– Dlaczego powierzył ten list właśnie tobie?
– Gdyż wiedział, że oddam go do rąk właściwych.
– Istotnie, wykonałeś zlecenie.
– Jeszcze nie, obywatelu pierwszy konsulu.
– Jak to? Wszak oddałeś mi list.
– Tak. Ale obiecałem przynieść odpowiedź.
– A jeśli nie zechcę odpowiedzieć?
– To, obywatelu, odpowiedziałbyś nie zupełnie tak, jakbym sobie tego życzył, ale zawsze będzie to odpowiedź.
Bonaparte przez chwilę pozostawał zamyślony. Po czym wzruszywszy ramionami rzekł:
– Ależ to wariaci!
– Kto, obywatelu? – zapytał Morgan.
– Ci, którzy piszą podobne listy. Wariaci! Zupełni wariaci. Czyż myślą, że jestem z tych, którzy idą za ich przykładem z przeszłości? Mam naśladować Monka? I po co? Aby zrobić Karola II! Gdy się ma za sobą Tulon, 13 vendémiaire'a, Lodi, Castiglione, Arcole, Rivoli, Piramidy, ma się prawo do innych rzeczy, niż dowództwo nad armią Jego Królewskiej Mości Ludwika XVIII.
– Toteż, konsulu, proszę cię o podanie twych warunków.
Bonaparte zadrżał na te słowa.
– Nie mówiąc już o tym – ciągnął – że to ród stracony, zeschła gałąź na zgniłym pniu. Burboni tak się żenili pomiędzy sobą, że zwyrodnieli, wyczerpali swą siłę w Ludwiku XIV. Każda rasa królów francuskich miała swój najwyższy moment potęgi i okres upadku. Gdybym był wariatem i oddał tron Ludwikowi XVIII, który nie będzie miał dzieci, to po nim nastąpi jego brat Karol X, a ten, jak Jakub II, zostanie wypędzony przez jakiegoś Wilhelma Orańskiego... O, nie! Bóg nie po to dał w me ręce losy Francji, abym ją zwracał tym, którzy nią igrali i którzy ją stracili.
– Generale, pozwolę sobie zauważyć, że o to nie pytałem.
– Ale ja pytam.
– Chciałem tylko – odparł Morgan – odpowiedzi: tak czy nie.
– A po co ci?
– Aby wiedzieć, czy mamy z tobą walczyć jak z wrogiem, czy też paść przed tobą na klęczki jak przed wybawcą.
– Walczyć! – zawołał Bonaparte. – Oszaleli ci, co chcą ze mną walczyć. Czyż nie widzą, że jestem wybrańcem Boga?
– Attyla mówił to samo.
– Tak, ale on był wybrańcem zniszczenia, a ja jestem wybrańcem nowej ery... Wojna! A gdzie są ci, co ze mną walczyli? Leżą na równinach Piemontu, Lombardii lub Kairu!
– Ale Wandea wciąż walczy.
– Walczy! Niech i tak będzie. Ale gdzie są Cathelineau, Lescure; a gdzie La Rochejaquelein, a gdzie d'Elbée, Bonchamp, Stofflet, Charette?
– Mówisz generale tylko o ludziach. Ludzi tych nie ma, ale idea została. A dla niej walczą dziś d'Autichamp, Suzannet, Grignon, Frotté, Châtillon, Cadoudal. Być może, nie są warci swych poprzedników, ale niech tylko umierają jak tamci, a zrobią swoje.

– Niech się strzegą. Jeśli zarządzę wyprawę do Wandei, to nie poślę tam ani Santerre'a, ani Rossignolów.

– Konwent wysłał Klébera, Dyrektoriat –Hoche'a...

– Nikogo nie poślę. Sam pójdę.

– To najwyżej zginą, jak Lescure lub Charette.

– Lecz mogę ich ułaskawić... A jeśli oświadczę ci, że już mam Wandeę w ręku?

– Pan?

– Jeśli zechcę, to w trzy miesiące ją uspokoję.

Młody człowiek niedowierzająco potrząsnął głową.

– Nie wierzysz? Otóż to jest prawda. Może dowieść ci, wyłuszczając środki, którymi dopnę celu?

– Jeśli mówi coś taki człowiek, jak generał Bonaparte – wierzę mu. Lecz jeśli mówi o uspokojeniu Wandei, to powiem mu: Baczność! Lepsza jest Wandea walcząca, niż spiskująca. Pierwsza – to miecz, druga – to sztylet.

– Och, znam wasze sztylety – odparł Bonaparte.

I wyjął z szuflady dany mu przez Rolanda i położył go na stole.

– Ale – dodał – od sztyletu skrytobójcy do piersi Bonapartego jeszcze daleko. Spróbuj!

I zbliżył się do młodzieńca, utkwiwszy w nim wzrok.

– Nie przyszedłem tu mordować – odparł chłodno Morgan. – Później być może, jeśli będzie to konieczne dla triumfu sprawy, postaram się to zrobić najlepiej... Czy nie masz, obywatelu, nic więcej do powiedzenia?

– Owszem. Powiedz Cadoudalowi, że jeśli chce walczyć z wrogami a nie z Francuzami, mam dlań nominację na pułkownika.

– Cadoudal dowodzi nie pułkiem, ale całą armią... Czy nic więcej nie usłyszę?

– Owszem. Czy możesz przesłać moją odpowiedź hrabiemu Prowansji?

– To jest Ludwikowi XVIII?

– Nie kłóćmy się o słowa; temu, który do mnie pisał.

– Wysłannik jego jest w obozie w Aubiers.

– Otóż zmieniam decyzję. Odpowiem mu. Ci Burboni są tak ślepi, że gotowi źle wytłumaczyć sobie moje milczenie.

Bonaparte siadł do biurka i napisał list możliwie najstaranniej, aby był czytelny.

„Otrzymałem list pański. Dziękuję za dobrą o mnie opinię. Nie powinien pan myśleć o powrocie do Francji: musiałby pan kroczyć przez setki tysięcy trupów. Poświęć swój interes spokojowi i szczęściu Francji; historia będzie o tym pamiętała. Nie jestem bynajmniej nieczuły na nieszczęścia rodziny pańskiej i z przyjemnością się dowiem, że ma pan koło siebie wszystko, co może się przyczynić do spokoju na wygnaniu.

Bonaparte".

Pieczętując list napisał adres: „D o p a n a h r a b i e g o P r o w a n s j i" po czym oddał go Morganowi.

Po chwili zawołał Rolanda.

– Generale? – zapytał młody oficer, ukazując się w tejże chwili,

– Odprowadź pana aż do ulicy. Dotąd odpowiadasz za niego.

Roland skłonił się, przepuścił naprzód Morgana, który zanim wyszedł rzucił ostatnie spojrzenie na Bonapartego.

Bonaparte stał nieruchomy, milczący, z rękami skrzyżowanymi, z oczyma utkwionymi w sztylecie.

Przechodząc przez pokój Rolanda, naczelnik towarzyszy Jehudy wziął płaszcz i pistolety. Gdy wkładał je za pas, Roland zwrócił się doń:

– Zdaje się, że obywatel pierwszy konsul pokazał panu sztylet, który mu dałem.

– Tak – odparł Morgan.

– I poznał go pan?

– Nie ten specjalnie... nasze sztylety są jednakowe.

– Otóż powiem panu – zawołał Roland – skąd on pochodzi.

– Aha!... A skąd?

– Z piersi jednego z moich przyjaciół, którego pańscy towarzysze chcieli zasztyletować.

– Być może – odparł niedbale Morgan. – Ale pański przyjaciel musiał się na tę karę narazić.

– Mój przyjaciel chciał tylko przekonać się, co się dzieje w nocy w klasztorze Kartuzów.

– Niepotrzebnie.

– Ja również niepotrzebnie próbowałem tego samego przed nim. Dlaczego więc nic mi się nie stało?

– Widocznie chronił pana jakiś talizman.

– Panie, muszę coś powiedzieć: chodzę prostymi drogami i po dniu, dlatego nie znoszę tajemniczości.

– Szczęśliwi, którzy mogą chodzić przy świetle dziennym, panie de Montrevel.

– Otóż właśnie dlatego muszę panu powiedzieć, co sobie poprzysiągłem. Wyjmując ów sztylet z piersi mego przyjaciela przysiągłem, że pomiędzy mną a jego napastnikami toczyć się będzie walka na śmierć i życie. Przyznaję się, że głównie dlatego dałem panu słowo, które go czyni bezpiecznym, aby mu tę przysięgę zakomunikować.

– Mam nadzieję – rzekł Morgan – że zapomni pan o niej.

– Nie. Pamiętać o niej będę zawsze, przy każdej pomyślnej okoliczności, a pan, panie Morgan, będzie chyba tak uprzejmy i tę okoliczność mi nastręczy.

– W jaki sposób?

– A choćby przyjmując spotkanie ze mną w lasku Bulońskim lub w Vincennes... Powiemy, żeśmy się bili np. z powodu... zaćmienia księżyca, które nastąpi 12 przyszłego miesiąca. Czy powód ten panu dogadza?

– Dogadzałby – odparł Morgan ze smutkiem w głosie – gdyby mi w ogóle ten pojedynek dogadzał. Pan przysięgał. Otóż i my wtajemniczeni, wstępując do grona towarzyszy Jehudy, przysięgamy nie narażać swego życia, które nie do nas należy, lecz do sprawy.

– Ach tak! Więc zabijacie, ale się nie bijecie.

– Owszem, czasem się bijemy.

– Bądź pan łaskaw powiedzieć mi, w jakich okolicznościach mógłbym zaobserwować takie zjawisko?

– Bardzo prosto. Postaraj się pan być z kilkoma takimi straceńcami jak pan w dyliżansie wiozącym pieniądze rządowe, broń tych pieniędzy, a będziesz się mógł z nami bić. Ale, wierz mi pan, lepiej nie wchodź nam w drogę.

– Czy to groźba? – zapytał młody oficer.

– Nie, panie, to prośba.

– Czy specjalnie do mnie? Czy ponowisz ją wobec kogo innego?

– Nie, specjalnie do pana.

– Ach, więc mam szczęście wzbudzać w panu współczucie?

– Jak w bracie – odparł łagodnie Morgan.

W tej chwili wszedł Bourrienne.

– Rolandzie, konsul cię wzywa.

– Zaraz, tylko odprowadzę pana do drzwi.

– Śpiesz się. Wiesz, że nie lubi czekać.

– Proszę za mną – zwrócił się Roland do tajemniczego towarzysza.

– Od dawna jestem na pańskie usługi.

– Proszę zatem.

Przy drzwiach wychodzących na ogród Roland rzekł do Morgana:

– Dotrzymałem wiernie danego słowa. Dla uniknięcia nieporozumień, powiedzmy sobie, że słowo to dane było na raz tylko, na dziś.

– Tak zrozumiałem.

– A więc zwraca mi pan słowo?

– Chciałbym go nie zwracać, ale może pan je wziąć z powrotem.

– Tego tylko chciałem. Do widzenia, panie Morgan.

– Pozwól, że nie powtórzę tego życzenia.

Młodzi ludzie ukłonili się dworsko. Roland powrócił do pałacu, a Morgan skierował się ku małej uliczce, idącej na plac Św. Sulpicjusza.

# Bal ofiar

Uszedłszy ze sto kroków, Morgan zdjął maskę. Na ulicy Taranne zastukał do drzwi małego hoteliku, wszedł do przedsionka, wziął świecę, zdjął z haka klucz do nr 12 i wszedł na schody, nie budząc nikogo.

Biła dziesiąta, gdy wchodził do swego pokoju.

Przeliczywszy uderzenia zegara, szepnął:

– Doskonale, nie przyjdę za późno.

Następnie szybko zapalił cztery świece, otworzył komodę i wyjął wspaniały kostium, jaki nosili ówcześni eleganci, tak zwany „incroyables".

Po chwili zadzwonił. Wszedł służący.

– Czy perukarz przychodził? – zapytał go Morgan.

– Tak obywatelu, przychodził. Powiedział, że jeszcze przyjdzie... Właśnie ktoś dzwoni, pewnie on.

– Jestem, jestem! – odezwał się głos na schodach.

– Brawo! – zawołał Morgan. – Witaj mistrzu Cadenette. Musisz zrobić ze mnie kogoś w rodzaju Adonisa.

– To się łatwo zrobi, panie baronie.

– Cóż to, chcesz mnie skompromitować, obywatelu Cadenette?

– Panie baronie, proszę mnie nazywać po prostu Cadenette. Będzie przynajmniej poufale. Ale proszę nie mówić „obywatelu"! Jest to zwrot rewolucyjny. Nawet w czasach najgorszego terroru mówiłem do mej żony pani Cadenette... Przepraszam, że nie czekałem. Ale dziś jest wielki bal przy ulicy du Bac, bal ofiar (wyraz ten powtórzył z naciskiem). Sądziłem, że pan baron tam będzie.

– Ho! ho! Zawsze jesteś, Cadenette, rojalistą.

Perukarz tragicznie położył rękę na sercu.

– Panie baronie! Przecież to nie tylko rzecz sumienia, ale sprawa państwowa.

– Rzecz sumienia – rozumiem, mistrzu Cadenette. Ale sprawa państwowa? Cóż to za zacna korporacja perukarzy, uprawiająca politykę?

– Jak to! Panie baronie. I pan, arystokrata, pyta o to?

– Cicho, Cadenette!

– Panie baronie, między ludźmi z dawnych czasów można o tym mówić.

– Ach, to jesteś zwolennikiem dawnych czasów?

– Jak najbardziej! A jak mam uczesać?

– Psie uszy, włosy z tym podczesane. Z pudrem.

– Panie baronie! I pomyśleć, że przez pięć lat można było znaleźć puder tylko u mnie. Przecież za pudełko pudru szło się na gilotynę.

– Znałem takich, co poszli na gilotynę za mniejsze jeszcze rzeczy. Ale dlaczego jesteś zwolennikiem dawnych czasów?

– Rzecz bardzo prosta. Przecież wśród korporacji byli mniej lub więcej arystokratycznie usposobieni.

– Rozumiem. Zależnie od tego, czy mieli styczność z wyższymi klasami.

– Otóż właśnie. Perukarze trzymali arystokrację za czuprynę. Ja sam czesałem panią de Polignac, mój ojciec panią du Barry, mój dziad – panią de Pompadour. Mieliśmy przywileje nosiliśmy szpady, co prawda drewniane, ale zawsze szpady. Tak, to były piękne czasy dla perukarzy i dla Francji. Znaliśmy wszystkie tajemnice i intrygi; nikt się przed nami nie ukrywał, ale też żaden perukarz nikogo nie zdradził. A komu nasza biedna królowa powierzała swe diamenty? Sławnemu Leonardowi, księciu perukarzy!...

Kiedy nastał Dyrektoriat, zdawało się, że wrócą lepsze czasy. Pan Barras nigdy nie wyrzekł się pudru, a obywatel Moulin nosił warkocz. Ale 18 brumaire'a zniszczył wszystkie nadzieje. Bo jakże uczesać pana Bonapartego!...

Kończąc wreszcie fryzurę, Cadenette zwrócił się do Morgana:

– No, panie baronie! Chciał pan być piękny, jak Adonis... Gdyby pana widziała Wenus, nie o Adonisa byłby zazdrosny Mars.

Z tymi słowy Cadenette podał Morganowi zwierciadło.

– No, mój kochany. Jesteś doprawdy artystą. Zapamiętaj dobrze to uczesanie. Jeśli mi nie obetną głowy, zawsze będę się tak czesał.

– Pan baron chce, abym go żałował!

– Tak, a tymczasem masz za fatygę. Schodząc bądź łaskaw kazać, aby mi sprowadzili powóz.

Cadenette, wzdychając, rzekł:

– Dawniej, panie baronie, powiedziałbym panu: pokaż się na Dworze, a będę sowicie zapłacony... Ale nie ma już Dworu, a żyć trzeba... Powóz będzie.

Cadenette westchnął po raz drugi, schował pieniądze do kieszeni, złożył ukłon i zostawił młodzieńca samego.

O godzinie jedenastej Morgan był gotów. Pod drzwiami czekał już powóz.

Morgan wsiadł, podając adres:

– Ulica du Bac, nr 60.

Dorożka skręciła w ulicę Grenelle i stanęła pod wskazanym adresem.

– Masz przyjacielu podwójną zapłatę – rzekł Morgan – tylko nie stój tutaj.

Woźnica wziął trzy franki i zniknął w ulicy Varennes.

Morgan rzucił wzrokiem na fasadę domu; zdawało się, że się pomylił, gdyż wszystkie okna były ciemne. Mimo to Morgan zastukał do drzwi.

Gdy się otwarły, ujrzał w głębi podwórza duży budynek jasno oświetlony.

Młody człowiek skierował się do gmachu, wszedł na piętro i znalazł się w szatni. Szatniarz, odbierając płaszcz, wskazał mu miejsce, w którym miał złożyć broń. Była to duża galeria, zamieniona chwilowo na arsenał.

Ponieważ w każdej chwili mogła wejść policja, trzeba było też w każdej chwili z tancerza stać się żołnierzem.

Złożywszy broń Morgan wszedł do sali balowej, która miała dziwny wygląd.

Na bal można było dostać się z tytułu praw wielce oryginalnych. Trzeba było wykazać się rodzicami lub krewnymi, których Konwent skazał na gilotynę lub których kazał rozstrzelać Collot-d'Herbois, lub potopić Carrier. Ponieważ najwięcej było ściętych, przeto większość obecnych była w kostiumach ofiar zgilotynowanych.

Większa część panien miała toalety, które ich matki lub siostry miały na sobie w chwili stracenia, a więc białe suknie, czerwone szale i krótko podwiązane włosy. Niektóre z nich obwiązały szyję cieniutką, czerwoną nitką z jedwabiu. Mężczyźni zaś mieli wywrócone kołnierze surdutów i koszul i gołe szyje z obciętymi włosami. Poza tym było wiele bezpośrednich ofiar rewolucji.

Było mianowicie wielu mężczyzn w wieku lat 40 – 45, którzy znali jeszcze panią du Barry w mansardach Wersalu, Zofię Arnoult, Duthé. Byli też mężczyźni w wieku lat 25 – 30, ubrani z wyszukaną elegancją, którzy należeli do partii Mścicieli, opętanych manią zabójstw, szałem mordu, którzy pragnęli krwi i zabijali każdego, kogo im wskazano. Byli i młodzieńcy, dzieci prawie, lecz wykarmieni, jak Achilles, szpikiem dzikich zwierząt lub, jak Pirrus, mięsem niedźwiedzim; byli to uczniowie wolnych sędziów św. Vehme. Była to generacja dziwna, zjawiająca się po wielkich wstrząsach tak samo, jak po chaosie zjawili się Tytani, hydry po potopie, jak sępy i kruki po rzezi. Młodzież tę nazywano młodzieżą Frérona albo złotą młodzieżą. Ów Fréron był synem wydawcy dziennika, zamkniętego przez władze; rozgniewany na rząd, przeszedł na stronę rewolucyjnych prądów i w 1789 r. założył pismo „Mówca Ludu", Marsylia i Tulon pamiętały długo jego okrucieństwa, jako agenta rządu rewolucyjnego. Po upadku Robespierre'a Fréron przeszedł do obozu sprawców przewrotu 9 termidora, a stamtąd trafił do partii rojalistów i stanął na czele partii pełnej młodości, energii i mściwości.

Otóż poprzez tłum tej młodzieży fréronowskiej Morgan przeciskał się w sali, kogoś widocznie szukając.

Jakiś elegant chciał mu opowiedzieć szczegóły z ekspedycji, z której wyniósł okrwawioną rękę. Lecz Morgan uścisnął mu dłoń i rzucił:

– Szukam kogoś.

– Pilna sprawa?

– Stowarzyszenie Jehudy.

Jakaś piękna, jakby powiedział Corneille, furia z ostrym sztyletem we włosach stanęła przed Morganem.

– Morganie – rzekła –jesteś najpiękniejszy, najdzielniejszy i najgodniejszy tego, aby cię wszyscy kochali. Co odpowiesz kobiecie, która ci to mówi?

– Odpowiem, że kocham już i że serce me jest zbyt małe, aby zmieścić mogło jedną nienawiść i dwie miłości.

I szukał w dalszym ciągu.

Dwaj młodzi ludzie, z których jeden mówił: „to Anglik", a drugi – „to Niemiec", zatrzymali Morgana.

– Oto – zawołał jeden z nich – człowiek, który może nas wyprowadzić z kłopotu.

– Nie – odparł Morgan – nie mogę; śpieszę się.

– Słówko tylko – rzekł drugi. – Założyłem się z Saint-Amandem, że człowiek zabity w klasztorze Kartuzów w Seillon był Anglikiem.

– Nie wiem; nie byłem tam. Zapytajcie Hektora: on wówczas przewodniczył.

– Powiedz więc, gdzie jest Hektor.

– Powiedzcie mi raczej, gdzie jest Tiffauges; szukam go.

– Ot tam, w głębi – rzekł młodzieniec, wskazując na grupę tańczących kontredansa. – Poznasz go po kamizelce i spodniach.

Morgan nie rozpytywał już, dlaczego kamizelka i spodnie Tiffaugesa były godne uwagi, lecz poszedł prosto we wskazanym kierunku i ujrzał, jak Tiffauges wykonywał zręczne pas.

Morgan dał mu znak.

Tiffauges natychmiast zaprzestał tańca, skłonił się tancerce, odprowadził ją na miejsce, przeprosił i podszedł do Morgana.

– Czyś go widział? – zapytał.

– Od niego wracam – odparł Morgan.
– I oddałeś list króla?
– Do rąk własnych.
– Przeczytał?
– Natychmiast,
– Dał odpowiedź?
– Nawet dwie: ustną i na piśmie. Wobec tej drugiej pierwsza była zbyteczną.
– Masz ją?
– Oto jest.
– Znasz jej treść?
– Odmowa.
– Stanowcza?
– Najzupełniej.
– Czy wie, że od tej chwili będziemy go traktowali jak wroga?
– Powiedziałem mu to.
– A on co na to?
– Nic. Wzruszył ramionami.
– Jak myślisz. Jakie ma zamiary?
– Nietrudno zgadnąć.
– Czyżby chciał zachować władzę dla siebie?
– Na to wygląda.
– Władzę, ale nie tron?
– Dlaczego by nie?
– Nie odważy się ogłosić królem!
– Nie wiem, czy się ogłosi królem; jednak czymś się ogłosi.
– Szczęśliwy żołnierz.
– Mój drogi. Lepiej dziś być synem swych czynów, niż synowcem króla.
Młody człowiek zamyślił się, po czym rzekł:
– Doniosę o tym wszystkim Cadoudalowi.
– Dodaj, że pierwszy konsul wyrzekł te słowa: „Wandeę mam w swych rękach i jeśli zechcę za trzy miesiące nie będzie się tam tlić nawet lont".
– Dobrze wiedzieć.
– Niechaj wie o tym Cadoudal, a sam zużytkuj tę wiadomość.
W tej chwili muzyka się urwała; gwar ustał i zapanowała wielka cisza. A wśród tej ciszy padły cztery nazwiska: Morgana, de Montbara, Adlera i d'Assasa.
– Przepraszam – rzekł Morgan do towarzysza – pewnie szykuje się jakaś wyprawa. Muszę się pożegnać. Pozwól mi jednak przed rozstaniem obejrzeć twą kamizelkę i spodnie, o których dużo słyszałem. Chyba mi darujesz tę ciekawość.
– Cóż znowu! Bardzo chętnie.

# Skóra niedźwiedzia

I młody Wandejczyk pośpiesznie sięgnął po kandelabry, palące się na kominku.

Kamizelka i spodnie były, zdawało się, z jednakowego materiału. Ale największy znawca nie mógłby powiedzieć – z jakiego.

Spodnie były zwykłymi obcisłymi spodniami i niczym się nie wyróżniały, chyba tylko tym, że były bez szwów i doskonale przylegały do ciała.

Kamizelka natomiast przykuwała uwagę z dwóch powodów: była przebita trzema kulami, dziury po nich nie zostały zaszyte, lecz obramowane karminem, który robił wrażenie krwi. Poza tym na lewej stronie namalowane było krwawiące serce – znak, po którym rozpoznawali się Wandejczycy.

Morgan przyjrzał się uważnie, ale nic poza tym nie spostrzegł.

– Śpieszę się bardzo; chciałbym jednak wiedzieć, z jakiej tkaniny jest twoje ubranie.

– Kochany Morganie – odparł Wandejczyk – słyszałeś pewnie, że niebiescy schwytali mojego brata w okolicach Bressuire i rozstrzelali?

– Tak, wiem o tym.

– Niebiescy cofali się, więc porzucili jego ciało pod płotem. Myśmy następowali im na pięty. Otóż znalazłem ciało brata jeszcze ciepłe. W jedną z ran miał wetkniętą gałązkę z takim napisem: „Rozstrzelany jako zbój, przeze mnie, Klaudiusza Flageolota, kaprala 3 batalionu paryskiego”. Otóż zdjąłem skórę z piersi brata, tę skórę przebitą trzema kulami, która powinna mi nieustannie przypominać o zemście, i z niej zrobiłem sobie kamizelkę bojową.

– Tak?... – powiedział Morgan z pewnym zdziwieniem w głosie, które jednak miało w sobie coś z trwogi. – Kamizelka ze skóry brata... A spodnie?

– O! Te są ze skóry obywatela Klaudiusza Flageolota, kaprala 3 batalionu paryskiego.

W tej chwili rozległ się po raz drugi ten sam głos i w tym samym porządku wywołał Morgana, Montbara, Adlera i d'Assasa.

Morgan wybiegł z gabinetu, przebiegł przez salę tańców i wpadł do małego saloniku po drugiej stronie szatni.

Montbar, Adler i d'Assas, już na niego czekali.

Był z nimi młody człowiek w kostiumie kuriera rządowego. Zielony kostium wyszywany był złotem. Obuwie miał zakurzone. Na plecach – torbę do depesz.

Na stole leżała mapa Cassiniego, na której można było dojrzeć najmniejsze nierówności gruntu.

D'Assas liczył sobie około 35 lat; włosy miał szpakowate, lecz brwi i wąsy czarne, jak heban. Był eks-kapitanem dragonów; doskonale zbudowany. Jego muskulatura zdradzała siłę, a wyraz twarzy – upór. Postać szlachetna, obejście wykwintne. Był mocno wyperfumowany.

Montbara i Adlera, których imion właściwie nie znano, towarzysze Jehudy nazywali nierozdzielnymi. Wyobraźmy sobie Orestesa i Pyladesa w dwudziestym drugim roku życia. Jeden wesoły, rozmowny, drugi smutny, milczący i rozmarzony. Dzielili między sobą niebezpieczeństwa, pieniądze i kochanki. Każdy z nich w niebezpieczeństwie zapominał o sobie, myśląc o drugim, jak młodzi Spartanie ze świętego oddziału. Takimi byli Montbar i Adler.

Wezwano ich, jak przewidywał Morgan, w sprawach stowarzyszenia.

Morgan podszedł wprost do fałszywego kuriera i uścisnął mu dłoń.

– Kochany przyjacielu! – rzekł ten. – Dobrze żyjecie tu, w Paryżu! Przechodząc, rzuciłem tylko okiem na salę balową, jak przystało na skromnego kuriera, niosącego depesze generała Masseny do obywatela pierwszego konsula, ale zdaje mi się, że macie ładny wybór ofiar. Lecz drodzy przyjaciele, musicie na razie dać sobie z tym spokój. To niemiłe, rozpaczliwe, ale dom Jehudy przede wszystkim.

– Kochany Hastier – odparł Morgan.

– Cicho! Bez nazwisk, jeśli łaska, panowie. Rodzina Hastierów to uczciwa rodzina z Lugdunu, prowadząca z ojca na syna handel na placu Terreaux. Gdyby dowiedziała się, że jej spadkobierca jest kurierem i biega po drogach z torbą rządową na plecach, uznałaby to za hańbę. Nazywajcie mnie Lecoq, nigdy Hastier. Nie znam żadnego Hastiera. A wy, panowie – ciągnął dalej, zwracając się do Montbara, Adlera i d'Assasa – czy go znacie?

– Nie – odparli wszyscy trzej. – Przepraszamy za Morgana.

– Kochany Lecoq – powtórzył Morgan.

– To co innego. Na to imię odpowiadam. Cóż chciałeś mi powiedzieć?

– Że domyślamy się, dlaczego jesteś w tym stroju i po co ta mapa.

– Otóż chodzi po prostu o resztki skarbu niedźwiedzi w Bernie, które z rozkazu generała Masseny generał Lecourbe wysłał pierwszemu konsulowi. Jakieś sto tysięcy franków, których nie chcą przewozić przez Jurę z powodu partyzantów pana Teysonneta i które wysłano do Genewy, Bourgu, Mâçon, Dijon i Troyes. Ta droga, jak się przekonają niebawem, także nie jest bezpieczna.

– Doskonale!

– Zawiadomił nas o tym Renard, który pędził z Gex co koń wyskoczy i dał znać Jaskółce, będącemu na razie w Châlon-sur-Saône; ten zaś, czy ta, dał znać do Auxerre mnie, Lecoqowi, który odwalił czterdzieści pięć mil, aby was z kolei zawiadomić. Teraz szczegóły drugorzędne. Skarb wyruszył z Berna 28 nivôse'a roku VIII Rzeczypospolitej potrójnej i niepodzielnej. Dziś powinien być w Genewie. Jutro wyruszy dyliżansem z Genewy do Bourgu. Otóż, jeśli wyruszycie dziś w nocy, pojutrze, drodzy towarzysze Jehudy, możecie spotkać skarbiec panów niedźwiedzi pomiędzy Dijon i Troyes, koło Bar-sur-Seine lub koło Châtillon. Cóż wy na to?

– Co my na to? Chyba nie ma o czym mówić. Oświadczamy, że nigdy byśmy nie targnęli się na pieniądze panów niedźwiedzi z Berna, gdyby pozostały w kufrach wielmożnych rajców miasta. Lecz z chwilą, gdy zmieniły one swe przeznaczenie raz, nie sądzę, aby coś stało na przeszkodzie by zmieniły je po raz drugi. Ale jak pojedziemy?

– Czyż nie macie karetki pocztowej?

– Mamy. Stoi tu, w wozowni.

– Macie konie, aby dojechać do pierwszej stacji?

– Stoją w stajni.

– Macie paszporty?

– Każdy po cztery.

– No więc?

– No więc nie możemy zatrzymać dyliżansu karetką pocztową; jeszcze nie jesteśmy tacy swobodni w ruchach.

– A dlaczego by nie? – wtrącił Montbar. – To byłoby oryginalne. Przecież można schwytać statek z łodzi, czy nie można zatem złapać dyliżansu z karetki pocztowej? Może spóbujemy, Adlerze?

– I owszem – odparł Adler. – Ale co zrobisz z pocztylionem?

– Prawda – rzekł Morgan.

– Wszystko przewidziane, dziateczki – zawołał kurier. – Z Troyes wysłano sztafetę. Karetkę zostawicie u Delbauce'a. Tam znajdziecie cztery wypasione wierzchowce. Wyrobicie się z czasem, a pojutrze, a raczej jutro, bo północ już wybiła, pomiędzy siódmą a ósmą rano pieniądze panów niedźwiedzi przeżywać będą ciężkie chwile.

– Idziemy się przebrać? – zapytał Adler.

– Po co? – odparł Morgan. – Zdaje mi się, że wyglądamy bardzo przyzwoicie. Chyba nigdy żaden dyliżans nie wiózł ludzi lepiej ubranych. Rzućmy jeszcze wzrokiem na mapę, weźmy nieco prowizji, uzbrójmy się i jazda!

– Masz rację – rzekł Montbar.

– Ja myślę – odparł Morgan. – Zamordujemy konie, jeśli będzie trzeba, a o siódmej wieczorem będziemy z powrotem i pokażemy się w operze.

– Da nam to alibi – wtrącił d'Assas.

– O to chodzi – ciągnął dalej Morgan. – Bo któż pomyśli, że ludzie, którzy o ósmej oklaskiwali artystów, mogli z rana, pomiędzy Barem i Châtillon załatwiać rachunki z konduktorem dyliżansu... Przyjrzyjcie się jeszcze mapie i wybierzcie dobrze miejsce.

Czterej młodzi ludzie pochylili się nad mapą Cassiniego.

– Ja radziłbym – odezwał się kurier – zaczaić się za miejscowością Massu – ot, tutaj.

Młodzieniec wskazał punkt na mapie i mówił dalej:

– Pojechałbym do Chaource – ot, tutaj; stamtąd do Troyes, dalej do Sens. Będziemy w operze nie o ósmej ale o dziesiątej, co będzie szykowniej.

– Zgadzam się na to – zawołał Morgan.

– Zgadzamy się – powtórzyły chórem trzy inne głosy. Morgan wyjął zegarek, arcydzieło Petitota, zrobione dla Marii Antoniny, która darowała go księżnej de Polastron; od niej zegarek trafił do matki Morgana.

– Pierwsza" po północy – rzekł Morgan. – Śpieszmy się.

Zaczęła się wyprawa. Morgan objął nad nią dowództwo i już nie radził się, lecz rozkazywał. W pół godziny potem powóz, wiozący czterech młodych ludzi, zatrzymał się u rogatki Fontainebleau, gdzie naczelnik poczty zażądał od nich paszportów.

– Wolne żarty! – zawołał jeden z nich, wychylając się przez okno i zgodnie z modnym wówczas akcentem nie domawiając litery r – czyż to trzeba mieć paszporty, skoro się jedzie do Grosbois, do obywatela Baasa? Słowo honoru, zwariowałeś, przyjacielu. Woźnica, batem po koniach!

Woźnica trzasnął z bata i powóz minął rogatkę.

# W rodzinie

Niech nasi myśliwi jadą do Lagny, my powróćmy do pałacu Luksemburskiego, aby się dowiedzieć, po co pierwszy konsul wezwał Rolanda.

Roland zastał pierwszego konsula zamyślonego.

Na szmer kroków Rolanda, Bonaparte podniósł głowę.

– Coście sobie powiedzieli? – zapytał Bonaparte.

– Naprawiliśmy sobie dużo komplementów i rozstaliśmy się jak najlepiej.

– Jakie na tobie zrobił wrażenie?

– Człowieka dobrze wychowanego.

– Ile może mieć lat?

– Może być w moim wieku.

– Najwyżej, sądząc z głosu. Słuchaj, Rolandzie! Czyżbym się mylił? Czy jest młoda generacja rojalistów?

– Ech, generale – odparł Roland, wzruszając ramionami – są to resztki dawnej generacji.

– Jeśli tak Rolandzie, to trzeba stworzyć nowe pokolenie, oddane memu synowi, jeśli będę go kiedyś miał.

Roland zrobił gest, który mógł oznaczać: „Nie mam nic przeciw temu".

Bonaparte zrozumiał ten gest.

– Nie dość tego, że nie masz nic przeciw temu; musisz współdziałać.

– W jaki sposób, generale?

– Żeniąc się.

Roland wybuchnął śmiechem.

– Doskonale! – rzekł – z moim anewryzmem. Bonaparte spojrzał na niego.

– Rolandzie kochany, zdaje mi się, że chcesz zostać starym kawalerem pod pretekstem tego anewryzmu.

– Tak myślisz, generale?

– Tak. A ponieważ jestem człowiekiem z zasadami, więc chcę, aby młodzi ludzie żenili się.

– Wynika stąd, że jestem niemoralny – odpowiedział Roland – i że wywołuję zgorszenie moimi kochankami!

– August – odparł Bonaparte – wydał prawa przeciw kawalerom; odebrał im prawa obywateli rzymskich.

– August...

– No, cóż?

– Poczekam generale, aż będziesz Augustem. Na razie jesteś tylko Cezarem.

Bonaparte zbliżył się do młodzieńca.

– Są rody Rolandzie, które nie powinny wygasnąć. Rodzina de Montrevel należy do takich.

– Jeśli, generale, przez upór albo przez kaprys lub fantazję nie zechcę pozostawić po sobie potomstwa, to zostanie jeszcze mój brat.

– Jak to! Brat? Masz brata?

– Mam. Dlaczego nie miałbym mieć?

– W jakim wieku?

– Jedenaście, dwunasty.

– Dlaczego nigdy mi o nim nie mówiłeś?

– Bo sądziłem, że życie takiego malca nie interesuje generała.

– Mylisz się Rolandzie: wszystko co dotyczy moich przyjaciół, interesuje mnie. Trzeba było prosić mnie o cokolwiek dla brata.

– O co, generale?

– O przyjęcie do jednej ze szkół w Paryżu.

– Dosyć masz petentów, generale; nie chciałem powiększać ich liczby.

– Słuchaj, twój brat musi wstąpić do szkoły w Paryżu; potem przejdzie do szkoły wojskowej lub do jakiejś innej, którą tu założę.

– Doprawdy, generale, jakbym przeczuwał twe zamiary, bo chłopak jest w drodze do Paryża.

– Jak to?

– Przed trzema dniami pisałem do matki, aby przywiozła chłopca do Paryża. Chciałem go umieścić w szkole, a potem, gdy podrośnie, pomówić o nim z generałem, o ile nie umrę na serce! A w takim razie...

– W takim razie?

– Zostawię testament, w którym polecę opiece twej, generale, matkę, chłopca i siostrę.

– Jak to, siostrę?

– Tak, moją siostrę.

– Więc masz i siostrę?

– Mam.

– W jakim wieku?

– Siedemnaście lat.

– Ładna?

– Zachwycająca!

– Zaopiekuję się nią.

Roland zaczął się śmiać.

– Czemu się śmiejesz? – zapytał pierwszy konsul.

– Chyba wywieszę nad wielką bramą Luksemburga szyld...

– Jaki szyld?

– „Kantor małżeństw”.

– Tak! Ty nie chcesz się żenić, ale po cóż siostra twoja ma zostać starą panną. Nie znoszę starych kawalerów i starych panien.

– Nie mówię, generale, że siostra będzie starą panną. Dosyć już, że jeden z członków rodziny de Montrevel wywołał twe niezadowolenie.

– Więc cóż mi tu gadasz?

– Mówię, że może zapytamy siostrę o jej zdanie.

– Czyżby już się zakochała, tam na prowincji?

– Nie chcę zaprzeczać. Bo opuściłem ją wesołą, zdrową, a zastałem po powrocie bladą i smutną. Muszę dojść przyczyny... Pomówimy o tym.

– Tak, po powrocie z Wandei.
– Więc mam jechać do Wandei?
– Czy nie chcesz?
– Ależ co znowu!
– No, to pojedziesz do Wandei.
– Kiedy?
– Nic pilnego. Jutro rano...
– Doskonale! Mogę i prędzej. Ale co mam tam robić?
– Rzecz bardzo ważną, Rolandzie.
– Chyba nie żadna misja dyplomatyczna?
– Owszem. Misja dyplomatyczna, której jednak nie musi spełnić dyplomata.
– Wybornie nadaję się do tego. Tylko ponieważ nie jestem dyplomatą, muszę mieć dokładne instrukcje.
– Będziesz je miał. Czy widzisz tę mapę?
– Widzę – odparł Roland. – Ale to jest mapa Piemontu.
– Tak, Piemontu.
– Więc chodzi o Włochy?
– Ciągle o Włochy.
– Zdawało mi się, że o Wandeę?
– Ubocznie.
– Więc, generale, posyłasz mnie do Wandei, a sam wyruszasz do Włoch?
– Nie, uspokój się.
– To dobrze. Uprzedzam, że w przeciwnym razie uciekam i przyłączam się do ciebie, generale.
– Pozwalam. Ale powróćmy do Mélasa.
– Przepraszam, generale. Po raz pierwszy słyszę to nazwisko.
– Tak, ale ja od dawna o nim myślę. Czy wiesz, gdzie pobiję Mélasa?
– Tam, gdzie się z nim spotkasz, generale.
Bonaparte zaśmiał się.
– Chodź tu – zwrócił się do Rolanda. – Popatrz no. Tutaj pobiję Mélasa.
– Koło Alessandrii?
– O dwie, trzy mile. W Alessandrii są jego magazyny, szpitale, składy broni. Nie może się stąd oddalić. Muszę poprowadzić wielką grę, inaczej nie będę miał pokoju. Przejdę przez Alpy – tutaj wskazał na górę Św. Bernarda – spadam na Mélasa w chwili, gdy się tego najmniej spodziewa i zbijam go na kwaśne jabłko.
– Jestem o to spokojny.
– Ale rozumiesz, że aby móc spokojnie wyruszyć do Włoch, nie mogę za sobą zostawiać Wandei.
– A! O to chodzi!... Więc posyłasz mnie generale do Wandei, abym ją uśmierzył.
– Ten młodzieniec opowiedział mi bardzo poważne rzeczy o Wandei. Wandejczycy – to dzielni żołnierze, którymi dowodzą dobre głowy. Jest między nimi Jerzy Cadoudal... Chcę mu dać pułk, ale odmawia.
– Grymaśny.
– Ale on nie wie o jednej rzeczy.
– Kto? Cadoudal?
– Cadoudal. Nie wie, że ksiądz Bernier zrobił mi propozycję.
– A któż to taki ten ksiądz Bernier?
– Syn chłopa z Anjou. Może mieć dzisiaj 33 – 34 lata; był proboszczem w Saint-Laud w Angers w chwili rewolucji. Odmówił przysięgi i przyłączył się do Wandejczyków. Kilkakrotnie uśmierzano Wandeę, kilka razy sądzono, że zamarła. Lecz mylono się. Wandeę

uśmierzono, ale ksiądz Bernier nie podpisał pokoju. Ale Wandea była niewdzięczna wobec niego. Ksiądz chciał zostać agentem generalnym przy wszystkich wojskach królewskich. Stofflet doradził nominację hr. Colberta de Maulevrier, jego kolatora. O godzinie drugiej rano narada się skończyła i ksiądz Bernier znikł. Co robił w tę noc. Bóg jeden wie. O godzinie czwartej rano oddział wojsk republikańskich otoczył chałupę, w której nocował Stofflet. Wzięty do niewoli, został ścięty w Angers... Nazajutrz rano dowództwo objął d'Autichamp i tegoż dnia mianował księdza Berniera agentem generalnym... Rozumiesz teraz?

– Doskonale.

– Otóż ten ksiądz Bernier zaproponował mi coś.

– Panu, generałowi Bonaparte, pierwszemu konsulowi? I przyjmujesz, generale, jego propozycję?

– Tak, Rolandzie. Niech Wandea uspokoi się, a otworzę jej kościoły, przywrócę jej księży.

– A jeśli zaczną śpiewać „Domine, salvum fac regem”?

– Lepiej, żeby to śpiewali, niż nic. Bóg jest wszechmocny. On zdecyduje. Czy ta misja przypada ci do smaku?

– Najzupełniej.

– No to masz tu list do generała Hédouville'a. On będzie układał się z księdzem Bernierem, jako dowódca armii zachodniej. Ale będziesz obecny przy wszystkich naradach: on będzie powtarzał tylko moje słowa, ty będziesz moją myślą. A teraz jedź jak najprędzej. Im prędzej powrócisz, tym prędzej pobiję Mélasa.

– Generale, chcę tylko napisać do matki.

– A gdzie ma się zatrzymać?

– W hotelu „Ambasadorów”.

– Kiedy przyjedzie?

– 23 albo 24 rano.

– Wszystko biorę na siebie.

– Jak to! Wszystko?

– No tak. Twoja matka nie może mieszkać w hotelu.

– A gdzie ma mieszkać?

– U przyjaciół.

– Nie zna nikogo w Paryżu.

– Przepraszam cię, Rolandzie. Zna obywatela Bonaparte, pierwszego konsula, i obywatelkę Józefinę, jego żonę.

– Chyba generale nie ulokujesz mojej matki w Luksemburgu?

– Nie, ale przy ulicy Zwycięstwa.

– Och, generale!

– No, no, to postanowione. Jedź i wracaj jak najprędzej.

Roland pochwycił rękę pierwszego konsula, by ją ucałować; ale Bonaparte przyciągnął go do siebie i rzekł:

– Uściśnij mnie drogi Rolandzie i pomyślnej drogi.

W dwie godziny później Roland jechał w ekstrapoczcie drogą wiodącą do Orleanu.

Nazajutrz, o godzinie dziewiątej rano wjeżdżał do Nantes po trzydziestu trzech godzinach podróży.

# Dyliżans genewski

O tej samej mniej więcej godzinie, kiedy Roland wjeżdżał do Nantes, ciężko załadowany dyliżans zatrzymywał się przed oberżą pod Złotym Krzyżem, na środku głównej ulicy w Châtillon-sur-Seine.

Zaledwie dyliżans stanął, pocztylion zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki.

Z otwartego pojazdu zaczęli wysiadać podróżni.

Było ich siedmioro; w jednym przedziale trzech mężczyzn, dwie kobiety i niemowlę. W drugim – matka i syn.

Owi trzej mężczyźni to: lekarz z Troyes, zegarmistrz z Genewy i architekt z Bourgu.

Z dwóch kobiet jedna była pokojówką, która jechała do swojej pani do Paryża, druga mamką, która odwoziła rodzicom odkarmione dziecko.

Matka, która jechała z synem, była kobietą lat około czterdziestu i zachowała ślady wielkiej urody, syn zaś – dzieckiem mogącym mieć lat jedenaście do dwunastu.

Śniadanie przygotowane było, jak zwykle, w głównej sali oberży.

Kobieta i mamka, wysiadłszy, podążyły do piekarza, gdzie każda kupiła bocheneczek ciepłego jeszcze chleba, do którego mamka dołączyła ponadto kiełbasę z czosnkiem, po czym obie powróciły do dyliżansu, w którym zabrały się spokojnie do spożycia śniadania, oszczędzając sobie w ten sposób kosztów stołowania w hotelu, przekraczających niewątpliwie ich budżet.

Lekarz, architekt, zegarmistrz, matka i syn weszli do oberży i, ogrzawszy się spiesznie w przejściu przy wielkim piecu kuchennym, przeszli do jadalni i zasiedli do stołu.

Matka zadowoliła się filiżanką kawy ze śmietanką i owocami.

Chłopiec, uradowany możnością stwierdzenia, że przynajmniej z apetytu jest mężczyzną, zabrał się odważnie do zimnych potraw mięsnych.

Pierwsza chwila została jak zawsze poświęcona zaspokojeniu głodu.

Rozmowę rozpoczął zegarmistrz z Genewy:

– Dalibóg, obywatelu – rzekł (w miejscach publicznych mieniono się jeszcze wzajemnie obywatelem) – wyznaję szczerze, że doczekawszy dzisiejszego poranka nie byłem zmartwiony.

– Pan nie sypia w powozie? – spytał lekarz.

– Owszem, panie – odparł współrodak Jana Jakuba — zazwyczaj śpię bez problemów; ale niepokój był tym razem silniejszy od zmęczenia.

– Obawiał się pan, że dyliżans się przewróci? – spytał architekt.

– Nie, mam szczęście pod tym względem i zdaje mi się, że wystarczy, żebym siedział w powozie, by stał się niewywrotny; nie, nie to było powodem mego niepokoju.

– Cóż więc takiego? – spytał lekarz.

– W Genewie mówią, że drogi we Francji nie są pewne.

– To zależy – rzekł architekt.

– A!... To zależy – powtórzył zegarmistrz.

– Tak – ciągnął dalej architekt – na przykład, gdybyśmy wieźli z sobą pieniądze rządowe, moglibyśmy być pewni, że zostaniemy zatrzymani albo raczej już bylibyśmy zatrzymani.

– Tak pan sądzi? – spytał zegarmistrz.

– To nieuniknione; nie wiem jakich sposobów używają ci hultaje, towarzysze Jehudy, ale są zawsze doskonale poinformowani; nie chybią ani razu.

Lekarz skinął głową potakująco.

– A!... Więc i pan – spytał zegarmistrz lekarza – i pan również jest tego zdania?

– Najzupełniej.

– Czy wiedząc, że w dyliżansie są pieniądze rządowe, wsiadłby pan do niego, byłby pan tak nieprzezorny?

– Wyznaję – odparł lekarz – że zastanowiłbym się dobrze.

– A pan? pytał dalej zegarmistrz architekta.

– O! Ja – zdziwił się tamten. – Pojechałbym, gdyby wezwano mnie w pilnej sprawie.

– Mam wielką ochotę – mówił zegarmistrz – kazać przynieść tu moją walizę i moje ubranie i poczekać na jutrzejszy dyliżans; schowałem w bagażu zegarki za dwadzieścia tysięcy franków; udało nam się dzisiaj, ale nie należy narażać Pana Boga na pokusy.

– Czy pan nie słyszał – wtrąciła się matka do rozmowy – że bylibyśmy narażeni na niebezpieczeństwo – tak przynajmniej mówią ci panowie – jedynie wtedy, gdybyśmy wieźli ze sobą pieniądze rządowe?

– Otóż właśnie – odparł zegarmistrz, patrząc dookoła z niepokojem – mamy je w dyliżansie!

Matka pobladła patrząc na syna: każda matka obawia się najpierw o dziecko a potem o siebie.

– Jak to! Przewozimy pieniądze rządowe? – zawołali jednocześnie i w różnym stopniu podekscytowanym głosem lekarz i architekt. – Czy pan jest pewien tego, co pan mówi?

– Najzupełniej.

– W takim razie powinien pan był powiedzieć nam to wcześniej albo, mówiąc teraz, powiedzieć po cichu.

– Ale – odezwał się lekarz – może pan nie jest pewien tego, co mówi?

– A może pan sobie tylko żartuje? – dodał architekt.

– Niechaj mnie Bóg uchowa!

– Genewczycy bardzo lubią żartować – wtrącił lekarz.

– Panie – rzekł Genewczyk, bardzo dotknięty tym, że ktoś mógł pomyśleć, iż lubi żartować – widziałem, jak ładowano.

– Co?

– Pieniądze.

– A dużo ich jest?

– Widziałem sporo worków.

– Ale skąd pochodzą te pieniądze?

– Pochodzą ze skarbca niedźwiedzi berneńskich. Panowie wiedzą chyba, że niedźwiedzie berneńskie miewały do pięćdziesięciu tysięcy liwrów renty.

Lekarz parsknął śmiechem.

– Stanowczo – rzekł – pan nas straszy.

– Panowie rzekł zegarmistrz – daję wam słowo honoru...

– Wsiadać, panowie! – zawołał konduktor, otwierając drzwi. – Wsiadać! Jesteśmy spóźnieni trzy kwadranse.

– Chwilę, konduktorze, chwilę – rzekł architekt – naradzamy się.

– Nad czym?

– Zamknijże drzwi, konduktorze, i chodź tutaj.

– Wypij z nami kieliszek wina.

– Z przyjemnością, panowie – odparł konduktor – kieliszka wina nikt nie odmawia.

Konduktor wyciągnął kieliszek; trzej podróżni trącili się z nim.

W chwili, gdy podnosił kieliszek do ust, lekarz powstrzymał mu rękę.

– Słuchaj konduktorze, powiedz szczerze, czy to prawda?

– Co?

– To, co mówi ten pan.

I wskazał Genewczyka.

– Pan Féraud?

– Nie wiem, czy nazywa się Féraud.

– Tak jest panie, to moje nazwisko, do usług – rzekł Genewczyk, składając ukłon. – Féraud i spółka, zegarmistrze, ulica du Rempart, nr 6, w Genewie.

– Panowie! – zawołał konduktor. – Wsiadać!

– Ale pan nie daje nam odpowiedzi.

– Jaką, u diabła, mam panom dać odpowiedź? Przecież mnie o nic nie pytacie.

– Przeciwnie, pytamy czy to prawda, że pan w swoim dyliżansie wiezie znaczną sumę, stanowiącą własność rządu francuskiego?

– Gaduła! – rzekł konduktor do zegarmistrza. – To pan się wygadał.

– Trudno, kochany panie...

– Dalej, panowie, wsiadać!

– Ale zanim wsiądziemy chcielibyśmy wiedzieć...

– Co? Czy mam pieniądze rządowe? Tak, mam; a teraz, jeśli nas zaaresztują, nie piśnijcie ani słówka, a wszystko dobrze się skończy.

– Jest pan pewien?

– Pozwólcie mnie załatwić sprawę z tymi panami.

– Co pan pocznie, jeśli pana zaaresztują? – zapytał lekarz architekta.

– Usłucham rady konduktora.

– I postąpi pan najmądrzej – odezwał się ten.

– Zachowam się tedy spokojnie – rzekł architekt.

– I ja również – powiedział zegarmistrz.

– Dalej, panowie, wsiadać! Śpieszmy się!

Chłopiec słuchał całej rozmowy ze zmarszczonymi brwiami, z zębami zaciśniętymi.

– Już ja wiem, co zrobię – odezwał się wreszcie do matki – jeśli nas zatrzymają w drodze.

– No co? – spytała matka.

– Zobaczysz.

– Co to dziecko mówi? – spytał zegarmistrz.

– Mówię, że jesteście wszyscy tchórzami – odparło dziecko bez wahania.

– Edwardzie! – zawołała matka. – A to co takiego?

– A ja chciałbym, żeby zatrzymano dyliżans – rzekło dziecko z roziskrzonymi oczyma.

– Panowie, panowie, wsiadać, na miłość boską! – krzyknął po raz ostatni konduktor.

– Konduktorze – rzekł lekarz – przypuszczam, że nie masz broni.

– Owszem, mam pistolety.

– Nieszczęśliwy!

Konduktor pochylił się nad jego uchem i rzekł po cichu:

– Bądź spokojny, doktorze; są nabite tylko prochem.

– Doskonale.

I zamknął wewnętrzne drzwiczki dyliżansu.

– Dalej, pocztylionie, w drogę!

Pocztylion zaciął konie, ciężki wehikuł zachwiał się, konduktor zatrzasnął drzwiczki zewnętrzne.

– Nie wsiadasz z nami, panie konduktorze? – spytała matka.

– Dziękuję pani – odparł konduktor – mam zajęcie na górze, na imperialu.

Po czym przechodząc obok okna rzekł:

– Niech pani uważa, żeby pan Edward nie ruszał pistoletów, które są w torbie, mógłby się zranić.

– A to dobre! – rzekło dziecko. – Jak gdyby się nigdy nie miało do czynienia z pistoletami; mam daleko ładniejsze, niż pańskie, sprowadził mi je z Anglii mój przyjaciel, sir John; nieprawda, mamo?

– Mniejsza o to – rzekła pani de Montrevel. – Proszę cię, Edwardzie, żebyś nic nie ruszał.

– O! Bądź spokojna, mateczko.

Półgłosem wszakże powtórzył:

– A jednak, jeśli towarzysze Jehudy na nas napadną, już ja wiem, co zrobię.

Dyliżans ruszył z miejsca i potoczył się ciężko drogą do Paryża.

Był to jeden z owych pięknych dni zimowych, które mniemającym, że przyroda umarła, wykazują dobitnie, iż przyroda nie umiera, lecz śpi tylko. Człowiek, który żyje siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt lat, miewa w ciągu swojego długiego życia noce trwające dziesięć do dwunastu godzin i skarży się, że długość jego nocy skraca dni; przyroda, której istnienie jest bez końca, drzewa, których życie trwa tysiące lat, miewają sny pięciomiesięczne, te sny są dla nas zimami, dla nich zaś jedynie nocami.

Otóż, w ów piękny dzień 23 lutego 1800 r., uśpiona przyroda snuła wiosenne marzenia; w jaskrawym, radosnym niemal blasku słońca, na trawie podwójnego rowu, ciągnącego się wzdłuż całej drogi, iskrzyły się zwodne perły szronu, które topnieją w palcach dzieci i radują oko rolnika, gdy drżą na czubkach jego zbóż, wysuwających się odważnie z łona ziemi.

Pasażerowie otworzyli okna dyliżansu, by wpuścić ten przedwczesny uśmiech Boga i mówili do tak długo nieobecnego promienia: Bądź pozdrowiony, podróżniku, mniemaliśmy, żeś zginął w głębiach chmur zachodu lub zatonął w burzliwych falach oceanu.

Nagle, w godzinę mniej więcej po wyjeździe z Châtillon, przybywszy nad odnogę rzeki, pojazd zatrzymał się bez widocznej przeszkody; zbliżali się stępa czterej jeźdźcy, jeden z nich, jadący na przodzie, skinął ręką na pocztyliona, by się zatrzymał.

Pocztylion usłuchał.

– Mamo – zawołał Edwardek, który mimo przestróg pani de Montrevel, wyglądał przez otwarte okno – ach, mamo, jakie cudne konie! Ale dlaczego ci jeźdźcy są w maskach? Przecież to nie karnawał.

Pani de Montrevel siedziała pogrążona w marzeniach; każda kobieta zawsze trochę marzy: młoda o przyszłości, stara o przeszłości.

Ocknęła się z zadumy, wysunęła głowę z dyliżansu i wydała okrzyk.

Edward odwrócił się żywo.

– Co ci się stało, mamo? – zapytał.

Pani de Montrevel blednąc i nie odpowiadając synowi, wzięła go w objęcia.

Z wnętrza dyliżansu odezwały się okrzyki trwogi.

– Ależ co się stało? – pytał Edwardek, usiłując wyzwolić się z ramion matki.

– Stało się, mój mały – rzekł głosem pełnym słodyczy jeden z zamaskowanych mężczyzn, wsuwając głowę przez okno dyliżansu – że mamy do załatwienia z konduktorem rachunek, który zupełnie nie obchodzi podróżnych; powiedz czcigodnej matce, żeby zechciała przyjąć

wyrazy naszego najwyższego szacunku i żeby nie zwracała na nas najmniejszej uwagi, jak gdyby nas nie było.

– Sługa wasz, panowie – dodał, wchodząc do wnętrza – nie obawiajcie się o wasze sakiewki lub wasze klejnoty i uspokójcie mamkę; nie przybyliśmy tutaj po to, żeby zwarzyć jej mleko.

Po czym odezwał się do konduktora:

– Ojcze Hieronimie, mamy sto tysięcy franków na imperialu i w kufrach, nieprawda?

– Panowie, przysięgam...

– Pieniądze są własnością rządu, należą do skarbca niedźwiedzi berneńskich; siedemdziesiąt tysięcy franków jest w złocie, reszta w srebrze; srebro znajduje się na górze, na dyliżansie, złoto w kufrze wewnątrz, pod siedzeniem; czy tak, czy jesteśmy dobrze poinformowani?

Na słowa „w kufrze wewnątrz, pod siedzeniem", pani de Montrevel wydała drugi okrzyk trwogi; zetknie się zatem bezpośrednio z mężczyznami, którzy, mimo swej grzeczności, budzili w niej głęboką trwogę.

– Ależ co ci jest, matko? Co ci jest? – zapytało dziecko niecierpliwie.

– Cicho bądź Edwardzie, cicho bądź.

– Dlaczego mam być cicho?

– Czyż nie rozumiesz?

– Nie.

– Dyliżans został zatrzymany.

– Dlaczego? Ależ powiedz dlaczego!... Ach! Matko, rozumiem.

– Nie, nie – rzekła pani de Montrevel – nie rozumiesz.

– Ci panowie są złodziejami.

– Strzeż się powiedzieć to głośno.

– Jak to! To nie są złodzieje? Przecież zabierają pieniądze konduktora.

Istotnie, jeden z nich ładował na swojego konia worki z pieniędzmi, które konduktor zrzucał mu z imperialu.

– Nie – odparła pani de Montrevel – nie, to nie są złodzieje.

Po czym, zniżając głos, dodała:

– To są towarzysze Jehudy.

– A więc to oni – rzekło dziecko – napadli na mego przyjaciela, sir Johna?

W tejże chwili jeden z zamaskowanych mężczyzn otworzył drzwiczki dyliżansu i z wyszukaną grzecznością rzekł:

– Pani hrabino, z wielkiem żalem zmuszeni jesteśmy turbować panią; ale potrzebny nam, a raczej konduktorowi, kufer, który tu stoi; niechże więc pani będzie łaskawa wysiąść na chwilę; Hieronim załatwi się możliwie szybko.

Tonem żartobliwym, który nigdy nie znikał zupełnie z jego wesołego głosu, dodał:

– Nieprawdaż, Hieronimie?

Hieronim z góry dyliżansu odpowiedział potwierdzająco na słowa pytającego.

Instynktownie, chcąc stanąć między synem a niebezpieczeństwem, jeżeli ono istniało, pani de Montrevel wsunęła Edwarda za siebie.

Ta chwila wystarczyła dziecku do pochwycenia pistoletów konduktora.

Młodzieniec o wesołym usposobieniu pomógł wysiąść pani de Montrevel i skinął na jednego z towarzyszy, żeby podał jej ramię.

W tym momencie rozległ się potworny huk. Edward strzelił z obu pistoletów do towarzysza Jehudy, który znikł w obłokach dymu.

Pani de Montrevel krzyknęła i zemdlała.

Wewnątrz dyliżansu wszyscy zamarli ze strachu; umówiono się, żeby nie stawiać żadnego oporu, a oto ktoś się opierał.

Trzej pozostali zamaskowani młodzieńcy wydali okrzyk zdumienia; po raz pierwszy zdarzało im się coś podobnego.

Rzucili się ku towarzyszowi w mniemaniu, że pozostały z niego tylko szczątki.

Zastali go żywego i zdrowego, śmiejącego się do rozpuku, gdy konduktor, złożywszy dłonie, wołał:

– Panie, przysięgam, że nie było kul, zapewniam solennie, że były nabite tylko prochem.

– Do licha! – odparł młodzieniec. – Wszak widzę, że były nabite tylko prochem; ale dobrych chęci nie brakło... nieprawda, Edwardku?

Po czym, zwracając się do towarzyszy:

– Przyznajcie, panowie – dodał – że to rozkoszne dziecko; prawdziwy syn swego ojca i brat swego brata; brawo Edwardzie, będziesz kiedyś dzielnym mężczyzną.

I pochwyciwszy chłopca w objęcia ucałował go mimo jego woli, w oba policzki.

Edward wyrywał się jak szatan, uważając niewątpliwie, że pocałunek człowieka, do którego dopiero co wymierzył dwukrotnie z pistoletu, jest upokarzający.

W tym czasie jeden z trzech towarzyszy zaniósł matkę Edwarda za dyliżans i złożył ją na płaszczu nad brzegiem rowu.

Ten, który ucałował Edwarda tak serdecznie i uparcie, przez chwilę szukał wzrokiem towarzysza, a spostrzegłszy go, rzekł:

– Pani de Montrevel nie odzyskuje jeszcze przytomności; nie możemy pozostawić kobiety w takim stanie, panowie; konduktorze, zaopiekuj się panem Edwardem.

Oddał dziecko w ręce konduktora i zwrócił się do jednego ze swoich towarzyszy, mówiąc:

– Słuchaj no, człowieku pełen przezorności, czy nie masz przy sobie flakonu z solami angielskimi albo butelki z wodą orzeźwiającą?

– Owszem – odparł ten, do którego się zwrócił.

I wyjął z kieszeni flakon z solami angielskimi.

– Dawaj! A teraz – rzekł młodzieniec, który, jak się zdawało, był przywódcą bandy – zakończ beze mnie z ojcem Hieronimem, ja pójdę ocucić panią de Montrevel.

A był już najwyższy czas istotnie na udzielenie pomocy; pani de Montrevel doznała bowiem szoku.

Młodzieniec pochylił się nad nią i podał sole angielskie.

Pani de Montrevel otworzyła niebawem oczy. Przerażona, wołając Edwarda odruchowo zrzuciła maskę mężczyzny, który niósł jej pomoc.

Mężczyzną tym był Morgan.

Pani de Montrevel osłupiała na widok pięknych, błękitnych oczu, wysokiego czoła i ust pełnych wdzięku. Rycerski i pełen uroku młodzieniec robił jak najlepsze wrażenie.

Zrozumiała, że w rękach takiego człowieka ani jej, ani Edwardowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

I zwróciła się do M organa nie jak do bandyty, który stał się przyczyną zemdlenia, lecz jak do dżentelmena, niosącego pomoc zemdlonej kobiecie.

– O! Jaki pan dobry! – rzekła.

A w tych słowach i w tonie, jakim je wypowiedziała znać było wdzięczność.

Z zalotnością szczególną, właściwą jego rycerskiemu charakterowi, zamiast podnieść z pośpiechem maskę i ukryć pod nią twarz, by pani de Montrevel zachowała o niej tylko wspomnienie przelotne i niejasne, Morgan odpowiedział ukłonem na komplement, napawając się przez chwilę wrażeniem, jakie wywierało jego oblicze. Najpierw złożył flakon d'Assasa w ręce pani de Montrevel, potem dopiero zawiązał maskę.

Pani de Montrevel zrozumiała tę delikatność młodzieńca.

– Panie – rzekła – niech pan będzie spokojny, w jakimkolwiek miejscu i w jakichkolwiek warunkach spotkamy się w przyszłości, będzie pan dla mnie nieznajomy.

– W takim razie – odparł Morgan – to ja powinienem podziękować pani i powiedzieć z kolei, że pani jest dobra!

– Panowie podróżni, wsiadać! – zawołał konduktor zwykłym tonem, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło.

– Czy pani już zupełnie doszła do siebie, czy też potrzeba pani jeszcze kilku chwil wypoczynku? – spytał Morgan. – Dyliżans może zaczekać.

– Nie panowie, to zbyteczne; dziękuję panom bardzo, czuję się już zupełnie dobrze.

Morgan podał ramię pani de Montrevel, która oparła się na nim, by powrócić i wsiąść do dyliżansu.

Konduktor usadowił już w nim Edwardka.

Gdy pani de Montrevel zajęła znów swoje miejsce, Morgan, który zawarł pokój z matką, chciał również pogodzić się z synem.

– Bez urazy, młody bohaterze – rzekł, wyciągając rękę.

Ale dziecko cofnęło się.

– Nie podaję ręki złodziejowi, który kradnie na gościńcach.

Pani de Montrevel poruszyła się przerażona.

– Rozkoszny jest malec pani – rzekł Morgan – tylko ma przesądy.

I kłaniając się z największą kurtuazją:

– Szczęśliwej podróży! – dodał i zamknął drzwiczki.

– W drogę! – krzyknął konduktor.

Dyliżans zachwiał się.

– Ach, przepraszam pana! – zawołała pani de Montrevel. – Flakon pański! Pański flakon!

– Proszę, niech go pani zachowa – odparł Morgan – jakkolwiek mam nadzieję, że pani ma się już tak dobrze, iż będzie zbyteczny.

Ale chłopiec, wyrwał flakon z rąk matki:

– Mama nie bierze podarunków od złodziei – rzekł.

I wyrzucił flakon przez drzwiczki.

Do diabła! – szepnął Morgan, wzdychając – zdaje mi się, że mam słuszność, nie ujawniając miłości do Amelii.

Następnie zwrócił się do towarzyszy:

– Panowie! Skończone?

– Tak! – odparli jednogłośnie.

– A zatem na koń i w drogę! Nie zapominajmy, że mamy być dzisiaj o dziewiątej wieczorem w operze.

I wskoczywszy na siodło pierwszy przesadził rów, po czym bez chwili wahania przepłynął rzekę w bród.

Przybywszy na przeciwny brzeg, d'Assas zapytał Morgana.

– Powiedz no, nie spadła ci przypadkiem maska?

– Owszem; ale tylko pani de Montrevel widziała moją twarz.

– Hm! – rzekł d'Assas. – Byłoby lepiej, gdyby jej nikt nie widział.

I wszyscy czterej, puściwszy konie galopem, znikli na polach w stronie Chaource.

# Raport obywatela Fouchégo

Gdy pani de Montrevel przybyła nazajutrz około godziny jedenastej rano do hotelu „Ambasadorów", ku swojemu wielkiemu zdumieniu zastała zamiast Rolanda nieznajomego mężczyznę, który na nią czekał.

Nieznajomy zbliżył się do niej.

– Czy pani jest wdową po generale de Montrevel? – zapytał.

– Tak jest, panie – odparła pani de Montrevel, coraz bardziej zdziwiona.

– I szuka pani swego syna?

– Istotnie, i nie rozumiem wobec listu, jaki do mnie napisał...

– Człowiek strzela, a pierwszy konsul kule nosi – odparł nieznajomy, śmiejąc się. – Pierwszy konsul rozporządził pani synem na kilka dni i przysłał mnie, żebym w jego zastępstwie panią powitał.

Pani de Montrevel złożyła ukłon.

– A mam zaszczyt mówić z...? – zapytała.

– Z obywatelem Fauveletem de Bourriennem, jego pierwszym sekretarzem.

– Zechce pan podziękować w moim imieniu pierwszemu konsulowi – odpowiedziała pani de Montrevel – i wyrazić mu łaskawie mój głęboki żal, że nie mogę podziękować sama.

– Ależ nic łatwiejszego, szanowna pani.

– Jak to?

– Pierwszy konsul rozkazał mi, bym panią przyprowadził do Luksemburga.

– Mnie?

– Panią i syna.

– Ach! Zobaczę generała Bonaparte, zobaczę generała Bonaparte – zawołał chłopiec – co za szczęście!

I zaczął skakać z radości, klaszcząc w dłonie.

– Spokojnie, spokojnie Edwardzie! – strofowała pani de Montrevel.

Po czym, zwracając się do Bourrienne'a:

– Niech mu pan wybaczy – rzekła – to dzikus z gór Jury.

Bourrienne wyciągnął rękę do chłopca.

– Jestem przyjacielem twego brata – rzekł – czy zechcesz mnie ucałować?

– Z największą chęcią, panie – odparł Edward – bo pan nie jest złodziejem.

– Nie, nie, mam nadzieję – odparł, śmiejąc się sekretarz.

– Proszę ponownie, żeby mu pan wybaczył, ale zostaliśmy zatrzymam w drodze.

– Jak to, zatrzymani?

– Tak.

– Przez złodziei?

– Niezupełnie.

– Proszę pana – spytał Edward – czy ludzie, którzy zabierają pieniądze innych, nie są złodziejami?

– Na ogół, drogie dziecko, tak ich nazywają.

– A widzisz, mamo!

– Edwardzie cicho bądź, proszę cię bardzo.

Bourrienne rzucił spojrzenie na panią de Montrevel i z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że temat rozmowy był jej niemiły; nie nalegał więc dłużej.

– Ośmielam się przypomnieć pani – rzekł – że otrzymałem rozkaz zaprowadzenia pani do Luksemburga. Czeka tam na panią pani Bonaparte.

– Poproszę pana zatem tylko o czas na zmianę sukni i ubranie Edwarda.

– Jak długo będzie to trwało?

– Czy pół godziny wydaje się panu za dużo?

– O nie, gdyby pół godziny wystarczyło pani, uważałbym, że żądanie jest bardzo rozsądne.

– Niech pan będzie spokojny, wystarczy.

– W takim razie – rzekł sekretarz, składając ukłon – pójdę jeszcze coś załatwić i wrócę za pół godziny, gotów na pani rozkazy.

– Dziękuję panu.

– Proszę nie brać mi za złe, jeśli będę punktualny.

– Nie każę panu czekać.

Bourrienne wyszedł.

Pani de Montrevel ubrała najpierw Edwarda, następnie siebie i gdy Bourrienne zjawił się ponownie była już gotowa od pięciu minut.

– Niech się pani strzeże – rzekł Bourrienne z uśmiechem – żebym nie zawiadomił pierwszego konsula o jej punktualności.

– Cóż by mi groziło w takim razie?

– Mógłby panią zatrzymać przy sobie, jako wzór punktualności dla pani Bonaparte.

– O! Kreolkom trzeba niejedno przebaczyć.

– Ale wszak i pani jest kreolką, jeżeli się nie mylę.

– Pani Bonaparte – odrzekła, śmiejąc się pani de Montrevel – widuje męża codziennie, gdy ja ujrzę konsula po raz pierwszy.

– Idźmy, idźmy już matko! – wołał Edward.

Sekretarz się usunął, by pozwolić przejść pani de Montrevel.

W kwadrans później byli w Luksemburgu.

Bonaparte zajmował w małym Luksemburgu apartament parterowy na prawo; Józefina miała swoją sypialnię i swój buduar na pierwszym piętrze; z gabinetu pierwszego konsula prowadził do niej korytarz.

Była uprzedzona o wizycie, gdyż na widok pani de Montrevel otworzyła ramiona, jak przyjaciółce.

Pani de Montrevel w postawie pełnej szacunku zatrzymała się przy drzwiach.

– Proszę, proszę, niechże pani się zbliży! – rzekła Józefina. – Znam panią nie od dzisiaj, ale od dnia, w którym poznałam pani zacnego i nieocenionego Rolanda. Czy pani wie, co mi zapewnia spokój, gdy Bonaparte mnie opuszcza? Świadomość, że Roland mu towarzyszy, bo gdy Roland jest przy nim, wiem, że żadne nieszczęście spotkać go nie może... I cóż, nie zechce mnie pani uścisnąć?

Pani de Montrevel była zmieszana niespodziewaną łaską.

– Jesteśmy rodaczkami, nieprawda? – ciągnęła dalej. – Przypominam sobie doskonale pana de la Clémènci'ere'a, który miał taki piękny ogród i takie przepyszne owoce! Przypominam sobie, że widziałam tam raz cudną młodą dziewczynę, która wydawała się królową tego ogrodu. Pani bardzo młodo wyszła za mąż?

– W czternastym roku życia.

– Inaczej nie mogłaby pani mieć syna w wieku Rolanda; ale niechże pani siada!

Usiadła sama, dając znak pani de Montrevel, żeby zajęła miejsce przy niej.

– A ten śliczny chłopczyk – mówiła dalej, wskazując Edwarda – to również syn pani?...

Westchnęła.

– Bóg okazał się hojny dla pani – rzekła po chwili. – Skoro spełnia wszystko, czego pani tylko może zapragnąć, powinna pani pomodlić się prosząc, aby i mnie zesłał syna.

Z zazdrością przycisnęła usta do czoła Edwarda.

– Mój mąż będzie uszczęśliwiony pani odwiedzinami. On tak kocha pani syna! Toteż nie do mnie najpierw zaprowadziliby panią, gdyby nie to, że jest u niego minister policji... Zresztą – dodała ze śmiechem – przybywa pani w niezbyt dobrej chwili; jest wściekły!

– O! – zawołała pani de Montrevel, niemal przestraszona. – Jeśli tak, to wolę zaczekać.

– Nie, nie! Przeciwnie, pani widok uspokoi go; nie wiem co się stało; zdaje się, że zatrzymują i ograbiają dyliżanse, jak w odludnym lesie, w biały dzień, na gościńcach. Niech się Fouché ostro trzyma, jeśli to się powtórzy.

Pani de Montrevel chciała odpowiedzieć, ale w tejże chwili drzwi się otworzyły i ukazał się woźny.

– Pierwszy konsul oczekuje pani de Montrevel – rzekł.

– Niech pani idzie, niech pani idzie – rzekła Józefina. – Czas jest tak drogi dla Bonapartego, że on sam stał się prawie równie niecierpliwy, jak Ludwik XIV, który nie miał nic do roboty. Nie lubi czekać.

Pani de Montrevel wstała z pośpiechem i chciała zabrać syna.

– Nie – rzekła Józefina – nich mi pani to śliczne dziecko zostawi; zatrzymujemy panią na obiad; Bonaparte zobaczy chłopca o szóstej; zresztą, jeżeli go zechce widzieć, przyśle po niego. Na razie jestem jego drugą mamą. A teraz, co poczniemy, żeby cię zabawić?

– Pierwszy konsul ma pewnie piękną broń, nieprawda? – rzekło dziecko.

– Tak, bardzo piękną. A więc pokażemy ci broń pierwszego konsula.

Józefina wyszła jednymi drzwiami, zabierając dziecko, a pani de Montrevel drugimi, idąc za woźnym.

Po drodze hrabina spotkała blondyna o twarzy bladej i smutnych oczach; spojrzał na nią z niepokojem, który, zdawało się, nie opuszczał go nigdy.

Pani de Montrevel przez chwilę śledziła go wzrokiem z pewną ciekawością; w owej epoce Fouché miał już smutną sławę.

W tejże chwili otworzyły się drzwi gabinetu Bonapartego i w szparze zarysowała się jego głowa.

Ujrzał panią de Montrevel.

– Pani de Montrevel – rzekł – proszę, proszę!

Pani de Montrevel przyśpieszyła kroku i weszła do gabinetu.

– Kazałem pani czekać – rzekł Bonaparte, zamykając drzwi za sobą – zupełnie wbrew mojej woli; musiałem zmyć głowę Fouchému. Wszak pani wie, że jestem bardzo zadowolony z Rolanda i że zamierzam mianować go lada dzień generałem. O której godzinie pani przyjechała?

– Przed chwilą, generale.

– Skąd pani przybywa? Roland powiedział mi, ale zapomniałem.

– Z Bourgu.

– Którą drogą?

– Drogą z Szampanii.

– Drogą z Szampanii! A więc pani była w Châtillon, gdy?...

– Wczoraj rano o godzinie dziewiątej.

– W takim razie musiała pani coś słyszeć o przyaresztowaniu dyliżansu?

– Generale...

– Tak, przyaresztowano dyliżans o godzinie dziesiątej rano, między Châtillon a Bar-sur-Seine.

– Generale, to był nasz dyliżans.

– Jak to „nasz”?

– Tak.

– Pani jechała dyliżansem, który zatrzymano?

– Tak jest.

– A!... Będę zatem miał dokładne szczegóły! Proszę mi wybaczyć, ale pani rozumie, że chciałbym znać prawdę. W kraju cywilizowanym, którego pierwszym urzędnikiem jest generał Bonaparte, nie powinno zatrzymywać się bezkarnie dyliżansu na gościńcu, w biały dzień albo...

– Generale, nie mogę powiedzieć nic więcej nad to, że ci, którzy zatrzymali, byli konno i zamaskowani.

– Ilu ich było?

– Czterech.

– Ilu było mężczyzn w dyliżansie?

– Czterech razem z konduktorem.

– I nie bronili się?

– Nie, generale.

– Raport policji donosi wszakże, że oddano dwa strzały z pistoletu.

– Tak, generale; ale te dwa strzały z pistoletu...

– To co?

– Dał mój syn.

– Syn pani! Ależ pani syn jest w Wandei.

– Roland, tak; ale Edward jest ze mną.

– Edward! Kto to jest Edward?

– Brat Rolanda.

– Mówił mi o nim; ależ to dziecko!

– Nie ma jeszcze dwunastu lat, generale.

– Dlaczego nie przyprowadziła go pani?

– Jest ze mną.

– Gdzie?

– Zostawiłam go u pani Bonaparte.

Bonaparte zadzwonił, po czym wszedł woźny.

– Powiedz Józefinie, żeby przyszła z dzieckiem.

Chodząc po gabinecie szeptał:

– Czterech mężczyzn i dziecko daje im przykład odwagi! I ani jeden z tych bandytów nie został zraniony?

– Nie było kul w pistoletach.

– Jak to, nie było kul?

– Nie; pistolety należały do konduktora, który był na tyle ostrożny, że nabił je tylko prochem.

– Dobrze, dowiemy się jego nazwiska.

W tejże chwili drzwi się otworzyły i ukazała się pani Bonaparte, trzymająca chłopca za rękę.

– Chodź tutaj – rzekł Bonaparte do dziecka.

Edward zbliżył się bez wahania i złożył wojskowy ukłon.

– A więc to ty strzelasz z pistoletu do złodziei?

– Widzisz mamo, że to złodzieje? – przerwał chłopiec.

– Naturalnie, że to złodzieje; niech mi kto zaprzeczy! Słowem, to ty strzelasz z pistoletu do złodziei, gdy mężczyźni się boją?

– Tak, to ja, generale; ale na nieszczęście, ten tchórz konduktor nabił swoje pistolety tylko prochem; inaczej byłbym zabił przywódcę.

– A więc ty się nie bałeś?

– Ja? Nie – odparło dziecko – ja się nigdy nie boję.

– Powinna pani nosić imię Kornelii – rzekł Bonaparte, zwracając się ku pani de Montrevel, opartej na ramieniu Józefiny.

Po czym rzekł do dziecka:

– To dobrze, zaopiekujemy się tobą; kim chcesz być?

– Najpierw żołnierzem.

– Jak to, najpierw?

– Później pułkownikiem, jak mój brat, i generałem, jak mój ojciec.

– Nie będzie to zatem moja wina, jeżeli nim nie zostaniesz – rzekł pierwszy konsul.

– Ani moja – odparło dziecko.

– Edwardzie! – zawołała pani de Montrevel przestraszona.

– Nie zechce pani chyba strofować go za to, że dał dobrą odpowiedź?

Wziął chłopca, podniósł do wysokości swojej twarzy i ucałował go.

– Zje pani obiad z nami – rzekł – a wieczorem Bourrienne, który był u pani w hotelu, zainstaluje panią przy ulicy de la Victoire, gdzie zostanie pani do powrotu Rolanda, który poszuka pani mieszkania według własnego upodobania. Edward wstąpi do szkoły wojskowej, a ja wydam za mąż pani córkę.

– Generale!

– To już ułożone z Rolandem.

Zwrócił się do Józefiny:

– Zabierz panią de Montrevel i postaraj się, żeby się nie nudziła.

Po czym rzekł do pani de Montrevel:

– Jeżeli przyjaciółka pani – Bonaparte powiedział te słowa z naciskiem –zechce wejść do modniarki, niech pani nie pozwoli; nie brak jej chyba kapeluszy: w ubiegłym miesiącu kupiła trzydzieści osiem.

I wymierzywszy lekki, przyjazny policzek Edwardowi, pożegnał obie kobiety ruchem ręki.

# Syn młynarza

Powiedzieliśmy już, że w chwili, w której Morgan i jego towarzysze zatrzymywali dyliżans genewski między Bar-sur-Seine i Châtillon, Roland wjeżdżał do Nantes.

Jeśli chcemy znać wynik jego posłannictwa, nie należy śledzić go krok w krok, po omacku, wśród tajemnicy, jaką ksiądz Bernier otaczał swoje ambitne pragnienia, lecz dogonić go w wiosce Muzillac, położonej między Ambon i Guernic, o dwie mile powyżej małej zatoki, do której wpada rzeka Vilaine.

Tam znajdujemy się w sercu Morbihanu, czyli w miejscu, gdzie zrodzili się szuanie; w pobliżu Laval, na folwarku des Poiriers, zrodzili się z Piotra Cotterau i Janiny Moyné czterej bracia szuanie. Jeden z ich pradziadów, drwal odludek, chłop posępny, trzymał się z dala od innych wieśniaków, jak puchacz-chat-huant – stroni od innych ptaków; stąd wynikło przezwisko chouan.

Przezwisko to stało się nazwą całej partii; na prawym brzegu Loary mówiono szuanie, chcąc określić Bretończyków, podobnie jak na brzegu lewym mówiono zbójcy, dla określenia Wandejczyków.

Nie nasza to sprawa opowiadać o śmierci i upadku tej bohaterskiej rodziny, dążyć za dwiema siostrami i jednym bratem na szafot, na pola bitwy, gdzie Jan i René, męczennicy swojej wiary, padają ranni lub nieżywi. Od czasu stracenia Perrine'y i Piotra, od śmierci Jana minęło wiele lat, a męki sióstr i waleczne czyny braci przeszły do legendy.

Dzisiaj mamy do czynienia z ich spadkobiercami.

Prawda, że dzielni chłopi wierni są tradycji – takimi jak ich widziano walczących przy boku de la Rouërie, de Bois-Hardy'ego i Bernarda de Villeneuve'a, takimi walczą przy boku Bourmonta, Frottégo i Jerzego Cadoudala; zawsze ta sama odwaga i zawsze to samo poświęcenie. Są to zawsze żołnierze chrześcijańscy i zagorzali rojaliści; powierzchowność ich zawsze ta sama, szorstka i dzika; broń ich zawsze ta sama, fuzja albo prosty kij, nazwany w kraju ferte; zawsze ten sam strój, to jest czapka z brązowej włóczki lub kapelusz o wielkich skrzydłach, zaledwie okrywający długie włosy, spadające prostymi kosmykami na ramiona.

Dla osłony od deszczu i zimna noszą kaftany ze skóry koźlęcej o długiej sierści; a jako znak łączności widnieje na ich piersi bądź szkaplerz, bądź serce Jezusowe, wyraźna oznaka bractwa, które oddawało się codziennie wspólnej modlitwie.

Tacy to ludzie, w godzinie, w której przekraczamy granicę, dzielącą Dolną Loarę od Morbihanu, rozproszeni są na przestrzeni od Roche-Bernard do Vannes i od Quertembergu do Billiers, obejmującej i wioskę Muzillac.

Trzeba wzroku orła szybującego w przestworzu lub puszczyka widzącego w ciemności, by ich wykryć w krzakach janowców, zaroślach i krzewach, w których się zaszyli.

Przejdźmy przez tę sieć niewidzialnej straży i minąwszy w bród dwa strumienie, dopływy rzeki bezimiennej, która wpada do morza, w pobliżu Billiers, między Arzalem i Damganem, wkroczmy śmiało do wioski Muzillac.

Wszędzie tam ciemno i cicho; blask jednego światła tylko przedostaje się przez szpary okiennic domu a raczej chaty, która niczym zresztą nie różni się od innych.

Jest to czwarta chata na prawo od wejścia do wsi.

Zbliżmy oko do jednego z otworów tej okiennicy i zajrzyjmy.

Widzimy mężczyznę w stroju bogatych chłopów Morbihanu, tylko złoty galon, szerokości palca, zdobi kołnierz i dziurki fraka oraz brzeg kapelusza. Resztę stroju dopełniają skórzane spodnie i buty ze sztylpami.

Na krześle leży porzucona szabla.

Pod ręką ma parę pistoletów.

Przed kominkiem lufy dwóch czy trzech karabinów odbijają blask płomieni.

Mężczyzna siedzi za stołem; lampa oświetla jego oblicze i papiery, które czyta.

Jest to oblicze trzydziestoletniego mężczyzny; gdy troski wojny partyzanckiej nie zachmurzają tej twarzy, widać, że wyraz jej musi być szczery i wesoły; okolona pięknymi jasnymi włosami, ożywiona jest wielkimi błękitnymi oczyma; głowa ma kształt właściwy głowom bretońskim, który zawdzięczają, jeśli mamy wierzyć systemowi Galla, nadmiernemu rozwojowi uporu.

Toteż mężczyzna ten ma dwa nazwiska.

Nazwisko popularne, pseudonim, pod którym znają go żołnierze: Okrągły Łeb.

Nadto zaś nazwisko prawdziwe, to, które odziedziczył po godnych i zacnych rodzicach, Jerzy Cadudal, a raczej Jerzy Cadoudal, albowiem tradycja zmieniła ortografię nazwiska, które przeszło do historii.

Jerzy był synem rolnika z parafii Kerléano, w parafii Brech. Legenda opiewa, że ten rolnik był jednocześnie młynarzem. Zaledwie skończył szkołę w Vannes – od którego Brech oddalone jest tylko o kilka mil – gdzie otrzymał dobre i solidne wykształcenie, gdy rozległy się w Wandei pierwsze wezwania do powstania rojalistycznego. Odgłos ich dobiegł Cadoudala, który zgromadził kilku towarzyszy łowów i rozrywek, przekroczył na ich czele Loarę i ofiarował swoje usługi Stoffletowi; ale Stofflet oznajmił, że chce go zobaczyć przy robocie, zanim go włączy do swoich szeregów; tego tylko pragnął Jerzy.

Niedługo czekano na taką sposobność w armii wandejskiej, zaraz następnego dnia odbyła się bitwa; Jerzy zabrał się do dzieła, i to z taką gorliwością, że widząc jego szarżę na błękitnych, były gajowy, pan de Maulevrier, nie mógł się powstrzymać i rzekł głośno do Bonchampa, który stał przy nim:

– Jeśli kula armatnia nie porwie tego wielkiego okrągłego łba, potoczy się on daleko, przepowiadam to panu.

Przezwisko to pozostało Cadoudalowi.

Tak przed pięcioma wiekami panowie Malestroit, de Penhoët, de Beaumanoir i de Rochefort nazywali wielkiego hetmana, którego okup wyprzędły kobiety bretońskie.

„Oto wielki okrągły łeb – mówili. – Będziemy teraz krzyżowali tęgo szpady z Anglikami”.

Na nieszczęście teraz już nie Bretończycy krzyżowali szpady z Anglikami, lecz Francuzi stanęli przeciw Francuzom.

Jerzy pozostał w Wandei aż do porażki pod Savenay.

Cała armia wandejska pozostała na polu bitwy albo rozpierzchła się jak dym.

Jerzy przez blisko trzy lata dokonywał cudów waleczności, odwagi, zręczności i siły; przeszedł ponownie przez Loarę i powrócił do Morbihanu z jednym tylko z tych, którzy mu towarzyszyli.

Ten będzie z kolei jego adiutantem albo raczej jego towarzyszem broni; nie opuści go już i zmieni swoje nazwisko Lemercier na Tiffauges. Widzieliśmy go na balu ofiar, obarczonego misją do Morgana.

Powróciwszy na rodzinną ziemię, Cadoudal od razu zaczyna podżegać do powstania; kule oszczędziły wielki okrągły łeb i wielki okrągły łeb, usprawiedliwiając proroctwo Stoffleta, następując po La Rochejacqueleinach, po Bonchampach, po Lescure'ach, nawet po samym Stofflecie, stał się ich rywalem w chwale i ich zwierzchnikiem w potędze; doszedł bowiem do tego – ten fakt świadczy o jego sile – że walczył prawie sam przeciw rządowi Bonapartego, mianowanego przed trzema miesiącami pierwszym konsulem.

Dwoma przywódcami, którzy wraz z nim pozostali wierni dynastii burbońskiej, byli Froté i Bourmont.

W chwili, o której mowa, to jest 26 stycznia 1800 r., Cadoudal dowodzi trzema czy czterema tysiącami ludzi i sposobi się do osaczenia przy ich pomocy generała Hatry'ego w Vannes.

Przez cały czas oczekiwania odpowiedzi pierwszego konsula na list Ludwika XVIII zawiesił wrogie kroki; ale przed dwoma dniami Tiffauges powrócił i wręczył mu odpowiedź.

Wysłano ją do Anglii, skąd pójdzie do Mitawy; a ponieważ pierwszy konsul nie chce pokoju na warunkach podyktowanych przez Ludwika XVIII, przeto Cadoudal, generał głównodowodzący Ludwika XVIII na Zachodzie, będzie w dalszym ciągu prowadził wojnę przeciw Bonapartemu, choćby mu przyszło walczyć samemu z przyjacielem Tiffaugesem u boku; w tej chwili zresztą jest on w Pouancé, gdzie toczą się narady między Châtillonem, d'Autichampem, księdzem Bernierem i generałem Hedouvillem.

Ten ostatni z wielkich bojowników wojny domowej zastanawia się i rozmyśla w tej chwili, bo nowiny jakie otrzymał dają istotnie powód do rozważań.

Generał Brune, zwycięzca spod Alkmaaru, oswobodziciel Holandii, mianowany został właśnie głównodowodzącym armiami republikańskimi na Zachodzie, od trzech dni jest w Nantes i ma za wszelką cenę rozbić Cadoudala i jego szuanów.

Trzeba tedy, aby szuanie i Cadoudal za każdą cenę dowiedli nowemu generałowi głównodowodzącemu, że się nie boją i że postrachem nic nie wskóra.

Nagle rozległ się tętent kopyt galopującego konia; jeździec zna niewątpliwie hasło, albowiem przedostaje się z łatwością między patrolami ustawionymi na drodze do Roche-Bernard i bez trudności wjeżdża do wioski Muzillac.

Zatrzymuje się przed drzwiami chaty, w której jest Jerzy. Ten podnosi głowę, słucha i na wszelki wypadek kładzie dłoń na pistoletach, chociaż prawdopodobnie będzie miał do czynienia z przyjacielem.

Jeździec zeskakuje z konia, wchodzi w aleję i otwiera drzwi pokoju, w którym znajduje się Jerzy.

– A! To ty Serce Królewskie! – zawołał Cadoudal. – Skąd przybywasz?

– Z Pouancé, generale.

– Jakie nowiny?

– List od Tiffaugesa.

– Daj.

Jerzy wziął żywo list z rąk Serca Królewskiego i przeczytał.

– A! – rzekł tylko.

I odczytał list powtórnie.

– Czy widziałeś człowieka, którego przybycie mi tu oznajmiają? – spytał Cadoudal.

– Tak jest, generale – odparł kurier.

– Jakiż to człowiek?

– Młodzieniec piękny, mogący mieć lat dwadzieścia sześć do dwudziestu siedmiu.

– Wyraz twarzy?

– Stanowczy.
– Doskonale; kiedy przybywa?
– Prawdopodobnie tej nocy.
– Czy poleciłeś strzec go wzdłuż całej drogi?
– Tak jest; przejedzie bez przeszkody.
– Poleć powtórnie; niechaj mu się nie stanie żadna krzywda: opiekuje się nim Morgan.
– Słucham, generale.
– Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?
– Republikańskie straże przednie są w Roche-Bernard.
– Ilu ludzi?
– Z tysiąc mniej więcej; mają ze sobą gilotynę i komisarza władzy wykonawczej Millière'a.
– Jesteś tego pewien?
– Spotkałem ich w drodze; komisarz jechał konno obok pułkownika, poznałem go od razu. On to kazał ściąć mego brata i poprzysiągłem, że umrze tylko z mojej ręki.
– I narazisz życie, żeby dotrzymać przysięgi?
– Przy pierwszej sposobności.
– Może nie każe na siebie czekać.
W tejże chwili rozległ się odgłos kopyt galopującego konia.
– Oto prawdopodobnie ten, którego oczekujesz, generale – rzekł Serce Królewskie.
– Nie – odparł Jerzy – ten jeździec przybywa od strony Vannes.
Istotnie odgłos, który stał się wyraźniejszy, wskazywał, że Cadoudal miał słuszność.
Podobnie jak pierwszy i drugi jeździec zatrzymał się przed drzwiami; podobnie jak pierwszy, zeskoczył z konia; podobnie jak pierwszy, wszedł.
Przywódca rojalistów poznał go od razu, pomimo szerokiego płaszcza, w jaki przybyły był otulony.
– To ty, Pobożny – rzekł.
– Tak jest, generale.
– Skąd przybywasz?
– Z Vannes.
– I cóż porabiają błękitni?
– Obawiają się generale, że umrą z głodu, jeśli osaczysz miasto; chcąc zaopatrzyć się w żywność, generał Hatry zamierza opróżnić dzisiejszej nocy składy w Grandchamp; generał dowodzić będzie osobiście wyprawą i zabierze tylko stu ludzi, żeby się szybciej załatwić.
– Jesteś zmęczony?
– Nigdy, generale – odparł Pobożny.
– A twój koń?
– Biegł prędko, ale może zrobić jeszcze cztery do pięciu mil w tym samym tempie i nie zdechnie.
– Daj mu dwie godziny odpoczynku, podwójną porcję owsa i niech zrobi jeszcze dziesięć mil.
– Na tych warunkach nie zawiedzie.
– Wyruszysz za dwie godziny; będziesz w Grandchamp o świcie; wydasz w moim imieniu rozkaz ewakuacji wioski; już ja sam rozprawię się z generałem Hatrym i jego kolumną. Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia?
– Nie, mam jeszcze oznajmić nowinę.
– Jaką?
– Vannes ma nowego biskupa.
– A więc zwracają nam naszych biskupów?
– Zdaje się, ale jeśli wszyscy są tacy, jak ten, mogą ich sobie zachować.

– A jakiż to biskup?
– Audrein.
– Ten królobójca?
– Audrein renegat.
– Kiedy przyjeżdża?
– Dzisiaj w nocy lub jutro.
– Nie pójdę na jego spotkanie, ale niechaj nie wpadnie w ręce moim ludziom!
Pobożny i Serce Królewskie wybuchnęli śmiechem, który dopełniał myśl Jerzego.
– Pst! – rzekł Cadoudal. Trzej mężczyźni wytężyli słuch.
– Tym razem to prawdopodobnie on – rzekł Jerzy.
Słychać było odgłos kopyt końskich od strony Roche-Bernard.
– To on, na pewno – powtórzył Serce Królewskie.
– W takim razie pozostawcie mnie samego, moi drodzy... Ty, Pobożny, pędź do Grandchamp jak najśpieszniej; ty, Serce Królewskie, czekaj na dziedzińcu z trzydziestką ludzi; może będę musiał wysłać posłańców w różnych kierunkach. Ale, słuchaj, postaraj się, żeby mi przyniesiono na wieczerzę, co tylko będzie najlepszego w wiosce.
– Na ile osób, generale?
– Na dwie.
– Pan wychodzi?
– Nie, idę na spotkanie tego, który przybywa.
Kilku chłopców odprowadziło już na dziedziniec konie dwóch posłańców.
Jerzy stanął w drzwiach wychodzących na drogę właśnie w chwili, gdy jeździec zatrzymał konia i rozglądał się z dokoła.
– To tutaj, panie – rzekł Jerzy.
– Kto tu jest? – spytał jeździec.
– Ten, którego pan szuka.
– Skąd pan wie, kogo szukam?
– Przypuszczam, że Jerzego Cadoudala, inaczej nazwanego Wielkim Okrągłym Łbem.
– Właśnie.
– Witam pana zatem, panie Rolandzie de Montrevel, albowiem ja jestem tym, którego pan szuka.
– Naprawdę? – rzekł młodzieniec zdziwiony.
I zeskakując z konia szukał oczyma kogoś, komu mógłby go powierzyć.
– Niech pan zarzuci cugle koniowi na szyję i więcej o niego się nie troszczy; gdy go pan będzie potrzebował, znajdzie się na miejscu: nic nie ginie w Bretanii, jest pan w kraju prawości.
Młodzieniec nie odpowiedział, zarzucił koniowi cugle na szyję stosownie do wskazówki i podążył za Cadoudalem, który szedł naprzód.
– Wskazuję ci drogę, pułkowniku – rzekł przywódca szuanów.

# Biały i błękitny

Roland wszedł za Jerzym do chaty i ciekawie rozejrzał się dokoła. Byli zupełnie sami.

– To twoja kwatera, generale? – spytał z uśmiechem.

– Tak, pułkowniku.

– Szczególnie strzeżona.

Jerzy uśmiechnął się z kolei.

– Mówi pan tak dlatego – rzekł – że od Roche-Bernard aż tutaj jechał pan drogą wolną?

– Nie spotkałem żywej duszy.

– Nie dowodzi to bynajmniej, żeby droga nie była strzeżona.

– Chyba, że strzegły jej puchacze i puszczyki, które fruwały z drzewa na drzewo, jak gdyby chcąc mi towarzyszyć, generale... W takim razie cofam swoje twierdzenie.

– Właśnie – odpowiedział Cadoudal – te to puszczyki i te puchacze stanowią moją straż, straż, która ma świetne oczy. Mają one nad ludzkimi tę przewagę, że widzą w nocy.

– Niemniej szczęśliwie się stało, iż zasięgnąłem wiadomości w Roche-Bernard, inaczej bowiem nie znalazłbym nawet psa, który by mi powiedział, gdzie mógłbym pana spotkać.

– W jakimkolwiek punkcie drogi zapytałby pan głośno: „Gdzie znajdę Jerzego Cadoudala?" wszędzie głos byłby panu odpowiedział: „W wiosce Muzillac, czwarty dom na prawo". Nie widziałeś nikogo, pułkowniku; tymczasem w tej chwili tysiąc pięciuset ludzi mniej więcej wie, że pułkownik Roland, adiutant pierwszego konsula, odbywa naradę z synem młynarza z Leguerno.

– Skoro wiedzą, że jestem pułkownikiem w służbie Rzeczypospolitej i adiutantem pierwszego konsula, to dlaczego mnie przepuścili?

– Bo otrzymali taki rozkaz.

– A więc wiedziałeś, generale, że przybywam?

– Wiedziałem nie tylko, że przybywasz, pułkowniku, ale i dlaczego przybywasz.

Roland spojrzał bystro na Cadoudala.

– W takim razie nie mam potrzeby mówić panu tego! I pan odpowiedziałby mi, nawet gdybym zachował milczenie?

– Mniej więcej.

– Dalibóg! Byłbym ciekaw tego dowodu wyższości waszej policji nad naszą.

– Gotów jestem dostarczyć ci jej, pułkowniku.

– Słucham, i to z tym większym zadowoleniem, że będę mógł grzać się spokojnie przy tym dobroczynnym ogniu, który również jakby czekał na mnie.

– A widzisz, pułkowniku, nawet ogień dokłada wszelkich starań, by cię powitać.

– Tak; ale i on, podobnie jak pan, nie mówi mi, jaki jest przedmiot mojej misji.

– Misja twoja, pułkowniku, w którą łaskawie i mnie wtajemniczasz, była początkowo przeznaczona dla samego księdza Berniera. Na nieszczęście ksiądz Bernier w liście, który przesłał przyjacielowi swemu, Marcinowi Duboysowi, nieco za wiele przypisywał swoim siłom; ofiarował swoje pośrednictwo pierwszemu konsulowi.

– Przepraszam – przerwał Roland – ale oznajmia mi pan fakt, o którym nie wiedziałem, a mianowicie, że ksiądz Bernier pisał do generała Bonaparte.

– Powiedziałem, że napisał do swego przyjaciela, Marcina Duboysa, a to zupełnie co innego... Moi ludzie przejęli i przynieśli mi ów list; kazałem go przepisać a list sam wysłałem i jestem pewien, że doszedł do rąk właściwych; wizyta twoja, pułkowniku, u generała Hédouville'a jest tego dowodem.

– Pan wie, że w Nantes nie dowodzi już generał Hédouville, lecz generał Brune.

– Może pan nawet powiedzieć, kto dowodzi w Roche-Bernard; albowiem z tysiąc żołnierzy republikańskich wkroczyło tam dzisiaj wieczorem około szóstej w towarzystwie gilotyny i obywatela komisarza generała Tomasza Millière'a. Mając narzędzie, muszą mieć i kata.

– Mówisz, generale, że przybyłem do księdza Berniera?

– Tak; ksiądz Bernier ofiarował swoje pośrednictwo; ale zapomniał, że dzisiaj są dwie Wandee; Wandea na wybrzeżu lewym i Wandea na wybrzeżu prawym; że jeśli można prowadzić rokowania z d'Autichampem, Châtillonem i Suzannetem w Pouancé, trzeba jeszcze pertraktować z Frottém, Bourmnontem i Cadoudalem... ale gdzie? Oto czego nikt powiedzieć nie może...

– Prócz ciebie, generale.

– Wobec tego kierowany rycerskością, która stanowi podstawę twego charakteru, pułkowniku, podjąłeś się wręczenia mi traktatu podpisanego 25-go. Ksiądz Bernier, d'Autichamp, Châtillon i Suzannet podpisali ci list żelazny i oto jesteś.

– Na honor! Generale, muszę przyznać, że jesteś świetnie poinformowany; pierwszy konsul pragnie pokoju z całego serca; wie, że ma w panu przeciwnika dzielnego i lojalnego, i nie mogąc się widzieć z panem, ponieważ pan nie przybędzie prawdopodobnie do Paryża, wysłał mnie do pana.

– To jest do księdza Berniera.

– Generale, mniejsza o to, czy zobowiążę się, że pierwszy konsul zatwierdzi to, co między sobą postanowimy. Jakie są wasze warunki pokoju?

– Bardzo proste, pułkowniku: niech pierwszy konsul zwróci tron Jego Królewskiej Mości Ludwikowi XVIII; niechaj zostanie jego generał-lejtnantem, wodzem jego armii na lądzie i na morzu, a wtedy ja stanę się jego pierwszym żołnierzem.

– Pierwszy konsul odpowiedział już na to żądanie.

– I oto dlaczego postanowiłem sam odpowiedzieć na tę odpowiedź.

– Kiedy?

– Nawet dzisiejszej nocy, jeśli nadarzy się sposobność.

– W jaki sposób?

– Podejmując na nowo wrogie kroki.

– Ale czy pan wie, że Châtillon, d'Autichamp i Suzannet złożyli broń?

– Oni są wodzami Wandejczyków i w imieniu Wandejczyków mogą robić co im się tylko podoba; ja zaś jestem przywódcą szuanów i w imieniu szuanów czynić będę to, co uznam za stosowne.

– A zatem, generale, skazujesz ten kraj na wojnę, która mu przyniesie zagładę!

– To męczeństwo, do którego wzywam chrześcijan i rojalistów.

– Generał Brune jest w Nantes z ośmioma tysiącami jeńców, których nam zwrócili Anglicy, po porażce pod Alkmaarem.

– Ostatni raz mieli taką dobrą sposobność; błękitni wprowadzili brzydki zwyczaj niebrania jeńców, co zaś do liczby naszych nieprzyjaciół, nie dbamy o nich, to drobny szczegół.

– Jeśli generał Brune i jego osiem tysięcy jeńców łącznie z dwudziestoma tysiącami żołnierzy, których przejmie z rąk generała Hédouville'a, nie wystarczą, pierwszy konsul zdecydowany jest wyruszyć osobiście przeciw tobie, generale, i to na czele stu tysięcy ludzi.

Cadoudal uśmiechnął się.

– Postaramy się – rzekł – dowieść mu, żeśmy godni stanąć z nim do walki.

– Podpali wasze miasta!

– Schronimy się do naszych chat.

– Spali wasze chaty!

– Będziemy żyli w naszych lasach.

– Zastanowisz się jeszcze, generale.

– Zrób mi ten zaszczyt i pozostań ze mną jeszcze przez czterdzieści osiem godzin, pułkowniku, a przekonasz się, że już się zastanowiłem.

– Bierze mnie ochota przyjąć twoje zaproszenie, generale.

– Tylko, pułkowniku, nie żądaj ode mnie więcej, niż ci mogę dać: sen pod słomianą strzechą albo w płaszczu pod gałęziami dębu; konia do jazdy i przewodnika, gdy mnie opuścisz.

– Przyjmuję.

– Słowo, pułkowniku, że nie będziesz się sprzeciwiał rozkazom, jakie będę wydawać, i nie przeszkodzisz niespodziankom, jakie zechcę ci zgotować?

– Jestem zbyt zaciekawiony, bym to miał uczynić; masz moje słowo, generale.

Cadoudal uśmiechnął się.

– A więc zobaczysz, pułkowniku – rzekł.

W tejże chwili drzwi otworzyły się i dwaj wieśniacy wnieśli nakryty stół, na którym obok kawałka słoniny dymił kapuśniak; jabłecznik, dopiero co ściągnięty z beczki, wylewał się spieniony z olbrzymiego garnka, który stał między dwoma kieliszkami.

Placki z mąki gryczanej przeznaczone były na koniec tej skromnej wieczerzy.

Stół miał dwa nakrycia.

– Widzi pan, panie de Montrevel – rzekł Cadoudal – moi chłopcy spodziewają się, że pan zrobi mi ten zaszczyt i spożyje ze mną wieczerzę.

– I na honor, nie mylą się; zażądałbym jej od pana, gdyby mnie pan nie zaprosił, a usiłowałbym zabrać ci, generale, przemocą swoją część, gdybyś mi jej odmówił.

– A zatem, do stołu!

Młody pułkownik zasiadł wesoło.

– Przepraszam za tę wieczerzę, którą pana częstuję – rzekł Cadoudal – nie mam, jak wasi generałowie, odszkodowania wojennego, żywią mnie moi żołnierze. Cóż nam dasz jeszcze, Zabijako?

– Potrawkę z kury, generale.

– Takie jest menu pańskiej wieczerzy, panie de Montrevel.

– Ależ to uczta! Teraz obawiam się tylko o jedno.

– O co?

– Dopóki będziemy jedli, nic nie zakłóci nam porozumienia, ale gdy przyjdzie do picia?...

– Pan nie lubi jabłecznika? Do diabła! Wprawia mnie pan w niemały kłopot. Jabłecznik albo woda stanowią moją piwnicę.

– Nie o to chodzi: za czyje zdrowie pić będziemy?

– Tylko o to, pułkowniku? – odparł Cadoudal z wielką godnością.

– Będziemy pili za zdrowie naszej wspólnej matki, Francji; służymy jej każdy odmiennym duchem, ale, mam nadzieję, jednakim sercem. Za zdrowie Francji! – dodał Cadoudal, napełniając oba kieliszki.

– Za zdrowie Francji! – odrzekł Roland, trącając się kieliszkiem z Jerzym.

I zasiedli obaj wesoło do stołu, z sumieniem spokojnym, z apetytem ludzi, z których starszy nie miał trzydziestu lat.

# Oko za oko

– A teraz, generale, dotrzymaj słowa – rzekł Roland, gdy skończyła się wieczerza i dwaj młodzieńcy, oparłszy łokcie na stole, wyciągnęli się przed ogniem kominkowym i zaczęli odczuwać błogostan, stanowiący zwykły skutek jedzenia, którego przyprawami były apetyt i młodość. – Przyrzekłeś, że mi pokażesz rzeczy, z których będę mógł zdać raport pierwszemu konsulowi.

– A ty, pułkowniku, przyrzekłeś, że się sprzeciwiać nie będziesz?

– Tak; zastrzegam jednak, że jeśli to, co ujrzę, w zbyt wielkiej będzie niezgodzie z moim sumieniem, wycofam się.

– Koń będzie zawsze do twego rozporządzenia, pułkowniku: osiodłają twojego lub mojego, jeśli twój zanadto się zmęczy, i będziesz wolny.

– Doskonale.

– Okoliczności sprzyjają panu – rzekł Cadoudal – jestem tutaj nie tylko generałem, ale także sędzią najwyższym a od dawna już powinienem w pewnym przypadku wymierzyć sprawiedliwość. Powiedziałeś mi, pułkowniku, że generał Brune jest w Nantes; wiedziałem o tym; powiedziałeś mi, że jego straż przednia jest o cztery mile stąd, w Roche-Bernard, i o tym wiedziałem również; ale pan nie wie może o tym, że tą przednią strażą nie dowodzi żołnierz, jak pan i ja: dowodzi nią obywatel Tomasz Millière, komisarz władzy wykonawczej. I jeszcze może nie wie pan tego, że obywatel Tomasz Millière nie bije się, jak my, przy pomocy dział, fuzji, bagnetów, pistoletów i szabel, ale przy pomocy narzędzia, wynalezionego przez jednego z waszych filantropów republikańskich i nazwanego gilotyną.

– Niepodobna, panie – zawołał Roland – żeby za rządów pierwszego konsula prowadzono wojnę w ten sposób.

– Musimy się porozumieć, pułkowniku; nie mówię, że to pierwszy konsul prowadzi taką wojnę, mówię, że ją prowadzą w jego imieniu.

– Kim jest ten nędznik?

– Powiedziałem panu, nazywa się Tomasz Millière; zasięgnij wiadomości, pułkowniku, a w całej Wandei i w całej Bretanii jeden tylko usłyszysz głos o tym człowieku. Od pierwszego dnia powstania wandejskiego i bretońskiego, to jest od sześciu lat, ten Millière był zawsze i wszędzie jednym z najczynniejszych krzewicieli terroru; dla niego terror nie skończył się wraz z Robespierrem. Denuncjując przed wyższymi władzami albo każąc denuncjować przed sobą żołnierzy bretońskich lub wandejskich, ich krewnych, ich przyjaciół, ich braci, siostry, żony, córki nawet rannych, nawet umierających, kazał rozstrzeliwać wszystkich, gilotynować

wszystkich bez sądu. W Daumeray na przykład pozostawił ślad krwi, który nie został jeszcze zatarty i nie będzie zatarty nigdy; przeszło osiemdziesięciu mieszkańców zamordowano na jego oczach; synów zabijano w objęciach matek, które dotąd, daremnie, wołając o zemstę, wznosiły ku niebu ręce, zbroczone krwią. Stopniowe uspokojenie Wandei albo Bretanii nie ukoiło tego pragnienia morderstwa, które trawi jego wnętrzności. W roku 1800 jest taki sam, jaki był w roku 1793. Otóż ten człowiek...

Roland spojrzał na generała.

– Otóż – ciągnął dalej Jerzy z największym spokojem – widząc, że społeczeństwo nie potępia tego człowieka, ja wydałem na niego wyrok; ten człowiek umrze.

– Jak to! Umrze w Roche-Bernard, wśród republikanów, pomimo swojej gwardii zabójców, pomimo orszaku złożonego z katów?

– Jego godzina wybiła, umrze.

Cadoudal wymówił te słowa tak uroczyście, że w umyśle Rolanda nie pozostała najlżejsza wątpliwość nie tylko co do tego, że wyrok jest wydany, ale i co do tego, że zostanie wykonany.

Przez chwilę siedział milczący i zadumany.

– I pan przypisuje sobie prawo sądzenia i skazania tego człowieka, który jest winowajcą?

– Tak; bo ten człowiek sądził i skazywał nie winowajców, ale niewinnych.

– Gdybym panu powiedział: Po powrocie do Paryża zażądam oskarżenia i osądzenia tego człowieka, czy nie uwierzyłby pan mojemu słowu?

– Uwierzyłbym pana słowu; ale odpowiedziałbym: Wściekłe zwierzę ucieka z klatki, morderca z więzienia; ludzie są ludźmi, istotami omylnymi. Skazywali niekiedy niewinnych, mogą oszczędzić winowajcę. Moja sprawiedliwość jest pewniejsza od twojej, pułkowniku, gdyż jest to sprawiedliwość Boga. Ten człowiek umrze!

– A jakim prawem, generale, mówisz, że sprawiedliwość twoja, człowieka omylnego, jak inni ludzie, jest sprawiedliwością Boga?

– Bo Bóg osądził go wraz ze mną. I to już od dawna.

– Jak to?

– Podczas burzy, kiedy pioruny grzmiały bez przerwy a błyskawice rozpalały się co chwila, wzniosłem ramiona ku niebu i rzekłem do Boga:

„Boże! Ty, którego ta błyskawica jest spojrzeniem. Ty, którego ten piorun jest głosem, jeśli ten człowiek winien umrzeć, spraw, żeby na dziesięć minut zgasły Twoje błyskawice i ucichły Twoje pioruny; cisza w powietrzu i mrok na niebie będą Twoją odpowiedzią!” – i z zegarkiem w ręku odliczyłem jedenaście minut bez błyskawic i piorunów... Podczas straszliwego huraganu ujrzałem na wysokości skały łódź, a w niej jednego tylko człowieka; fala porwała łódź, jak tchnienie dziecka porywa pióro, i cisnęła ją na skałę. Łódź zdruzgotana rozleciała się w kawałki, człowiek uczepił się skały; wszyscy krzyczeli: „Ten człowiek jest stracony!” Był tam jego ojciec, byli i jego dwaj bracia; ani bracia ani ojciec nie śmieli podążyć mu z pomocą. Wzniosłem ręce ku Stwórcy i rzekłem: „Jeśli Millière jest skazany, o Panie, przez Ciebie tak samo, jak przeze mnie, ocalę tego człowieka i uratuję siebie z Twoją jedynie pomocą”. Zrzuciłem ubranie, przywiązałem sznur jednym końcem do swojej ręki i popłynąłem do skały. I rzekłbyś, morze uspokoiło się pod moją piersią; dotarłem do człowieka. Jego ojciec i bracia trzymali drugi koniec sznura. Dopłynął do brzegu. A ja powróciłem jak on, przytwierdziwszy sznur do skały. Rzuciłem go daleko i poleciłem się Bogu i falom; fale poniosły mnie tak spokojnie i tak bezpiecznie, jak fale Nilu zaniosły kolebkę Mojżesza ku córce Faraonów. Szyldwach nieprzyjacielski stał pod wioską Saint-Nolf; ukrywałem się w lesie Grandchamp wraz z pięćdziesięcioma ludźmi. Wyszedłem z lasu sam, polecając duszę Bogu i mówiąc: „Panie, jeśli postanowiłeś śmierć Milliere'a, ten szyldwach strzeli do mnie i chybi, a ja powrócę do swoich, nie wyrządzając mu krzywdy, albowiem Ty byłeś przy nim przez chwilę”. I poszedłem na republikanina; z odległości

dwudziestu kroków strzelił do mnie i chybił. Oto dziura od kuli w moim kapeluszu, o cal od mojej głowy, ręka Boga kierowała bronią. Zdarzyło się to wczoraj. Mniemałem, że Millière i jego gilotyna są w Roche-Bernard. Wówczas powiedziałem: „Bóg mi go sprowadza, umrze tedy!”

Roland z pewnym szacunkiem słuchał zabobonnego opowiadania przywódcy bretońskiego. Nie dziwił się, bynajmniej, tej wierze i tej poezji w człowieku, przywykłym żyć w obliczu rozhukanego morza, wśród dolmenów Karnacu. Zrozumiał, że Millière był istotnie skazany i że tylko Bóg, który niejako trzykrotnie potwierdził wyrok skazujący, mógłby go uratować.

– W jaki sposób wymierzysz mu cios śmiertelny, generale? – zapytał Roland.

– O! – odparł Jerzy. – Ja się tym nie zajmuję; cios będzie wymierzony.

W tejże chwili wszedł jeden z dwóch ludzi, którzy wnieśli stół z wieczerzą.

– Zabijako – rzekł Cadoudal – uprzedź Serce Królewskie, że mam do niego słówko.

W dwie minuty później Bretończyk stanął przed swoim generałem.

– Serce Królewskie – zapytał Cadoudal – czy to ty powiedziałeś mi, że zabójca Tomasz Millière jest w Roche-Bernard?

– Widziałem, jak wjeżdżał ramię przy ramieniu z pułkownikiem republikańskim, któremu to sąsiedztwo nie bardzo pochlebiało, jak mi się wydaje.

– Czy nie dodałeś, że za nim toczyła się gilotyna?

– Powiedziałem, że toczyła się za nim gilotyna między dwiema armatami i zdaje mi się, że gdyby armaty mogły odsunąć się od niej, pozwoliłyby jej toczyć się samej.

– Jakie środki ostrożności przedsiębierze Millière w miastach, w których mieszka?

– Otoczony jest specjalną strażą, każe barykadować ulice prowadzące do jego domu; ma zawsze pod ręką parę pistoletów.

– Czy pomimo tej straży, pomimo tej barykady, pomimo tych pistoletów, podejmujesz się dotrzeć do niego?

– Podejmuję się, generale!

– Skazałem tego człowieka, z powodu jego zbrodni; musi umrzeć!

– A! – zawołał Serce Królewskie – a więc nadszedł dzień sprawiedliwości!

– Czy podejmujesz się wykonać mój wyrok. Serce Królewskie?

– Podejmuję się, generale.

– Idź, Serce Królewskie, weź tylu ludzi, ilu zechcesz... Obmyśl wybieg, jaki ci się podoba... ale dotrzyj do niego i ugodź śmiertelnie.

– Jeśli umrę, generale...

– Bądź spokojny, proboszcz w Leguerno odprawi na twoją intencję tyle mszy, że twoja biedna dusza pokutować nie będzie; ale ty nie umrzesz, Serce Królewskie.

– Dobrze, dobrze, generale! Skoro tylko będą msze, niczego więcej nie żądam; mam swój plan.

– Kiedyż w drogę?

– Dzisiejszej nocy.

– Kiedy żyć przestanie?

– Jutro.

– Idź i niechaj trzystu ludzi będzie gotowych do wyruszenia ze mną za pół godziny.

Serce Królewskie wyszedł tak spokojnie, jak wszedł.

– Widzisz, pułkowniku – rzekł Cadoudal – takim to ludziom rozkazuję; czy twój pierwszy konsul, panie de Montrevel, jest równie dobrze obsłużony, jak ja?

– Przez niektórych ludzi niewątpliwie.

– A ja nie tylko przez niektórych, ale przez wszystkich.

Pobożny wszedł i skierował na Jerzego pytające spojrzenie.

– Tak – odpowiedział Jerzy.

Pobożny wyszedł.

– Nie widział pan ani jednego człowieka, dążąc tutaj? – rzekł Jerzy.

– Ani jednego.

– Zażądałem trzystu ludzi w ciągu pół godziny i za pół godziny będą tutaj; gdybym zażądał pięciuset, tysiąca, dwóch tysięcy, byliby równie prędko gotowi.

– Ale – rzekł Roland – są granice, których pan przekroczyć nie może.

– Pan chce wiedzieć, jaka jest moja rzeczywista siła? Nic prostszego; nie powiem panu tego sam, pan by mi nie uwierzył; ale chwilkę... każę panu powiedzieć.

Otworzył drzwi i zawołał:

– Złoty Sęk!

W dwie sekundy później ukazał się Złoty Sęk.

– To mój generał major – rzekł śmiejąc się Cadoudal. – Pełni przy mnie te same obowiązki, co generał Berthier przy pierwszym konsulu. Złoty Sęku...

– Generale!

– Ilu ludzi jest rozstawionych od Roche-Bernard aż tutaj, to jest na drodze, którą dążył ten pan, by się dostać do mnie?

– Sześciuset na stepach Arzalu, sześciuset w zaroślach Marzanu, trzystu w Péaule'u, trzystu w Billiers.

– Ogółem tysiąc ośmiuset; a ilu między Noyal i Muzillac?

– Czterystu.

– Dwa tysiące dwustu; ilu stąd do Vannes?

– Pięćdziesięciu w Theix, trzystu w Trinité, sześciuset między Trinité i Muzillac.

– Trzy tysiące dwustu; a z Ambonu do Leguerno?

– Dwustu.

– Cztery tysiące czterystu; a w samej wiosce, dokoła mnie, w domach, w ogrodach, w piwnicach?

– Pięciu– do sześciuset, generale.

– Dziękuję, Złoty Sęku.

Skinął głową, Złoty Sęk wyszedł.

– Słyszał pan – rzekł Cadoudal z prostotą – pięć tysięcy ludzi mniej więcej. Otóż z tymi pięcioma tysiącami ludzi, którzy są wszyscy tutejsi i znają każde drzewo, każdy kamień, każdy krzak, mogę stanąć do walki ze stu tysiącami, których pierwszy konsul zamierza wysłać przeciw mnie.

Roland uśmiechnął się.

– Tak, to dziwne, nieprawda?

– Zdaje mi się, że przechwalasz się nieco, generale, albo raczej, że przechwalasz swoich ludzi.

– Nie; bo mam pomoc w całej ludności; żaden z waszych generałów nie może wykonać ani jednego ruchu, żebym o tym nie wiedział; nie może wysłać ani jednego ordynansa, żebym go nie schwytał; nie może znaleźć schronienia, w którym go nie zaskoczę. Tu sama ziemia nawet jest rojalistyczna i chrześcijańska! Gdyby nie było mieszkańców, ona mówiłaby do mnie: „Błękitni przeszli tędy; mordercy ukryci są tutaj!” Zresztą osądzisz sam, pułkowniku.

– W jaki sposób?

– Wyruszymy na wyprawę sześć mil stąd. Która godzina?

Młodzieńcy wydobyli jednocześnie zegarki.

– Za kwadrans północ – rzekli.

– Doskonale! – dodał Jerzy. – Nasze zegarki oznaczają jedną i tę samą godzinę, to dobry znak; może nadejdzie dzień, kiedy serca nasze równie zgodnie bić będą, jak chodzą nasze zegarki.

– Więc, powiedziałeś, generale?...

– Powiedziałem, że za kwadrans jest północ, pułkowniku; o godzinie szóstej, o świcie, mamy być o siedem mil stąd; czy chcesz odpocząć?

– Ja?

– Tak, może się pan przespać godzinę.

– Dziękuję; to niepotrzebne.

– W takim razie wyruszymy, kiedy pan zechce.

– A ludzie twoi, generale?

– O! Moi ludzie stoją w pogotowiu.

– Gdzie?

– Wszędzie.

– Chciałbym ich widzieć.

– Zobaczysz ich.

– Kiedy?

– Kiedy zechcesz; moi ludzie są bardzo dyskretni i ukazują się tylko na znak dany przeze mnie.

– Tak, że kiedy zechcę ich zobaczyć...?

– Powiesz mi, pułkowniku, dam znak i ukażą się.

– W drogę, generale!

– W drogę.

Młodzieńcy otulili się płaszczami i wyszli.

W drzwiach Roland spotkał się z gromadką złożoną z pięciu mężczyzn.

Pięciu mężczyzn w mundurach republikańskich; jeden z nich miał na rękawach galony sierżanta.

– Co to znaczy? – spytał Roland.

– Nic – odparł Cadoudal ze śmiechem.

– Ależ ci ludzie... co to za jedni?

– Serce Królewskie ze swymi druhami; wyruszają na wiadomą wyprawę.

– Liczą zatem, że przy pomocy tego munduru?...

– Dowiesz się o wszystkim, pułkowniku, nie mam przed tobą tajemnic.

I zwracając się do gromadki:

– Serce Królewskie! – rzekł Cadoudal.

Mężczyzna, którego rękawy ozdobione były podwójnym galonem, zbliżył się do Cadoudala.

– Wezwałeś mnie, generale? – zapytał fałszywy sierżant.

– Tak, chcę wiedzieć, jaki jest twój plan.

– Bardzo prosty, generale.

– Zobaczymy, osądzę sam.

– Wsuwam ten oto papier pod stempel fuzji...

Serce Królewskie pokazał wielką kopertę zapieczętowaną czerwonym lakiem, która niewątpliwie zawierała jakiś rozkaz republikański przejęty przez szuanów.

– Przedstawiam się szyldwachom mówiąc: „Ordynans generała dywizji!" Zbliżam się do pierwszej warty, proszę, żeby mi wskazano dom obywatela komisarza, wskazują mi, dziękuję: trzeba zawsze być grzecznym' przybywam pod dom, tam znów stoi szyldwach, mówię mu to samo, co pierwszemu, idę na górę lub schodzę do obywatela Millière'a, stosownie do tego, czy mieszka na strychu czy też w piwnicy, wchodzę bez żadnych przeszkód; rozumiesz, generale: Rozkaz generała dywizji! Zastaję go w gabinecie lub gdzie indziej, przedstawiam mu swój papier i gdy on odpieczętowuje kopertę, zabijam go tym oto sztyletem, ukrytym w rękawie.

– Tak, ale ty i twoi ludzie?

– O! Oddajemy się pod opiekę Boga! Bronimy Jego sprawy, niechże On się o nas niepokoi.

– No, widzisz, pułkowniku – rzekł Cadoudal – to wcale nie takie trudne. Na koń, pułkowniku! Szczęść Boże, Serce Królewskie!

– Którego konia mam dosiąść? – spytał Roland.

– Którego zechcesz; oba są równie dobre a każdy ma w olstrach parę świetnych pistoletów angielskich.

– Nabite?

– Dobrze nabite, pułkowniku; tej roboty nie powierzam nikomu.

– A zatem na koń.

Młodzieńcy usadowili się w siodłach i skierowali na drogę prowadzącą do Vannes. Cadoudal służył za przewodnika Rolandowi, a Złoty Sęk, generał major armii, jak go nazwał Jerzy, podążał jakieś dwadzieścia kroków w tyle.

Przybywszy na kraniec wioski Roland skierował wzrok przed siebie wpatrując się bystro w drogę, która ciągnie się prosto, jak sznur, od Muzillac do Trinité.

Droga zupełnie odsłonięta, wydawała się całkowicie pusta.

W ten sposób ujechali mniej więcej pół mili.

Po czym Roland spytał:

– Ale, u diabła, gdzież są twoi ludzie, generale?

– Po prawej stronie i po lewej, przed nami, za nami.

– Lubisz żartować, generale! – rzekł Roland.

– To wcale nie żart, pułkowniku; sądzisz, że jestem taki nierozważny, iż puściłbym się na podobną wyprawę bez służby wywiadowczej?

– Powiedział mi pan, jeśli się nie mylę, że jeżeli zechcę widzieć pańskich ludzi, wystarczy, bym powiedział.

– Tak jest.

– A więc pragnę ich widzieć.

– Wszystkich, czy część tylko?

– Powiedziałeś, generale, że zabierasz ze sobą?...

– Trzystu.

– A więc pragnę widzieć stu pięćdziesięciu.

– Stój! – zawołał Cadoudal.

I zbliżając dłonie do ust, huknął jak puchacz, potem naśladował krzyk puszczyka; przeciągły wrzask puchacza rzucił w prawo, a krzyk puszczyka w lewo.

Prawie natychmiast, po obu stronach drogi zaczęli pojawiać się ludzie, którzy przeskoczywszy przez rów, oddzielający drogę od zarośli, ustawili się w szeregach obok koni.

– Kto dowodzi po prawej stronie? – spytał Cadoudal.

– Ja, Wąsacz – odparł jeden z chłopów, podchodząc bliżej.

– Kto dowodzi po lewej? – powtórzył generał.

– Ja, Śpiewak Zimowy – odparł, zbliżając się, inny wieśniak.

– Ilu masz ludzi z sobą, Wąsaczu?

– Stu.

– A z tobą ilu jest ludzi. Śpiewaku Zimowy?

– Pięćdziesięciu.

– Ogółem stu pięćdziesięciu? – spytał Jerzy.

– Tak — odparli obaj wodzowie bretońscy.

– Czy twój rachunek się zgadza, pułkowniku? – spytał Cadoudal ze śmiechem.

– Jesteś czarnoksiężnikiem, generale.

– E nie, jam ubogi chłop, jak oni; tylko dowodzę armią, w której każdy mózg zdaje sobie sprawę z tego, co robi, w której każde serce bije dla dwóch wielkich podstawowych zasad tego świata: dla religii i władzy królewskiej.

Po czym, zwracając się do swoich ludzi, spytał:

– Kto dowodzi przednią strażą?

– Ścigły – odparli obaj szuanie.

– A strażą tylną?

– Ładownica.

– Drugiej odpowiedzi udzielono jednogłośnie, jak pierwszej.

– A zatem możemy jechać spokojnie?

– Jak na nabożeństwo do swojej parafii.

– A więc w drogę, pułkowniku – rzekł Cadoudal do Rolanda. – Zabawcie się, chłopcy – dodał, zwracając się do swoich ludzi.

Mężczyźni zaczęli przeskakiwać przez rów. Przez kilka sekund słychać było szelest gałęzi i odgłos kroków w zaroślach. Zniknęli.

– I cóż – spytał Cadoudal – czy sądzisz, pułkowniku, że mając takich ludzi przy sobie może mi co grozić ze strony twoich błękitnych, jakkolwiek są waleczni?

Roland westchnął; podzielał najzupełniej zdanie Cadoudala.

Jechali dalej.

O milę mniej więcej od Trinite ukazał się na drodze czarny punkt, który powiększał się szybko.

– Co to jest? – spytał Roland.

– Wszak pan widzi – odparł Cadoudal – to człowiek.

– Niewątpliwie; ale kim jest ten człowiek?

– Z szybkości jego biegu mógł pan odgadnąć, że to posłaniec.

– Dlaczego się zatrzymuje?

– Dlatego, że i on nas spostrzegł i nie wie, czy ma się cofnąć czy też iść naprzód.

– Cóż uczyni?

– Zaczeka.

– Na co?

– Na sygnał.

– I odpowie na ten sygnał?

– Nie tylko odpowie, ale go usłucha. Czy chcesz, pułkowniku, żeby zbliżył się do nas? Chcesz, żeby się cofnął? Chcesz, żeby się rzucił w bok?

– Chcę, żeby zbliżył się do nas; w ten sposób dowiemy się, jaką nowinę przynosi.

Naraz odezwało się wołanie kukułki – to Cadoudal naśladował je tak doskonale, że Roland rozejrzał się dokoła.

– To ja – rzekł Cadoudal – niech pan nie szuka.

– A więc posłaniec przyjdzie tutaj?

– Nie przyjdzie, już idzie.

Istotnie posłaniec ruszył znów w drogę i zbliżał się szybko – po kilkudziesięciu sekundach był przy swoim generale.

– A – rzekł ten – to ty, Przodowniku!

Generał pochylił się; Przodownik powiedział mu coś do ucha.

– Byłem już uprzedzony przez Pobożnego – rzekł Jerzy.

– Za kwadrans – powiedział, zwracając się do Rolanda – w wiosce Trinité dziać się będą rzeczy ważne, które powinien pan zobaczyć.

I dając przykład, ruszył z miejsca galopem.

Roland popędził za nim.

Przybywając do wioski, spostrzegli z dala tłum poruszający się niespokojnie na rynku przy blasku smolnych pochodni.

Krzyki i ruchy tego tłumu zapowiadały istotnie wypadek ważny.

– Ostrogę! Ostrogę! – zawołał Cadoudal.

Roland posłusznie wbił ostrogi w brzuch konia.

Na odgłos kopyt galopujących koni chłopi rozstąpili się; było ich co najmniej pięciu– albo sześciuset, wszyscy uzbrojeni.

Cadoudal i Roland znaleźli się w kręgu światła.

Tłum cisnął się zwłaszcza przy gościńcu, prowadzącym do wioski Tridon.

Gościńcem jechał dyliżans, eskortowany przez dwunastu szuanów – dwóch dążyło przy pocztylionie, dziesięciu strzegło drzwiczek.

Na środku rynku dyliżans stanął.

Wszyscy byli tak zajęci dyliżansem, że prawie nikt nie zwrócił uwagi na Cadoudala.

– Hola! – krzyknął Jerzy. – Co się tu dzieje?

Na dźwięk dobrze znanego głosu wszyscy odwrócili się.

– Wielki Okrągły Łeb! – szepnął każdy.

– Tak – odparł Cadoudal.

Jakiś człowiek zbliżył się do Jerzego.

– Czy nie byłeś, generale, uprzedzony przez Pobożnego i przez Przodownika? – spytał.

– Owszem; a więc to jest dyliżans z Ploermelu do Vannes?

– Tak, generale; został zatrzymany między Trépléon i Saint-Nolf.

– Czy on jest w dyliżansie?

– Tak przypuszczamy.

– Uczyńcie, jak wam nakazuje sumienie; jeśli popełnicie zbrodnię wobec Boga, weźcie ją na siebie; ja biorę tylko odpowiedzialność wobec ludzi; będę obecny przy tym, co się stanie, ale nie wezmę żadnego udziału; niczemu nie przeszkodzę ani też dopomogę.

– No co? – zapytało sto głosów – co powiedział, Rębaczu?

– Powiedział, że możemy uczynić, jak nam nakazuje sumienie i że umywa ręce od wszystkiego.

– Niech żyje Wielki Okrągły Łeb! – krzyknęli wszyscy obecni, rzucając się na dyliżans.

Cadoudal pozostał nieruchomy.

Roland stał przy nim nieruchomy jak on, zdjęty ciekawością; nie wiedział bowiem zupełnie, o kogo i o co chodzi.

Ten, który rozmawiał z Cadoudalem i którego towarzysze nazwali Rębaczem, otworzył drzwiczki. Ujrzano podróżnych, drżących, wciśniętych w głąb dyliżansu.

– Jeśli nie macie sobie nic do wyrzucenia przeciw królowi i religii – rzekł Rębacz głosem pełnym i dźwięcznym – wysiądźcie bez trwogi; nie jesteśmy zbójcy, jesteśmy chrześcijanie i rojaliści.

Oświadczenie to uspokoiło niewątpliwie podróżnych, albowiem mężczyzna zbliżył się do drzwiczek i wysiadł, po czym wysiadły dwie kobiety, potem matka tuląca dziecko do łona, a potem jeszcze jeden mężczyzna.

Szuanie przyjmowali ich stojąc przy stopniu, przyglądali im się bacznie, nie poznając tego, którego szukali, mówili: „Dalej!”.

Jeden tylko mężczyzna został w dyliżansie.

Jeden z szuanów oświetlił wnętrze płomieniem pochodni i ujrzano, że ów mężczyzna to ksiądz.

– Sługo Boży – rzekł Rębacz – dlaczego nie wysiadasz wraź z innymi? Nie słyszałeś, że mówiłem, iż jesteśmy rojaliści i chrześcijanie?

Ksiądz nie poruszył się; tylko zęby mu szczękały.

– Dlaczego ta trwoga? – mówił dalej Rębacz. – Czyż twój strój nie przemawia na twoją korzyść?... Człowiek, noszący sutannę, nie mógł uczynić nic przeciw władzy królewskiej i przeciw religii.

Ksiądz opanował się na tyle, że zdołał szepnąć:

– Łaski! Łaski!

– Dlaczego łaski? – spytał Rębacz. – Czujesz się zatem winny, nędzniku!

– Oho! – rzekł Roland – panowie rojaliści i chrześcijanie, tak to przemawiacie do sług Bożych?

– Ten człowiek – odparł Cadoudal – nie jest sługą Bożym, lecz sługą szatana!

– Któż to taki?

– To jednocześnie ateista i królobójca; wyparł się swego Boga i głosował za śmiercią swego króla: to członek Konwentu Audrein.

Roland zadrżał.

– Co z nim zrobią? – spytał.

– Zabijał, będzie zabity – odparł Cadoudal.

Szuanie wyciągnęli Audreina z dyliżansu.

– A więc to jednak ty, biskupie z Vannes! – rzekł Rębacz.

– Łaski! – zawołał biskup.

– Byliśmy uprzedzeni o twoim przyjeździe i czekaliśmy na ciebie.

– Łaski! – powtórzył biskup po raz trzeci.

– Czy masz ze sobą szaty pontyfikalne?

– Mam, przyjaciele.

– Przywdziej zatem strój prałata; dawno już nie widzieliśmy takiego dostojnika.

Szuanie zdjęli z dachu dyliżansu kuferek oznaczony nazwiskiem prałata, otworzyli, wydobyli szaty biskupie i podali Audreinowi, który je przywdział.

Następnie, gdy był już zupełnie ubrany, chłopi ustawili się kołem, każdy trzymał w ręku fuzję.

Blask pochodni odbijał się na lufach.

Dwaj wieśniacy wzięli biskupa pod ręce i wprowadzili do koła.

Był śmiertelnie przerażony.

Przez chwilę panowała ponura cisza. Przerwał ją głos Rębacza.

– Przystąpimy tu – rzekł szuan – do sądu nad tobą; kapłanie Boga, zdradziłeś kościół; synu Francji, skazałeś swego króla.

– Niestety! Niestety! – wyjąkał ksiądz.

– Czy to prawda?

– Nie zaprzeczam.

– Bo zaprzeczyć temu niepodobna. Co możesz powiedzieć na swoje usprawiedliwienie?

– Obywatele...

– Nie jesteśmy obywatelami – odparł Rębacz grzmiącym głosem – jesteśmy rojalistami.

– Panowie...

– Nie jesteśmy panami, jesteśmy szuanami.

– Przyjaciele...

– Nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi, jesteśmy twoimi sędziami; twoi sędziowie pytają cię, odpowiedz.

– Żałuję tego, com uczynił i proszę o przebaczenie Boga i ludzi.

– Ludzie nie mogą ci przebaczyć – odparł ten sam głos nieubłagany – gdyż uzyskawszy przebaczenie dzisiaj zacząłbyś na nowo jutro; możesz zmienić skórę, serca nigdy. Od ludzi możesz tylko spodziewać się śmierci; co zaś do Boga, błagaj Go o miłosierdzie.

Królobójca pochylił głowę, renegat zgiął kolano.

Nagle wyprostował się i rzekł:

– Uchwaliłem śmierć króla – to prawda, ale z zastrzeżeniem...

– Z jakim zastrzeżeniem?

– Co do czasu, w którym miało się odbyć wykonanie wyroku.

– Mniejsza o to, czy stracenie miało być bliskie czy dalekie, uchwaliłeś śmierć, a król był niewinny.

– To prawda, to prawda rzekł ksiądz – ale bałem się.

– A więc jesteś nie tylko królobójcą, nie tylko apostatą, ale jeszcze tchórzem! My nie jesteśmy księżmi; ale będziemy sprawiedliwsi od ciebie: uchwaliłeś śmierć niewinnego, a my uchwalimy śmierć winowajcy. Masz dziesięć minut na przygotowanie się, żeby stanąć przed obliczem Boga.

Biskup wydał okrzyk trwogi i padł na kolana; rozbrzmiały dzwony kościelne, jak gdyby kołysały się same, a dwaj wieśniacy, przywykli do śpiewów kościelnych, zaczęli odmawiać modlitwy za umierających.

Biskup przez kilka chwil nie mógł znaleźć słów.

Wodził po swoich sędziach wzrokiem przerażonym, błagalnym; ale na żadnej twarzy nie dostrzegł pocieszającego, łagodnego wyrazu litości.

Płomień pochodni, drgając pod podmuchem wiatru nadawał tym twarzom wyraz dziki i okrutny. Biskup zdecydował się tedy połączyć swój głos z głosami tych, którzy modlili się za niego.

Sędziowie czekali, dopóki nie przebrzmiało ostatnie słowo modlitwy żałobnej.

W tym czasie grono wieśniaków układało stos.

– Och! – zawołał ksiądz, który patrzył na te przygotowania ze wzrastającą trwogą – czy posunęlibyście się w okrucieństwie do tego stopnia, żeby mnie skazać na taką śmierć?

– Nie – odparł nieubłagany oskarżyciel – ogień jest śmiercią męczenników, a ty nie jesteś godzien takiej śmierci. Apostato, godzina twoja nadeszła.

– Boże mój! Boże! – wołał ksiądz, wznosząc ręce ku niebu.

– Na nogi! – krzyknął szuan.

Biskup próbował być posłuszny, ale zabrakło mu sił i padł ponownie na kolana.

– I ty, generale, pozwolisz, żeby dokonano tego morderstwa w twojej obecności? – spytał Roland Cadoudala.

– Powiedziałem, że umywam ręce od wszystkiego – odparł zapytany.

– To słowa Piłata, a ręce Piłata zostały zbroczone krwią Jezusa Chrystusa.

– Dlatego, że Jezus Chrystus był sprawiedliwy; ale ten człowiek nie jest Jezusem Chrystusem, to Barabasz.

– Ucałuj swój krzyż, ucałuj swój krzyż! – krzyknął Rębacz.

Prałat spojrzał nań wylękłym wzrokiem, ale go nie usłuchał; widać było, że już nie widział, że już nie słyszał.

– Nie! – zawołał Roland, zabierając się do zejścia z konia. – Nie chcę, by ktokolwiek powiedział, że mordowali w mojej obecności człowieka i że nie pośpieszyłem mu z pomocą.

Wokół Rolanda podniosła się groźna wrzawa, która jednak tylko podnieciła porywczego młodzieńca.

– A! to tak? – rzekł.

I podniósł prawą rękę do olster.

Ale ruchem szybkim, jak myśl, Cadoudal pochwycił za tę rękę i gdy Roland usiłował na próżno wyswobodzić się z żelaznego uścisku:

– Pal! – krzyknął Jerzy.

Dwadzieścia strzałów z fuzji rozległo się od razu i biskup bezwładnie runął na ziemię.

– Cóżeś pan uczynił? – zawołał Roland.

– Zmusiłem pana do dotrzymania przysięgi – odparł Cadoudal. – Przysiągłeś, pułkowniku, że będziesz patrzył na wszystko i słuchał wszystkiego, niczemu się nie sprzeciwiając...

– Tak zginie każdy wróg Boga i króla – odezwał się Rębacz, głosem uroczystym.

– Amen! – odpowiedzieli wszyscy obecni jednym głosem, jednym ponurym tonem.

Po czym zdjęli z trupa szaty kapłańskie i wrzucili je w płomienie stosu, podróżnym kazali wsiąść do dyliżansu, pocztylionowi na konie i rozstępując się, by pojazd przepuścić, rzekli:

– Jedźcie z Bogiem! Dyliżans oddalił się szybko.

– Dalej, dalej, w drogę! – zawołał Cadoudal. – Mamy jeszcze cztery mile przed sobą, a straciliśmy tutaj godzinę.

Następnie zwrócił się do wykonawców wyroku:

– Ten człowiek był winny, ten człowiek został ukarany; sprawiedliwości ludzkiej i sprawiedliwości boskiej, stało się zadość. Niechaj modlitwy za umarłych odprawione będą nad jego zwłokami i niechaj zostanie pogrzebion po chrześcijańsku; słyszycie?

Pewien, że go usłuchają, Cadoudal puścił konia galopem.

Roland zawahał się przez chwilę, po czym jak gdyby postanowił spełnić obowiązek, rzekł:

– Idźmy do końca.

I puszczając z kolei swego konia w kierunku, w którym udał się Cadoudal, dogonił go w kilku skokach. Obaj znikli niebawem w ciemnościach, które potęgowały się, w miarę jak oddalali się od rynku, gdzie pochodnie rzucały blask na nieżywego prałata, a ogień trawił jego szaty.

# Dyplomacja Jerzego Cadoudala

Uczucie, jakiego doznawał Roland dążąc za Jerzym Cadoudalem, podobne było do uczucia człowieka na wpół rozbudzonego, nad którym sen nie utracił jeszcze władzy i który zbliża się stopniowo do granicy, dzielącej noc od dnia. Usiłuje zdać sobie sprawę z tego, czy znajduje się w krainie urojonej, czy też wkroczył już w świat rzeczywisty i im bardziej usiłuje przeniknąć ciemności, tym więcej pojawia się wątpliwości.

Istniał człowiek, dla którego Roland miał kult niemal boski; przyzwyczajony żyć w atmosferze chwały, jaka otaczała tego człowieka, przywykły widzieć, że inni słuchają jego rozkazów i że on sam jest im posłuszny z szybkością i abnegacją niemal wschodnią, zdziwił się bardzo, spotykając na dwóch krańcach Francji dwie zorganizowane potęgi, wrogie władzy tego człowieka i gotowe z nim walczyć. Wyobraźcie sobie jednego z owych Żydów Judasza Machabeusza, wielbiciela Jehowy, który słyszał od dzieciństwa, że nazywają Go Królem Królów, Bogiem Mścicielem, Panem Zastępów, Wiekuistym wreszcie i który nagle zetknąłby się z tajemniczym Ozyrysem Egipcjan lub gromowładnym Zeusem Greków.

Przygody w Awinionie i w Bourgu z Morganem i towarzyszami Jehudy, przygody w Muzillac i w Trinité z Cadoudalem oraz szuanami wydawały się Rolandowi osobliwym wtajemniczeniem w jakąś nieznaną religię; ale jak owi odważni neofici, którzy narażają się na śmierć, by poznać tajemnicę istoty religii, i on postanowił wytrwać do końca...

Zresztą przejęty był po trosze podziwem dla ich wyjątkowych charakterów; nie bez zdumienia mierzył siłę tych zbuntowanych Tytanów, walczących przeciw Bogu, i czuł, że ci, którzy napadli na sir Johna w Chartreuse de Seillon i rozstrzelali biskupa z Vannes w wiosce Trinité, nie byli mężami pospolitymi.

Powyżej wioski Tridon jechali polami na przełaj; po czym pozostawiając Vannes na lewo, dotarli do Tréfléonu. W Tréfléonie Cadoudal, któremu towarzyszył stale jego generał major Złoty Sęk, spotkał Przodownika i Śpiewaka Zimowego, wydał im rozkazy i podążył dalej, trzymając się lewej strony, na skraj lasku, ciągnącego się od Grandchamp do Larré.

Tu Cadoudal zatrzymał się, huknął trzykrotnie, naśladując okrzyk sowy, i po chwili otoczony był trzystoma swoimi ludźmi.

Brzask szarawy ukazywał się od strony Tréfléonu i Saint-Nolfu; były to nie pierwsze promienie słońca, lecz pierwsze blaski dnia.

Gęste opary unosiły się z ziemi tak, że na pięćdziesiąt kroków przed sobą nikt nic nie widział.

Cadoudal, zanim zapuścił się dalej, czekał widocznie na nowiny.

Nagle, w odległości pięciuset kroków, odezwało się pianie koguta.

Cadoudal nastawił uszu; jego ludzie spojrzeli po sobie ze śmiechem.

Pianie odezwało się powtórnie, lecz bliżej.

– To on – rzekł Cadoudal – odpowiedzcie.

Trzy kroki od Rolanda odezwało się wycie psa, naśladowane tak doskonale, że młodzieniec, choć uprzedzony, zaczął szukać wzrokiem zwierzęcia, które rzucało ponurą skargę.

W tejże samej prawie chwili we mgle zaczął się poruszać człowiek, który zbliżał się szybko, a postać jego zarysowywała się coraz wyraźniej.

Idący spostrzegł dwóch jeźdźców i skierował się ku nim.

Cadoudal postąpił kilka kroków naprzód, kładąc palec na ustach na znak, że nadbiegający człowiek ma mówić po cichu.

Stąd też ten zatrzymał się dopiero, gdy był tuż przy generale.

– I cóż. Kwiecie Cierniowy – zapytał Jerzy – trzymamy ich?

– Jak myszy w pułapce. Ani jeden nie wróci do Vannes, jeśli taka twoja wola, generale.

– Owszem, owszem. Ilu ich jest?

– Stu ludzi, pod wodzą samego generała.

– Ile wozów?

– Siedemnaście.

– Kiedy wyruszają w drogę?

– Powinni być trzy czwarte mili stąd.

– Jaką drogą idą?

– Drogą z Grandchamp do Vannes.

– Rozstawiając się od Meucon do Plescop...

– Zagrodzisz im, generale, drogę.

– Doskonale.

Cadoudal wezwał czterech swoich poruczników: Śpiewaka Zimowego, Przodownika, Ścigłego i Ładownicę.

Po czym, gdy stanęli przy nim, wyznaczył każdemu jego oddział.

Każdy z kolei wydał krzyk puszczyka i znikł z pięćdziesięcioma ludźmi.

Mgła była w dalszym ciągu tak gęsta, że pięćdziesięciu ludzi, którzy tworzyli każdy z oddziałów, po przejściu stu kroków znikało jak cienie.

Cadoudal pozostał z pięćdziesięcioma ludźmi. Złotym Sękiem i Kwiatem Cierniowym.

Powrócił do Rolanda.

– I cóż, generale – spytał Roland – czy wszystko idzie według twego życzenia?

– Wszystko albo mniej więcej, pułkowniku – odparł szuan. – Za pół godziny osądzisz sam.

– Trudno będzie coś osądzić w tej mgle.

Cadoudal powiódł wzrokiem dookoła.

– Za pół godziny – rzekł – mgła się rozproszy. Czy zechcesz, pułkowniku, wykorzystać ten czas na posiłek?

– Prawda – odparł młodzieniec – przyznaję, że jazda wygłodziła mnie porządnie.

– Ja – rzekł Jerzy – mam zwyczaj przed każdą bitwą zjeść jak najlepsze śniadanie.

– A więc stajesz do bitwy, generale?

– Naturalnie.

– Ale z republikanami, a ponieważ mamy do czynienia z generałem Hatrym we własnej osobie, wątpię, czy zechce się poddać bez zaciętego oporu. – A czy republikanie wiedzą, że będą się bili z panem?

– Nie domyślają się nawet.

– Tak, że to niespodzianka?

– Niezupełnie, ponieważ mgła się rozproszy; ujrzą nas w tej samej chwili, kiedy my ich.

Po czym zwracając się do tego, który dbał o prowiant, spytał:

– Zabiajako, czy masz coś dla nas na śniadanie?

Zabijaka skinął głową potwierdzająco, wsunął się do lasu i po chwili ukazał się, wlokąc za sobą osła, objuczonego dwoma koszykami.

Szybko rozpostarto na ziemi płaszcz, rozłożono na nim pieczone kurczę, kawałek zimnej peklowiny, chleb i placki z mąki gryczanej.

Tym razem Zabijaka wystąpił zbytkownie: postawił butelkę wina i kieliszek.

Cadoudal wskazał Rolandowi nakryty stół i improwizowaną ucztę.

Roland zeskoczył z konia –i oddał cugle jednemu z szuanów.

Cadoudal poszedł za jego przykładem.

– Teraz – rzekł, zwracając się do swoich ludzi – macie, jak my, pół godziny czasu na śniadanie; uprzedzam tych, którzy za pół godziny nie będą gotowi, że będą się bili o pustym żołądku.

Zaproszenie to równało się widocznie rozkazowi, albowiem wykonane było szybko i dokładnie. Każdy wydobył kawałek chleba albo placek gryczany z sakwy lub z kieszeni i poszedł za przykładem generała, który poćwiartował już kurę dla siebie i dla Rolanda.

Ponieważ był tylko jeden kieliszek, przeto obaj pili z jednego.

Gdy tak jedli razem śniadanie, niby dwaj przyjaciele podczas odpoczynku na polowaniu, dzień wstawał i, jak przepowiedział Cadoudal, mgła rozpraszała się coraz bardziej.

Niebawem można było rozpoznać najbliższe drzewa, następnie linię lasu, ciągnącego się na prawo z Meucon do Grandchamp, na lewo zaś równina Plescopu, przecięta przez strumyk, prowadziła aż do Vannes.

Czuć tam było naturalny spadek właściwy ziemi, w miarę jak zbliżała się do oceanu.

Na drodze z Grandchamp do Plescopu ukazała się linia wozów, której koniec ginął w lesie.

Wozy stały nieruchomo; nietrudno było zrozumieć, że zatrzymała je nieprzewidziana przeszkoda.

Istotnie, dwustu ludzi Przodownika, Śpiewaka Zimowego, Ścigłego, Zabijaki i Ładownicy zagrodziło drogę.

Republikanie, słabsi liczebnie – było ich tylko stu – zatrzymali się i czekali aż mgła zupełnie się rozproszy, by upewnić się co do liczebności nieprzyjaciela.

Ludzie i konie ustawieni byli w trójkąt, którego kraniec stanowił Cadoudal ze swymi stu żołnierzami.

Na widok niewielkiej gromadki ludzi, okolonej przez trzykrotnie większe siły, na widok mundurów, których barwa sprawiała, że republikanom nadano nazwę błękitnych, Roland zerwał się z miejsca.

Cadoudal leżał niedbale wyciągnięty, kończąc śniadanie.

Ze stu ludzi otaczających go ani jeden, jak się zdawało, nie był zajęty widokiem, jaki miał przed oczyma. Czekali na rozkaz Cadoudala.

Rolandowi wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, że republikanie są straceni.

Cadoudal śledził oblicze młodzieńca, rozumiejąc jego uczucia..

– I cóż – spytał szuan po chwili milczenia –czy uważasz pułkowniku, że właściwie wydałem rozkazy?

– Mógłbyś nawet powiedzieć, generale, że byłeś bardzo ostrożny – odparł Roland z drwiącym uśmiechem.

– Czyż pierwszy konsul nie korzysta z każdej sposobności, która mu się nadarzy? – zapytał Cadoudal.

Roland zagryzł usta i, zamiast odpowiedzieć na pytanie przywódcy rojalistów, rzekł:

– Generale, chcę cię prosić o pewną łaskę i mam nadzieję, że mi jej nie odmówisz.

– Jaką?

– Pozwól mi pójść zginąć wraz z moimi towarzyszami.

Cadoudal wstał.

– Spodziewałem się tej prośby – rzekł.

– A więc uwzględniasz ją – rzekł Roland z roziskrzonymi oczyma.

– Tak, ale przedtem żądam od pana przysługi – rzekł wódz rojalistów z wielką godnością.

– Proszę, niech pan mówi.

– Chciałbym abyś zechciał, pułkowniku, być moim parlamentariuszem wobec generała Hatry'ego.

– W jakim celu?

– Chciałbym przedstawić mu pewne propozycje przed rozpoczęciem bitwy.

– Przypuszczam, że do tych propozycji, generale, nie zaliczasz złożenia broni?

– Rozumiesz dobrze, pułkowniku, że przeciwnie, ta propozycja – przede wszystkim.

– Generał Hatry odmówi.

– To prawdopodobne.

– A wtedy?

– Wtedy pozostawię mu wybór między dwiema innymi, które będzie mógł, sądzę, przyjąć, nie uchybiając honorowi.

– Proszę je sformułować, generale.

– A więc: generał Hatry i jego ludzie otoczeni są przez trzy razy większe siły; ofiarowuję się darować im życie, ale złożą broń i przysięgną, że przez pięć najbliższych lat nie będą odbywali służby wojskowej w Wandei.

Roland potrząsnął głową przecząco.

– Przecież to lepiej, niż pozwolić wyrżnąć swoich żołnierzy.

– Zgoda; ale on będzie wolał pozwolić ich wyrżnąć i zginąć wraz z nimi.

– Czy nie sądzisz, pułkowniku – rzekł, śmiejąc się Cadoudal – że przede wszystkim należałoby go o to spytać?

– To słuszne – odparł Roland.

– Koń pułkownika – rzekł Cadoudal do szuana, który go pilnował.,

Przyprowadzono Rolandowi konia.

Młodzieniec wskoczył na niego i niebawem pędził ku zatrzymanemu konwojowi. Na jego bokach utworzyła się gromadka, złożona najwidoczniej z generała Hatry'ego i jego oficerów. Do tej gromadki skierował się Roland, oddalony od szuanów zaledwie o trzy strzały karabinowe.

Generał Hatry nie ukrywał swego zdziwienia na widok dążącego ku niemu oficera w mundurze pułkownika republikańskiego.

Wysunął się z gromadki i zrobił kilka kroków w kierunku posłańca.

Roland przedstawił się, opowiedział, w jaki sposób znalazł się wśród białych i poinformował generała Hatry'ego o propozycji Cadoudala.

Jak przewidział, generał odmówił.

Roland z sercem wezbranym radością i dumą powrócił do Cadoudala.

– Odmawia! – krzyknął z daleka.

Cadoudal skinął głową na znak, że nie jest bynajmniej zdziwiony tą odmową.

– W takim razie – rzekł – przedstaw mu, pułkowniku, moją drugą propozycję; nie chcę sobie mieć nic do wyrzucenia, wobec tak polubownego sędziego, jak pan..

Roland złożył ukłon.

– Jakaż jest pańska druga propozycja? – zapytał.

– Oto generał Hatry przybędzie ku mnie na wolną przestrzeń między naszymi wojskami; będzie miał taką samą broń, jak ja: to jest szablę i dwa pistolety i sprawa rozstrzygnie się między nami dwoma. Jeśli ja go zabiję, jego żołnierze poddadzą się warunkom, o jakich wspomniałem, albowiem jeńców brać do niewoli nie możemy; jeśli on mnie zabije, jego

ludzie zostaną tędy przepuszczeni aż do Vannes i nikt ich przez całą drogę nie będzie niepokoić. Mam nadzieję, że jest to propozycja, którą przyjąłbyś, pułkowniku!

– Toteż przyjmuję ją dla siebie – odparł Roland.

– Tak – rzekł Cadoudal – ale pan nie jest generałem Hatry; niechże więc pan zadowoli się na razie rolą jego parlamentariusza, a jeśli ta propozycja, której nie zlekceważyłbym na jego miejscu, jeszcze mu nie dogodzi, będę łaskawy! Wrócisz, pułkowniku, i przedłożę mu propozycję trzecią.

Roland oddalił się po raz drugi; oczekiwany był przez republikanów z widoczną niecierpliwością.

Oznajmił swoje poselstwo generałowi Hatry'emu.

– Obywatelu – odparł generał – winienem zdać sprawę ze swego postępowania pierwszemu konsulowi, wy jesteście jego adiutantem i wam polecam, abyście po powrocie do Paryża byli moim świadkiem. Co uczynilibyście na moim miejscu? Postąpię tak, jak byście wy postąpili.

Roland zadrżał; twarz jego przybrała poważny wyraz twarzy człowieka, który rozważa sam ze sobą sprawę honorową.

Po kilku sekundach rzekł:

– Generale, odmówiłbym.

– Z jakich powodów, obywatelu? – spytał generał.

– Dlatego, że przypadek kieruje pojedynkiem; dlatego, że nie możesz, generale, życia stu walecznych oddawać na los tego przypadku; dlatego, że w sprawie takiej, jak niniejsza, w którą każdy wplątany jest na swój rachunek, każdy powinien bronić swojej skóry, jak tylko zdoła najlepiej.

– Takie twoje zdanie, pułkowniku?

– Klnę się honorem!

– I moje również; zanieście moją odpowiedź generałowi rojalistycznemu.

Roland powrócił galopem do Cadoudala i powtórzył mu odpowiedź generała Hatry'ego.

Cadoudal uśmiechnął się.

– Spodziewałem się tego – rzekł.

– Nie mógł pan się spodziewać, skoro to ja dałem mu tę radę.

– A przecież przed chwilą był pan odmiennego zdania?

– Tak; ale pan sam zwrócił mi uwagę, że nie jestem generałem Hatry... Jakaż jest więc trzecia propozycja? – zapytał Roland niecierpliwie; zaczynał bowiem spostrzegać, a raczej spostrzegł już wcześniej, że Cadoudalowi przypadła w udziale rola szlachetniejsza.

– Moja trzecia propozycja – rzekł generał – to rozkaz: rozkaz na mocy którego dwustu moich ludzi wycofa się stąd. Generał Hatry ma stu żołnierzy i ja zatrzymuję stu; moi przodkowie, Bretończycy, przyzwyczajeni byli bić się ręka w rękę, pierś w pierś, człowiek przeciw człowiekowi i raczej jeden przeciw trzem, niż trzech na jednego; jeśli generał Hatry zostanie zwycięzcą, przejdzie po naszych zwłokach i powróci spokojnie do Vannes; jeśli zostanie zwyciężony, nie powie, że stało się tak dzięki przewadze liczebnej... Panie de Montrevel, niech pan idzie do swoich przyjaciół i pozostanie z nimi; ja z kolei daję im przewagę liczebną; pan sam wart jest dziesięciu ludzi.

Roland uchylił kapelusza.

– Co to znaczy, panie? – spytał Cadoudal.

– Mam zwyczaj składać pokłon wszystkiemu, co wydaje mi się wielkie, toteż składam pokłon panu...

– Pułkowniku – rzekł Cadoudal – ostatni kieliszek wina! Każdy z nas wychyli go na cześć tego, co kocha, czego mu żal opuścić na ziemi, co spodziewa się ujrzeć znów w niebie.

Po czym, biorąc butelkę i jedyny kieliszek, napełnił go do połowy i podał Rolandowi.

– Mamy tylko jeden kieliszek, panie de Montrevel, niech pan pije pierwszy.

– Dlaczego pierwszy?

– Najpierw dlatego, że jest pan moim gościem; następnie dlatego, że jest przysłowie, które mówi, że pijąc po kimś poznajemy jego myśli.

Następnie dodał ze śmiechem:

– Chcę wiedzieć, co pan myśli, panie de Montrevel.

Roland wychylił kieliszek i oddał pusty Cadoudalowi.

Cadoudal napełnił znów kieliszek do połowy dla siebie i wychylił go.

– I cóż, generale – zapytał Roland – wiesz teraz, co myślę?

– Nie – odparł Jerzy – przysłowie kłamie.

– A więc – rzekł Roland ze swoją szczerością – myślę, generale, że jesteś człowiekiem dzielnym i będę uważać za zaszczyt, jeśli w chwili, w której mamy stanąć do walki, zechcesz mi podać rękę.

Młodzieńcy wyciągnęli dłonie i połączyli je uściskiem, raczej jak dwaj przyjaciele, którzy rozstają się na długo, niż jak dwaj wrogowie, którzy spotkają się na polu bitwy.

W tym prostym geście była pełna majestatu wzniosłość.

Obaj młodzieńcy uchylili kapelusza.

– Szczęść Boże! – rzekł Roland do Cadoudala. – Pozwól mi jednak, generale, wątpić o spełnieniu się mego życzenia. Wyznam ci, że życzenie to płynie z ust a nie z serca.

– Niechaj Pan Bóg strzeże! – rzekł Cadoudal do Rolanda. – Mam nadzieję, że moje życzenie się spełni, jest bowiem szczerym wyrazem mojej myśli.

– Jakim sygnałem dasz znać, generale, że jesteś gotów? – zapytał Roland.

– Strzałem w powietrze, na który ty, pułkowniku, również odpowiesz strzałem.

– Dobrze, generale – odparł Roland.

I puszczając konia galopem, przebył po raz trzeci przestrzeń, dzielącą generała rojalistycznego od generała republikańskiego.

Cadoudal zaś, pokazując ręką Rolanda, rzekł:

– Przyjaciele, widzicie tego młodzieńca?

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku Rolandowi, wszystkie usta szepnęły tak.

– Polecili nam go nasi bracia z Południa; niechaj życie jego będzie dla was święte; możecie go schwytać, ale żywego i żeby mu włos z głowy nie spadł, słyszycie?

– Dobrze, generale – odparli szuanie.

– A teraz przyjaciele pamiętajcie, że jesteście synami owych trzydziestu Bretończyków, którzy walczyli z trzydziestoma Anglikami między Ploermelem i Josselinem, o dziesięć mil stąd i którzy zostali zwycięzcami.

Wzdychając dodał półgłosem:

– Na nieszczęście tym razem nie mamy do czynienia z Anglikami.

Mgła rozproszyła się zupełnie i, jak prawie zawsze zdarza się w podobnych przypadkach, blade promienie słońca zimowego zabarwiły żółtawym blaskiem płaszczyznę Plescopu.

Można było zatem rozróżnić wszystkie ruchy obu oddziałów.

W tym samym czasie, kiedy Roland powracał do republikanów. Złoty Sęk pędził galopem ku swoim dwustu ludziom, którzy przecinali im drogę.

Zaledwie Złoty Sęk rozmówił się z czterema porucznikami Cadoudala, stu ludzi odłączyło się i półobrotem skierowało się na prawo, stu innych zaś, ze strony przeciwnej, również półobrotem skierowało się na lewo.

Oba oddziały ruszyły z miejsca każdy w swoją stronę: jeden szedł ku Plumergatowi, drugi ku Saint-Avé, zostawiając drogę wolną.

Oba zatrzymały się ćwierć mili od gościńca, opuściły karabiny do nogi i stały bez ruchu.

Złoty Sęk powrócił do Cadoudala.

– Czy masz jakieś specjalne rozkazy dla mnie, generale? – rzekł.

– Jeden tylko – odparł Cadoudal. – Weź ośmiu ludzi i idź za mną; gdy zobaczysz, że młodzieniec, z którym jadłem śniadanie, upadł pod swego konia, rzucisz się na niego wraz ze swoimi ośmioma ludźmi, zanim zdąży się wyswobodzić, i weźmiesz go jako jeńca.

– Słucham, generale.

– Wiesz, że chcę go odnaleźć zdrowego i całego.

– Rozumiem, generale.

– Wybierz sobie ośmiu ludzi, a gdy pan de Montrevel będzie już jeńcem i da słowo honoru, możecie rozporządzać sobą do woli.

– A jeśli nie zechce dać słowa?

– Otoczycie go tak, żeby nie mógł uciec i będziecie go strzegli do końca walki.

– Niech i tak będzie! – rzekł Złoty Sęk, wzdychając. – Tylko, że smutno będzie stać z założonymi rękoma, gdy inni weselić się będą.

– Ba! Kto wie? – rzekł Cadoudal. Będzie dosyć roboty dla wszystkich.

Po czym, rzucając spojrzenie na równinę i widząc swoich ludzi na boku a republikanów stłoczonych, gotowych do boju, rzekł:

– Broń!

Przyniesiono mu karabin.

Cadoudal uniósł go nad głowę i dał strzał w powietrze.

W tej samej chwili strzał, dany w tych samych warunkach, po stronie republikanów, odpowiedział jak echo na strzał Cadoudala.

Następnie rozległ się głos dwóch bębnów i trąbki.

Cadoudal stanął w strzemionach.

– Dzieci – zapytał – czy wszyscy odmówili modlitwę poranną?

– Tak! tak! – odparły wszystkie prawie głosy.

– Jeśli którykolwiek z was zapomniał lub nie miał czasu odmówić modlitwy, niechaj odmówi ją teraz.

Pięciu czy sześciu wieśniaków uklękło i zaczęło się modlić.

Odgłos bębnów i trąbki zbliżał się coraz bardziej.

– Generale! Generale! – odezwało się kilka niecierpliwych głosów. – Widzisz, że nadchodzą.

Generał wskazał ruchem klęczących szuanów.

– Słusznie – rzekli niecierpliwi.

Ci, którzy się modlili, powstali kolejno, stosownie do tego, czy modlitwa ich była dłuższa czy krótsza.

Gdy powstał ostatni, republikanie przebyli już mniej więcej trzecią część drogi. Szli z nastawionymi bagnetami w trzech szeregach a każdy szereg był potrójny.

Roland jechał na czele pierwszego szeregu; generał Hatry między pierwszym a drugim.

Łatwo było poznać ich obu, albowiem oni jedni jechali konno.

Pomiędzy szuanami jedynym jeźdźcem był Cadoudal.

Złoty Sęk zszedł z konia, obejmując komendę nad ośmioma ludźmi, którzy mieli stanowić eskortę Jerzego.

– Generale – odezwał się jeden z ludzi – modlitwa skończona, wszyscy powstali.

Cadoudal upewnił się, czy słowa te zgodne są z prawdą.

Po czym silnym stosem krzyknął:

– Dalej, rozweselcie się, chłopcy!

Zaledwie pozwolenie to, które dla szuanów i Wandejczyków równało się wezwaniu bębna czy trąbki do ataku – zostało dane, już szuanie rozbiegli się po równinie z okrzykiem: „Niech żyje król!” wymachując kapeluszami i karabinami.

Zamiast dążyć zwartym szeregiem, jak republikanie, rozsypali się w tyralierkę, tworząc olbrzymi półksiężyc, którego środkiem był Jerzy i jego koń.

Wszyscy prawie ludzie Cadoudala byli kłusownikami, to znaczy świetnymi strzelcami, uzbrojonymi w dalekonośne karabiny angielskie.

Republikanie szybko zostali okrążeni i rozpoczęła się strzelanina.

Już po pierwszych strzałach do szeregów republikańskich wtargnęło kilku wysłańców śmierci i czterech żołnierzy padło.

– Naprzód! – krzyknął generał.

Żołnierze szli w dalszym ciągu na bagnety.

Po kilkudziesięciu sekundach nie mieli już jednak przed sobą nikogo.

Setka wieśniaków Cadoudala zamieniła się w tyralierów i znikła jako oddział wojska.

Pięćdziesięciu ludzi rozproszyło się na każdym skrzydle.

Generał Hatry rozkazał stanąć frontem na prawo i na lewo.

Po czym rozległ się rozkaz:

– Ognia!

Dwie salwy zagrzmiały zgodnie, jak przystało na armię doskonale wyćwiczoną; ale nie przyniosły prawie żadnego rezultatu, ponieważ republikanie strzelali do ludzi rozproszonych.

Szuanie natomiast strzelali do gromady, toteż każdy ich strzał był celny.

Roland widział dobrze, jak dalece niekorzystna była pozycja republikanów.

Rozejrzał się dokoła i wśród obłoków dymu dostrzegł Cadoudala, który stał nieruchomy jak posąg konny. Zrozumiał, że wódz rojalistów czeka na niego.

Roland popędził prosto na Jerzego.

Cadoudal także puścił konia galopem.

W odległości stu kroków przed Rolandem zatrzymał się.

– Baczność – rzekł do Złotego Sęka i jego ludzi.

– Bądź spokojny, generale, jesteśmy na stanowisku — rzekł Złoty Sęk.

Cadoudal wydobył pistolet i nabił go.

Roland pochwycił szablę do ręki, szarżował, leżąc na szyi konia.

Cadoudal zbliżywszy się na dwadzieścia kroków do Rolanda, podniósł z wolna rękę w jego kierunku.

Z odległości dziesięciu kroków strzelił.

Koń, którego dosiadał Roland, miał białą gwiazdę na środku czoła.

Kula trafiła w środek gwiazdy. Ugodzony śmiertelnie koń zwalił się wraz z jeźdźcem do stóp Cadoudala. Ten spiął ostrogami swego wierzchowca i przeskoczył przez konia i jeźdźca.

Złoty Sęk i jego ludzie, będąc w pogotowiu, rzucili się jak gromada jaguarów na Rolanda, uwięzionego pod ciałem swego konia.

Młodzieniec puścił szablę i chciał wyjąć pistolety, ale zanim zdążył wsunąć rękę do olster, dwaj ludzie schwycili go pod ramiona, czterej wyciągnęli mu konia spomiędzy nóg.

Wszystko to odbyło się tak składnie, iż nietrudno było poznać, że manewr był z góry ułożony.

Roland wył z wściekłości.

Złoty Sęk zbliżył się do niego i podał mu kapelusz.

– Ja się nie poddaję! – krzyknął Roland.

– Bo też to zbyteczne, panie de Montrevel – odparł Złoty Sęk z wyszukaną grzecznością.

– A to dlaczego? – spytał Roland, wyczerpując siły w walce równie rozpaczliwej jak niepotrzebnej.

– Jest pan jeńcem.

Fakt był tak oczywisty, że trudno było odpowiedzieć.

– W takim razie zabijcie mnie! – krzyknął Roland.

– My pana zabić nie chcemy – odparł Złoty Sęk.

– Czegóż więc chcecie?

– Żeby nam pan dał słowo, iż nie weźmie już udziału w bitwie; za tę cenę puścimy pana i będzie pan wolny.

– Nigdy! – rzekł Roland.

– Przepraszam, panie de Montrevel – rzekł Złoty Sęk – ale pan postępuje nielojalnie.

– Jak to! – krzyknął Roland, nie posiadając się z gniewu. – Nielojalnie? Lżysz mnie, nędzniku, bo wiesz, że nie mogę ani się bronić, ani ciebie ukarać.

– Nie jestem nędznikiem i nie lżę pana, panie de Montrevel; tylko mówię, że nie chcąc nam dać słowa pozbawia pan generała pomocy dziewięciu ludzi, którzy mogą mu być użyteczni a będą zmuszeni pozostać tutaj, by pana pilnować; nie tak to postąpił wobec was Wielki Okrągły Łeb; miał dwustu ludzi więcej niż wy i odesłał ich; teraz zaś jest nas tylko dziewięćdziesięciu jeden przeciw stu.

Płomień przemknął po twarzy Rolanda.

– Masz słuszność, Złoty Sęku – odparł – poddaję się; możesz iść bić się z towarzyszami.

Szuanie wydali okrzyk radości, puścili Rolanda i rzucili się na republikanów, wymachując kapeluszami i karabinami, i wołając:

– Niech żyje król!

Roland, wyzwolony z ich uścisku, ale rozbrojony po upadku i danym słowie, poszedł na małe wzgórze i usiadł na ciągle rozpostartym płaszczu, który służył za obrus do śniadania.

Stamtąd widział bitwę w najdrobniejszych szczegółach.

Cadoudal stał w strzemionach, wśród ognia i dymu, podobny do szatana wojny, jak on nietykalny i nieprzejednany.

Gdzieniegdzie widać było zwłoki kilkunastu szuanów, rozproszone na ziemi.

Ale republikanie, ciągle zwarci w jedną gromadę, utracili już dwa razy więcej ludzi.

Ranni wlekli się po pustej przestrzeni, łączyli się, powstawali, niby połamane węże i walczyli – republikanie na bagnety a szuanie na noże.

Ci ranni szuanie, którzy byli za daleko, by pójść w zapasy z rannymi, jak oni republikanami, nabijali ponownie karabiny, klękali, dawali ognia i padali na ziemię.

Z obu stron walka była bezlitosna, nieustająca, zacięta; czuć było, że wojna domowa, jest wojną bez łaski i miłosierdzia. Otrząsała na pole bitwy zarzewie ze swojej pochodni.

Cadoudal okrążał na swoim koniu tę żywą redutę, strzelał z odległości dwudziestu kroków, to z pistoletów, to z karabinu, który ciskał po strzale, podnosząc znów nabity z powrotem.

Po każdym jego strzale padał człowiek.

Gdy po raz trzeci powtarzał ten manewr, przyjął go ogień plutonowy; generał Hatry przyjmował go honorami.

Jerzy znikł w płomieniu i w dymie; Roland widział, jak padł wraz z koniem – jak gdyby runęli rażeni piorunem.

Dziesięciu czy dwunastu republikanów wyłamało się z szeregów, stając przeciw tyluż szuanom.

Walka była straszna, ręka w rękę, szuanie ze swymi nożami brali w niej górę.

Nagle Cadoudal powstał, trzymając w każdej ręce pistolet; był to wyrok śmierci na dwóch ludzi i dwaj ludzie polegli.

Po czym przez ten wyłom wśród dziesięciu czy dwunastu ludzi Jerzy rzucił się z trzydziestoma wieśniakami.

Podniósł z ziemi karabin, posługiwał się nim, jak maczugą i za każdym uderzeniem zabijał człowieka.

Przebił batalion i ukazał się po stronie przeciwnej.

Potem, jak dzik, który powraca do przewróconego myśliwego i wyrywa mu wnętrzności, tak i on wtargnął do rany otwartej, powiększając ją jeszcze.

Koniec był bliski.

Generał Hatry zgromadził dookoła siebie z dwudziestu żołnierzy i z nastawionym bagnetem rzucił się na koło, które go otaczało; szedł na czele swoich ludzi, jego koń padł z rozprutym brzuchem.

Dziesięciu żołnierzy poległo, zanim przerwali to koło.

Generał stanął poza nim z przeciwnej strony.

Szuanie chcieli go ścigać, ale Cadoudal krzyknął grzmiącym głosem:

– Nie trzeba było go przepuszczać; ale skoro się przedostał, niech odejdzie wolny.

Szuanie usłuchali z czcią.

– A teraz – zawołał Cadoudal – niechaj ogień ustanie; dosyć umarłych, brać jeńców!

Szuanie zbliżyli się, otaczając wzgórze umarłych i kilku żywych, ciężej lub lżej rannych, którzy poruszali się wśród trupów.

Poddanie się było jeszcze walką w tej wojnie, w której z obu stron rozstrzeliwano jeńców; z jednej strony dlatego, że uważano szuanów i Wandejczyków za bandytów; z drugiej dlatego, że nie wiedziano, gdzie ich podziać.

Republikanie rzucali daleko broń, by jej nie oddawać.

Szuanie, zbliżywszy się do nich, zastali ładownice otwarte.

Spalili wszystkie naboje, do ostatniego.

Cadoudal udał się do Rolanda.

Przez dłuższy czas młodzieniec siedział ze wzrokiem utkwionym w walczących; gdy los odwrócił się ostatecznie od republikanów, Roland objął oburącz głowę i pochylił czoło ku ziemi.

Nie słyszał odgłosu kroków zbliżającego się Cadoudala, a gdy ten dotknął jego ramienia, młodzieniec podniósł z wolna głowę, nie usiłując nawet ukryć dwóch łez, które spływały z jego policzków.

– Generale! – rzekł Roland. – Rozporządzaj mną, jestem twoim jeńcem.

– Poseł pierwszego konsula nie może stać się jeńcem – odparł Cadoudal ze śmiechem. – Można jednak go prosić o oddanie przysługi.

– Rozkazuj, generale!

– Brakuje mi ambulansu dla rannych, brakuje mi więzienia dla jeńców; czy podejmie się pan odprowadzić do Vannes żołnierzy republikańskich, jeńców lub rannych?

– Jak to, generale? – zawołał Roland.

– Oddaję, a raczej powierzam ich tobie, pułkowniku; żałuję, że twój koń nieżywy, żałuję, że mi mego zabito; zostaje ci jednak koń Złotego Sęka, przyjmij go.

Młodzieniec poruszył się.

– Dopóki nie zdołasz zaopatrzyć się w innego, oczywiście – rzekł Cadoudal, składając ukłon.

Roland zrozumiał, że przez prostotę przynajmniej, należało być na wysokości tego, z którym miał do czynienia.

– Czy zobaczę cię jeszcze, generale? – spytał, wstając.

– Wątpię. Moje operacje wojenne wzywają mnie na wybrzeże Port-Louis, pana zaś wzywa obowiązek do Luksemburga.

– Cóż powiem pierwszemu konsulowi, generale?

– To, co pan widział; sam osądzi różnicę między dyplomacją księdza Berniera a dyplomacją Jerzego Cadoudala.

– Sądząc z tego, co widziałem, wątpię, żeby pan mnie kiedyś potrzebował – rzekł Roland – ale w każdym razie proszę pamiętać, że ma pan przyjaciela przy pierwszym konsulu.

I wyciągnął rękę do Cadoudala.

Wódz rojalistów pochwycił ją z tą samą szczerością i swobodą, z jaką ją uścisnął przed walką.

– Żegnam pana, panie de Montrevel – rzekł – nie mam potrzeby przekonywać pana, żeby pan usprawiedliwił generała Hatry'ego, nieprawda? Podobna porażka przynosi taką samą chwałę, jak zwycięstwo.

W tym czasie przyprowadzono pułkownikowi republikańskiemu konia Złotego Sęka.

Roland wskoczył na siodło.

– Ale, ale – rzekł doń Cadoudal – niech się pan dowie, przejeżdżając przez Roche-Bernard, co się stało z obywatelem Tomaszem Millièrem.

– Nie żyje – odparł jakiś głos.

Serce Królewskie i jego czterej ludzie, spoceni, zabłoceni, przybyli za późno, by uczestniczyć w bitwie.

Roland powiódł ostatni raz wzrokiem po polu bitwy, westchnął i rzucając pożegnanie Cadoudalowi ruszył galopem przez pola, ku drodze wiodącej do Vannes, gdzie miał czekać na wóz z rannymi i jeńcami, których należało odstawić do generała Hatry'ego.

Cadoudal kazał dać każdemu ze swych ludzi dukata sześcioliwrowego.

Roland nie mógł się powstrzymać od myśli, że wódz rojalistów był szczodry za pieniądze Dyrektoriatu, skierowane na Zachód przez Morgana i jego towarzyszy.

# Oświadczyny

Roland, przybywszy do Paryża, przede wszystkim złożył wizytę pierwszemu konsulowi; przynosił mu dwie nowiny – o uspokojeniu Wandei i o bardziej zaciętym niż kiedykolwiek powstaniu w Bretanii.

Bonaparte znał Rolanda; toteż potrójna opowieść o zabójstwie Tomasza Millière'a, sądzie biskupa Audreina i bitwie pod Grandchamp, wywarła na nim głębokie wrażenie; zresztą w opowiadaniu młodzieńca była ponura rozpacz, która tchnęła szczerą prawdą.

Roland rozpaczał, że znowu ominęła go śmierć; zdawało mu się, że jakaś nieznana siła opiekuje się nim, skoro zawsze wychodzi cało z niebezpieczeństw. Tam, gdzie sir John natknął się na dwunastu sędziów, którzy go skazali na śmierć, on widział tylko nieszkodliwe widmo. Żałował gorzko, że szukał starcia z Jerzym Cadoudalem, zamiast rzucić się w wir bitwy, w której mógłby może znaleźć śmierć.

Pierwszy konsul patrzył nań z niepokojem; widział bowiem, że Rolanda trawi wciąż żądza śmierci, z której, jak sądził, wyleczy się po powrocie do kraju i w otoczeniu rodziny.

Roland oskarżał sam siebie, aby zmniejszyć winę generała Hatry'ego, lecz sprawiedliwość i prawość żołnierska kazała mu oddać należne pochwały dla odwagi i wspaniałomyślności Cadoudala.

Bonaparte słuchał go uważnie, lecz ze smutkiem. O ile bowiem zapalał się do wojny z obcymi, o tyle wstrętem przejmowała go wojna domowa, w której kraj przelewał własną krew. Dlatego też sądził, że układy powinny były zastąpić wojnę. Lecz jakże prowadzić układy z takim człowiekiem jak Cadoudal?

Bonaparte zdawał sobie sprawę z uroku, jaki wywierał swoją osobą, zwłaszcza gdy mu o to chodziło. Toteż powziął myśl spotkania się z Cadoudalem. Na razie nie wspominał o tym Rolandowi. Liczył jednak na niego w decydującej chwili.

Teraz chciał tylko wiedzieć, czy Brune, którego zdolnościom wojskowym ufał, będzie szczęśliwszy od swych poprzedników.

Pożegnał wreszcie Rolanda, zawiadomiwszy go o przybyciu matki i o tym, że zamieszkała w małym domku przy ulicy Zwycięstwa.

Roland dorożką udał się do wskazanego domu.

Tam znalazł panią de Montrevel, dumną i szczęśliwą, jak tylko może być kobieta i matka.

Edward poprzedniego dnia został umieszczony w Prytaneum francuskim.

Pani de Montrevel chciała wyjeżdżać z Paryża i wracać do Amelii.

Niepokoiła się o stan jej zdrowia.

Sir John bliski był zupełnego wyzdrowienia; bawił w Paryżu, złożył wizytę pani de Montrevel, lecz jej nie zastał, gdyż odprowadzała Edwarda do Prytaneum. Zostawił tylko kartkę, na której podał swój adres: hotel Mirabeau, ulica de Richelieu.

Była jedenasta, zwykła godzina śniadania sir Johna. Roland, mając wszelkie szanse zastania go w domu, pojechał do hotelu Mirabeau.

Zastał istotnie sir Johna przy stole spożywającego angielskie śniadanie, złożone z prawie surowych kotletów i herbaty.

Ujrzawszy Rolanda, sir John z okrzykiem radości zerwał się od stołu i pośpieszył na spotkanie.

Roland żywił dla Anglika, człowieka wyjątkowego, który dobroć serca usiłował pokryć ekscentrycznością, uczucie głębokiego przywiązania.

Sir John był blady i nieco schudł. Rana zagoiła się zupełnie; odczuwał jeszcze pewne bóle, ale coraz słabsze. Ostatecznie wracał do zdrowia.

Sir John poprosił Rolanda do stołu, ofiarowując mu śniadanie francuskie. Roland przyjął zaproszenie, lecz jak każdy żołnierz, który odbył uciążliwe kapmanie w okresie rewolucji, podczas których niejednokrotnie brakowało chleba, Roland nie był smakoszem, mógł jeść byle co. Toteż uprzejmość sir Johna przeszła niepostrzeżenie. Dostrzegł natomiast, że Anglik jest zakłopotany, że ma sekret, którym chciałby się podzielić.

Po skończonym śniadaniu, z właściwą sobie otwartością, zwrócił się do sir Johna:

– Cóż kochany lordzie? Masz mi coś do powiedzenia, coś, czego jednak nie odważasz się powiedzieć?

Sir John zadrżał i poczerwieniał.

– Tam, do licha! – ciągnął dalej Roland. – Widocznie jest to rzecz trudna do wypowiedzenia. Jeśli masz jednak do mnie jakąś prośbę, to wiedz, że chyba jest mało takich, którym mógłbym odmówić. Mów więc, słucham. Czyżbyś chciał się poskarżyć na sposób, w jaki cię traktowano w zamku Noires-Fontaines?

– Tak, przyjacielu. Od mojego pobytu w tym zamku rozpoczyna się szczęście lub nieszczęście mego życia.

Roland popatrzył uważnie na sir Johna:

– Ależ, czy nareszcie?...

I zatrzymał się, spostrzegłszy, że może okazać się nietaktowny.

– Kończ, mój drogi!

– Chciałem powiedzieć, że będę bardzo szczęśliwy, jeśli Wasza Wielmożność zaszczyci moją siostrę swą miłością.

Sir John krzyknął z radości i z szybkością, nie licującą z tak flegmatycznym człowiekiem, rzucił się w ramiona Rolanda.

– Twoja siostra, Rolandzie, to anioł. Kocham ją z całej duszy!

– Czyś wolny zupełnie, milordzie?

– Zupełnie. Mówiłem ci już, że od dwunastu lat posiadam majątek, który mi daje dwadzieścia pięć tysięcy funtów rocznie.

– To za dużo dla kobiety, która .ci wniesie w posagu zaledwie pięćdziesiąt tysięcy franków.

– Ach! – zawołał Anglik z akcentem właściwym swej narodowości, który powracał mu w chwilach silnych wzruszeń – jeśli trzeba postradać część majątku, to go postradam.

– Nie o to chodzi – odparł ze śmiechem Roland. – To niepotrzebne. Jesteś bogaty, to nieszczęście. Ale cóż robić?... Nie o to chodzi. Czy kochasz moją siostrę?

– Och, uwielbiam!

– Ale czy ona – zapytał Roland – kocha ciebie?

– Zrozum, że jej o to nie pytałem. Musiałem przedtem zapytać ciebie, kochany Rolandzie, czy nic nie masz przeciw temu, czy mogę prosić cię o wstawienie się za mną u matki. Mając

przyzwolenie was obojga, oświadczę się... Albo nie, ty oświadczysz się za mnie, bo ja się na to nie odważę.

– Więc ja pierwszy słyszę twoje zwierzenia?

– I słusznie! Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– No to, mój drogi, u mnie oczywiście sprawę wygrałeś.

– A matka i siostra...

– To jedna osoba. Rozumiesz, że matka pozostawi Amelii zupełnie wolny wybór. Jeśli jednak matka wybierze ciebie, Amelia będzie szczęśliwa. Ale pozostaje jeszcze ktoś.

– Któż taki?

– Pierwszy konsul – odpowiedział Roland.

– God!... – wyrwało się Anglikowi, który jednak urwał w połowie przekleństwo narodowe.

– Przed moim wyjazdem do Wandei – ciągnął dalej Roland – wspomniał o małżeństwie mej siostry i oświadczył mi, że jest to sprawa, która obchodzi nie mnie i nie matkę, lecz jego...

– No to jestem zgubiony! – zawołał sir John.

– Dlaczego?

– Pierwszy konsul nie lubi Anglików.

– Chyba Anglicy nie lubią pierwszego konsula.

– A któż powie pierwszemu konsulowi o moich zamiarach?

– Ja. Zrobię z ciebie gołębia pokoju pomiędzy dwoma narodami – rzekł Roland, wstając.

– Dzięki – zawołał Anglik, ściskając dłoń Rolanda; po czym ze smutkiem w głosie zapytał:

– Już odchodzisz?

– Mój drogi! Mam tylko kilka wolnych godzin. Godzinę spędziłem u matki, dwie u ciebie, jedną poświęcę twojemu przyjacielowi Edwardowi. Potem wracam do Luksemburga.

Pozdrów Edwarda ode mnie i powiedz mu, że zamówiłem już parę pistoletów, żeby nie był zmuszony strzelać z cudzych, jeśli napadną go rozbójnicy.

Roland popatrzył na sir Johna.

– Cóż to za nowa historia? – zapytał.

– Nie znasz jej?

– Nie.

– Zdarzenie, które o mało nie przyprawiło o śmierć naszej biednej Amelii.

– Jakie zdarzenie?

– Napad na dyliżans.

– Dyliżans, w którym była moja matka?

– Widziałeś się z matką. Czy nic ci nie opowiadała?

– O tym ani słowa.

– Otóż Edward spisał się po bohatersku. Ponieważ nikt się nie bronił, on zaczął strzelać. Wyrwał pistolety konduktorowi i dał ognia.

– Dzielny dzieciak! – zawołał Roland.

– Tak. Dzielny. Ale na szczęście, czy na nieszczęście, konduktor wyjął kule. Towarzysze Jehudy wypieścili Edwarda za odwagę. Nikt nie został ani ranny, ani zabity.

– Czy to wszystko pewne, co mi mówisz?

– Powtarzam ci, że twoja siostra o mało nie umarła z przerażenia.

– Dobrze – rzekł Roland.

– Co – dobrze?

– Mam projekt...

– Powiedz mi.

– No, nie. Moje projekty nie wychodzą ci na dobre.

– Ale, kochany Rolandzie, gdyby chodziło o jakiś odwet...

– No to dam go w imieniu nas obu. Jesteś zakochany, żyj więc w miłości.

– Ale mam twoje poparcie?
– Oczywiście; chciałbym bardzo nazwać cię bratem.
– Czy masz mnie dość, jako przyjaciela?
– O tak; to trochę za mało.
– Dziękuję.
I uścisnęli sobie ręce.
W kwadrans potem Roland był już w Prytaneum.
Zawołano Edwarda, który rzucił się w objęcia brata.
Po pierwszych czułościach Roland skierował rozmowę na napad na dyliżans.
O ile sir John był skąpy w udzieleniu szczegółów o wydarzeniu, o tyle Edward opowiedział wszystko z najdrobniejszymi detalami, a więc o konszachtach Hieronima z bandytami, o pistoletach nabitych tylko prochem, o zemdleniu matki, o pomocy udzielonej matce przez napadających, o tym, że napastnicy znali jego imię, wreszcie o tym, że w pewnej chwili jednemu z napastników, który cucił matkę, spadła maska z twarzy i że matka musiała widzieć jego twarz.
Rolanda uderzył ten ostatni szczegół.
Następnie chłopak opowiedział o posłuchaniu u pierwszego konsula.
Dowiedziawszy się wszystkiego, o co mu chodziło, Roland powrócił do Luksemburga.

# Rzeźba i malarstwo

Pierwszy konsul pracował z Bourriennem.

Bonaparte wstawał pomiędzy siódmą a ósmą i zaraz wzywał jednego z sekretarzy – najczęściej Bourrienne'a i pracował z nim do godziny dziesiątej. O dziesiątej jadano śniadanie, po którym Napoleon spędzał godzinę na rozmowie ze współbiesiadnikami i z gośćmi. Koło południa przychodził Cambacérès. Z tym Bonaparte rozmawiał jakieś pół godziny; rozmowę z nim przerywał zazwyczaj stałym zwrotem:

– Do widzenia, Józefino, do widzenia, Hortensjo... Chodźmy pracować, Bourrienne.

Z tymi słowy Bonaparte wychodził z salonu i powracał do gabinetu.

Tam praca odbywała się bez żadnej metody. Albo Bonaparte dyktował, albo Bourrienne czytał. Potem pierwszy konsul udawał się do senatu.

Początkowo, aby dojść do senatu, musiał przechodzić przez dziedziniec Luksemburga. Przechodzenie to, zwłaszcza w dni dżdżyste, wprawiało go w zły humor. Ale w końcu grudnia pierwszy konsul kazał pokryć dziedziniec dachem. Od tego czasu powracał do gabinetu, prawie zawsze podśpiewując.

Bonaparte śpiewał prawie równie fałszywie, jak Ludwik XV.

Po powrocie do siebie, weryfikował wykonane prace, podpisywał kilka listów, następnie wyciągał się w fotelu i rozmawiając, strugał scyzorykiem jedną z jego poręczy. Jeśli nie rozmawiał, to odczytywał listy z dnia poprzedniego albo ostatnie ulotne broszury, śmiejąc się od czasu do czasu dobrodusznie, jak wielki dzieciak. Potem niespodziewanie, jakby zbudzony ze snu, zrywał się na równe nogi, mówiąc:

– Bourrienne! Pisz!

I wówczas albo przedstawiał plan jakiegoś pomnika, który należało postawić, albo dyktował jeden z tych olbrzymich projektów, które dziwiły, powiedzmy lepiej, niekiedy przestraszały cały świat.

O piątej podawano obiad. Po obiedzie pierwszy konsul szedł do apartamentów Józefiny i tam przyjmował zazwyczaj wizyty ministrów, a zwłaszcza ministra spraw zagranicznych, pana de Talleyranda.

O północy, niekiedy wcześniej, ale nigdy później, dawał znak rozejścia się, mówiąc raptem:

– Chodźmy spać.

Nazajutrz o siódmej rano rozpoczynało się takie samo życie, zakłócane tylko przez nieprzewidziane wypadki.

Bonaparte, pierwszy konsul, zostawił mniej swoich pomników, niż Napoleon-cesarz. Ponieważ cesarz z 1812 r. jest mało podobny do konsula z 1800 r., naszkicujmy, jeśli jest to możliwe, piórem jego rysy, których nie może oddać pędzel, jego fizjonomię, której nie może utrwalić ani brąz, ani marmur.

Większość malarzy i rzeźbiarzy, którymi szczyciła się ta epoka, w której rozkwitali tacy artyści, jak: Gros, David, Prud'hon, Girodet i Bosio, usiłowała zachować dla potomności rysy tego człowieka przeznaczenia w różnych chwilach, w których ujawniały się wielkie cele Opatrzności, do których był on powołany. Toteż mamy portrety Bonapartego, jako głównodowodzącego, jako pierwszego konsula i Napoleona-cesarza. I chociaż malarze i rzeźbiarze uchwycili mniej lub bardziej szczęśliwie typ jego twarzy, jednak można twierdzić, że nie ma portretów, ani popiersi generała, pierwszego konsula i cesarza zupełnie podobnych.

Nawet geniusz nie mógł przemóc niemożliwości. Bo można było w pierwszym okresie życia Bonapartego namalować lub wyrzeźbić jego wydatną czaszkę, jego czoło przecięte wspaniałymi zmarszczkami myśli, jego twarz bladą, podłużną, jego cerę śniadą i zamyślony wyraz twarzy; można było w drugim okresie jego życia namalować lub wyrzeźbić jego szerokie czoło, przecudnie zarysowane brwi, prosty nos, jego zaciśnięte wargi, jego brodę doskonale zarysowaną, wreszcie twarz całą jakby zdjętą z medalu Augusta. Ale ani portret, ani popiersie nie mogły oddać tego, co leżało poza naśladownictwem, mianowicie: żywości jego spojrzenia, które u człowieka jest tym, czym błyskawica u Boga, to znaczy dowodem jego boskości.

U Bonapartego spojrzenia posłuszne były jego woli z szybkością błyskawicy. W ciągu jednej minuty rzucał on spojrzenia to żywe i przenikające, jak ostrze sztyletu wyrwanego gwałtownie z pochwy, to łagodne, jak promień lub pieszczota, to surowe jak pytanie albo straszne jak groźba.

Bonaparte miał spojrzenia przystosowane do myśli, która w danej chwili porzucała jego duszę.

Napoleon już nie ma tego ruchliwego spojrzenia. Staje się ono uporczywe i przenikliwe. Lecz i takie jest trudne do oddania: jest to ostrze, które przenika do serca tego, na kogo pada i które, zdawałoby się, chce przeniknąć do najgłębszych i najtajniejszych myśli.

Otóż marmur i malowidło mogły oddać tę przenikliwość wzroku, ale ani marmur, ani malowidło nie mogły oddać życia, to znaczy przenikającej i magnetycznej siły tego spojrzenia.

Serca słabe mają wzrok zamglony.

Bonaparte, nawet gdy był chudy, miał piękne ręce; lubił nawet pokazywać je. Gdy utył, ręce jego stały się wspaniałe. Toteż troskliwie je pielęgnował i, rozprawiając, oglądał je z przyjemnością.

Piękne miał także zęby, choć nie tak wspaniałe, jak ręce.

Jeśli przechadzał się, bądź sam, bądź z kimkolwiek, czy to w ogrodzie, czy po apartamentach, prawie zawsze chodził nieco pochylony, jak gdyby ciężko mu było nosić głowę. Ręce zakładał z tyłu, często podnosił mimowolnie prawe ramię. Jednocześnie poruszał ustami z lewa na prawo, jak gdyby te dwa odruchy były od siebie zależne. Nie było w nich nic, choć tak twierdzono, konwulsyjnego. Były to po prostu przyzwyczajenia, coś w rodzaju bezwładu mózgu. Toteż odruchy powtarzały się najczęściej wtedy, gdy generał, czy też pierwszy konsul, czy wreszcie cesarz snuł wielkie projekty. Po takich właściwie spacerach, którym towarzyszyły podwójne odruchy ust i ramienia, dyktował swoje najważniejsze uwagi. W pochodzie przy armii na koniu nie znał zmęczenia. Taki sam był i w życiu zwykłym – mógł niekiedy, nie spostrzegając tego, chodzić przez pięć albo sześć godzin z rzędu.

Na przechadzkach z kimś bliższym brał pod rękę swego rozmówcę i opierał się na nim.

Chociaż był szczupły i chudy w epoce, w której go rysujemy przed oczyma naszych czytelników, często myślał o tym, że kiedyś utyje. Zwykle zwierzał się z tych myśli Bourriennowi.

– Czy widzisz, Bourrienne, jaki jestem szczupły. Ale nikt mi nie wybije z głowy, że w czterdziestym roku życia będę lubił dobrze jeść i utyję. Przewiduję, że zmienię się, chociaż używam dość ruchu. Cóż robić! Takie mam przeczucia i tak niewątpliwie będzie.

Wiadomo, jak bardzo utył. Przeczucia sprawdziły się.

Lubił namiętnie kąpiel, co być może przyczyniło się do jego otyłości. Kąpał się co dwa dni, pozostawał w wannie dwie godziny, podczas kąpieli czytano mu gazety lub pamflety. Co minuta otwierał kran z gorącą wodą, tak że temperatura w łazience dochodziła do takiej wysokości, że lektor nie mógł jej znieść i z powodu pary nie widział liter.

Dopiero wtedy Bonaparte pozwalał otwierać drzwi.

Mówiono, że miewał ataki epileptyczne, które po raz pierwszy wystąpiły po pierwszej wyprawie do Włoch. Bourrienne przez jedenaście lat był przy nim, jednak choroby tej nie zauważył.

Nie znając w ciągu dnia zmęczenia, lubił w nocy sypiać dobrze, zwłaszcza w okresie, w którym go widzimy. Bonaparte-generał, czy też pierwszy konsul kazał innym czuwać, ale sam wysypiał się dobrze. Kładł się spać o północy, czasem wcześniej, ale gdy o siódmej rano przychodzono, by go obudzić, zawsze jeszcze drzemał. Najczęściej budził się na pierwsze wezwanie; niekiedy jednak mruczał przez sen:

– Proszę cię, Bourrienne, jeszcze chwilkę...

Jeśli nie było nic pilnego, Bourrienne powracał o ósmej; w przeciwnym razie nie odchodził, a Bonaparte gniewając się, wstawał.

Sypiał siedem godzin na dobę, czasem osiem, po obiedzie odbywał krótką sjestę.

Wydawał specjalne instrukcje na noc.

– W nocy – mówił – wchodzić do mego pokoju jak najrzadziej. Nie budzić mnie nigdy, jeśli są dobre nowiny – te mogą poczekać. Jeśli chodzi o złe wiadomości, budzić mnie zawsze, bo nie ma czasu do stracenia, aby powziąć odpowiednią decyzję.

Obudziwszy się, Bonaparte od samego rana ubierał się zupełnie; wtedy wchodził lokaj, golił mu brodę i czesał go. Podczas golenia jeden z sekretarzy lub adiutant odczytywał dzienniki, zaczynając zawsze od „Monitora". Bonaparte naprawdę interesował się tylko dziennikami angielskimi i niemieckimi.

– Dalej, dalej – mawiał przy czytaniu dzienników francuskich – wiem już, co piszą, ponieważ piszą to, co ja chcę.

Po skończonej toalecie z sypialni przechodził do gabinetu. Wiemy już co tam robił.

O dziesiątej, jak mówiliśmy, podawano śniadanie, które anonsował marszałek słowami:

– Generale, śniadanie podane.

Nie używano, jak widać, żadnego tytułu, nawet tytułu pierwszego konsula.

Posiłek bywał obfity. Co dzień podawano Bonapartemu jego ulubione danie, które jadał rano. Było to kurczę smażone na oliwie, które od tego czasu figuruje w kartach restauracyjnach jako kurczę a la Marengo.

Bonaparte pijał mało, tylko wino Bordeaux lub burgundzkie, to ostatnie najchętniej.

Po śniadaniu, jak i po obiedzie, wypijał filiżankę czarnej kawy; nigdy nie pijał jej przed jedzeniem.

Jeśli zdarzyło mu się pracować późno w nocy, przynoszono mu czekoladę; sekretarz, który pracował z nim, otrzymywał taką samą filiżankę.

Większość historyków i kronikarzy, zaznaczywszy, że pijał dużo kawy, dodaje, że nieumiarkowanie zażywał tabaki.

To nieprawda. Od dwudziestego czwartego roku życia Bonaparte zaczął używać tabaki, ale w miarę – tyle tylko, aby się orzeźwić. Nie brał tabaki z kieszeni kamizelki, jak

przypuszczano, ale z tabakierek, które zmieniał prawie co dzień; pod tym względem, jako zbieracz tabakierek, był do pewnego stopnia podobny do Fryderyka Wielkiego. Jeśli przypadkiem brał tabakę z kieszeni kamizelki, to tylko w dniu bitwy, gdyż trudno mu było trzymać jednocześnie, mknąc galopem wśród strzałów, cugle konia i tabakierkę. Na takie dni miewał kamizelki z prawą kieszenią podbitą uperfumowaną skórą. A ponieważ wycięcie surduta pozwalało mu wsunąć dwa palce do kieszeni, bez odpinania surduta, mógł w każdych okolicznościach i przy każdym tempie jazdy zażywać do woli

Jako generał i jako pierwszy konsul, Bonaparte nie zakładał rękawiczek, trzymał je i miął w lewej ręce. Jako cesarz nosił już jedną rękawiczkę. A ponieważ zmieniał rękawiczki nie tylko co dzień, ale kilka razy na dzień, przeto jego kamerdyner wpadł na pomysł, by odświeżać mu tylko jedną, którą dodawał do tej, której Napoleon nie używał.

Bonaparte miał dwie namiętności, które odziedziczył Napoleon: wojnę i monumentalne budynki.

Wesoły i prawie rozbawiony w obozie, stawał się ponury i zamyślony w czasie pokoju. Wtedy to, aby się otrząsnąć ze smutku, zwracał się do sztuki i obmyślał budowle, których wiele rozpoczął, ale z których kilka dokończył. Wiedział, że pomniki stanowią część życia narodów, że są one ich historią, wypisaną wielkimi zgłoskami, że długo jeszcze po epoce, w której powstały pozostają jako ślad czasu; wiedział, że Rzym żyje w swych ruinach, że Grecja przemawia przez swe pomniki, że przez nie wynurza się na progu cywilizacji Egipt, widmo wspaniałe i tajemnicze.

Lecz ponad wszystko miłował jedno: rozgłos i sławę. Stąd wynikała owa potrzeba wojen, owa żądza chwały. Mawiał często:

– Im więcej mówią, tym więcej rozgłosu. Im więcej rozgłosu, tym dalej go słychać. Prawa, urządzenia, pomniki i narody giną. Ale rozgłos pozostaje i przechodzi z pokolenia na pokolenie. Upadły Babilon i Aleksandria, ale Semiramida i Aleksander żyją, być może więksi, dzięki odgłosom chwały, powtarzającym się i potęgującym ze stulecia na stulecie, niż byli w rzeczywistości.

A nawiązując w myślach do siebie, mawiał:

– Władza moja opiera się na mej sławie, a moja sława na bitwach, które wygrałem. Zwycięstwa zrobiły ze mnie tego, kim jestem, tylko zwycięstwa mogą mnie utrzymać. Nowo narodzony rząd musi zadziwiać i oślepiać. Gdy przestaje jasno płonąć, gaśnie; gdy przestaje rosnąć – upada.

Przez długi czas był Korsykaninem, z niecierpliwością znoszącym podbój swej ojczyzny. Ale gdy minął 13 vendémiaire'a, stał się naprawdę Francuzem i pokochał Francję gorąco. Marzeniem jego było widzieć Francję wielką, szczęśliwą, potężną na czele narodów. Prawda, że czyniąc Francję wielką, sam z nią rósł i że łączył swe imię z jej wielkością. Dla niego, który nieustannie żył tą myślą, chwila bieżąca znikała w przyszłości. Wszędzie, gdzie go pędził huragan wojny, przede wszystkim miał na myśli Francję. „Co pomyślą Ateńczycy” – mówił Aleksander po bitwie pod Issos i Arbelą. „Sądzę, że Francuzi będą ze mnie zadowowleni” – mówił Bonaparte po bitwach pod Rivoli i pod Piramidami.

Przed bitwą, ten Aleksander nowożytny myślał o tym, co zrobi nie w razie wygranej, lecz w razie niepowodzenia. Więcej niż ktokolwiek był przekonany o tym, że jakaś drobnostka rozstrzyga o wielkich wydarzeniach. Toteż starał się raczej przewidywać te wydarzenia, niż je wywoływać. Widział, jak się rodziły i jak przemijały. Ale, uchwyciwszy moment, zjawiał się, opanowywał je i kierował nimi tak samo, jak zręczny jeździec opanowuje i kieruje ognistym wierzchowcem.

Dzięki temu, że doszedł tak szybko do potęgi wśród wstrząsów, że wywołał zmiany polityczne lub widział tyle wydarzeń, nad którymi zapanował, dzięki temu wszystkiemu nabrał pewnej pogardy dla ludzi. Zresztą z natury już nie był skłonny do zbytniego ich

poważania. Toteż często wypowiadał zdanie, tym bardziej rozpaczliwe, że przekonał się o jego prawdziwości:

– Są dwie dźwignie, które mogą poruszyć ludzi – strach i zysk.

Z takim przekonaniem Bonaparte nie mógł wierzyć i nie wierzył w przyjaźń.

– Ileż to razy – powiada Bourrienne – mówił do mnie: „Przyjaźń, to puste słowo. Nikogo nie kocham, nawet braci... może trochę Józefa i to przez przyzwyczajenie i dlatego, że jest starszy... No, tak, Duroca lubię, ale za co? Bo podoba mi się jego charakter: jest zimny, surowy, oschły, a przy tym Duroc nigdy nie płacze... Zresztą, po cóż miałbym go lubić? Czy myślisz, że mam prawdziwych przyjaciół? Dopóki będę tym, kim jestem, będę ich miał, ale tylko na pozór. Niech powinie mi się noga, wtedy zobaczysz! Drzewa w zimie nie mają liści... Uważasz, Bourrienne. Niech tam kwilą kobiety, to im przystoi. Ale nie dla mnie czułostkowość. Trzeba mieć mocną rękę i twarde serce. Bez tego nie można ani iść w bój, ani rządzić..."

Na codzień Bonaparte był, jak mówią w szkołach, przekorą. Ale jego przekomarzania się nie miały cienia złośliwości, a prawie nigdy nie były bolesne. Złość, którą łatwo było spowodować, mijała, jak chmura przez wiatr pędzona i kończyła się wybuchem słów. Jednak, gdy chodziło o sprawy publiczne, o jakiś błąd któregoś z lejtnantów lub ministrów, unosił się w gniewie ogromnie. Wymówki jego były wówczas ostre i surowe jak zawsze, niekiedy zaś upokarzające. Wówczas zadawał jakby razy maczugą, pod którą każdy, czy chciał, czy nie chciał, musiał schylić głowę. Takie było zajście z Jominim i z księciem de Bellune.

Bonaparte miał nieprzyjaciół dwu kategorii: jakobinów i rojalistów. Nienawidził pierwszych, obawiał się drugich. Mówiąc o jakobinach, nazywał ich zawsze mordercami Ludwika XVI. Inaczej wyrażał się o rojalistach, jak gdyby przywidywał Restaurację.

Miał przy sobie dwóch ludzi, którzy głosowali za śmiercią króla: Fouchégo i Cambacérèsa.

Pozbył się ministra Fouchégo, ale zatrzymał Cambacérèsa, a to ze względu na usługi, jakie mógł mu oddać ten wybitny legitymista. Ale niekiedy nie mógł wytrzymać i biorąc swego kolegę, drugiego konsula, za ucho, mawiał:

– Biedny mój Cambacérès! Przykro mi, ale twoja sprawa jest jasna: jeśli kiedykolwiek Burbonowie powrócą, będziesz wisiał!

Pewnego dnia Cambacérès zniecierpliwił się i ruchem głowy, wyzwoliwszy ucho z żywych szczypców, które je trzymały, zawołał:

– No, zostaw już swe niemądre żarty!

Ilekroć Bonaparte uniknął jakiegoś niebezpieczeństwa, tylekroć przez przyzwyczajenie korsykańskie lub z czasów dzieciństwa robił na piersiach znak krzyża.

Gdy zdarzyło mu się coś nie po myśli lub gdy nachodziły go myśli nieprzyjemne, nucił – ale jaką melodię?... jakąś swoją własną, która nawet nie była melodią, której nikt nie mógł poznać, ponieważ fałszował. Podśpiewując, siadał za biurkiem, kołysząc się w fotelu i pochylając w tył, tak że omal się nie wywracał, a jednocześnie nacinał poręcz scyzorykiem, z którego innego użytku nie robił, ponieważ nigdy nie ostrzył sam pióra: funkcję tę spełniał jego sekretarz, który starał się temperować pióra jak najlepiej, aby okropne pismo Bonapartego nie było zupełnie nieczytelne.

Znane jest wrażenie, jakie na Bonapartem robił dźwięk dzwonów. Tylko tę muzykę rozumiał i tylko ona przemawiała mu do serca. Jeśli siedział, a rozlegał się dźwięk dzwonów, dawał znak ręką, nakazując ciszę i pochylał się w stronę, skąd dochodziły głosy. Jeśli przechadzał się – stawał, pochylał głowę i słuchał i trwał bez ruchu, dopóki dzwon rozbrzmiewał. Z chwilą, gdy ostatnie odgłosy cichły, powracał do pracy, a na pytania tych, którzy prosili o wyjaśnienie takiego zamiłowania do dźwięku dzwonów, odpowiadał:

– Przypomina mi to pierwsze lata spędzone w Brienne; byłem wówczas szczęśliwy!

W tych czasach, które opisujemy, Bonaparte zajęty był głównie dopiero co kupionym majątkiem Malmaison. Co sobota wyjeżdżał do tej posiadłości, spędzając, jak uczeń na

wakacjach – niedzielę, a niekiedy i poniedziałek. Tam zaniedbywał pracę dla spacerów, podczas których doglądał sam robót, które zarządził. Niekiedy, zwłaszcza z początku, wyruszał poza granicę posiadłości. Kres tym wycieczkom położyły raporty policji po spisku Arény i po wypadku z maszyną piekielną.

Dochody z Malmaison, obliczone przez samego Bonapartego, w przypuszczeniu, że sprzedawałby owoce i jarzyny, mogły dojść do sześciu tysięcy franków.

– To nieźle – mawiał do Bourrienne'a. – Ale – dodawał z westchnieniem – trzeba by mieć jeszcze ze trzydzieści tysięcy renty, aby móc tu wyżyć.

W upodobaniach Bonapartego do wsi było trochę poezji. Lubił widzieć w ciemnych alejkach parku spacerujące kobiety o wysmukłej i wiotkiej kibici w białych sukniach. Nie znosił sukien ciemnych i miał wstręt do kobiet grubych. Do kobiet brzemiennych odczuwał taki wstręt, że rzadko zapraszał je na swe wieczory lub zabawy. Zresztą mało uprzejmy z natury, zbyt imponujący, aby mógł pociągać, zaledwie grzeczny dla kobiet, rzadko kiedy mówił im, nawet najładniejszym, coś miłego. Bardzo często jego otoczenie było zdumione brakiem grzeczności wobec najlepszych przyjaciółek Józefiny. Niejednej powiedział: „Jakie pani ma czerwone ręce", albo: „Cóż za brzydkie uczesanie!", albo: „Ma pani brudną suknię; już widziałem panią w niej ze dwadzieścia razy", albo wreszcie: „Mogłaby pani zmienić krawcową, dziwnie suknia zmiętoszona!".

Pewnego dnia zwrócił się do księżnej de Chevreuse, pięknej blondynki, której włosy wszyscy podziwiali, z takimi słowami:

– Dziwna rzecz. Jaka pani ruda!

– Być może – odparła księżna. – Lecz nikt mi tego jeszcze nie mówił.

Bonaparte nie lubił gry. Grywał czasem w dwadzieścia jeden, przy tym tak samo, jak Henryk IV, szachrował. Po skończonej grze wszakże zostawiał na stole wszystko, co wygrywał, złoto i bilety, mówiąc:

– Jesteście ciamajdy! Szachrowałem ciągle i nie spostrzegliście tego. Niech odbiorą sobie ci, co przegrali.

Urodzony i wychowany w katolicyzmie, Bonaparte nie przywiązywał znaczenia do jakichkolwiek dogmatów. Przywracając kult, spełniał akt polityczny, a nie religijny. Lubił jednak rozmowy na tematy religijne, lecz sam z góry określał swe stanowisko, mówiąc:

– Rozum utrzymuje mnie w niewierze co do wielu rzeczy, ale wrażenia z czasów dzieciństwa i porywy pierwszej młodości podtrzymują we mnie zwątpienie.

Jednak nie chciał słyszeć o materializmie. Mało go obchodził dogmat, byle tylko uznawał Stwórcę. Pewnego pięknego wieczoru w miesiącu messidor, gdy statek jego płynął pomiędzy podwójnym błękitem morza i nieba, matematycy dowodzili, że Boga nie ma, że jest tylko materia ożywiona. Bonaparte spojrzał na sklepienie nieba, sto razy wspanialsze koło Malty i Aleksandrii, niż w Europie, i w chwili, gdy przypuszczano, że daleko był myślą od rozmowy, wtrącił, pokazując na gwiazdy:

– Możecie sobie gadać! To wszystko stworzył Bóg.

Bardzo ścisły w wypłacaniu ze swych prywatnych funduszy, Bonaparte nie lubił wydatków publicznych. Był przekonany, że jeśli w interesach, dokonywanych pomiędzy ministrami a dostawcami, minister, który umowę zawarł, nie był oszukany, to skarb państwa był na pewno okradziony. Dlatego też odraczał możliwie najdłużej termin wypłat, wynajdywał przy tym różne trudności i szykany, czepiał się wszelkich powodów, byle nie płacić. Było to u niego zasadą, że każdy dostawca jest oszustem.

Pewnego dnia przedstawiono mu jakiegoś dostawcę.

– Jak się pan nazywa? – zapytał szorstko.

– Vollant, obywatelu pierwszy konsulu.

– Doskonałe nazwisko dla dostawcy.

– Ja, obywatelu, piszę się przez dwa l[1].

– Tym lepiej pan kradnie – odpowiedział Bonaparte i odwrócił się tyłem.

Rzadko kiedy zmieniał swoje postanowienia, nawet jeśli uznał ich niesłuszność. Nigdy nie słyszano, aby powiedział: „Myliłem się"; przeciwnie, ulubionym jego powiedzeniem było: „Zawsze zaczynam od tego, że źle myślę".

Mimo to, czuło się, że Bonaparte raczej świadomie przybierał pozory pogardy dla ludzi, niż pogardzał nimi w rzeczywistości. Nie żywił nienawiści do nikogo i nie był mściwy, tylko niekiedy wierzył w Konieczność – boginię o żelaznych kleszczach. Poza obozem i polityką był to człowiek wrażliwy, dobry, litościwy, lubił dzieci, co było dowodem serca łagodnego i litościwego; był w życiu prywatnym wyrozumiały dla słabostek ludzkich.

Bywały też niekiedy chwile prostoty, tej którą ujawniał na przykład Henryk IV, bawiąc się z dziećmi w obecności poselstwa hiszpańskiego.

[1] Vollant znaczy latający, Volant – kradnący (przyp. tłum.).

# Poseł

Roland, powróciwszy do Luksemburga, zapytał o pierwszego konsula. Odpowiedziano mu, że pierwszy konsul pracuje z ministrem policji.

Ale Roland był traktowany jak domownik. Wracając z podróży lub z miasta, zwykle uchylał drzwi gabinetu i wsuwał głowę, bez względu na to, z kim pracował Bonaparte.

Bardzo często pierwszy konsul był tak zajęty, że nie zwracał na niego uwagi.

Wówczas Roland wymawiał jedno słowo: „Generale!" W ich poufnej mowie miało to znaczyć: „Generale, jestem tu. Czy jestem potrzebny? Jestem na rozkazy". Jeśli pierwszy konsul nie potrzebował Rolanda, odpowiadał: „Dobrze!" Jeśli zaś miał co do niego, to wymawiał jedno słowo: „Wejdź".

Roland wówczas wchodził i czekał we wnęce okna, aż generał powiedział, dlaczego kazał mu wejść.

I tym razem, jak zwykle, Roland wsunął głowę, mówiąc:

– Generale!

– Wejdź – odparł Bonaparte z widocznym zadowoleniem. – Wejdź, wejdź!

Roland wszedł.

Bonaparte pracował z ministrem policji.

Sprawa, którą zajmował się i która widocznie absorbowała go bardzo, obchodziła z pewnych względów i Rolanda.

Chodziło bowiem o nowe zatrzymanie dyliżansu przez towarzyszy Jehudy.

Na stole leżały trzy protokóły, stwierdzające zatrzymanie dyliżansu i dwóch karetek pocztowych.

W jednej z nich jechał kasjer armii włoskiej, Triber.

Jeden napad zdarzył się na gościńcu, idącym od Meximieux do Montluel, na terytorium gminy Belignieux, drugi – przy końcu jeziora Silans od strony Nantui, trzeci – na gościńcu, idącym od Saint-Etienne do Bourgu. w miejscu zwanym Carronnières.

Jednemu z tych napadów towarzyszył fakt szczególny.

Napadający, przez nieostrożność, zabrali wraz z pieniędzmi rządowymi skrzynkę z biżuterią i czterdzieści tysięcy franków należące do podróżnych. Ci uważali swe dobra za stracone. Tymczasem sędzia pokoju w Nantui otrzymał bezimienny list, informujący o miejscu, w którym zakopano zabrane kosztowności, z prośbą o oddanie ich właścicielom, gdyż towarzysze Jehudy walczą z rządem a nie z osobami prywatnymi.

W czasie napadu pod Carronnières złoczyńcy, chcąc zatrzymać karetkę, która pędziła pomimo rozkazu zatrzymania się, musieli zastrzelić jednego konia. Jednak towarzysze Jehudy uważali się widać za zobowiązanych do odszkodowania, gdyż właściciel poczty otrzymał pięćset franków za zabitego konia. Była to akurat taka sama suma, jaką zapłacono za konia osiem dni wcześniej. Widocznie napadający znali się na wartości koni.

Do protokółu, spisanego przez władze miejscowe, dołączone były zeznania podróżnych.

Bonaparte nucił nieznaną melodię. Było to oznaką, iż jest wściekły.

Toteż ponieważ spodziewano się od Rolanda nowych informacji trzy razy powtórzył rozkaz wejścia.

– Stanowczo twój departament zbuntował się przeciw mnie. Masz, czytaj!

Roland rzucił okiem na papiery i zrozumiał.

– Właśnie, generale, przychodzę, aby pomówić o tym.

– No to mów. Ale najpierw weź od Bourrienne'a mój atlas departamentów.

Roland przyniósł atlas, a odgadując o co chodzi Bonapartemu, otworzył mapę departamentu Ain.

– Dobrze – powiedział Bonaparte. – Pokaż mi, gdzie doszło do tych wypadków.

Roland wskazał palcem na brzeg mapy od strony Lugdunu.

– Oto, generale, dokładne miejsce pierwszego napadu, na wprost wsi Belignieux.

– A drugi?

– Tutaj – mówił Roland, przenosząc palec na kraniec przeciwny departamentu w kierunku Genewy – oto Nantua, a to jezioro Silans.

– A teraz trzeci?

Roland wskazał na środek mapy.

– Tutaj; ale miejscowość Carronnières nie jest oznaczona na mapie.

– A co to znaczy Carronnières? — zapytał pierwszy konsul.

– Tak nazywają u nas, generale, fabryki dachówek; należą one do obywatela Terriera; powinny być oznaczone na mapie.

I Roland wskazał końcem ołówka dokładnie miejsce, w którym musiał nastąpić napad.

– Jak to – zapytał Bonaparte – napad o pół mili zaledwie od Bourgu?

– Tak, zaledwie, generale.

– Czy pan słyszy wszystkie szczegóły? – zwrócił się Bonaparte do ministra policji.

– Słyszę, obywatelu pierwszy konsulu.

– Wie pan, że chcę, aby te rozboje ustały.

– Zrobię wszystko, co będę mógł.

– Nie chodzi o to, co pan może; chodzi o to, aby tak było.

Minister skłonił się.

– Tylko pod tym warunkiem – ciągnął Napoleon – przyznam, że jest pan rzeczywiście człowiekiem zręcznym, za jakiego się masz.

– Pomogę ci, obywatelu – powiedział Roland.

– Nie śmiem pana prosić o pomoc – odpowiedział minister.

– Tak. Lecz ja sam ją ofiarowuję. Proszę nic nie robić bez porozumienia ze mną.

Minister spojrzał na Bonapartego.

– Dobrze – rzekł Bonaparte. – Do widzenia. Roland wstąpi do ministerstwa.

Minister ukłonił się i wyszedł.

– W istocie – mówił dalej Bonaparte – powinieneś sobie wziąć za punkt honoru wytępienie tych bandytów, ponieważ awantura zdarzyła się w twoim departamencie i ponieważ oni, zdaje się, mają pretensje zwłaszcza do ciebie i do twojej rodziny.

– Przeciwnie. Właśnie zastanawia mnie to, iż oszczędzają mnie i moją rodzinę.

– Powróćmy do wypadków. Każdy szczegół jest tu ważny. Rozpoczynamy znowu wojnę z Beduinami.

– Zważ tylko, generale: spędzam noc w klasztorze Kartuzów w Seillon, ponieważ, jak mnie zapewniano, ukazują się tam duchy. W istocie ukazuje mi się duch, ale zupełnie niegroźny. Strzelam doń dwa razy, a ten nawet się nie odwraca. Matka moja jedzie dyliżansem, na który napadają i mdleje. Jeden z rabusiów udziela jej troskliwej pomocy, naciera skronie octem i podaje sole do wąchania. Brat mój, Edward, broni się jak może: biorą go, całują, chwalą na wszelki sposób jego odwagę. A tymczasem, gdy mój przyjaciel, sir John, robi to samo co ja, traktują go jak szpiega i próbują zabić.

– Ale nie umarł?

– Przeciwnie; ma się tak doskonale, że chce ożenić się z moją siostrą.

– Tak? Czy prosił o jej rękę?

– Uroczyście.

– Coś odpowiedział?...

– Odpowiedziałem, że moja siostra zależy od dwóch osób.

– Od matki i od ciebie. Zupełnie słusznie.

– Nie! Od siebie i od ciebie, generale.

– Od siebie – to rozumiem. Ale ode mnie?...

– Wszak mówiłeś, generale, że chcesz ją wydać za mąż.

Bonaparte przeszedł się kilka razy zamyślony z rękami założonymi. Po czym raptownie zatrzymał się przed Rolandem.

– Jakiż jest ten twój Anglik?

– Widziałeś go, generale.

– Nie pytam o urodę. Wszyscy Anglicy są do siebie podobni: jasne oczy, rude włosy, bladzi, szczęka wysunięta.

– To wskutek „the" – odparł poważnie Roland.

– Jak to „the"?

– No tak. Uczyłeś się, generale, po angielsku.

– Właściwie próbowałem się nauczyć.

– Twój nauczyciel, generale, musiał ci mówić, że „the" wymawia się, przyciskając język do zębów. Otóż wymawiając ciągle „the" i odpychając językiem zęby zniekształca się szczękę, która, jak sam powiedziałeś, charakteryzuje Anglików.

Bonaparte patrzył na Rolanda, nie wiedząc, czy żartowniś ten żartuje, czy też mówi poważnie.

Roland zachowywał się poważnie.

– To twoje zdanie? – rzekł Bonaparte.

– Tak, generale. Zdaje mi się, że z fizjologicznego punktu widzenia jest ono tak samo dobre, jak wszelkie inne. Mam masę takich zdań, które wypowiadam przy nadarzającej się okazji.

– Wróćmy do twego Anglika.

– Bardzo chętnie, generale.

– Pytałem cię, jaki on jest.

– Prawdziwy dżentelmen i bardzo odważny, bardzo spokojny, bardzo chłodny, bardzo szlachetny, bardzo bogaty, a co najważniejsze – co dla ciebie, generale, prawdopodobnie nie jest zaletą –jest on siostrzeńcem lorda Grenville'a, pierwszego ministra króla Anglii.

– Jak mówisz?

– Mówię: pierwszego ministra króla angielskiego.

Bonaparte zaczął znowu swój spacer, a powróciwszy do Rolanda zapytał:

– Czy mogę zobaczyć twego Anglika?

– Wiesz, generale, że możesz wszystko.

– Gdzież jest?

– W Paryżu.

– Idź po niego i przyprowadź go tutaj.

Roland miał zwyczaj słuchać bez oporu; toteż wziął kapelusz i skierował się do drzwi.

– Przyślij mi tu Bourrienne'a – zawołał za nim pierwszy konsul w chwili, gdy Roland wchodził do gabinetu sekretarza. W pięć minut po wyjściu Rolanda zjawił się Bourrienne.

– Siadaj, Bourrienne – rzekł pierwszy konsul.

Bourrienne siadł, przygotował papier, umoczył pióro i czekał.

– Gotów jesteś? – zapytał Bonaparte, siadając na biurku, przy którym pisał Bourrienne. Było to jeszcze jedno jego przyzwyczajenie, które doprowadzało sekretarza do rozpaczy, gdyż Bonaparte przez cały czas dyktowania nie przestawał się kołysać i trząsł biurkiem.

– Jestem gotów – odpowiedział Bourrienne, który przyzwyczaił się z czasem do wszystkich wybryków pierwszego konsula.

– No to pisz.

I zaczął dyktować:

„Bonaparte, pierwszy konsul Rzeczypospolitej do Jego Królewskiej Mości, Króla Wielkiej Brytanii i Irlandii.

Powołany wolą narodu francuskiego do piastowania najwyższej godności w Rzeczypospolitej, uważam za stosowne donieść o tym wprost Waszej Królewskiej Mości. Czyż wojna, która od ośmiu lat pustoszy cztery części świata, ma trwać wiecznie? Czyż nie ma możności porozumienia się? Jak mogą dwa najbardziej oświecone narody w Europie, silne i potężne bardziej niż to konieczne dla ich bezpieczeństwa i niezależności, poświęcić dla mrzonek czczej wielkości lub dla nieuzasadnionych antypatii dobro handlu, dobrobyt wewnętrzny, szczęście rodzin? Czyż nie odczuwają one, że pokój jest największą potrzebą i największą chwałą?

Uczucia te nie mogą być obce sercu Waszej Królewskiej Mości, która rządzi narodem wolnym i tylko dla jego szczęścia. Niech Wasza Królewska Mość nie dopatruje się w moim kroku niczego innego, jak szczerego z mej strony pragnienia skutecznego przyczynienia się, po raz drugi, do ogólnego pokoju. Przez ten krok, pełen zaufania i pozbawiony form, które, choć być może niezbędne dla zamaskowania zależności słabych państw, zdradzają ze strony państw silnych chęć wzajemnego oszukania się.

Francja i Anglia, nadużywając swych sił, mogą jeszcze długo, na nieszczęście wszystkich ludów, unikać ich wyczerpania. Lecz śmiem twierdzić, że los wszystkich cywilizowanych narodów zależy od ukończenia wojny, która ogarnia cały świat”.

Bonaparte zatrzymał się.

– Zdaje mi się, że tak będzie dobrze – rzekł. – Przeczytaj mi to, Bourrienne.

Bourrienne zaczął czytać.

Po każdym ustępie pierwszy konsul potakiwał głową, mówiąc:

– Dalej!

Nie czekając na odczytanie ostatnich słów, wziął list z rąk Bourrienne'a i podpisał go nowym piórem.

Miał zwyczaj używać pióra tylko raz; nie znosił bowiem plam od atramentu na palcach.

– Dobrze – rzekł — zapieczętuj i zaadresuj: „Do lorda Grenville'a”.

Bourrienne wykonał rozkaz. W tejże chwili rozległ się turkot powozu, który zatrzymał się na dziedzińcu Luksemburga.

W chwilę potem w drzwiach ukazał się Roland.

– No i cóż? – zapytał Bonaparte.

– Mówiłem, generale, że możesz wszystko.

– Sprowadziłeś twego Anglika?

– Spotkałem go na placu de Buci, a wiedząc, że nie lubisz czekać, generale, zabrałem go siłą do powozu. Przez chwilę myślałem, iż będę musiał przyprowadzić go tu przy pomocy warty z ulicy Mazarine.

– Niech wejdzie – rzekł Bonaparte.

– Wejdź, milordzie – zawołał Roland odwracając się.

Lord Tanlay stanął w progu.

Rzut oka wystarczył Bonapartemu, aby się przekonać, że ma przed sobą prawdziwego dżentlemena.

Nieco mizerny, trochę blady, sir John miał wygląd bardzo dystyngowany.

Skłonił się i, jak na prawdziwego Anglika przystało, czekał na przedstawienie.

– Generale – odezwał się Roland – mam zaszczyt przedstawić ci sir Johna Tanlay'a, który chciał dojść aż do trzeciej katarakty, aby mieć zaszczyt poznania cię, a którego musiałem dziś ciągnąć prawie za uszy, aby go sprowadzić do Luksemburga.

– Proszę, milordzie, proszę – odezwał się Bonaparte. – Nie pierwszy raz się widzimy i nie raz już wyraziłem życzenie poznania pana. Niewdzięcznością więc było poniekąd ze strony pana, że opierałeś się memu pragnieniu.

– Jeżeli się wahałem, generale – odparł sir John doskonałą francuszczyzną – to dlatego, że nie mogłem uwierzyć, iż robisz mi ten zaszczyt.

– No, i, naturalnie, z powodu uczuć narodowych. Nienawidzisz mnie, prawda? Jak wszyscy twoi współrodacy?

– Muszę przyznać, generale – odparł sir John z uśmiechem – że moi współrodacy cię podziwiają.

– Czy podziela pan ten bezsensowny przesąd, iż honor narodowy wymaga, aby nienawidzieć dzisiejszego wroga, który jutro może być naszym przyjacielem?

– Francja była dla mnie prawie drugą ojczyzną, a mój przyjaciel Roland może powiedzieć ci, generale, że tęsknię do tej chwili, kiedy z tych dwu ojczyzn, tą, której będę najwięcej obowiązany, będzie Francja.

– Więc bez wstrętu widziałbyś, jak Francja i Anglia podają sobie ręce dla szczęścia świata?

– Byłby to dla mnie dzień szczęśliwy.

– A gdybyś mógł pomóc w osiągnięciu tego celu, czy przyczyniłbyś się do tego?

– Naraziłbym swoje życie!

– Mówił mi Roland, że jesteś krewnym lorda Grenville'a.

– Jestem jego siostrzeńcem.

– Czy jesteś z nim w dobrych stosunkach?

– Kochał bardzo moją matkę, a swoją starszą siostrę.

– Czyś odziedziczył po matce jego sympatię?

– Tak. Sądzę tylko, że ujawni ją dopiero po moim powrocie do Anglii.

– Czy podejmiesz się wręczyć mu list ode mnie?

– Do kogo?

– Do króla Jerzego III.

– Będzie to dla mnie zaszczyt.

– Czy zechcesz żywym słowem wyrazić wujowi to, czego nie można napisać w liście?

– Nie zmieniając ani słowa: słowa generała Bonaparte należą do historii.

– No, to powiedz mu...

I tu przerwał, zwracając się do Bourrienne'a:

– Bourrienne, poszukaj mi ostatniego listu cesarza rosyjskiego.

Bourrienne otworzył tekę i, nie szukając, wyjął list i podał go Bonapartemu.

Bonaparte spojrzał na list, a podając go lordowi Tanlay'owi, rzekł:

– Powiedz mu przede wszystkim, że czytałeś ten list. Sir John skłonił się i czytał:

„Obywatelu pierwszy konsulu!

Otrzymałem ponownie, uzbrojonych i ubranych w mundury odpowiednich pułków, dziewięć tysięcy Rosjan, wziętych do niewoli w Holandii, których mi odesłałeś bez okupu, nic nie żądając w zamian, bez żadnych warunków. Jest to krok wysoce rycerski i uważam cię za rycerza. Za ten wspaniały dar mogę ci, obywatelu pierwszy konsulu, ofiarować najwyżej moją przyjaźń. Czy chcesz jej? Jako zadatek tej przyjaźni, posyłam paszport dla lorda Whitwortha, angielskiego ambasadora w Petersburgu. Oprócz tego, jeśli chcesz być, nie mówię już sekundantem, ale moim świadkiem, wyzywam na pojedynek osobisty wszystkich królów, którzy nie staną przeciw Anglii i którzy nie zamkną przed nią swych portów.

Zaczynam od mego sąsiada, króla Danii. Możesz przeczytać w Gazecie Dworskiej wyzwanie, które mu posyłam. Czyż mogę ci jeszcze coś ponad to napisać? Nie. Chyba to, że we dwóch możemy dyktować światu prawa. I to jeszcze, że jestem twoim wielbicielem i szczerym przyjacielem.

Paweł”.

Lord Tanlay odwrócił się do pierwszego konsula:

– Czy wiesz, generale, że cesarz rosyjski jest chory?

– Czy wnioskujesz to z tego listu? – zapytał Bonaparte.

– Nie; list ten potwierdza moje przypuszczenia.

– Od wariata przecież Henryk IV otrzymał koronę Św. Ludwika i lilie francuskie zdobią jeszcze herb Anglii, dopóki nie wyskrobię ich moim mieczem.

Sir John uśmiechnął się; jego duma narodowa buntowała się przeciw zakusom zwycięzcy spod Piramid.

– Lecz nie o to – mówił dalej Bonaparte – dziś chodzi; na wszystko przyjdzie czas.

– Tak – wycedził sir John – jeszcze jesteśmy za blisko Abukiru.

– Nie na morzu was pobiję, ale tam!...

I wskazał ręką na Wschód.

– Tymczasem, powtarzam, nie chodzi o wojnę, lecz o pokój. Potrzebuję pokoju, aby ziścić moje marzenie, zwłaszcza pokoju z Anglią. Widzisz, gram w otwarte karty: jestem dość silny, abym mógł być szczery. Dyplomata, który pewnego dnia powie prawdę, będzie największym dyplomatą na świecie; ponieważ nikt mu nie uwierzy, dojdzie on do zamierzonego celu bez przeszkód.

– Mam więc powiedzieć wujowi, że pragniesz, generale, pokoju?

– Ale powiesz zarazem, że się wojny nie obawiam. Tak, jak nie postępuję z królem Jerzym, mogę postępować z cesarzem Pawłem. Ale Rosja nie jest tak zaawansowana w rozwoju cywilizacyjnym, jakbym chciał, aby móc z niej zrobić swoją sojuszniczkę.

– Narzędzie niekiedy lepsze jest od sojusznika.

– Tak; ale, jak sam powiedziałeś, cesarz jest...; chorych zaś lepiej rozbrajać, niż uzbrajać. Dwa takie narody, jak Francja i Anglia, mogą być albo nierozłącznymi przyjaciółmi, albo zawziętymi wrogami: w pierwszym przypadku będą jak dwa bieguny Ziemi, regulujące jej ruch dzięki równowadze; w drugim – jeden musi zniszczyć drugiego, aby zostać osią świata.

– A jeśli lord Grenville, nie wątpiąc w twój geniusz, generale, wątpi w twoją potęgę; jeśli jest zdania naszego poety Coleridge'a, że groźnie szumiący ocean chroni swą wyspę i jest dla niej osłoną – to co mam mu wtedy powiedzieć?

– Rozwiń no, Bourrienne, mapę całego świata – rzekł Bonaparte.

Bourrienne rozwinął mapę; Bonaparte zbliżył się.

– Czy widzi pan – zapytał – te dwie rzeki?

I wskazał sir Johnowi Wołgę i Dunaj.

– Oto droga do Indii – dodał.

– Sądziłem, generale, że droga do Indii to Egipt.

– I ja tak myślałem, jak pan, a właściwie wybrałem tamtą drogę dlatego, że nie miałem innej. Cesarz otwiera mi tę. Niech wasz rząd nie zmusza mnie do wejścia na nią. Czy pan podąża za mną?

– Tak, obywatelu. Idźmy naprzód.

– Otóż, jeśli Anglia zmusi mnie, abym zaczął ją zwalczać, będę musiał przyjąć sojusz następcy Katarzyny, a wtedy – wysyłam Wołgą do Astrachania 40000 Rosjan, którzy przepłyną przez Morze Kaspijskie i zaczekają na mnie pod Asterabadem.

Sir John nachylił się, chcąc dowieść, że pilnie uważa.

Bonaparte ciągnął dalej:

– Dunajem wysyłam 40 000 Francuzów.

– Przepraszam, generale, ale Dunaj jest rzeką austriacką.

– Zdobędę Wiedeń.

Sir John spojrzał na Bonapartego.

– Zdobędę Wiedeń – mówił dalej Bonaparte. – Wysyłam Dunajem 40000 wojska. U ujścia znajduję statki rosyjskie, które je przywożą aż do Taganrogu; stamtąd lądem Francuzi idą w górę Donu aż do Pratisbianskoje, a stamtąd do Carycyna. Tam wsiadają na te same statki, które przewiozły 40000 Rosjan do Astrachania. W piętnaście dni potem mam 80000 wojska w zachodniej Persji. Z Asterabadu obie armie połączone ruszają nad Indus. Persja, wróg Anglii, jest z natury rzeczy naszą sojuszniczką.

– Tak. Ale już w Pendżabie nie będzie pomocy Persji, a 80-tysięczna armia z trudnością może wieźć za sobą zapasy żywności.

– Zapomina pan o jednym – mówił dalej Bonaparte – twierdząc, że zostawiłem bankierów w Teheranie i Kabulu. Otóż przypomnij pan sobie, co się zdarzyło dziewięć lat temu podczas wyprawy lorda Cornwallisa na Tippo-Saib: generał głównodowodzący nie miał żywności. Prosty kapitan... zapomniałem, jak się nazywa...

– Kapitan Malcolm – wtrącił lord Tanlay.

– A tak – zawołał Bonaparte. – Widzę, że zna pan tę historię. Otóż kapitan Malcolm zwrócił się do kasty Cyganów, których obozy rozrzucone są po Półwyspie Indyjskim, a którzy prowadzą wyłącznie handel zbożem. Cyganie ci są wierni co do grosza tym, którzy im płacą. Oni to będą mnie żywili.

– Trzeba będzie przejść przez Indus.

– Doskonale! – odparł Bonaparte. – Od Dera-Ismael-Khan do Attok jest sześćdziesiąt mil. Znam Indus jak Sekwanę. Jest to rzeka spokojna, płynąca z szybkością mili na godzinę. Średnia jej głębokość w tym miejscu, o którym mówię, wynosi od dwunastu do piętnastu stóp; a na linii moich działań ma prawdopodobnie z dziesięć brodów.

– Więc już wyznaczona jest linia operacji wojennych? – zapytał z uśmiechem sir John.

– Tak. Oczywista, że rozwinie się ona na przestrzeni prowincji żyznych i dobrze nawodnionych; oczywiście ominę piaszczystą pustynię, która oddziela solną nizinę Indusu od Radżasthanu. Zresztą tędy odbywały się wszystkie najazdy na Indie od czasów Mahmeda z Ghizni w 1000 r., aż do Nadir-Szacha w 1739. A iluż to w tej epoce przebyło tę drogę, którą zamierzam przebyć! Po Mahmedzie z Ghizni Mahomet-Guri w 1184 r. ze 120000; potem Timur-Lung albo Timur Chromy, którego nazwano Tamerlanem, z 60000 wojska; potem Babur; po nim Humajun i tak dalej. Czyż Indie nie wpadają w ręce tych, którzy tylko chcą je mieć?

– Zapomiasz, obywatelu pierwszy konsulu, że wszyscy wymienieni zdobywcy mieli do czynienia tylko z miejscowymi plemionami; ty zaś, generale, będziesz miał do czynienia z Anglikami. W Indiach mamy...

– 20 do 22 000 wojska.

– I 100000 sipajów.

– Wiem o tych i o tamtych. Dla Anglii mam szacunek, dla Indii pogardę, na którą zasługują. Tam, gdzie mam przed sobą piechotę europejską, tam stawiam drugą, trzecią i czwartą, jeśli trzeba, linię rezerw, przewidując, że pierwsze trzy mogą się zachwiać pod bagnetami angielskimi. Ale tam, gdzie mam przed sobą sipajów, wystarczają mi baty pocztylionów na tę hołotę. Czy chcesz o coś jeszcze zapytać, milordzie?

– Tylko o jedno, obywatelu pierwszy konsulu: czy naprawdę pragniesz pokoju?

– Oto list, w którym proszę waszego króla o pokój. Dlatego właśnie zwracam się do siostrzeńca lorda Grenville'a, aby był moim posłem, bo sądzę, że list ten faktycznie dotrze do rąk Jego Królewskiej Mości.

– Stanie się według twej woli, obywatelu. I gdybym był nie siostrzeńcem, ale wujem, obiecałbym więcej.

– Kiedy możesz odjechać?

– Za godzinę wyjadę.

– Czy nie masz żadnego życzenia?

– Żadnego. Na wszelki wypadek jednak Rolandowi udzielam całkowitego pełnomocnictwa.

– Podaj mi rękę, milordzie. Będzie to dobra wróżba, bo ty reprezentujesz Anglię, a ja Francję.

Sir John przyjął ofiarowany mu przez Bonapartego zaszczyt z właściwym umiarem, który podkreślał jego sympatię dla Francji, a zarazem nie uwłaczał honorowi narodowemu. Potem, uścisnąwszy po bratersku rękę Rolandowi, skłonił się po raz ostatni pierwszemu konsulowi i wyszedł.

Bonaparte odprowadził go wzrokiem, zamyślił się, a po chwili rzekł:

– Rolandzie. Nie tylko zgadzam się na małżeństwo twej siostry z lordem Tanlay'em, ale nawet pragnę tego. Rozumiesz? – pragnę!

Powiedział to z takim naciskiem, że każdy, kto znał pierwszego konsula, zrozumiałby, że „pragnę” znaczy „chcę”.

# Dwa sygnały

Roland, potem pani de Montrevel z synem i wreszcie sir John wyjechali do Paryża: Roland, aby stanąć przy boku swego generała; pani de Montrevel, aby odwieźć Edwarda do szkoły, a sir John, aby prosić Rolanda o rękę siostry – od tej chwili Amelia pozostała w zamku sama z Karoliną. Sama, gdyż Michał z synem właściwie nie mieszkali w zamku, lecz w małej oficynie koło bramy. Michał wskutek tego, oprócz funkcji ogrodnika, spełniał funkcje odźwiernego.

Toteż wieczorami we wszystkich trzech rzędach okien zamku, oprócz okien w pokoju Amelii na pierwszym piętrze i okna w pokoju Karoliny na poddaszu, było ciemno.

Pani de Montrevel zabrała z sobą drugą pokojówkę.

Obie dziewczyny były bardzo osamotnione w tej części gmachu, złożonej z dwunastu pokoi na trzech piętrach, zwłaszcza że coraz częściej mówiono o napadach na drogach. Toteż Michał zaproponował swej młodej pani, że będzie sypiał na ganku, aby w razie potrzeby móc przyjść z pomocą. Amelia jednak stanowczo oświadczyła, że się niczego nie obawia i że nie chce żadnych zmian w dotychczasowym trybie życia w zamku.

Michał nie nalegał i orzekł, że panienka może spać spokojnie, gdyż on i Jakub będą obchodzili zamek w nocy.

To potwierdzenie Michała zaniepokoiło Amelię. Wkrótce jednak przekonała się, że Michał z Jakubem dochodzili tylko do polany w lesie Seillon. Często podawane na obiad zające i sarny dowodziły, że Michał dotrzymywał obietnicy i że nie chodził w kierunku, którego sobie nie życzyła. Toteż wkrótce przestała się o to niepokoić.

W trzy dni po wydarzeniach, które opisaliśmy, a ściślej mówiąc, w nocy trzeciego dnia, ci, którzy przywykli do tego, że w zamku Noires-Fontaines oświetlone były tylko dwa okna, a mianowicie w pokoju Amelii na pierwszym piętrze i w pokoju Karoliny na drugim, mogli zauważyć ze zdziwieniem, że oświetlone były od jedenastej do północy cztery okna na pierwszym piętrze.

Można też było dojrzeć w oknie sylwetkę Amelii, która spoza firanek spodlądała w kierunku wioski Ceyzeriat.

Po kilku minutach otarła czoło i westchnęła prawie z radością. W oddali dojrzała migocący ogień. Momentalnie przeszła przez pokoje, gasząc wszystkie świece. Zostawiła tylko jedną – w swoim pokoju, na piętrze.

Po chwili ogień-sygnał zgasł, jakby tylko czekał na te ciemności.

Amelia usiadła przy oknie i nieruchoma wpatrywała się w ogród.

Noc była ciemna, bez gwiazd, bez księżyca. Mimo to, po kwadransie, zauważyła, a raczej wyczuła, że ktoś przechodzi przez gazon i zbliża się do zamku.

Amelia postawiła świecę w najodleglejszym kącie swego pokoju, po czym otworzyła okno.

Mężczyzna, którego oczekiwała, był już na balkonie. I tym razem objął dziewczynę wpół i wciągnął do środka.

Amelia jednak opierała się; szukała ręką sznura od żaluzji. Zsunęła sznur z gwoździa i żaluzja opadła z hałasem nieco większym niż nakazywała ostrożność. Potem zamknęła okno i poszła po ukrytą w kącie świecę.

Płomień oświecił jej twarz.

Młody człowiek krzyknął zaskoczony. Amelia zalana była łzami.

– Co się stało? – zapytał.

– Nieszczęście! – odpowiedziała.

– Domyślałem się, widząc znaki, którymi mnie wzywałaś. Co się stało? Mam nadzieję, że to nieszczęście grozi tylko mnie.

– Nam obojgu.

Młodzieniec otarł ręką pot z czoła.

– Mów. Jestem dzielny.

Amelia wzięła list z kominka.

– Przeczytaj. Odebrałam to z dzisiejszej poczty wieczornej.

Młodzieniec wziął list, otworzył i odszukał podpisu.

– To od pani de Montrevel?

– Tak, z postscriptum Rolanda.

Przeczytał:

„Kochana moja córko!

Pragnę, aby wiadomość, którą przekazuję, sprawiła ci taką samą radość, jaką sprawiła mnie i naszemu kochanemu Rolandowi. Sir John, któremu odmawiałaś serca i którego uważałaś za maszynerię, zrobioną w warsztatach w Vaucanson, przyznaje, że mieli słuszność ci, którzy go tak źle sądzili, ale tylko do chwili, kiedy cię poznał; twierdzi, że od tego dnia ma naprawdę serce, które ciebie uwielbia.

Czy przypuszczałaś to, kochana Amelio, skoro nawet twoja matka nie dojrzała żadnych żywszych uczuć w jego arystokratycznie uprzejmym obejściu?

Przy śniadaniu, na którym był Roland, prosił go o twą rękę. Twój brat przyjął tę deklarację z radością, ale na razie nic nie obiecał. Pierwszy konsul, już przed odjazdem Rolanda do Wandei, mówił, że zajmie się twoim losem. Potem chciał widzieć lorda Tanlay'a i spotkał się z nim. Wyobraź sobie, że lord Tanlay od razu zyskał przychylność pierwszego konsula, który powierzył mu pewną misję do jego wuja, lorda Grenville'a. Lord Tanlay natychmiast wyjechał do Anglii. Nie wiem, jak długo tam zabawi. Z pewnością jednak po powrocie poprosi o pozwolenie przedstawienia się tobie w charakterze narzeczonego. Lord Tanlay jest młody, sympatyczny i bardzo bogaty. Jest świetnie skoligacony w Anglii. Jest przyjacielem Rolanda. Nie znam człowieka, który miałby więcej niż on praw do twej, nie powiem – miłości, ale do twego szacunku. Teraz kończę w dwóch słowach. Pierwszy konsul jest zawsze bardzo łaskawy dla mnie i dla twoich dwu braci... Pani Bonaparte dała mi do zrozumienia, że jak tylko wyjdziesz za mąż, przywoła cię do swego boku. Mówią o przeniesieniu się z Luksemburga do Tuileries. Chyba rozumiesz doniosłość tej zmiany mieszkania.

Kochająca cię matka

Klotylda de Montrevel”.

Nie przerywając, młodzieniec odczytał następujący dopisek Rolanda:

„Przeczytałaś, kochana siostrzyczko, co ci pisze matka. Małżeństwo to jest pod każdym względem dobre. Nie rób z siebie małego dziewczątka; pierwszy konsul pragnie, abyś została lady Tanlay, a więc chce tego.

Opuszczam Paryż na kilka dni; jeśli mnie nie zobaczysz, to usłyszysz o mnie.

Całuję cię.

Roland".

– No i cóż, Karolu? – zapytała Amelia, gdy młodzieniec skończył czytać. – Cóż ty na to?

– Powinniśmy się byli tego spodziewać, aniele mój. Ale to straszne.

– Co robić?

– Są trzy wyjścia. Przede wszystkim opieraj się, jeśli masz dość sił. Jest to najprostsza i najpewniejsza droga.

Amelia schyliła głowę.

– Nie ośmielisz się, co?

– Nigdy.

– A jednak, Amelio, jesteś moją żoną. Ksiądz pobłogosławił nasz związek.

– Ale mówią, że takie małżeństwo jest nieważne wobec prawa, ponieważ pobłogosławił je tylko ksiądz.

– Czyż tobie to nie wystarcza? Tobie – żonie wygnańca?

– Ależ moja matka! – rzekła Amelia. – Nie mamy błogosławieństwa matki.

– Przecież to było niebezpieczne, nie chcieliśmy nikogo narażać.

– A zwłaszcza ten człowiek... Słyszałeś przecież, że mój brat pisze, iż on chce tego?

– Gdybyś mnie kochała, Amelio, to ten człowiek zrozumiałby, że może zmieniać formę państwa, że może rozniecać ogień wojny od jednego do drugiego krańca świata, tworzyć prawa, budować trony, lecz że nie może zmusić ust do mówienia tak, gdy serce mówi nie!

– Gdybym kochała cię! – odparła Amelia z łagodnym wyrzutem w głosie. – Wszak jest północ, a ty jesteś w moim pokoju; wszak ja płaczę w twoich ramionach, ja – córka generała de Montrevel, siostra Rolanda! A ty mi mówisz: „gdybyś mnie kochała!"

– Wybacz, wybacz, moja ubóstwiana Amelio. Wiem, że wychowano cię w uwielbieniu dla tego człowieka; nie potrafisz zrozumieć, jak można mu się oprzeć. A kto mu się opiera, jest w twoich oczach buntownikiem.

– Karolu! Mówiłeś, że są trzy wyjścia. Jakie jest drugie?

– Przyjąć pozornie proponowany ci związek, ale wygrywać na czasie, odwlekając go pod wszelkimi pozorami. Człowiek jest śmiertelny.

– Nie! On jeszcze dość młody. Na jego śmierć liczyć nie możemy. A trzecia rzecz do zrobienia?

– Uciekać... ale to ostateczność. Są dwie przeszkody: najpierw twoja wola.

– Jestem przy tobie Karolu.

– A następnie – moje obowiązki.

– Twoje obowiązki?

– Moi towarzysze są ze mną związani, a ja z nimi. My jesteśmy zależni od kogoś, komu przysięgaliśmy posłuszeństwo. Tym człowiekiem jest przyszły król Francji. Jeśli rozumiesz przywiązanie twego brata do Bonapartego, zrozum nasze przywiązanie do Ludwika XVIII.

Amelia ukryła twarz w dłoniach.

– No, to jesteśmy zgubieni.

– Dlaczego? Pod rozmaitymi pozorami, najpierw pod pozorem twego zdrowia, możesz odwlec sprawę o rok. A w ciągu roku on rozpocznie prawdopodobnie nową wojnę we Włoszech. Pierwsza klęska pozbawi go całego uroku. Zresztą przez rok może zdarzyć się wiele.

– Czyś nie przeczytał dopisku Rolanda?

– Owszem. Lecz nie znalazłem w nim nic ponad to, co pisze twoja matka.

– Odczytaj jeszcze raz pierwsze zdanie.

I Amelia podsunęła mu list.

Przeczytał: „Opuszczam Paryż na kilka dni. Jeśli mnie nie zobaczysz, to usłyszysz o mnie".

– No więc cóż?

– Wiesz, co to oznacza?

– Nie.

– To znaczy, że Roland cię ściga.

– To drobiazg. Przecież nie może zginąć z mojej ręki ani z ręki żadnego z nas.

– Ale ty, nieszczęśliwy, możesz zginąć z jego.

– Czy myślisz, że mógłbym mieć do niego żal?

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Więc jesteś pewna, że mnie ściga? Na jakiej podstawie?

– Roland, będąc przekonany o śmierci sir Johna, poprzysiągł zemstę.

– Gdyby ten Anglik umarł – odparł młodzieniec z goryczą – mielibyśmy mniej kłopotów.

– Bóg go uratował, Karolu. Takie widać było przeznaczenie.

– Przeznaczenie?

– Nie wnikam w plany Boga. Mówię ci, kochany, strzeż się Rolanda. Widziano go już w okolicy.

– Kto go widział?

– Karolina, pokojówka, córka stróża więziennego. Prosiła mnie wczoraj o dzień wolny. Pozwoliłam jej odwiedzić rodzinę. Ponieważ miałam się spotkać z tobą, zwolniłam ją na noc, do dziś rana.

– Więc cóż?

– Spędziła noc u rodziców. O godzinie jedenastej przybył do więzienia kapitan żandarmerii, który przyprowadził aresztowanych. Gdy ich umieszczono w celach, przyszedł jakiś człowiek, otulony w płaszcz i zapytał o kapitana. Karolina przyjrzała mu się uważnie w chwili, gdy rozsunął kapotę i odsłonił twarz. Poznała mego brata.

Młodzieniec poruszył się.

– Rozumiesz więc, Karolu? Mój brat przyjeżdża tutaj, do Bourgu, przyjeżdża w tajemnicy, nie zawiadamiając mnie o swoim powrocie. Mój brat pyta o kapitana żandarmerii, szuka go aż w więzieniu, rozmawia tylko z nim i znika. Czyż nie jest to groźne dla naszej miłości?

W miarę jak Amelia mówiła, Karol denerwował się coraz bardziej.

– Amelio, decydując się na nasz związek i skrywając prawdę, zdawaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Czy przynajmniej – zapytała Amelia – zmieniliście kryjówkę? Opuściliście klasztor Kartuzów w Seillon?

– Tam zostali tylko zmarli.

– A czy grota w Ceyzeriat jest pewnym schronieniem?

– Najpewniejszym, gdyż ma dwa wyjścia.

– Klasztor Kartuzów miał również dwa wyjścia, a jednak, jak mówisz, zostawiliście tam tylko zmarłych.

– Zmarli są bezpieczniejsi od żywych. Oni nie umrą na szafocie. Amelia poczuła dreszcz, przebiegający po całym ciele.

– Karolu! – wyszeptała.

– Słuchaj – rzekł młodzieniec. – Bóg świadkiem i ty też, że zawsze podczas naszych schadzek rozpraszałem twoje smutne przeczucia i moje obawy uśmiechem i wesołością. Ale dziś postać rzeczy się zmienia. Jesteśmy w przededniu walki, zbliżamy się do chwili

stanowczej. Nie proszę cię, Amelio, o to, czego szaleni i samolubni kochankowie w chwilach wielkich niebezpieczeństw żądają od swoich kochanek; nie proszę cię, abyś w sercu zachowała zmarłego, abyś kochała trupa...

– Kochany – rzekła dziewczyna, kładąc rękę na jego ramieniu – uważaj, zaczynasz wątpić we mnie.

– Nie. Oddaję ci największą cześć – wszak pozostawiam ci swobodę spełnienia poświęcenia. Ale nie chcę, abyś była związana jakąkolwiek przysięgą lub skrępowana jakimiś więzami.

– Tak. To dobrze – odpowiedziała Amelia.

– O jedno cię jednak musze prosić – mówił dalej młodzieniec. – Przyrzekniesz mi na naszą, niestety tak nieszczęsną dla ciebie miłość, że jeśli mnie aresztują, rozbroją, wtrącą do więzienia lub skażą na śmierć, ty – i tego żądam od ciebie, Amelio – wszelkimi sposobami postarasz się dostarczyć broń nie tylko mnie, lecz również moim towarzyszom, abyśmy zawsze mogli być panami swego życia.

– Ależ, Karolu! Czy nie pozwolisz, abym wszystko wyjawiła, odwołała się do uczuć mego brata i do wspaniałomyślności pierwszego konsula?

Nie zdążyła dokończyć, gdyż kochanek chwycił ją porywczo za rękę mówiąc:

– Amelio! Musisz mi złożyć dwie przysięgi. Najpierw przysięgnij, że nie będziesz zabiegała o moje ułaskawienie. Przysięgnij, przysięgnij, Amelio!

– Po cóż mam przysięgać, kochany? – odparła dziewczyna z płaczem. – Obiecuję ci.

– Czy obiecujesz na tę chwilę, kiedy ci powiedziałem, że cię kocham, i kiedy mi odpowiedziałaś, że mnie kochasz?

– Przysięgam na twoje i swoje życie, na naszą przeszłość i przyszłość, na nasze uśmiechy i na nasze łzy!

– Bez tego, rozumiesz Amelio, muszę umrzeć, nieułaskawiony, nawet gdybym miał rozstrzaskać sobie głowę o ścianę.

– Obiecuję ci, Karolu.

– A teraz druga prośba, Amelio. Jeśli nas schwytają i skażą – dostarcz nam broń lub truciznę, cokolwiek, bylebyśmy mogli zakończyć życie. Śmierć z twoich rąk będzie jeszcze dla mnie szczęściem.

– Z bliska czy z daleka, wolny czy uwięziony, żywy czy umarły – zawsze będziesz ze mną. Mów, a usłucham.

– To wszystko, Amelio. Widzisz, jakie to jasne i proste. Nie chcę łaski, chcę broni.

– Proste i jasne, ale okropne.

– Ale tak będzie, prawda?

– Chcesz tego?

– Błagam o to.

– Wola twoja, kochany Karolu, będzie spełniona, bez względu na to, czy prosisz, czy rozkazujesz.

Młodzieniec podtrzymał lewym ramieniem dziewczynę. Chciał ją pocałować, gdy za oknem rozległ się krzyk sowy, tak donośny i bliski, że Amelia drgnęła, a Karol podniósł głowę.

Krzyk rozległ się po raz drugi, po chwili – po raz trzeci.

– Słyszysz – wyszeptała Amelia – głos złowróżbnego ptaka.

Karol potrząsnął głową.

– To nie krzyk sowy, Amelio. To wezwanie jednego z moich towarzyszy. Zgaś świecę.

Amelia zdmuchnęła świecę, Karol w tym czasie otworzył okno.

– Aż tu cię szukają!

– To nasz przyjaciel, wtajemniczony we wszystko, hrabia de Jayat. On jeden wiedział, gdzie jestem.

Po chwili, z balkonu, zapytał:

– Czy to ty, Montbar?

– Tak.

Jakiś człowiek wysunął się spośród drzew.

– Nowiny z Paryża. Nie ma chwili do stracenia: chodzi o nasze życie.

– Czy słyszysz, Amelio?

I biorąc dziewczynę w objęcia, przycisnął ją gorączkowo do serca.

– Idź – rzekła. – Wszak słyszałeś, że chodzi o życie was wszystkich!

– Żegnaj, Amelio, żegnaj, moja ukochana!

– Nie mów żegnaj.

– Nie, nie, do widzenia!

– Morganie! Morganie! – rozległ się głos, czekającego pod balkonem.

Młodzieniec ostatni raz dotknął ustami warg Amelii, po czym jednym skokiem przez okno znalazł się obok towarzysza.

Amelia podbiegła do balustrady, ale dojrzała tylko dwa cienie ginące w mroku, który potęgowało sąsiedztwo wielkich drzew zamkowego parku.

# Jaskinia w Ceyzeriat

Obaj młodzieńcy skryli się w cieniu drzew; Morgan prowadził swego towarzysza, mniej obeznanego z zakątkami parku. Tak doszli do miejsca, w którym Morgan zwykle przeskakiwał przez mur.

W kilka sekund obaj byli po drugiej stronie.

Potem znaleźli się na brzegu rzeki Reyssouse.

Tam czekała pod wierzbą łódź.

Wskoczyli do niej jednocześnie i trzema uderzeniami wioseł dobili do przeciwnego brzegu.

Równolegle do koryta rzeki biegł wąwóz, który prowadził do lasku, leżącego pomiędzy Ceyzeriat i Etrez, więc na przestrzeni trzech mil wzdłuż. Las ten był po tej stronie rzeki, jakby dalszym ciągiem lasu Seillon.

Doszedłszy, do skraju, zatrzymali się. Dotychczas szli bardzo szybko, prawie biegli. Żaden nie wymówił słowa.

Droga, którą przebyli, była pusta; prawdopodobnie, a nawet na pewno nikt ich nie widział. Można więc było wytchnąć.

– Gdzie są towarzysze? – zapytał Morgan.

– W grocie – odparł Montbar.

– Dlaczego więc tam nie idziemy?

– Bo pod tym bukiem mamy spotkać jednego z naszych, który nam powie, czy możemy bezpiecznie iść dalej.

– Kogo?

– D'Assasa.

Jakiś cień ukazał się za wskazanym drzewem.

– Oto jestem – odezwał się cień.

– Ach! To ty? – zawołali obaj młodzieńcy.

– Cóż nowego? – zapytał Montbar.

– Nic; czekają na was, aby powziąć decyzję.

– Kiedy tak, to idźmy.

I we trzech poszli dalej. Gdy przeszli jakieś trzysta kroków, Montbar znowu się zatrzymał.

– Armandzie! – zawołał półgłosem.

Na to wezwanie dał się słyszeć szelest suchych liści i wynurzył się czwarty cień, który zbliżył się do trzech towarzyszy.

– Nic nowego? – zapytał Montbar.

– Owszem: jest wysłaniec Cadoudala.

– Ten sam, który już raz przychodził?

– Tak.

– Gdzie on?

– Z braćmi, w grocie.

– Idźmy!

Pierwszy ruszył Montbar. Parów był tak wąski, że musieli iść jeden za drugim.

Droga prowadziła w górę łagodnie, lecz kręto.

Gdy doszli do polanki, Montbar stanął i trzykrotnie wydał ten sam okrzyk puchacza, którym oznajmił swoją obecność Morganowi.

Odpowiedziała mu sowa.

Potem spośród gałęzi dębu jakiś człowiek ześliznął się na ziemię. Była to straż, czuwająca nad wejściem do groty. Wejście było dziesięć kroków od dębu.

Szyldwach zamienił kilka słów po cichu z Montbarem, po czym powrócił na dąb i zniknął w jego gałęziach, tak że nie sposób było dojrzeć go w tym napowietrznym bastionie.

Droga, w miarę, jak zbliżali się do wejścia groty, była coraz węższa.

Pierwszy wszedł Montbar. W wiadomym mu miejscu podniósł kamień, spod którego wydostał krzesiwo, hubkę, zapałki i pochodnię.

Błysnęła iskra, hubka się zatliła, zapałka roztoczyła niepewne niebieskawe światło, po czym zapłonęła pochodnia.

Ujrzano trzy – cztery drogi. Montbar bez wahania wybrał jedną z nich.

Droga wiła się i prowadziła w głąb ziemi.

Widać było, że szli przez labirynt dawnego kamieniołomu, z którego, być może, powstały przed 1900 laty trzy miasta rzymskie, dziś będące już tylko wioskami.

Niekiedy podziemną drogę przecinały wszerz szerokie rowy; można je było przebyć tylko po kładkach, a te jednym pchnięciem nogi rzucić w głąb rowu.

Tu i ówdzie spotykano wyniosłości, zza których można było zacząć strzelać, nie wystawiając się wcale na ogień nieprzyjaciela.

Wreszcie pięćset kroków od wejścia wysoka barykada zamykała drogę niepożądanym przybyszom, którzy chcieliby się dostać do skalistej pieczary, w której znajdowało się w tej chwili dziesięciu ludzi, zajętych czytaniem i graniem. Nikt z czytających lub grających nie poruszył się z powodu odgłosu kroków i odblasków ognia skaczących po ścianach podziemi, tak byli pewni, że tylko przyjaciele mogą do nich dotrzeć.

Widok obozowiska był bardzo malowniczy. Świece, obficie pozapalane, migotały na broni wszelkiego rodzaju, wśród której strzelby dwustrzałowe i pistolety zajmowały pierwsze miejsce; florety i maski pojedynkowe były porozwieszane na ścianach; tu i ówdzie stały instrumenty muzyczne; wreszcie jedno, czy dwa lustra w złotych ramach wskazywały, że mieszkańcy podziemia nie zaniedbywali toalety.

Wszyscy byli tak spokojni, jak gdyby wiadomość, która wyrwała Morgana z objęć Amelii, była im nieznana lub bez znaczenia.

Jednak, gdy podczas zbliżania się grupki czterech towarzyszy rozległ się głos: „Kapitan! Kapitan!" – powstali z uszanowaniem.

Morgan skłonił się, podniósł głowę i przeszedł przed Montbarem do środka koła, które utworzyli obecni na jego widok.

– Przyjaciele, podobno są wiadomości?

– Tak, kapitanie – odezwał się ktoś – mówią, że policja pierwszego konsula raczyła zająć się nami.

– Gdzie jest zwiastun tej wieści? – zapytał Morgan.

– Oto jestem – odezwał się młody człowiek, ubrany w liberię kuriera gabinetowego, jeszcze pokrytą błotem i kurzem.

– Czy masz depesze?

– Pisanych nie. Mam ustne.

– Skąd pochodzą?

– Z gabinetu osobistego ministra.

– Więc można im wierzyć?

– Ręczę za to. Wiadomość jak najbardziej urzędowa.

– Dobrze jest mieć wszędzie przyjaciół – wtrącił Montbar.

– A zwłaszcza w otoczeniu pana Fouchégo – dorzucił Morgan. – Ale jakie to wiadomości?

– Czy mam je przekazać głośno, czy tylko tobie, kapitanie?

– Ponieważ sądzę, że interesują one nas wszystkich, mów więc głośno.

– Otóż pierwszy konsul wezwał obywatela Fouchégo do Luksemburga i zmył mu głowę z naszego powodu.

– Dobrze. Cóż dalej?

– Obywatel Fouché odpowiedział, że jesteśmy bardzo zręcznymi wisusami, których trudno doścignąć, a jeszcze trudniej schwytać, gdy się doścignie. Słowem, wychwalał nas nadzwyczajnie.

– Bardzo łaskawie z jego strony! Cóż dalej?

– Potem pierwszy konsul powiedział mu, że go to nic nie wzrusza, że jesteśmy rozbójnikami i że to my przez nasze rozboje podtrzymujemy walkę w Wandei; że gdy przestaniemy przesyłać pieniądze do Bretanii, szuani upadną.

– Prześliczne rozumowanie.

– Zadawać cios Zachodowi na Wschodzie i na Południu!

– Tak, jak zadawać cios Anglii w Indiach.

– W rezultacie pierwszy konsul dał zupełną swobodę działania obywatelowi Fouchému i musi mieć nasze głowy, chociażby trzeba było wydać milion i stracić pięciuset ludzi.

– Przecież on wie, czyich chce głów. Chodzi jednak jeszcze o to, czy mu je oddamy.

– Otóż obywatel Fouché powrócił wściekły i oświadczył, że w ciągu tygodnia nie powinien zostać we Francji ani jeden towarzysz Jehudy.

– Termin krótki.

– Tegoż dnia pomknęli kurierzy do Lugdunu, Mâçon, Lons-le-Saulnier, do Besançon i do Genewy z rozkazami do naczelników załóg, aby osobiście starali się nas wytępić, a nadto, aby bezwzględnie byli posłuszni panu Rolandowi de Montrevel, adiutantowi pierwszego konsula, i aby oddali pod jego rozkazy wszystkie wojska, jeśliby mu były potrzebne.

– I mogę dodać – rzekł Morgan – że pan Roland de Montrevel już rozpoczął kampanię. Wczoraj naradzał się w więzieniu w Bourgu z kapitanem żandarmerii.

– Czy wiadomo, w jakim celu? – zapytał jakiś głos.

– W tym celu, do licha, aby zamówić dla nas numery.

– Czy teraz będziesz go bronił? – zapytał d'Assas.

– Bardziej niż kiedykolwiek.

– Tego już za dużo – zaszemrał ktoś.

– Dlaczego? – zapytał Morgan tonem wyniosłym. – Czyż to prawo nie przysługuje mi jako towarzyszowi?

– Naturalnie! – odparły inne głosy.

– Więc korzystam z niego, jako prosty towarzysz i jako wasz kapitan.

– A jeśli w zamieszaniu zabłąka się jakaś kula! – zawołał jeden z towarzyszy.

– A więc nie domagam się swego prawa, nie rozkazuję, lecz proszę. Przyjaciele, przyrzeknijcie mi na wasz honor, że życie Rolanda de Montrevel będzie dla was święte.

Wszyscy jednym głosem odpowiedzieli, podnosząc ręce:

– Słowo honoru! Przysięgamy!

– A teraz – zaczął znowu Morgan – musimy rozpatrzyć nasze położenie trzeźwo. Gdy policja zacznie nas ścigać i rozpocznie z nami walkę, nie będziemy mogli oprzeć się: choćbyśmy byli chytrzy jak lisy, obrotni jak dziki, zawsze opierać się będziemy do czasu tylko. Takie jest przynajmniej moje zdanie.

Morgan wzrokiem pytał towarzyszy; jednomyślnie się z nim zgodzili, ale przyznawali z uśmiechem na ustach, że ich zguba jest nieunikniona.

Bo dziwna to była epoka; przyjmowano śmierć bez bojaźni, a zadawano ją bez wzruszenia.

– Czy nie masz nic więcej do powiedzenia? – zapytał Montbar.

– Mam – odparł Morgan. – Muszę zaznaczyć, że możemy łatwo zdobyć konie lub pójść pieszo. Jesteśmy wszyscy jeźdźcami i trochę góralami. Konno w sześć godzin możemy być poza granicami Francji, a pieszo – w dwanaście godzin. Skoro dotrzemy do Szwajcarii, możemy dbać o obywatela Fouchégo tyle, co pies o piątą nogę. Oto, co chciałem jeszcze powiedzieć.

– Przyjemnie by było drwić sobie z obywatela Fouchégo – rzekł Adler – ale niemiło jest opuszczać Francję.

– Toteż poddam pod głosowanie tę ostateczność, ale po wysłuchaniu wysłańca Cadoudala.

– Słusznie! – zawołały dwa, czy trzy głosy. – Gdzie Bretończyk?

– Spał, gdy odchodziłem – rzekł Morgan.

– I śpi dotychczas – wtrącił Adler, wskazując palcem człowieka leżącego w niszy na posłaniu ze słomy.

Zbudzili Bretończyka, który, przecierając oczy ze snu jedną ręką, drugą z przyzwyczajenia szukał karabinu.

– Jesteś wśród swoich – odezwał się któryś. – Nie bój się.

– Nie boję się! – odparł Bretończyk. – Któż to przypuszcza, że ja się mogę bać?

– Ktoś, kto nie zna zapewne Złotego Sęka – odezwał się Morgan, który poznał wysłannika Cadoudala. Przepraszam cię w jego imieniu.

Złoty Sęk popatrzył na gromadkę młodych ludzi z taką miną, że nie można było wątpić, iż nie bardzo lubi żarciki pewnego rodzaju. Ale widząc, że gromadka ta nie drwiła z niego, zapytał dość uprzejmie:

– Który z was, panowie, jest dowódcą? Mam do niego list od mojego generała.

Morgan wysunął się naprzód.

– To ja – rzekł.

– Nazwisko pana?

– Mam dwa.

– Nazwisko bojowe?

– Morgan.

– Dobrze. O panu mówił generał; zresztą poznaję pana. To pan na zebraniu mnichów wręczył mi worek z 60 000 franków. Mam dla pana list.

– Dawaj.

Chłop zdjął kapelusz, wydarł podszewkę i wyjął kawałek papieru w formie podwójnego czepka; papier na pierwszy rzut oka był zupełnie czysty.

Salutując po wojskowemu, chłop oddał przesyłkę Morganowi.

Ten obejrzał papier i widząc, że jest nie zapisany, przynajmniej pozornie, zawołał:

– Świeca!

Przyniesiono świecę. Morgan potrzymał papier nad płomieniem.

Powoli występować zaczęły litery; od nagrzania wystąpiło pismo.

Manipulacje te były dla młodych ludzi rzeczą zwykłą. Ale Bretończyk patrzył na to ze zdziwieniem.

Dla tego umysłu naiwnego w tym wszystkim mogły być jakieś czary. Ale z chwilą, gdy diabeł służył sprawie królewskiej, szuan ten gotów był paktować nawet z diabłem.

– Panowie – zwrócił się do zebranych Morgan — chcecie wiedzieć, co nam radzi nasz zwierzchnik?

Wszyscy skłonili się.

Morgan czytał:

„Kochany Morganie.

Gdyby wam mówiono, że porzuciłem sprawę i wchodzę w układy z rządem pierwszego konsula i że to samo czynią dowódcy wandejscy – nie wierzcie temu. Jestem z najczystszej Bretanii, a więc uparty, jak prawdziwy Bretończyk. Pierwszy konsul przysłał do mnie jednego ze swych adiutantów, proponując moim ludziom całkowitą amnestię, a mnie stopień pułkownika. Nie pytałem nawet moich ludzi; odmówiłem za nich i za siebie.

Teraz wszystko zależy od was. Ponieważ od książąt nie mamy ani pieniędzy, ani poparcia, jesteście naszymi jedynymi skarbnikami. Jeśli zamkniecie nam swą kasę, a raczej jeśli nie będziecie dalej otwierali kasy rządowej, to opozycja monarchiczna, której serce bije już tylko w Bretanii, osłabnie.

Nasze posłannictwo jest niebezpieczne; prawdopodobnie złożymy nasze głowy. Lecz czyż nie sądzicie, że miło nam będzie słyszeć, jak mówić będą po nas (jeśli się cokolwiek słyszy poza grobem): „Wszyscy stracili nadzieję, lecz oni jej nie stracili”.

Zawsze ktoś z nas przeżyje innych, ale po to tylko, aby zginąć w swej kolei. Niechaj ci powiedzą: „Etiamsi omnes, ego non”. Liczcie na mnie, jak ja na was liczę.

Jerzy Cadoudal.

P. S. Wiecie, że możecie powierzyć Złotemu Sękowi wszystkie pieniądze, które macie dla sprawy. Przyrzekł mi, że nie da się schwytać. Wierzę jego słowu”.

Szmer entuzjazmu rozległ się wśród młodych ludzi, gdy Morgan kończył ostatnie słowa listu.

– Słyszeliście, towarzysze? – zapytał.

– Tak, tak, tak – powtarzali wszyscy.

– Najpierw, ile możemy dać pieniędzy?

13000 franków znad jeziora Silans, 22000 z Carronnières, 14000 z Meximieux, razem 49 000 – obliczył Adler.

– Słyszysz, kochany. Złoty Sęku? – zapytał Morgan. – To niewiele; jesteśmy o połowę biedniejsi niż pierwszym razem. Ale cóż robić. Znasz przysłowie: „Czym chata bogata, tym rada”.

– Generał wie, jak się narażacie dla zdobycia tych pieniędzy. Powiedział, że z wdzięcznością przyjmie nawet najmniejszą sumę.

– Tym bardziej, że następna przesyłka będzie lepsza – rozległ się głos młodzieńca, który nie spostrzeżony wmieszał się do gromadki, gdy list Cadoudala pochłaniał jej uwagę – jeśli zechcemy zapoznać się w przyszłą sobotę z pocztą z Chambéry.

– Ach, to ty, Valensolle! – rzekł Morgan.

– Bez nazwisk, jeśli łaska, baronie. Dajmy się rozstrzeliwać, ścinać, łamać kołem, ćwiartować, ale ratujmy honor naszych rodzin. Nazywam się Adler i na inne wołanie nie odpowiadam.

– Przepraszam. Zbłądziłem... Więc mówiłeś?...

– Że poczta, jadąca z Paryża do Chambery, przejeżdżać będzie w sobotę pomiędzy Chapelle-de-Guinchay i Belleville. Wieźć ona będzie 50000 franków rządowych dla zakonników na górze Św. Bernarda. Dodam tylko, że pomiędzy tymi dwiema miejscowościami jest tak zwany Biały Domek; można by tam doskonale urządzić zasadzkę.

– Co wy na to, panowie? – zapytał Morgan. – Czy zrobimy zaszczyt obywatelowi Fouchému, niepokojąc jego policję? Czy idziemy? Czy opuszczamy Francję? Czy też zostaniemy wiernymi towarzyszami Jehudy?

Rozległ się jeden okrzyk:

– Zostajemy!

– Doskonale – odrzekł Morgan – poznaję was, bracia. Cadoudal wskazał nam drogę w swoim przepięknym liście. Przyswójmy sobie jego bohaterskie hasło: „Etiamsi omnes, ego non".

I zwrócił się do Bretończyka.

– Złoty Sęku, 49000 franków jest do twojej dyspozycji. Idź, kiedy zechcesz. Obiecaj w naszym imieniu więcej na przyszły raz i powiedz generałowi ode mnie, że będę uważał za zaszczyt dla siebie pójść za nim lub przed nim wszędzie, chociażby na szafot. Do widzenia. Złoty Sęku.

Potem zwrócił się do młodzieńca, który domagał się zachowania jego incognito:

– Kochany Adlerze, ja cię dziś nakarmię i dam ci nocleg, jeśli tylko raczysz być moim gościem.

– Z wdzięcznością przyjmuję zaproszenie, drogi Morganie — odparł nowo przybyły – muszę cię jednak uprzedzić, że spać mogę byle gdzie, bo upadam ze znużenia, ale byle czego jeść nie będę, bo umieram z głodu.

– Będziesz miał dobry posiłek i dobre łóżko.

– Jestem gotów.

– No to chodź. Dobranoc panom. Ty dziś czuwasz, Montbar?

– Tak.

– No, to możemy spać spokojnie.

Morgan wziął pod rękę przyjaciela i z zapaloną pochodnią, którą mu dano, skierował się w głąb groty.

Po raz pierwszy Valensolle, który pochodził z okolic Aix, mógł zwiedzić grotę w Ceyzeriat, wybraną tym razem przez towarzyszy Jehudy na kryjówkę. Podczas poprzednich schadzek zbadał labirynty klasztoru Kartuzów w Seillon tak dobrze, że mógł odegrać rolę widma w komedii przedstawionej Rolandowi. Wszystko było dlań nieznane i ciekawe w tym nowym ukryciu, w którym miał spać po raz pierwszy, a w którym, na kilka dni przynajmniej, Morgan założył swoją główną kwaterę.

Jak we wszystkich porzuconych kamieniołomach, tak i w tym, korytarze kończyły się zawsze ścianą w miejscu, w którym przerwano wydobywanie kamieni. Jeden tylko z tych korytarzy, zdawało się, nie miał końca. Jednak i ten się kończył; ale w rogu korytarza wybity był – nawet ludzie miejscowi nie wiedzą po co – otwór, węższy o jakie dwie trzecie od szerokości korytarza, w którym zmieścić się mogło dwóch ludzi.

Młodzieńcy przeszli przez ten otwór. Powietrze było tak rzadkie, że pochodnia mogła lada chwila zgasnąć.

Valensolle poczuł, że na ręce i ramiona spadają mu krople wody.

– Cóż to, deszcz tu pada?

– Nie – odpowiedział Morgan. –Przechodzimy pod rzeczką Reyssouse.

– Więc idziemy do Bourgu?

– Mniej więcej.

– Niech i tak będzie. Ponieważ ty mnie prowadzisz i ponieważ obiecałeś mi posiłek i spoczynek, więc o nic się nie troszczę, chyba, że o naszą pochodnię – rzekł młodzieniec, patrząc na coraz słabszy płomień.

– Nic strasznego; wydostaniemy się stąd zawsze.

– Wiesz co, Morganie, nasze położenie jest głupie. Jeśli pomyśleć, że o trzeciej nad ranem łazimy po jaskiniach, że przechodzimy pod rzekami, że nie wiemy, gdzie będziemy spali, że

mamy przed .sobą perspektywę aresztowania, sądu i ścięcia pewnego pięknego poranka! I dla kogo? Dla książąt, którzy nie znają nawet naszych nazwisk, którzy, gdyby nawet je znali, zapomnieliby nazajutrz!

– Mój drogi – odparł Morgan. – To, co się wydaje głupie, co nie może być zrozumiane przez pospólstwo, może być nie mniej wzniosłe.

– Widzę – odparł Valensolle – że w tym naszym tańcu więcej dajesz z siebie niż ja. Ja robię to z poświęcenia, a ty z zapałem.

Morgan westchnął.

– Już jesteśmy – odezwał się po chwili.

W istocie, natknęli się na pierwszy stopień jakichś schodów.

Morgan wszedł na nie pierwszy. Doszli wreszcie do kraty, którą otworzył kluczem.

Znaleźli się w podziemnych grobach.

Po dwu stronach podziemia stały dwie trumny. Korony książęce i herby, wyobrażające srebrne krzyże w błękitnym polu, wskazywały, że w trumnach spoczywały zwłoki z rodziny sabaudzkiej.

W głębi widać było schody, idące w górę.

Valensolle obejrzał wszystko ciekawie i zorientował się co do miejsca.

– Spartańczycy – rzekł – robili inaczej.

– Czy dlatego, że oni byli republikanami, my zaś rojalistami? – zapytał Morgan.

– Nie. Oni kazali przynosić kościotrupa przy końcu uczty, my zaś od tego rozpoczynamy.

– Czy jesteś pewien, że to Spartańczycy w ten sposób wyrażali swe poglądy filozoficzne? – zapytał Morgan, zamykając drzwi kraty.

– Może oni, może kto inny. Wszystko jedno. Powiedziałem i nie powtórzę tego więcej.

– Innym razem powiesz, że to Egipcjanie.

– Chyba sam padnę trupem – odparł nie bez wesołości, ale z odcieniem pewnej melancholii w głosie Valensolle – zanim nadarzy mi się sposobność popisania się moją erudycją. Ale cóż tam do licha robisz? Po co gasisz pochodnię? Chyba nie każesz mi tu spożywać wieczerzy i spać?

Morgan istotnie zgasił pochodnię na pierwszym stopniu schodów.

– Podaj mi rękę – rzekł.

Valensolle schwycił podaną rękę, Morgan zaś zaczął wstępować na schody. Odsunął płytę, zamykającą wejście od góry.

Valensolle poczuł aromatyczny zapach.

– Czujesz? – zapytał.

Morgan nie odpowiadał; pomógł towarzyszowi wydostać się z podziemia i opuścił płytę.

Valensolle obejrzał się. Byli w środku obszernego budynku, wypełnionego sianem. Światło przedostawało się przez pięknej formy okna, które nie mogły być oknami stodoły.

– Chyba nie jesteśmy w stodole? – zapytał.

– Pakuj się na siano i siadaj przy oknie.

Valensolle usłuchał.

W chwilę potem Morgan podał przyjacielowi serwetę, w której były pasztet, chleb, butelka wina, dwie szklanki i dwa widelce.

– Ho, ho! – rzekł Valensolle. Lukullus na przyjęciu u Lukullusa!

A spojrzawszy przez witraże na gmach o wielu oknach, który, jak dostrzegł, musiał być skrzydłem budynku, w którym się znajdowali i przed którym chodził szyldwach, zauważył:

– Stanowczo będę jadł bez apetytu, jeśli się nie dowiem, gdzie jesteśmy. Co to za gmach? Co tu robi ten szyldwach?

– Kiedy już chcesz koniecznie – odezwał się Morgan – to powiem ci. Jesteśmy w kościele w Brou. Uchwała rady miejskiej zamieniła ten kościół na skład siana. Tamten budynek to

koszary żandarmerii. Ten szyldwach zaś chodzi tu po to, aby nam nie przerwano posiłku, a potem snu.

– Dzielni żandarmi – wtrącił Valensolle, napełniając szklankę. – Za ich zdrowie, Morganie!

– I za nasze! – odpowiedział ze śmiechem młody człowiek. – Niech mnie diabli porwą, jeśli im przyjdzie na myśl, że tutaj jesteśmy!

Zaledwie Morgan wychylił swą szklankę, rozległ się, jakby diabeł przyjął wyzwanie, donośny głos szyldwacha: „Kto idzie?”

– A to co? – zawołali obaj. – Co to ma znaczyć?

Od strony Pont-d'Ain zbliżyło się ze trzydziestu żołnierzy, a zamieniwszy z szyldwachem hasła, rozdzielili się: jedna część, liczniejsza, prowadzona przez dwóch ludzi, zdaje się, oficerów, weszła do koszar; druga poszła dalej.

– Baczność! – rzekł Morgan.

I obaj, przyklęknąwszy, z oczyma wlepionymi w żandarmów, czekali.

# Punkt obserwacyjny

Córka odźwiernego nie omyliła się: rozmawiającym w więzieniu z kapitanem żandarmów był Roland.

Roland nie pokazał się w zamku Noires-Fontaines nie dlatego, że podejrzewał, iż siostra interesuje się losami dowódcy towarzyszy Jehudy. Obawiał się po prostu niedyskrecji służby. Zauważył Karolinę. Ponieważ ta jednak nie okazała żadnego zdziwienia na jego widok, sądził, że go nie poznała. Zresztą, po rozmowie z wachmistrzem, czekał na niego na placu Bastion, zupełnie pustym o tej porze.

Kapitan żandarmerii, ukończywszy zapisywanie więźniów, poszedł do Rolanda.

W więzieniu, Roland zdołał zaledwie powiedzieć, kim jest; teraz mógł omówić istotę sprawy.

Wtajemniczył więc kapitana w cel swego przyjazdu. Roland z powodów osobistych prosił pierwszego konsula, aby powierzył mu ściganie towarzyszy Jehudy. Bez trudności otrzymał pozwolenie. Rozkaz ministra wojny oddał pod jego rozkazy nie tylko załogę Bourgu, ale i załogi sąsiednich miast. Minister policji nakazał wszystkim oficerom żarndarmerii pomagać Rolandowi.

Roland oczywiście postanowił zwrócić się najpierw do kapitana żandarmerii w Bourgu, ponieważ znał go od dawna jako człowieka stanowczego i odważnego.

I trafił doskonale. Kapitan był zawzięty na towarzyszy Jehudy, którzy zatrzymywali dyliżanse prawie pod miastem, a jednak wymykali mu się z rąk. Znał on treść trzech raportów o ostatnich napadach, przesłanych ministrowi policji i rozumiał jego złość.

Kapitan osłupiał zupełnie, gdy Roland opowiedział, co mu się zdarzyło w klasztorze w Seillon owej nocy, której tam czatował, a zwłaszcza o tym, co się zdarzyło sir Johnowi następnej nocy.

Kapitan wiedział z pogłosek, że gość pani de Montrevel został pchnięty sztyletem. Ponieważ jednak nikt nie wniósł skargi, przeto nie uważał się za upoważnionego do przenikania tajemnicy, którą chciał, jak mu się zdawało, zachować Roland.

Roland zaś nic nie mówił o całej sprawie, chcąc w odpowiedniej chwili i w odpowiednim miejscu dotrzeć do gospodarzy klasztoru.

Tym razem przybył, rozporządzając wszelkimi środkami, potrzebnymi do urzeczywistnienia swych planów, i zdecydowany, że nie wróci dopóty, dopóki wszystkiego nie doprowadzi do końca. Zresztą były to przygody, których Roland szukał, gdyż łączyły w sobie niebezpieczeństwo i malowniczość.

Poza tym gotów był narazić swoje życie w walce z ludźmi, którzy nie szczędząc swego, nie mogli szczędzić i jego. Nie przypisywał bowiem pomyślnego wyniku wyprawy do klasztoru i walki z Cadoudalem istotnej przyczynie, a mianowicie nietykalności, którą zastrzegł Morgan. Nie mógł przypuszczać, że prosty krzyż, postawiony nad jego imieniem, ochraniał go na dwóch krańcach Francji.

Pierwszą rzeczą było otoczyć klasztor Kartuzów w Seillon, zbadać szczegółowo wszystkie jego zakątki. Roland uważał to za zupełnie możliwe do wykonania. Późny wieczór jednak zmusił go do odłożenia tej czynności na dzień następny.

Tymczasem chciał się ukryć w koszarach żandarmerii, w pokoju kapitana, aby nikt nie dowiedział się o jego obecności w Bourgu i nie domyślił się przyczyn jego przyjazdu. Nazajutrz miał kierować wyprawą. Jeden z żandarmów, krawiec z zawodu, miał mu uszyć mundur wachmistrza. W takim kostiumie mógł być wzięty za należącego do brygady z Lons-le-Saulnier i, nierozpoznany, mógłby kierować rewizją klasztoru.

Wszystko stało się podług tego planu.

Około godziny pierwszej po północy, Roland powrócił z kapitanem do koszar, udał się do jego pokoju i tam, na obozowym łóżku spał snem człowieka, który dwa dni i dwie noce przejechał pocztą.

Nazajutrz nakreślił taki plan klasztoru, że przy jego pomocy oficer mógł pokierować wyprawą bez Rolanda.

Ponieważ kapitan rozporządzał tylko osiemnastoma żołnierzami, co nie wystarczało do obsadzenia obu wyjść z klasztoru i dokładnego jego zrewidowania, i ponieważ upłynęłyby dwa, trzy dni, zanim skompletowano by brygadę rozrzuconą po okolicy, przeto z polecenia Rolanda kapitan udał się do pułkownika dragonów, stacjonujących w Bourgu. Wtajemniczył go we wszystko i zażądał dwunastu ludzi, tak że razem miałby trzydziestu.

Pułkownik nie tylko dał dwunastu ludzi, ale dowiedziawszy się, że wyprawą ma kierować Roland de Montrevel, adiutant pierwszego konsula, wyraził gotowość uczestniczenia w wyprawie i poprowadzenia swoich żołnierzy.

Roland przyjął jego pomoc. Umówiono się, że pułkownik i jego dwunastu dragonów wezmą po drodze Rolanda, kapitana i osiemnastu żandarmów, których koszary były przy drodze, prowadzącej do Seillon.

Wyprawa miała wyruszyć o jedenastej.

Punktualnie o godzinie jedenastej dragoni połączyli się z żandarmami i oba oddziały wyruszyły.

Roland w uniformie wachmistrza dał się poznać pułkownikowi, ale dla żandarmów i dragonów był wachmistrzem z brygady z Lons-le-Saulnier. Powiedziano im tylko, że Roland spędził młodość w klasztorze w Seillon i że wobec tego, znając wszystkie zakątki klasztoru, prowadzi wyprawę.

Dzielni wojacy z początku byli upokorzeni, że dowodzi nimi były mnich. Ale ostatecznie, ponieważ ten były mnich nosił trójgraniasty kapelusz dość ładnie i ponieważ miał wygląd człowieka, który w mundurze zapomniał o habicie, pogodzili się z losem. Postanowili jednak wydać sąd o wachmistrzu, gdy obchodzić się zacznie z muszkietem, który niósł na ramieniu, z pistoletami, które miał za pasem, i z szablą, wiszącą u boku.

Oddział podzielono na trzy części: ośmioma ludźmi dowodził kapitan żandarmerii, dziesięcioma – pułkownik dragonów, a dwunastoma – Roland.

Za miastem rozeszli się. Kapitan żandarmerii, który znał dobrze miejscowość, miał obserwować okna pawilonu, które wychodziły na las Seillon. Pułkownik dragonów miał zająć stanowisko przy bramie klasztoru, Roland zaś z siedmioma dragonami i pięcioma żandarmami miał przeszukać klasztor. Wszyscy powinni byli być na swoich stanowiskach za pół godziny.

Roland ze swoim oddziałem miał przeleźć przez mur ogrodu klasztornego, gdy na zegarze w Peronaz będzie biła pół do pierwszej.

O oznaczonej godzinie, gdy wszyscy byli na stanowiskach, Roland dał sygnał i jego ludzie wdrapali się na mur. Gdy byli po drugiej stronie, nie wiedzieli jeszcze, czy Roland był odważny, wiedzieli tylko, że był zręczny.

Roland wskazał im drzwi, prowadzące z ogrodu do klasztoru, pierwszy otworzył je i znalazł się w gmachu klasztornym.

Było ciemno, dookoła panowała cisza.

Wskazując wciąż drogę swoim ludziom, Roland doszedł do refektarza. I tam było pusto i cicho.

Skierował się przez sklepiony korytarz do ogrodu.

Pozostały do zrewidowania: cysterna, groby podziemne i pawilon, a raczej kaplica leśna.

Doszedłszy do cysterny, zapalił trzy łuczywa: jedno wziął sam, a dwa rozdał dwom żołnierzom, po czym podniósł kamienną płytę pokrywającą schody.

Żandarmi, którzy szli za nim, zaczęli wierzyć, że był on nie tylko zręczny, ale i odważny.

Korytarzem podziemnym doszli do pierwszej kraty; była tylko przymknięta.

W grobach panowała już nie cisza, nie pustka, lecz martwota. Najodważniejszych przeszedł dreszcz. Roland chodził od grobu do grobu, obstukując grobowce rękojeścią pistoletu. Nic nie zmąciło ciszy.

Doszli do drugiej kraty i do kaplicy. I tam było pusto i cicho. Roland skierował się na chór. Znać jeszcze było ślady krwi na posadzce.

Tutaj kończyło się badanie i trzeba było zgodzić się, że nie dało żadnych wyników.

Roland nie chciał jednak składać broni. Sądził, że nikt go nie atakował ze względu na liczebność eskorty; kazał dziesięciu ludziom wydostać się z kaplicy przez rozwalone okno i przyłączyć się do oddziału kapitana, ukrytego w lesie, sam zaś z dwoma ludźmi powrócił do podziemia.

Tym razem obaj jego towarzysze uznali, iż jest nie tylko odważny, ale i zuchwały.

Lecz Roland, nie patrząc, czy idą za nim, szedł swoimi śladami, ponieważ nie było śladów bandytów.

Obaj żołnierze, zawstydzeni, poszli za nim. Klasztor na pewno był opuszczony. Doszedłszy do wielkiej bramy, Roland zawołał pułkownika; ten ze swoimi sześcioma ludźmi był na stanowisku.

Otwarto bramę. Pułkownik nic nie widział i nic nie słyszał.

Oba oddziały, zatarasowawszy bramę, aby odciąć drogę bandytom, powróciły na chór kaplicy, gdzie czekał na nich kapitan żandarmerii.

Była godzina druga nad ranem. Trzeba było zdecydować się na odwrót, po trzygodzinnym bezskutecznym szukaniu.

Roland, zrehabilitowany w oczach żandarmów i dragonów, z żalem dał sygnał do odwrotu przez drzwi kaplicy, wychodzące na las.

Szybkim krokiem podążyli drogą do Bourgu. Kapitan żandarmerii, Roland i osiemnastu żandarmów powrócili do koszar, pułkownik i jego dwunastu dragonów poszli do miasta.

Głos szyldwacha, który przepuszczał żandarmów, zwrócił uwagę Morgana i Valensolle'a. Powrót wyprawy przerwał im posiłek; wtedy to właśnie Morgan zawołał: „Baczność!”

Bo w ich położeniu wszystko zasługiwało na uwagę.

Żandarmi rozeszli się po izbach, nie zapalając światła. Wśród ciemnych okien w dwóch tylko zabłysło światło; okna te, położone w załamaniu gmachu, znajdowały się naprzeciw miejsca, w którym dwaj przyjaciele spożywali obiad. Usadowieni wysoko na sianie, Morgan i Valensolle mogli przyglądać się żandarmom z góry.

Były to okna w pokoju kapitana żandarmerii. Wskutek czy to niedbalstwa kapitana, czy też wskutek braku środków, w oknach nie było firanek. Toteż przy świetle dwóch świec,

zapalonych z powodu gościa, Morgan i Valensolle mogli widzieć wszystko, co się działo w pokoju.

W pewnej chwili Morgan ścisnął Valensolle'a mocno za ramię.

– Cóż tam nowego? – zapytał Valensolle.

Roland zdjął trójgraniasty kapelusz i Morgan poznał go.

– Roland de Montrevel! – wyszeptał Morgan. – Roland w mundurze wachmistrza żandarmów?!... No, to jesteśmy już na jego tropie, gdy on jeszcze szuka naszego. Byle go nie stracić.

– Co robisz? – zapytał Valensolle, słysząc, że Morgan wstaje.

– Uprzedzę towarzyszy. Ty siedź i patrz. Odpina szablę i wyjmuje pistolety... pewnie spędzi noc u kapitana. Niech jutro ruszy się, gdzie chce, a będziemy mu deptać po piętach. Morgan zsunął się po sianie i znikł z oczu przyjaciela. W kwadrans potem był z powrotem; w oknach kapitana było już ciemno.

– No i cóż? – zapytał Morgan.

– Ano, skończyło się wszystko bardzo prozaicznie: rozebrali się, zgasili świecę i poszli spać; kapitan – w swoim łóżku, Roland na jakimś materacu. Pewnie teraz chrapią.

– No, to dobrej nocy im i nam.

W dziesięć minut potem obaj młodzi ludzie spali spokojnie, jak gdyby nie groziło im żadne niebezpieczeństwo.

# W oberży

Tegoż dnia, o szóstej rano jakiś jeździec na szkapie pocztowej, w towarzystwie pocztyliona, który miał odprowadzić konia z powrotem, wyjeżdżał z Bourgu drogą na Mâçcon albo do Saint-Julien. Droga, milę za miastem, rozwidlała się: jedna odnoga prowadziła prosto do Saint-Julien, druga skręcała w lewo, do Mâçon.

Dojechawszy do tego miejsca, jeździec chciał skręcić w lewo, do Mâçon, gdy wtem usłyszał głos, dochodzący, jak się zdawało, spod wywróconego wozu i proszący o pomoc.

Jakiś ogrodnik leżał pod furą jarzyn. Prawdopodobnie chciał podeprzeć wóz wpadający do rowu; wóz jednak przewrócił się.

Jeździec zlitował się nad bliźnim i wspólnie z pocztylionem ustawił wóz na drodze. Ogrodnik, podziękowawszy wylewnie za pomoc, wziął konia za uzdę, Jednak nie po to, aby go prowadzić, ale żeby utrzymać się na nogach, gdyż nie był zupełnie trzeźwy.

Obaj jeźdźcy dosiedli koni i ruszyli galopem. Wkrótce zniknęli na zakręcie, odległym o pięć minut drogi od lasu Monnet.

Zaledwie jednak znikli, ogrodnik zmienił swe zachowanie: zatrzymał konia, wyprostował się, podniósł do ust munsztuk małej trąbki i zatrąbił trzy razy.

Z lasu wynurzył się jakiś masztalerz, prowadząc osiodłanego wierzchowca.

Ogrodnik szybko zrzucił bluzę i zdjął spodnie z grubego płótna; pod spodem miał na sobie w kurtkę, łosiowe spodnie i długie buty.

Z wozu wyjął następnie pakiet, z którego wydobył kostium myśliwski, zielony ze złotymi galonami. Ubrawszy się w ten kostium, zarzucił opończę, wdział kapelusz, przyniesiony przez masztalerza, dopasowany do wykwintnego kostiumu, przypiął ostrogi i skoczył na konia ze zręcznością wytrawnego jeźdźca.

– Bądź dziś wieczór o siódmej – zwrócił się do masztalerza – pomiędzy Saint-Juste i Ceyzeriat; znajdziesz tam Morgana; powiedz mu, że ten, o kim już wie, jedzie do Mâçon, lecz ja będę tam przed nim.

I nie troszcząc się o furę jarzyn, którą zresztą zostawił pod opieką służącego, pseudo–ogrodnik, a właściwie stary nasz znajomy, Montbar, skręcił konia w stronę lasku Monnet i puścił się galopem.

Jego koń był lepszy od szkapy pocztowej, na której jechał Roland: był to doskonały koń wyścigowy. Toteż pomiędzy lasem Monnet i Polliat Montbar przegonił dwóch jeźdźców.

Przybywszy do Mâçon, zatrzymał się w zajeździe koło poczty.

Sposób, w jaki witano Montbara w zajeździe, wskazywał, że znali go tam od dawna.

– Ach to pan, panie de Jayat – rzekł gospodarz. – Właśnie wczoraj myśleliśmy nad tym, co się z panem stało. Już chyba z miesiąc nie był pan u nas.

– Doprawdy, tak dawno! – odparł młody człowiek. – Tak, rzeczywiście. Bawiłem u znajomych, u państwa Treffort i Hautecourt. Znasz przecież tych państwa z nazwiska?

– Z nazwiska i osobiście.

– Polowaliśmy z ogarami. Mają świetne psy, słowo honoru! Ale czy można coś dostać do jedzenia?

– Dlaczego by nie?

– No to proszę o kurczę, butelkę wina, dwa kotlety, owoce.

– Zaraz będzie. Podać w pańskim pokoju, czy w sali ogólnej?

– W sali; to weselej, lecz przy osobnym stole i nie zapomnijcie o koniu. Gospodarz wydał stosowne polecenia. Montbar usadowił się przed kominem, podniósł opończę i grzał nogi.

– Czy zawsze trzymacie pocztę? – zapytał gospodarza, chcąc widocznie podtrzymać rozmowę.

– Oczywiście!

– To tutaj przeprzęgają konie w dyliżansach?

– Nie w dyliżansach, lecz w karetkach.

– Ach, prawda. Muszę jechać do Chambery w tych dniach. Ile jest miejsc w karetce?

– Trzy. Dwa w środku i jedno na koźle.

– Czy znajdzie się dla mnie wolne miejsce?

– Może... Ale pewniejszą rzeczą jest mieć własny ekwipaż.

– A wcześniej miejsca nie można zamówić?

– Nie. Bo mogą przecież być podróżni, jadący z Paryża do Lugdunu.

– A, to ci arystokraci! – rzekł ze śmiechem Montbar. – Przypomniało mi się, z powodu arystokratów, że jedzie tu za mną jeden taki. Minąłem go ćwierć wiorsty od Polliat. Zdaje mi się, że szkapę ma nietęgą.

– Cóż dziwnego. Moi koledzy mają bardzo złe konie!

– Patrz no. Oto nasz gość – odparł Montbar. – Myślałem, że go zostawiłem za sobą dalej.

W istocie, w tej samej chwili Roland nadjechał galopem i wpadł na podwórze.

Czy pan bierze pokój nr l, panie de Jayat? – zapytał gospodarz.

– Czemu pytasz?

– Bo to najlepszy pokój. Jeśli nie, oddam go nowo przybyłemu, jeśli zechce nocować.

– Nie zajmujcie się mną. Jeszcze nie wiem, czy zostanę, czy też pojadę dalej. Jeśli nowy gość zechce, oddajcie mu nr l. Ja zajmę nr 2.

– Śniadanie podane – zameldował chłopak z drzwi, prowadzących do sali.

Montbar wszedł do sali ogólnej; w tej samej chwili Roland wszedł do kuchni.

Montbar siadł tyłem do drzwi. Była to zbyteczna ostrożność, gdyż Roland nie wszedł do sali.

Po deserze sam gospodarz przyniósł mu kawę.

Montbar zrozumiał, że gospodarz pragnął pogawędzić. I było mu to na rękę, gdyż chciał się rozpytać o pewne rzeczy.

– Co słychać – zapytał Montbar – z naszym podróżnym? Czy tylko konia zmienił i pojechał dalej?

– Nie, nie – odpowiedział gospodarz. – Miał pan rację – to arystokrata. Kazał sobie podać śniadanie do swojego pokoju.

– Do swojego, czy do mojego – zapytał Montbar. – Pewnie daliście mu sławetny nr l.

– Cóż ja winien, panie de Jayat. Wszak zostawił pan ten pokój do dyspozycji.

– Dobrze zrobiliście. Zadowolę się pokojem nr 2.

– Ależ tam będzie panu źle. Od nr l ten pokój oddzielony jest cienkim przepierzeniem; słychać wszystko, co się mówi lub robi obok. Boję się, że ten młody człowiek będzie panu przeszkadzał.

– Czy wygląda na hałaśliwego?

– Nie; ale wygląda mi na oficera.

– Z czego to wnosicie?

– Z ruchów najpierw. Następnie z tego, że pytał o pułk stacjonujący w Mâçon. Powiedziałem mu, że jest to 7 pułk strzelców konnych. „A to dobrze – odpowiedział mi na to – znam dowódcę. Jest moim przyjacielem. Czy wasz chłopiec może zanieść mu kartę z zapytaniem – czy zechce przyjść do mnie na śniadanie?".

– Ach, tak!

Rozumie pan teraz – dwóch oficerów razem. Mogą hałasować. Może zechcą zjeść obiad i kolację.

– Mówiłem już, mój drogi, że nie byłem pewien czy będę tu nocować. Czekam na listy z Paryża; od nich zależeć będzie, co zrobię. Tymczasem rozpalcie ogień w nr 2, tylko jak najciszej, aby nie przeszkadzać memu sąsiadowi. Proszę też o papier i pióro; muszę pisać.

Polecenie Montbara wykonano szybko.

Gospodarz mówił prawdę; zza ściany dochodziły różne odgłosy. Toteż Montbar słyszał dokładnie, jak posługacz zaanonsował Rolandowi pułkownika Saint-Maurice, a potem jego kroki na korytarzu; słyszał okrzyki obu przyjaciół, zadowolonych ze spotkania.

Obaj oficerowie poznali się wcześniej we Włoszech. Roland służył pod komendą Saint-Maurice'a, który był wówczas kapitanem; de Montrevel zaś dopiero porucznikiem.

Dziś równi byli stopniem. Nadto Roland miał dwa zlecenia: pierwszego konsula i prefekta policji, którzy przyznali mu prawo komenderowania oficerami równego stopnia, a nawet, w granicach misji – oficerami wyższych stopni.

Morgan nie mylił się w swoich domysłach, że brat Amelii tropi towarzyszy Jehudy. Jego przewidywania potwierdziła rozmowa oficerów.

I tak, pierwszy konsul istotnie wysłał 50 000 franków dla Ojców z góry Św. Bernarda. Istotnie, wysłano tę sumę pocztą, lecz była to właściwie zasadzka. Spodziewano się, że w ten sposób uda się złapać rozbójników, o ile nie nastąpi to w klasztorze w Seillon lub w jakiejś innej kryjówce.

Chodziło tylko o to, jak ich ująć.

Nad tym obaj oficerowie debatowali przez cały czas śniadania.

Po deserze doszli do porozumienia i uzgodnili plan.

Tegoż wieczora Morgan odebrał list następującej treści:

„W piątek, o godzinie piątej wieczorem, jak zapowiedział Adler, wyjedzie z Paryża karetka z 50 000 franków dla Ojców Św. Bernarda.

Trzy miejsca są już zamówione przez trzech podróżnych. Jeden z nich wsiądzie w Sens, dwaj pozostali – w Tonnerre. Podróżnymi wewnątrz karetki będą: p. Roland de Montrevel i pułkownik siódmego pułku strzelców, stojącego w Mâçon. Na koźle jechać będzie jeden z najdzielniejszych agentów obywatela Fouchégo. Będą ubrani po cywilnemu, lecz uzbrojeni od stóp do głów. Karetkę będzie eskortowało dwunastu strzelców na koniach, jadących w niewielkiej odległości, umożliwiającej pomoc w czasie napadu. Po pierwszym strzale z pistoletu mają puścić konie galopem i dopaść napastników. Sądzę, że pomimo tych środków ostrożności, a nawet dzięki nim, napad powinien być dokonany w tym samym miejscu, to jest koło Białego Domku. Jeśli takie jest również zdanie towarzyszy, dajcie mi znać. Będę powoził, przebrany za pocztyliona, od Mâçon do Belleville. Ja załatwię się z pułkownikiem; niech ktoś z was weźmie na siebie agenta. Co się tyczy Rolanda de Montrevel – temu nic nie grozi; mam sposób na to, aby nie mógł wysiąść z karetki. Karetka będzie przejeżdżać koło

Białego Domku w sobotę, o godzinie szóstej wieczorem. Odpowiadajcie tak: „Sobota, o szóstej wieczorem". Wszystko pójdzie dobrze.

Montbar".

O północy, Montbara, który istotnie uskarżał się na hałas w pokoju sąsiada i któremu dano pokój na drugim końcu korytarza, zbudzono i oddano list, przyniesiony przez tego samego masztalerza, który mu przyprowadził osiodłanego konia na drogę.

List brzmiał:

„Sobota, o szóstej wieczorem.

Morgan.

P. S. Nie zapominać nawet w najgorętszej walce, a zwłaszcza wtedy, że życie Rolanda de Montrevel jest święte".

Młody człowiek odczytał list z widoczną radością. Nie chodziło już o napad na dyliżans. Miał to być pojedynek pomiędzy ludźmi dwu sprzecznych idei, spotkanie pomiędzy dzielnymi przeciwnikami.

Ale na gościńcu nie tylko miało się sypać złoto, lecz i polać krew.

Montbar zapytał masztalerza, kto będzie prowadził karetkę od Mâçon do Belleville. Polecił mu poza tym kupić cztery ćwieki z obrączkami zamiast główki i mocną kłódkę.

Wiedział, że karetka przyjeżdża do Macon o pół do piątej i po popasie wyrusza dalej punktualnie o piątej. Widocznie Montbar z góry wszystko przygotował, gdyż dawszy polecenie słudze, odprawił go i zasnął, jak człowiek, który nie dospał kilka nocy.

Obudził się dopiero o dziewiątej rano. Zapytał o swego hałaśliwego sąsiada. Dowiedział się, że odjechał o szóstej rano karetką, idącą z Lugdunu do Paryża, w towarzystwie pułkownika strzelców. Gospodarz utrzymywał, iż zamówili miejsce tylko do Tonnerre.

Po śniadaniu pan de Jayat kazał osiodłać konia i wyjechał z Mâçon drogą do Lugdunu. Przez miasto jechał wolno, lecz zaraz za miastem zebrał cugle i ścisnął konia kolanami.

Koń pomknął galopem. Montbar minął wieś Varennes, Crèche, Chapehle-de-Guinchay i zatrzymał się dopiero koło Białego Domku.

Miejscowość, jak istotnie zapewniał Valensolle, doskonale nadawała się do zasadzki, gdyż droga zakręcała w tym miejscu.

Montbar zbadał miejscowość starannie, po czym nakreślił dokładny plan pozycji.

Potem powrócił do Mâçon. W dwie godziny później masztalerz zawiózł plan Morganowi; od niego Montbar dowiedział się, że powozić będzie pocztylion Antoni. Masztalerz przywiózł ćwieki i kłódkę.

Montbar polecił przynieść do swego pokoju dwie butelki starego burgunda i kazał zawołać Antoniego.

Niebawem Antoni ukazał się. Był to duży, zdrowy chłop, lat dwudziestu pięciu, wzrostu mniej więcej tego samego, co Montbar.

Pocztylion stanął w progu i, podnosząc rękę do kapelusza po wojskowemu, zapytał:

– Czy obywatel mnie wołał?

– Czy to wy jesteście Antoni?

– Do usług, jeśli mogę jaką wyświadczyć.

– Możesz, przyjacielu. Zamknij drzwi i chodź tu.

Antoni zamknął drzwi i zbliżył się na dwa kroki do Montbara, i znowu zasalutował:

– Jestem, panie.

– Naprzód, mój kochany – rzekł Montbar – wypijemy za zdrowie twej kochanki.

– A bo to tacy, jak ja, mają kochanki? Dobre to dla panów.

– Nie wmawiaj mi, szelmo – odparł Montbar – że tacy, jak ty, składają ślub czystości.

– No, nie mówię, aby się miało być zakonnikiem pod tym względem; ma się tu i ówdzie miłostki po drodze.

– No to spróbuj tego wina, chłopcze. Ręczę, że nie pożałujesz.

– Zaszczyt to dla mnie!... Za pańskie zdrowie!... Tak, doskonałe; a ja wypiłem od razu, jak jaką lurę.

– To źle, mój Antoni.

– Pewnie, że źle.

– Na szczęście – odezwał się Montbar, nalewając drugą szklankę – możemy poprawić.

– Tylko do palca – prosił dowcipny pocztylion, trzymając palec na samym brzegu szklanki.

– Czekaj chwilkę – zawołał Montbar, gdy Antoni podnosił już szklankę do ust.

– W sam czas – odparł pocztylion –jeszcze chwilka, a bym wypił. O co chodzi?

– Nie chciałeś, abym pił zdrowie twej kochanki; ale musisz wypić za zdrowie mojej.

– Tego się nie odmawia, zwłaszcza przy takim winie. Za zdrowie pańskiej kochanki!

I obywatel Antoni przełknął czerwony płyn, smakując tym razem.

– No i cóż? – zapytał Montbar. – Znowu wypiłeś za prędko.

– Jak to? – zapytał pocztylion.

– No tak; może ja mam kilka kochanek. Ponieważ nie wymieniliśmy imienia tej, za której zdrowie pijemy, więc jakże jej to ma pójść na zdrowie?

– A, prawda!

– Cóż robić! Musimy zacząć na nowo.

– Zacznijmy. Z panem nie można nic źle robić. Strzeliliśmy bąka, zapijmy go.

I Antoni podsunął swą szklankę, którą Montbar napełnił po brzegi.

– Teraz powiedział, rzucając okiem na pustą już butelkę – nie omylmy się. Jej imię?

– Za zdrowie pięknej Józefiny! – rzekł Montbar.

– Za zdrowie pięknej Józefiny! – powtórzył Antoni i przełknął wino.

A obcierając usta rękawem i stawiając szklankę na stole:

– Za przeproszeniem – rzekł.

– Czy znowu co nie w porządku? – zapytał Montbar.

– Butelka pusta.

– Ta – tak, ale nie tamta.

I Montbar wziął z kominka nową butelkę, już odkorkowaną.

– Ho, ho? – zawołał Antoni z rozjaśnioną twarzą.

– Wszystko w porządku? – zapytał Montbar.

– No, tak – odparł Antoni, podsuwając szklankę.

Montbar napełnił ją znowu.

– Ale – ciągnął dalej Antoni – Józefin we Francji jest do diabła.

– To prawda; ileż ich może być, jak myślisz. Antoni?

– Chyba ze sto tysięcy.

– Niech będzie. Cóż dalej?

– Przypuszczam, że na te sto tysięcy jedna dziesiąta część może być ładnych.

– To za dużo.

– No, to jedna dwudziesta.

– Niech będzie.

– To znaczy pięć tysięcy.

– Widzę, żeś mocny w arytmetyce.

– Jestem synem nauczyciela.

– Więc?

– Więc, za którą z tych pięciu tysięcy piliśmy?...

– Masz rację. Antoni. Trzeba do imienia dodać nazwisko. Za zdrowie pięknej Józefiny...
– Chwileczkę! Szklanka zaczęta, trzeba dopełnić.
Antoni wypił szybko i podstawiając szklankę:
– No, to czekam. Za zdrowie pięknej Józefiny?...
– Józefiny... Lollier!
I Montbar wychylił szklankę.
– Przepraszam – zawołał Antoni – znam jedną Józefinę Lollier.
– Być może.
– Józefina Lollier... Przecież to córka właściciela poczty w Belleville.
– Właśnie.
– Dobry kąsek. Śliczna dziewczyna! Za zdrowie pięknej Józefiny Lollier!
I wychylił piątą szklankę.
– Teraz rozumiesz już, po co cię wołałem?
– Nie, ale nic nie szkodzi.
– Jesteś łaskaw.
– Ech, ze mnie dobry chłop.
– No, to ci powiem, po co cię wołałem.
– Słucham.
– Zaczekaj no! Lepiej zrozumiesz i usłyszysz przy pełnej szklance.
– Czy pan nie jest przypadkiem lekarzem od chorób uszu? – zapytał, dowcipkując pocztylion.
– Otóż ja chcę – ciągnął dalej Montbar – dostać się w nocy na podwórze domu Mikołaja Dionizego Lollier, właściciela poczty w Belleville.
– W Belleville – powtórzył Antoni – rozumiem... Żeby zobaczyć się z piękną Józefiną?
– Otóż to, kochany Antoni; bo stary Lollier już zwąchał pismo nosem i zabronił córce widywać się ze mną.
– No, dobrze... ale co ja tu mogę?
– Ciągle nie rozumiesz. Antoni. No, to wypij jeszcze trochę; może ci się rozjaśni w głowie.
– Ma pan rację – odpowiedział Antoni. I wypróżnił szóstą szklankę.
– Powozisz jutro karetką z Chambery?
– Tak, o szóstej.
– Przypuśćmy, że Antoni jest dobry chłop.
– Już... Jest dobry.
– To Antoni zrobi...
– Co zrobi?
– Najpierw wypije tę szklankę.
– To nie będzie trudno... Już zrobione.
– Potem weźmie dziesięć ludwików.
Montbar położył na stół dziesięć monet.
– Oho! żółte, prawdziwe? Myślałem, że wszystkie wyszły z kraju.
– Widzisz, że jeszcze co nieco zostało.
– A co ma zrobić Antoni, żeby te monety trafiły do jego kieszeni?
– Trzeba, żeby Antoni pożyczył mi ubranie pocztyliona.
– Panu?
– I żeby odstąpił mi swe miejsce wieczorem.
– Pan chce zobaczyć swą piękną Józefinę, nie będąc poznany.
– No tak! Przyjeżdżam o ósmej do Belleville, wjeżdżam na podwórze; mówię, że konie są zmachane, popasam do dziesiątej, a od ósmej do dziesiątej...
– Nie widziany i nie poznany, robię kawał ojcu Lollier.
– Więc, kochany Antoni, pożyczasz mi swoją kurtkę i spodnie?

– Mam właśnie takie, których jeszcze nie wkładałem.
– Odstępujesz mi swoje miejsce?
– Z przyjemnością.
– A teraz masz na zadatek pięć ludwików.
– A reszta?
– Jutro, wkładając buty. Tylko postaraj się...
– O co?
– Mówią dużo o bandytach, którzy ograbiają dyliżanse. Nie zapomnij przytroczyć olster do siodła.
– Na co?
– Żeby włożyć pistolety.
– Co?! Będzie pan strzelał do tych zuchów?
– Nazywasz zuchami złodziei, którzy ograbiają dyliżanse?
– No, no! Nie każdy, kto zabiera pieniądze rządowe, jest złodziejem.
– Tak sądzisz?
– Tak myślę i tak myśli wielu innych. Wiem tylko, że gdybym był sędzią, nie skazałbym ich.
– Może wypijesz za ich zdrowie?
– Dlaczegoż by nie, byle wino było dobre.
– Nie radzę – rzekł Montbar, wlewając resztki wina do szklanki Antoniego.
– Zna pan przysłowie? – zapytał pocztylion.
– Jakie?
– Nie trzeba przeszkadzać wariatom... Za zdrowie towarzyszy Jehudy!
– Niech się tak stanie – rzekł Montbar.
– A pięć ludwików?
– Masz.
– Dziękuję. Będzie pan miał olstra. Lecz radzę nie kłaść w nie pistoletów, a przynajmniej radzę, tak jak robi kum Jeremiasz, konduktor z Genewy, nie nabijać ich.

Dawszy przyjacielską radę, pocztylion pożegnał Montbara i zszedł na dół, śpiewając jakąś piosnkę o pasterzu i pasterce.

# Karetka z Chambéry

Nazajutrz, Antoni, nie chcąc widocznie się spóźnić, już przed piątą po południu, zaprzęgał trzy konie do karetki.

Wkrótce potem zajechał galopem na podwórze oberży i stanął trzy kroki od ostatniego stopnia schodów kuchennych.

Z karetki wysiadło trzech mężczyzn, którzy spiesząc się weszli do oberży.

Zaledwie zniknęli, ze schodów kuchennych zbiegł elegancki pocztylion. Włożył szybko długie buty Antoniego, wsunął mu w rękę pięć ludwików i odwrócił się plecami. Antoni narzucił mu opończę na ramiona, po czym ukradkiem powrócił do stajni i ukrył się w najciemniejszym kącie.

Jego zastępca zaś, uspokojony widocznie tym, że kołnierz opończy zakrywał mu połowę twarzy, skierował się wprost do koni i wsunął trzy pistolety w łęk siodła. Potem szybko przy pomocy ostrego szydła przymocował cztery ćwieki koło drzwiczek karetki.

W pół godziny później rozległ się głos konduktora:

– Obywatele podróżni, proszę wsiadać.

Montbar stał tuż przy drzwiczkach karetki i poznał Rolanda oraz pułkownika siódmego pułku strzelców, mimo iż obaj byli przebrani.

Wsiedli do karetki, nie zwracając uwagi na pocztyliona.

Ten zamknął za nimi drzwiczki, włożył kłódkę w kółka obu ćwieków i zamknął ją na klucz.

Następnie, udając, że szuka bata przy drugich drzwiczkach, założył drugą kłódkę w ten sam sposób, po czym dosiadł konia i ponaglił konduktora, który kończył rachunki z gospodarzem.

– Czy drzwiczki dobrze zamknięte? – dopytywał się Franciszek.

– Doskonale – odpowiedział Montbar.

– No to w drogę! – zawołał konduktor, wchodząc na stopień i siadając obok podróżnego.

Pocztylion nie czekał na drugie wezwanie, z miejsca pognał galopem.

Montbar prowadził konie, jakby robił to całe życie. Przez miasto pędził tak, że szyby drżały w domach; żaden prawdziwy pocztylion nie strzelał z bata tak, jak on.

Na krańcu miasta dostrzegł grupkę jeźdźców; byli to strzelcy, którzy z oddali towarzyszyć mieli poczcie.

Pułkownik wysunął głowę przez okno i dał jakiś znak wachmistrzowi, dowodzącemu strzelcami.

Montbar udawał, że nic nie widzi, ale ujechawszy jakieś pięćset kroków obrócił się i zobaczył eskortę strzelców.

– Poczekajcie, dziatki – pomyślał Montbar – zapoznam ja was z okolicą!

I przynaglił konie jeszcze bardziej. Karetka mknęła szybciej niż zazwyczaj. Zaniepokoiło to konduktora.

– Panie Antoni! – zawołał. – Czy czasem nie jesteście podchmieleni?

– Pijany? A pewnie – odrzucił Montbar – bom jadł na obiad tylko sałatkę z buraków.

– Do diabła! – zawołał Roland. Jeśli będzie tak pędził, eskorta nie zdąży za nami.

– Czy słyszysz? – wołał konduktor.

– Nie, nie słyszę – odpowiedział Montbar.

– Mówią ci przecież, że eskorta nie zdąży za nami, jeśli będziesz tak pędził.

– A czy jedzie jaka eskorta? – zapytał Montbar.

– Oczywiście. Wieziemy przecież pieniądze rządowe.

– No, to co innego. Trzeba było mówić tak od razu.

Ale zmiast zwolnić, jeszcze przyśpieszył.

– Słuchaj no – odezwał się konduktor – jeśli zdarzy się nam jaki wypadek, strzelę ci w łeb z pistoletu.

– Wolne żarty! – odrzucił Montbar. – Znamy wasze nie nabite pistolety.

– Mój jest nabity na pewno – zareagował agent policji.

– Przekonamy się o tym w innych okolicznościach.

Minęli z szybkością błyskawicy wioskę Varennes, Crèche i miasteczko Chapelle-de-Guinchay.

Do Białego Domku zostało zaledwie ćwierć mili.

Konie były spienione.

Montbar obejrzał się: jakieś tysiąc kroków za sobą dojrzał iskry, tryskające spod kopyt koni eskorty.

Droga prowadziła dalej w dół.

Pomknął, trzymając konie mocno w cuglach.

Konduktor przestał krzyczeć, gdyż zorientował się, że pocztylion prowadzi konie pewną ręką.

Pułkownik tylko od czasu do czasu wychylał się przez okno, aby zobaczyć, gdzie jest eskorta.

Montbar tymczasem, nie zwalniając, zaczął śpiewać pewnym głosem „Przebudzenie się ludu", pieśń rojalistów.

– Co ten bałwan wyprawia? – zawołał Roland, wysuwając głowę przez okno. – Powiedz mu, konduktorze, niech zamilknie, bo mu puszczę kulę w łeb.

Konduktor chciał powtórzyć pogróżki Rolanda, lecz zawahał się; zauważył bowiem, że jakaś czarna linia przegradza drogę. W tej samej chwili ktoś z boku zawołał:

– Hej tam, konduktor! Stać!

– Pocztylion! – zawołał agent policji. – Wal przez tych ludzi.

– Aha! Jaki pan skory! – odpowiedział Montbar. – Tak się traktuje swoich przyjaciół?... Ho–la! ho–la!...

I karetka zatrzymała się w miejscu.

– Naprzód! – zawołali jednocześnie Roland i pułkownik, rozumiejąc, że eskorta była zbyt daleko, aby móc im przyjść z pomocą.

– Ach, zbój pocztylion! – zawołał agent policji, zeskakując na ziemię i celując z pistoletu do Montbara. – Zapłacisz ty nam za to!

Lecz Montbar uprzedził go i strzelił pierwszy. Agent padł, ugodzony śmiertelnie, pod koła karetki.

– Konduktorze! – wołali oficerowie – do stu piorunów! Otwieraj drzwiczki.

– Panowie – odezwał się Montbar, zbliżając się do karetki. – Nic złego wam się nie stanie. Chcemy tylko pieniędzy rządowych. Konduktorze, dawaj te pięćdziesiąt tysięcy, prędko!

Dwa strzały były odpowiedzią oficerów, którzy usiłowali wydostać się przez okno karetki.

Rozległ się krzyk. Widocznie jeden strzał kogoś dosięgnął. Jednocześnie strzelano w kierunku karetki.

Pułkownik jęknął i osunął się na Rolanda. Był martwy.

Roland strzelił ponownie i tym samym wykorzystał już oba pistolety; zamknięty, nie mógł użyć szabli. Krzyczał z wściekłości.

W tym czasie konduktor, któremu przyłożono pistolet do głowy, oddał pieniądze. Dwóch ludzi wzięło worki i przytroczyło je do konia Montbara, którego przyprowadził mu masztalerz.

Montbar zrzucił długie obuwie i wskoczył na konia.

– Serdeczne pozdrowienia dla pierwszego konsula, panie de Montrevel! – krzyknął Montbar.

A zwracając się do towarzyszy:

– W nogi! Gdzie kto chce. Do jutra wieczorem.

I cała banda rozproszyła się, jak stado ptaków.

Eskorta przybyła za późno. Znalazła tylko konduktora siedzącego w rowie, trupy agenta policji i pułkownika oraz uwięzionego Rolanda.

# Odpowiedź lorda Grenville'a

W czasie tych wypadków, Paryż był w przededniu wydarzeń, które miały zwrócić powszechną uwagę i zainspirować prasę całego świata.

Lord Tanlay powrócił z odpowiedzią swego wuja, lorda Grenville'a.

Odpowiedź zawarta była w liście do pana de Talleyranda i w nocie do pierwszego konsula.

„Downing-Street, 14 lutego 1800.

Panie!

Otrzymałem i zakomunikowałem królowi list, przesłany mi przez mego siostrzeńca, lorda Tanlay'a. Jego Królewska Mość, nie uważając za stosowne pomijanie ustalonych w Europie form dla pertraktacji pomiędzy mocarstwami, polecił mi przesłać w Jego imieniu odpowiedź urzędową, którą do tego listu dołączam.

Z poważaniem, posłuszny i pokorny sługa.

Grenville".

Odpowiedź była sucha, nota – wyraźna.

Na własnoręczny list pierwszego konsula król Jerzy odpowiadał zwykłą notą, napisaną przez pierwszego lepszego sekretarza i podpisaną jedynie przez lorda Grenville'a.

Nota pełna była zarzutów przeciw Francji, przeciw wstrząsającym nią rozruchom; podkreślała, że duch rewolucji wzbudza obawy w całej Europie i że wszyscy monarchowie w obronie własnej muszą stłumić tę zawieruchę. Słowem, była to zapowiedź dalszej wojny.

Gdy Bonaparte odczytywał notę jego oczy były roziskrzone, jak zwykle w takich przypadkach zapowiadały ważną decyzję, tak jak błyskawica zapowiada grzmoty.

– Więc, panie – rzekł, zwracając się do lorda Tanlay'a – tylko tyle osiągnąłeś?

– Tak, obywatelu pierwszy konsulu.

– Czyś powtórzył w rozmowie z wujem wszystko, co ci tu mówiłem?

– Nie opuściłem ani słowa.

– Mówiłeś mu, że mieszkasz od trzech lat we Francji, że ją poznałeś, że jest potężna, szczęśliwa i że pragnie pokoju, lecz że jest też gotowa do walki?

– Wszystko to powiedziałem.

– A nie dodałeś może, że wojna, którą nam wypowiada Anglia, jest szaleństwem. Powiedziałeś mu, że te rozruchy, które, ściśle mówiąc, były tylko wybuchami zbyt długo

tłumionej wolności, zostały już opanowane; że zostały umiejscowione we Francji, żeby zachować międzynarodowy pokój;

że po wywołaniu z Francją wojny, Francja jak lawa, rozleje się po całej Europie?... Król angielski powiada, że Włochy są wyswobodzone! Tak, ale dlaczego? Dlatego, że zdobywałem Egipt od Delty do trzeciej katarakty! Włochy są wolne, bo nie byłem we Włoszech... Ale oto jestem – za miesiąc mogę być we Włoszech i podbić je znowu od Alp do Adriatyku. Wystarczy jedna bitwa!... Panujący w Europie chcą wojen dla zapewnienia sobie władzy. Więc mówię ci, milordzie – tak wstrząsnę Europą, że zatrzęsą się ich korony. Chcą wojny? Poczekaj... Bourrienne! Bourrienne!...

Otworzyły się drzwi i Bourrienne wpadł, myśląc że konsul wzywa pomocy.

Bonaparte, wzburzony, miął notę dyplomatyczną w jednej ręce, a drugą bił o biurko. Trzy kroki od niego stał lord Tanlay zimny i milczący.

Bourrienne zrozumiał od razu, że to odpowiedź Anglii wprawiła pierwszego konsula w taki gniew.

– Wołałeś mnie, generale? – zapytał.

– Tak. Siadaj i pisz.

I głosem twardym, urywanym, nie szukając stów, podyktował mu następującą odezwę:

„Żołnierze!

Obiecując Francji pokój, mówiłem w waszym imieniu. Znam waszą wartość. Zdobyliście Ren, Holandię, Włochy i podyktowaliście pokój pod murami zdziwionej Wenecji.

Żołnierze! Teraz przychodzi nam już nie bronić naszych granic, ale napaść na państwa nieprzyjacielskie.

Żołnierze! Gdy wybije godzina, będę wśród Was, a zdumiona Europa przypomni sobie, że jesteście z rasy mężnych!”

– To wszystko – rzekł Bonaparte.

– Czy dodać „Niech żyje Rzeczpospolita!”?

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo już od czterech miesięcy nie wydaliśmy żadnej odezwy; może zmieniły się formuły?

– Odezwa jest dobra. Nic nie dodawaj. Jutro ma się to ukazać „Monitorze”.

Bourrienne wyszedł.

Bonaparte chwilę przechadzał się, zapominając o obecności lorda Tanlay'a. Wtem zatrzymał się przed nim.

– Milordzie – rzekł – czy sądzisz, że wykorzystałeś wszystkie możliwości?

– Nawet więcej.

– Nawet więcej? Więcej?... Cóżeś uzyskał?...

– Zdaje się, że pierwszy konsul nie odczytał noty królewskiej z należytą uwagą.

– Owszem! Umiem ją już na pamięć.

– No, to nie przeniknąłeś, panie, niektórych jej ustępów, nie rozważyłeś słów.

– Tak sądzisz?

– Jestem przekonany... może pierwszy konsul pozwoli mi odczytać fragmenty, o których myślę...

Bonaparte otworzył dłoń, w której miął notę i wygładziwszy ją, podał Tanlay'owi, mówiąc:

– Czytaj, pan.

Sir John rzucił okiem na notę i zatrzymał się na ustępie dziesiątym:

„Najlepszą i najpewniejszą gwarancją pokoju i jego trwałości byłoby przywrócenie tej linii panujących, którzy przez wieki utrzymywali wewnątrz pomyślność narodu francuskiego, a poważanie i szacunek na zewnątrz. Krok taki usunąłby w przyszłości wszelkie przeszkody na drodze układów pokojowych; zagwarantowałby Francji spokojne posiadanie jej dawnego

terytorium, a innym narodom Europy zapewnił bezpieczeństwo, o które teraz zabiegać muszą innymi środkami..."

– Otóż – odezwał się zniecierpliwiony Bonaparte – odczytałem to dobrze i zrozumiałem doskonale. Bądź Monkiem, pracuj dla innych, a wybaczą ci twe zwycięstwa, twój rozgłos i sławę, twój geniusz. Upokórz się, a pozwolą ci zostać wielkim!

– Obywatelu pierwszy konsulu! – odezwał się lord Tanlay. – Nikt lepiej niż ja, nie rozumie różnicy pomiędzy tobą a Monkiem. O ileż przewyższasz go sławą i rozgłosem!

– Więc po cóż mi to czytałeś?

– Czytałem tylko dlatego, abyś, pierwszy konsulu, uchwycił właściwe znaczenie tego ustępu.

– Jakie? – zapytał Bonaparte z coraz większą niecierpliwością.

Sir John czytał dalej:

– „Jakkolwiek krok ten byłby ze wszech miar pożądany dla świata i dla Francji, jednak Jego Królewska Mość nie uzależnia tylko od niego możliwości trwałego i stałego pokoju".

Sir John zaakcentował ostatnie wyrazy.

– Ach! – wykrzyknął Bonaparte.

I zbliżył się do sir Johna.

Anglik czytał dalej:

– „Jego Królewska Mość nie rości sobie prawa narzucania Francji formy rządów i nie narzuca rąk, w które złożona ma być niezbędna władza dla kierowania sprawami wielkiego i potężnego narodu".

– Proszę, odczytaj pan to jeszcze raz – rzekł żywo Bonaparte.

– Proszę przeczytać samemu – odpowiedział sir John.

I podał notę.

Bonaparte odczytał.

– Czy to dzięki panu dodano ten ustęp?

– Nalegałem przynajmniej na to.

Bonaparte zamyślił się.

– Ma pan rację – rzekł. – To dużo. Powrót Burbonów nie jest warunkiem sine qua non. Uznano mnie nie tylko za potęgę wojenną, ale i za potęgę polityczną.

Po czym wyciągnął rękę do sir Johna.

– Czy ma pan do mnie jakąś prośbę?

– Jedyną prośbę, którą gorąco popieram, przedstawił już mój przyjaciel Roland.

– Odpowiedziałem mu, że z przyjemnością widzieć będę pana mężem jego siostry... Gdybym był bogatszy albo gdyby pan nie był tak bogaty, ofiarowałbym jej posag...

Sir John poruszył się.

– Lecz wiem, że pańska fortuna starczy dla was obojga. Może więc pan dać swej ukochanej nie tylko szczęście, ale i bogactwo.

Potem zawołał:

– Bourrienne!

– Już wysłane, generale – rzekł ten.

– Dobrze. Ale nie po to cię wołałem.

– Czekam na rozkazy.

– Lorda Tanlay'a przyjmę zawsze o jakiej bądź godzinie dnia lub nocy. Nie chcę, żeby czekał. Słyszysz, kochany Bourrienne? Słyszysz, milordzie?

Lord Tanlay skłonił się na znak podziękowania.

– A teraz, sądzę, że śpieszysz się do zamku Noires-Fontaines. Nie zatrzymuję pana. Stawiam tylko jeden warunek.

– Jaki, generale?

– Ten tylko, że będę cię potrzebował do nowego poselstwa...

– To nie warunek, obywatelu pierwszy konsulu! To łaska.

Lord Tanlay skłonił się i wyszedł.

Bourrienne chciał wyjść za nim, ale Bonaparte zatrzymał go pytając:

– Czy powóz zaprzężony?

Bourrienne spojrzał na dziedziniec.

– Tak, generale.

– No, to bądź gotów. Jedziemy razem.

– Już jestem gotów, generale. Wezmę tylko surdut i kapelusz.

– No to jedźmy – powiedział Bonaparte i zszedł na dół. Bourrienne podążył za nim.

Lokaj otworzył drzwiczki powozu. Bonaparte wskoczył.

– Dokąd jedziemy, generale? – zapytał Bourrienne.

– Do Tuileries – odparł Bonaparte.

Bourrienne, zdziwiony bardzo, powtórzył rozkaz i odwrócił się do pierwszego konsula, jakby chciał zapytać o wyjaśnienie. Ten jednak był tak pogrążony w myślach, że sekretarz nie uważał za stosowne wyrywać go z zamyślenia.

Konie pomknęły galopem. Tak zwykle jeździł Bonaparte.

Pałac Tuileries, w którym mieszkał Ludwik XVI, w którym po wypadkach 5 i 6 października kolejno zasiadali: Konwencja i Rada Pięciuset, był spustoszony i opuszczony od 18 brumaire'a.

Bonaparte przywiózł z Włoch wspaniałe popiersie Juniusa Brutusa. Pod koniec listopada polecił republikaninowi Davidowi umieścić je w galerii Tuileries.

Czy można było przypuszczać, że David, przyjaciel Marata, umieszczając w galerii popiersie zabójcy Cezara, przygotowywał siedzibę przyszłemu cesarzowi?

Sprawdzając pewnego razu, czy popiersie zostało dobrze umiejscowione, Bonaparte zauważył spustoszenia w pałacu Katarzyny Medycejskiej. Tuileries nie był już co prawda siedzibą królów, ale był własnością narodową. Naród zaś nie mógł pozostawiać swego pałacu w ruinie.

Bonaparte wezwał obywatela Lecomte'a, architekta i polecił mu oczyścić pałac.

Zapytano architekta, ile będzie kosztowało to oczyszczenie. Oświadczył, że pięćset tysięcy franków.

Bonaparte zapytał, czy za tę sumę z Tuileries będzie można uczynić siedzibę władz rządowych, architekt zaś odparł, że będzie można przywrócić pałac do stanu mieszkalnego.

Tego tylko chciał Bonaparte. Czyż on, republikanin, potrzebował przepychu, majestatu?... W pałacu rządowym trzeba było prostych i jednocześnie wzniosłych upiększeń – marmurów i posągów.

Wybrał je Bonaparte, korzystając z dorobku trzech wielkich narodów, w trzech wielkich stuleciach.

Od Greków wziął Aleksandra i Demostenesa, geniusza wojny i krasomówstwa.

Od Rzymian – Scypiona, Cycerona, Katona, Brutusa i Cezara.

Z ery nowożytnej wybrał Gustawa Adolfa, Turenne'a, wielkiego Kondeusza, Duguay-Trouina, Malborougha, księcia Eugeniusza i marszałka Saskiego, wreszcie Fryderyka Wielkiego i Waszyngtona, to znaczy fałszywą filozofię na tronie i prawdziwego mędrca, twórcę wolnego państwa.

Tak miały się rzeczy w końcu lutego 1800 r. Tuileries ogrzewano, popiersia stały na swoich miejscach, posągi na swoich piedestałach. Czekano tylko na odpowiednią okazję.

I ta nadeszła: dowiedziano się o śmierci Waszyngtona.

Twórca Stanów Zjednoczonych zmarł 14 grudnia 1799 r.

O nim to myślał Bonaparte, gdy Bourrienne postanowił nie wyrywać go z zamyślenia.

Powóz zatrzymał się przed Tuileries; Bonaparte wysiadł żywo, wbiegł na schody, przeszedł przez apartamenty i dokładnie obejrzał pokoje, w których mieszkał Ludwik XVI z Marią Antoniną.

Zatrzymawszy się w gabinecie Ludwika XVI, zwrócił się do Bourrienne'a ze słowami:

– Tutaj zamieszkamy! Tak, zamieszkamy tutaj; trzeci konsul zajmie .pawilon Flory, a Cambacérès pozostanie w pałacu kanclerskim.

– To znaczy – odezwał się Bourrienne – że w stosownej chwili, generale, pozostanie pozbyć się tylko jednego.

Bonaparte wziął Bourrienne'a za ucho, mówiąc:

– Nieźle pomyślane.

– A kiedy się wprowadzamy, generale? – zapytał Bourrienne.

– O! Jeszcze nie jutro. Trzeba przez jakieś osiem dni przygotować Paryżan do zamiany Luksemburga na Tuileries.

– Osiem dni! – rzekł Bourrienne. – Można zaczekać.

– Ale trzeba zabrać się do rzeczy. Jedziemy, Bourrienne do Luksemburga.

I szybko przebiegł przez sznur pokoi, zszedł ze schodów i wskoczył do powozu, dając rozkaz:

– Do Luksemburga!

– A ja? – wołał Bourrienne jeszcze z przedsionka. – Nie czekasz na mnie, generale?

– Marudo! – odrzucił mu Bonaparte.

Powóz pomknął galopem.

Wchodząc do gabinetu, Bonaparte spotkał ministra policji.

– Co słychać, obywatelu Fouché? – zapytał. – Masz twarz wzburzoną.

– Czy może zabito mnie przypadkiem?

– Obywatelu pierwszy konsulu – odezwał się minister – przywiązywałeś, zdaje mi się, dużą wagę do wytrzebienia bandy, nazywającej się towarzyszami Jehudy?

– No tak; przecież wysłałem Rolanda w pościg za nimi. Czy są jakieś nowiny?

– Są.

– Od kogo?

– Od ich naczelnika.

– Jak to od ich naczelnika?

– Ten zuchwalec nadesłał mi sprawozdanie ze swej ostatniej wyprawy.

– Przeciw komu?

– Przeciw 50 000 franków, wysłanym Ojcom Św. Bernarda.

– Cóż się z nimi stało?

– Z tymi 50 000 franków?

– Tak.

– Są w rękach bandytów; a ich naczelnik donosi mi, że będą wkrótce w rękach Cadoudala.

– Więc Roland zabity?

– Nie. Mój agent nie żyje, pułkownik Saint-Maurice też. Pański adiutant zdrów i cały.

– No, to on się powiesi – zauważył Bonaparte.

– Po co? Sznur się zerwie. Znasz, obywatelu, jego szczęście.

– Jego nieszczęście chyba... Gdzie to sprawozdanie?

– Chcesz, obywatelu, powiedzieć: ten list?

– Ten list, ten raport, to, co zawiera wiadomości, o których mi mówisz.

Minister policji wręczył pierwszemu konsulowi mały papier schowany w pachnącej kopercie.

– A to co?

– Raport.

Bonaparte odczytał adres:

„Do obywatela Fouche, ministra policji, we własnym pałacu w Paryżu”.

Otworzył kopertę. List brzmiał:

„Obywatelu ministrze! Mam zaszczyt donieść, że 50000 fr., przeznaczonych dla Ojców z góry Św. Bernarda, przeszło do naszych rąk wieczorem dnia 25 lutego 1800 r. (starego stylu) i że za osiem dni będą one w rękach obywatela Cadoudala.

Sprawa poszła świetnie. Zginął tylko twój agent i pułkownik Saint-Maurice. Co do p. de Montrevel, to z zadowoleniem donoszę, że nic złego mu się nie stało. Nie zapomniałem mu, iż wprowadził mnie do Luksemburga.

Piszę do ciebie, obywatelu ministrze, dlatego, że sądzę, iż pan de Montrevel zbyt jest zajęty ściganiem nas, aby miał czas sam pisać. Jestem jednak przekonany, że napisze, skoro tylko będzie miał czas i że przytoczy szczegóły, w które wchodzić nie mogę z braku czasu.

W zamian za tę usługę, obywatelu ministrze, prosiłbym o jedną tylko: o uspokojenie pani de Montrevel co do losów jej syna.

Morgan.

Biały Domek, droga z Macon do Lugdunu; sobota, godz. 9 wieczór”.

– Do diabła! – zawołał Bonaparte. – Odważny szelma!

Po chwili dodał z westchnieniem:

– Jacy by to mogli być kapitanowie i pułkownicy!

– Co rozkaże pierwszy konsul? – zapytał minister policji.

– Nic. To rzecz Rolanda. W grę wchodzi jego ambicja. Skoro nie umarł, odpłaci im za to.

– Więc pierwszy konsul nie zajmuje się więcej tą sprawą?

– Nie teraz przynajmniej.

A zwracając się do sekretarza:

– Mamy dużo innych rzeczy na głowie – rzekł – nieprawdaż, Bourrienne?

Bourrienne kiwnął głową.

– Kiedy pierwszy konsul chce mnie widzieć? – zapytał minister.

– Dziś o godzinie dziesiątej, tutaj. Za osiem dni wyprowadzamy się stąd.

– A dokąd?

– Do Tuileries.

Fouché nie ukrywał zdumienia.

– Wiem, że to jest wbrew pańskiemu zdaniu, ale ja ułatwię panu pracę i proszę mnie słuchać.

Fouché skłonił się i chciał wyjść.

– Ale, prawda! – zawołał za nim Bonaparte.

Fouché odwrócił się.

– Nie zapomnij pan pójść do pani de Montrevel i powiedzieć jej, że Roland jest zdrów. Możesz tę drobnostkę zrobić Morganowi za jego usługę.

I odwrócił się plecami do ministra policji, który wyszedł, przygryzając usta do krwi.

# Przeprowadzka

Tegoż dnia pierwszy konsul podyktował Bourrienne'owi następujący rozkaz dzienny do gwardii konsula i do armii:

„Zmarł Waszyngton! Ten wielki mąż walczył przeciwko tyranii; utrwalił on wolność Ameryki. Pamięć jego będzie zawsze droga narodowi francuskiemu i każdemu wolnemu człowiekowi na obu półkulach, a zwłaszcza droga będzie żołnierzom francuskim, którzy, jak on i jak żołnierze amerykańscy, walczyli za wolność i równość. Wobec tego pierwszy konsul nakazuje zawiesić na dziesięć dni czarną krepę na wszystkich sztandarach i na wszystkich oznakach Rzeczypospolitej”.

Ale Bonaparte nie myślał poprzestać na tym rozkazie.

Wśród zabiegów, które miały ułatwić przejście z Luksemburga do Tuileries, figurowała jedna z tych uroczystości, którymi umiał nie tylko zabawić oczy, ale i przenikać umysły. Uroczystość miała się odbyć u Inwalidów albo, jak mówiono wówczas, w Świątyni Marsa. Miano odsłonić popiersie Waszyngtona i zarazem odebrać z rąk generała Lannesa sztandary spod Abukiru.

W dniu uroczystości sześć tysięcy jazdy rozstawiono od Luksemburga do Inwalidów.

O godzinie ósmej Bonaparte dosiadł konia i przez ulicę Tournon skierował się na wybrzeże, otoczony sztabem generalnym, w którym najstarszy generał nie miał trzydziestu pięciu lat.

Na czele jechał Lannes. Za nim niesiono 60 zdobytych sztandarów. Następnie jechał Bonaparte, o dwa konie wysunąwszy się przed swój sztab.

Minister wojny, Berthier, oczekiwał pod kopułą świątyni. Wzdłuż ścian, na ławkach, zajęła miejsca wytworna publiczność Paryża, przynajmniej ta, która solidaryzowała się z prawdziwą ideą uroczystości.

Na widok sztandarów zagrzmiały trąby.

Lannes wyszedł pierwszy. Chorążowie ustawili sztandary w przygotowanych dla nich miejscach.

Bonaparte, przy oklaskach zebranych, zasiadł w swoim fotelu.

Wówczas Lannes podszedł do ministra wojny i potężnym głosem, którym wołał: „naprzód!” na polu bitwy, wygłosił mowę na cześć armii republikańskiej. Odpowiedział mu minister wojny, który zwracając się potem do Bonapartego, rzekł:

„W imieniu Francji, pozwól tu, nieustraszony generale! Chodź w imieniu wszystkich bohaterów i przyjmij w pocałunku zapewnienie wdzięczności narodu.

W chwili, gdy podejmujemy znowu oręż broniący naszej niezależności, gdy ślepa wściekłość królów odrzuca ofiarowany przez nas światu pokój, rzućmy, towarzysze, gałąź laurową na prochy Waszyngtona, tego bohatera, który uwolnił Amerykę od jarzma nieprzyjaciół, najbardziej nastających na naszą wolność. Niechaj jego cień wskaże nam zza grobu sławę, która towarzyszy pamięci oswobodzicieli ojczyzny!”

Bonaparte zszedł z podwyższenia. W imieniu Francji ucałował go Berthier.

Mowę na cześć Waszyngtona wygłosił pan de Fontannes.

Wśród wielu sławnych osobistości pan de Fontannes był postacią na poły polityczną, na poły literacką.

Po 18 fructidora, wygnany z Suardem i Laharpem, umiał jakoś ukryć się w Paryżu.

Zdradził go przypadek. Na placu Karuzeli wpadł pod rozbieganego konia. Podczas tego zdarzenia poznał go jeden z agentów policji, który przyszedł mu z pomocą. Tymczasem Fouché, który dobrze wiedział, gdzie Fontannes się ukrywa, udawał, że nic nie wie.

W kilka dni po 18 brumaire'a Murat, późniejszy książę de Bassano, Laplace i Regnault de Saint-Jean d'Angély (który zmarł, utraciwszy zmysły), wspomnieli pierwszemu konsulowi o obecności pana de Fontannesa w Paryżu.

– Przedstawcie mi go – rzekł na to pierwszy konsul.

Pan de Fontannes został przedstawiony pierwszemu konsulowi, który, znając jego zdolności, polecił mu wygłosić mowę na cześć Waszyngtona, a zarazem po części i na swoją.

Otóż mowa jego wypadła po myśli Bonapartego.

Wieczorem odbyło się w Luksemburgu wielkie przyjęcie. Mówiono cicho o rychłym przejeździe pierwszego konsula do Tuileries. Odważniejsi i ciekawsi wspomnieli o tym Józefinie. Ale ta, mając jeszcze w oczach wóz i szafot Marii Antoniny, bała się wszystkiego, co mogło ją zbliżyć do czasów królewskich. Nic też nie odpowiedziała, odsyłając ciekawych do męża.

Oprócz tego inna jeszcze nowina krążyła wśród zebranych.

Murat prosił o rękę panny Karoliny Bonaparte.

Bonaparte przez rok był na bakier z Muratem, który marzył, by mieć go za szwagra.

Przyczyna swarów między nimi może się wydać czytelnikowi dziwna.

Murat, lew armii, Murat, którego odwaga była przysłowiowa, Murat, który mógł być modelem dla rzeźbiarza do posągu boga wojny, ten sam Murat pewnego dnia, nie wyspany, czy też po złym obiedzie, stchórzył.

Było to pod Mantuą, w której Wurmser po bitwie pod Rivoli musiał zamknąć się z 28 000 wojska. Generał Miollis, z 4000 tylko, miał blokować tę fortecę. Otóż podczas jednej wycieczki Austriaków Murat na czele 5000 miał zaatakować 3000 nieprzyjaciół.

Murat zaatakował, lecz miękko.

Bonaparte był tym tak rozgniewany, że oddalił go od siebie.

Dla Murata był to cios, tym bardziej, że już wtedy miał ochotę, jeśli nie nadzieję, zostać szwagrem swego generała, kochał się bowiem w Karolinie Bonaparte.

Opowiemy w paru słowach, jak doszło do tej miłości.

Czytający może zdziwią się, że przywiązujemy wagę do pewnych szczegółów, które wydają się zbyteczne. Nasi bohaterowie pojawiają się jednak w wielu książkach, zbliżonych do siebie; kto w jednej jest adiutantem, w innej może być już cesarzem, w trzeciej – skazańcem.

Balzac stworzył wielkie i piękne dzieło pod tytułem „Komedia ludzka”.

Nasze może się nazywać „Dramat Francji”.

Powróćmy jednak do Murata.

W 1796 r. Murata wysłano do Paryża, by złożył Dyrektoriatowi sztandary, zdobyte w bitwach pod Dego i Mondovi. Podczas tej podróży poznał on panią Bonaparte i panią Tallien.

U pani Bonaparte spotkał pannę Karolinę Bonaparte, którą wcześniej widział w Rzymie u jej brata, Józefa.

Te trzy kobiety wyjednały mu stopień generała brygady.

Murat wrócił do Włoch, zakochany w pannie Bonaparte, i pomimo stopnia generała brygady prosił o pozwolenie zostania adiutantem dowódcy armii.

Na nieszczęście zdarzyła się fatalna potyczka pod Mantuą, po której Murat wpadł w niełaskę Bonapartego.

Bonaparte podziękował Muratowi za usługi i umieścił go w dywizji Neille'a, a potem w dywizji Baraguey-d'Hilliersa.

Dlatego też Murat nie towarzyszył Bonapartemu w podróży do Paryża po zawarciu pokoju w Tolentino.

Nie było to jednak po myśli „triumfeminatu", który protegował młodego generała.

Trzy piękne opiekunki rozpoczęły kampanię; a ponieważ na porządku dziennym była wyprawa do Egiptu, wyjednały u ministra wojny udział Murata w tej wyprawie.

Odpłynął na jednym statku z Bonapartem; lecz przez całą podróż Bonaparte nie przemówił doń ani słowa.

W kampanii tej Murat dokazywał cudów waleczności, pod Abukirem szarżował wprost po zawadiacku. Bonaparte nie mógł dłużej mieć do niego urazy.

W rezultacie Murat powrócił razem z Bonapartem do Europy; pomagał mu aktywnie w dniu 18 i 19 brumaire'a i wreszcie otrzymał dowództwo nad gwardią konsulów.

Toteż Murat uważał, że chwila jest stosowna do wyjawienia wszystkiego Bonapartemu.

Na trzy dni przed opisaną uroczystością Murat zwierzył mu się.

Bonaparte odpowiedział, że pomyśli o tym, ale jeszcze tego dnia wyraził zgodę.

Otóż te dwie nowiny: małżeństwo Murata z Karoliną Bonaparte i przeprowadzka do Tuileries zostały puszczone razem w lud i miały się uzupełniać.

Pierwszy konsul miał zająć rezydencję dawnych królów, miał spać w łożu Burbonów, jak wówczas mówiono; ale za to wydawał swoją siostrę za syna karczmarza.

Toteż w dniu przejazdu do Tuileries (30 pulviôse'a, roku VIII), ludność podziwiała i oklaskiwała Bonapartego.

Na dzień ten zarządzono wielki przegląd wojsk, na którym miała być obecna pani Bonaparte w oknach pawilonu Flory, zajmowanego przez konsula Lebruna.

Bonaparte wyjechał z Luksemburga punktualnie o godzinie pierwszej po południu, eskortowany przez trzy tysiące wyborowego wojska.

Przejeżdżając pod główną bramą pałacu, podniósł głowę i przeczytał napis tej treści:

10 sierpnia 1792 r.
Monarchia została obalona we
Francji
i nigdy już nie powróci.

W bramie pałacu Bonaparte wysiadł z powozu i dosiadł konia, aby objechać wojsko.

Gdy go ujrzano na bojowym koniu, zewsząd zagrzmiały oklaski.

Po skończonym przeglądzie Bonaparte, mając po prawej stronie Murata, po lewej Lannesa, a za sobą cały sztab, patrzył na defilujące wojska.

Gdy defilada się skończyła, zsiadł z konia i śmiało wszedł na schody Walezjuszów i Burbonów.

Wieczorem Bourrienne zapytał go:

– Czyś zadowolony, generale?
– Tak odpowiedział wymijająco Bonaparte – wszystko poszło dobrze. Prawda?
– Doskonale!
– Widziałem cię przy pani Bonaparte.
– I ja widziałem, jak czytałeś, generale, napis nad bramą.
– Tak – odparł Bonaparte: – „l0 sierpnia 1792 r. Monarchia została obalona we Francji i nigdy już nie powróci".
– Czy zniszczyć ten napis? – zapytał Bourrienne.
– Zbyteczne – odparł Bonaparte. – Odpadnie sam przez się.
– A wiesz, Bourrienne – zapytał, wzdychając Bonaparte – kogo mi dziś brakowało?
– Nie, generale.
– Rolanda... Co on do diabła może robić, brakuje mi od niego wiadomości?
Otóż opowiemy zaraz, co robił Roland.

# Na tropie

Czytelnik pamięta, w jakiej sytuacji eskorta siódmego pułku strzelców dogoniła karetkę w Chambery.

Najpierw szukano przyczyny, z powodu której Roland nie mógł wydostać się z karetki. Znaleziono kłódki. Drzwiczki trzeba było rozbić.

Roland wyskoczył, jak tygrys z klatki.

Śnieg pokrywał ziemię. Roland, żołnierz i myśliwy, postanowił iść śladami towarzyszy Jehudy.

Widział, że odjechali w kierunku Thoissey.

Kazał eskorcie i konduktorowi czekać na siebie na drodze sam zaś rzucił się w ślad za Morganem i jego towarzyszami.

Ćwierć mili od drogi, jak to widać było po śladach, napastnicy zatrzymali się nad brzegiem Sâony; tam musieli się naradzać, gdyż śnieg był wkoło zdeptany przez konie; następnie rozdzielili się na dwa oddziały: jeden skierował się w górę rzeki ku Mâçon, drugi – w dół do Belleville.

Roland słyszał okrzyk dowódcy bandytów: „Jutro wieczorem – tam, gdzie wiecie".

Nie wątpił więc, że oba oddziały podążyły do jednego miejsca.

Powróciwszy na drogę, Roland kazał konduktorowi dosiąść konia i odprowadzić karetkę do Belleville; czterech strzelców, umiejących pisać, odjechało z konduktorem, by sporządzić protokół.

Pozostała część eskorty odwiozła zwłoki pułkownika do Mâçon.

Zarządziwszy w ten sposób, Roland wybrał z eskorty najlepszego konia; nabił pistolety, wskoczył na siodło i pomknął w tym samym kierunku, z którego niedawno powrócił.

Dojechawszy do miejsca, w którym napastnicy rozjechali się w dwie strony, wybrał ślady, idące w dół Sâony w kierunku Belleville.

Na wieży w Thoissey biła godzina ósma wieczorem.

Na śniegu znać było ślady pięciu, czy sześciu koni; jeden z nich szedł z krocza.

Sto kroków od Belleville Roland zatrzymał konia, gdyż musiał obmyślić dalszy plan działania: dwóch jeźdźców zboczyło na prawo, oddalając się od Sâony, ślady czterech koni zaś prowadziły dalej w kierunku Belleville.

Przy pierwszych domach miasteczka ślady znowu się dzieliły: trzech jeźdźców okrążyło miasto, jeden tylko wjechał do miasta.

Roland pojechał za tym ostatnim, przekonany, że odnajdzie pozostałych.

Ślady doprowadziły go do ładnego domku noszącego nr 67. Roland zadzwonił. Ktoś wyszedł, aby mu otworzyć. Przez kratę bramy zauważył ślady konia, idące w kierunku stajni.

Widać było, że jeden z towarzyszy Jehudy skrył się w tym domu.

Zapamiętawszy numer domu Roland odjechał. W okolicy sąsiednich zabudowań żadnych śladów nie znalazł.

Szukał jednak dalej. Obok mostu trafił na tropy trzech koni. Z jednego wywnioskował, że koń szedł truchtem. Byli to więc ci sami jeźdźcy.

Roland pomknął tym tropem. Pod Monceaux jeźdźcy zachowali te same środki ostrożności, gdyż okrążyli wioskę. Za wioską odnalazł dalsze ślady.

Przed Châtillon jeden z jeźdźców zjechał z drogi na prawo. Jego ślady biegły w kierunku zameczku, położonego na wzgórzu, tuż przy drodze z Châtillon do Trevoux.

Pozostali jeźdźcy, sądząc, że zdążyli zmylić trop, przejechali wprost przez Châtillon i skierowali się traktem do Neuville.

Stawało się jasne, że wszyscy podążali do Bourgu, w przeciwnym bowiem razie pojechaliby traktem do Marlieux.

Otóż Bourg był miastem, które Roland obrał za centrum swoich operacji. Doskonale znał okolice.

W Neuville zbiegowie znowu okrążyli wieś.

Tym razem jednak, na drugim końcu wsi znalazł ślad tylko jednego konia.

Dwaj pozostali rozjechali się na drodze do Vannes; jeden pojechał prosto, drugi objechał wioskę i powrócił na drogę do Bourgu.

Roland wjechał do miasta za ostatnim z jeźdźców. Ze śladów wywnioskował, że zbieg wahał się w wyborze kierunku. Z bocznej ulicy dochodziły ślady ludzkie. Jeździec i piechur musieli chwilę naradzać się. Ślady człowieka i końskich kopyt kończyły się przed zajazdem de la Belle-Alliance.

Roland przypomniał sobie, że do tej właśnie oberży odprowadzono konia zranionego w napadzie pod Carronnières.

Widocznie oberżysta był w zmowie z towarzyszami Jehudy.

Zresztą było bardzo prawdopodobne, że gość pozostanie w oberży do wieczora następnego dnia. Roland wnioskował na podstawie własnego zmęczenia, że i uciekający potrzebuje odpoczynku.

Biła godzina trzecia.

Co miał zrobić Roland? Czy stanąć w jakiej innej oberży? W Bourgu znali go jednak wszyscy. Zresztą jego wojskowy koń mógł wzbudzać podejrzenia, a najistotniejszym warunkiem powodzenia było zachowanie jego obecności w Bourgu w tajemnicy.

Mógł się ukryć w zamku Noires-Fontaines; ale czyż mógł być pewny dyskrecji służby?

Michał i Jakub nic by nie pisnęli. Tych Roland był pewny. Milczałaby również Amelia. Ale Karolina, córka stróża więziennego?

Była trzecia rano; wszyscy spali. Najpewniej byłoby skomunikować się z Michałem. Ten potrafi go ukryć.

Roland skręcił na drogę do Pont-d'Ain.

Przejeżdżając koło kościoła w Brou, Roland spojrzał na koszary żandarmerii. Prawdopodobnie kapitan i żandarmi spali snem sprawiedliwych.

Roland przeciął skrawek lasu. Na skraju dojrzał dwóch ludzi, przemykających chyłkiem i niosących sarnę, przywiązaną za cztery nogi do kija.

Zdawało mu się, że poznaje tych ludzi po ich ruchach.

Ruszył wprost na nich.

Ludzie, widząc jeźdźca, rzucili łup do rowu i poczęli umykać przez pole w kierunku lasu Seillon.

– Hej, Michale! – zawołał Roland, coraz bardziej przekonany, że to jego ogrodnik.

Michał stanął. Drugi jednak wyrywał dalej w pole.

– Hola! Jakubie! – zawołał Roland.

Drugi również stanął. Skoro ich poznano, po co uciekać; zresztą wołanie nie było groźne, raczej przyjacielskie.

– Zdaje się – odezwał się Jakub – że to pan Roland.

– Czy to naprawdę tylko on? – zauważył Michał.

Roland, jakby odgadując ich obawy, zawołał:

– No tak, to ja!

W chwilę potem Michał i Jakub byli przy nim.

Młody człowiek, uprzedzając pytania, zwrócił się do nich ze słowami:

– Milczeć, kłusownicy! Kładźcie kozę na konia za mną i marsz do domu! Nikt nie powinien wiedzieć, że jestem w Noires-Fontaines; nawet moja siostra.

Michał i Jakub wykonali rozkaz i trójka podążyła ku zamkowi.

Sto kroków przed domem Roland wysłał ich na zwiady.

Na znak, że wszędzie cicho i spokojnie, Roland podjechał, zsiadł z konia i wszedł w otwartą bramę.

Michał odprowadził konia do stajni, po czym odniósł kozę do kuchni.

Roland tymczasem wszedł do pawilonu i zapalił ogień. Michał przyniósł coś do zjedzenia, Jakub przygotował łóżko.

Obaj przypatrywali się w milczeniu Rolandowi, gdy ten posilał się, ale nie bez niepokoju. Rozeszła się już bowiem wiadomość o wyprawie do Seillon i o tym, że kierował nią Roland.

Zjadłszy kolację, Roland podniósł głowę i zawołał Michała.

– Ach, jesteś tu? – rzekł Roland.

– Czekałem na rozkazy.

– Oto moje rozkazy. Tylko słuchaj dobrze.

– Słucham.

– Chodzi o życie lub śmierć. Chodzi nawet o mój honor.

– Niech pan mówi, panie Rolandzie.

Roland wyjął zegarek.

– Jest piąta. Bądź koło oberży Belle-Alliance w chwili, gdy ją będą otwierali, niby przechodząc tamtędy, i pogadaj z tym, który będzie otwierał.

– To będzie pewnie Piotr.

– Piotr, czy kto inny, byleś się od niego dowiedział, kto przyjechał na koniu, idącym z krocza. Wiesz, co to z krocza?

– Ja myślę. To taki koń, co chodzi jak niedźwiedź, obiema prawymi i obiema lewymi nogami jednocześnie.

– Doskonale!... Dowiesz się też, czy ten podróżny ma zamiar odjechać dziś rano, czy też popasie przez cały dzień.

– Dowiem się na pewno.

– No to, jak się dowiesz, przyjdź mi powiedzieć. Ale sza o moim pobycie tutaj. Gdyby cię pytano o mnie, powiedz, że wczoraj przyszedł list, że jestem w Paryżu przy pierwszym konsulu.

– Dobrze.

Michał odszedł, a Roland położył się spać. Jakub pozostał na straży.

Gdy Roland obudził się, Michał był już z powrotem, dowiedziawszy się o wszystkim.

Jeździec, przybyły w nocy, miał odjechać pod wieczór; w księdze gości zapisał się: „Obywatel Valensolle, jadący z Lugdunu do Genewy".

Był to sekundant Alfreda de Barjolsa, którego Roland zabił w pojedynku koło fontanny w Vaucluse; to on prawdopodobnie odegrał rolę widma w klasztorze Kartuzów w Seillon. Roland wnosił z tego, że towarzysze Jehudy nie byli zwykłymi złodziejami. Wszak mówiono

po cichu, że są to synowie z dobrych rodzin szlacheckich, którzy zdobywają pieniądze w wariackich napadach, narażając się na szafot, aby zasilać Bretończyków, walczących na zachodzie Francji za sprawę Burbonów.

# Natchnienie

Roland, jak widzimy z przebiegu pościgu, mógł schwycić jednego lub dwóch ściganych. Mógł ująć pana de Valensolle'a, który prawdopodobnie odpoczywał po całonocnej pracy.

Wystarczyłoby parę słów, napisanych do kapitana żandarmerii, a pan Valensolle zostałby osaczony w łóżku.

Ale aresztowanie de Valensolle'a byłoby ostrzeżeniem dla reszty bandy, która mogłaby natychmiast uciec za granicę.

Lepiej zatem było poczekać, odnaleźć różne ślady, które powinny były zbiec się w jednym miejscu i zarzucić sieci na całą kompanię, chociażby dojść miało do groźnej potyczki.

Dlatego też należało śledzić dalej de Valensolle'a w jego domniemanej podróży do Genewy.

Roland postanowił więc, że ukryje się w pawilonie i że tropieniem zwierzyny zajmą się Michał z Jakubem.

Było prawdopodobne, że pan de Valensolle nie wyruszy w dalszą drogę przed nadejściem nocy.

Roland rozpytał o tryb życia swej siostry od czasu wyjazdu matki.

Dowiedział się, że Amelia nie oddalała się ani razu z zamku i że sposób jej życia pozostał niezmieniony. Zaniechała tylko zwykłych spacerów, które odbywała z panią de Montrevel. Po obiedzie wracała do swego pokoju z Karoliną i już go nie opuszczała.

Wobec tego Michał i Jakub mogli po szóstej zniknąć.

O szóstej, istotnie, obaj uzbrojeni w strzelby wymknęli się z zamku.

Otrzymali przedtem rozkaz, aby iść śladem konia, chodzącego z krocza.

Michał miał zaczaić się naprzeciw fermy Belle-Alliance, Jakub zaś miał stanąć na skrzyżowaniu trzech dróg: do Saint-Amour, Saint-Claude i Nantuy. Ta ostatnia prowadziła także do Genewy.

Pan de Valensolle musiał wybrać jedną z tych trzech dróg.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy ojciec i syn mogli już zajmować swoje stanowiska, to znaczy około godziny siódmej wieczorem kareta pocztowa zatrzymała się przed bramą. Rozległ się dzwonek.

Otwieranie bramy należało do obowiązków Michała. Michał jednak nie zjawił się i bramę musiała otworzyć Karolina.

Pomimo mroku poznała przybysza.

– A! To pan, panie James? – zawołała trochę pewniejszym głosem.

James był zaufanym sługą sir Johna.

– A tak, panienko; to ja, a raczej to milord.

W tejże chwili drzwiczki karety otworzyły się i odezwał się sir John:

– Zechce panienka powiedzieć swej pani, że przyjeżdżam z Paryża i że melduję się teraz, aby ją prosić o przyjęcie mnie jutro, jeśli zechce zrobić mi tę łaskę. Proszę spytać, o której godzinie mogę się stawić.

Karolina popędziła do swej pani.

Pięć minut potem wróciła, oznajmiając, że pani przyjmie nazajutrz między dwunastą a pierwszą.

Roland wiedział, po co przyjechał milord. Małżeństwo uważał za pewne, a sir Johna za szwagra.

Początkowo zastanawiał się nawet czy poinformować przyjaciela o swoim pobycie w okolicy, ale uświadomił sobie, że lord Tanlay nie pozostawiłby go samego. Anglik miał porachunki z towarzyszami Jehudy i na pewno zechciałby mu sekundować w wyprawie, która do bezpiecznych nie należała. Pozostał więc w ukryciu.

Wieczór i część nocy minęły spokojnie.

Roland próbował zasnąć, ale dręczył go niepokój. Ciągle zdawało mu się, że ktoś otwiera drzwi.

Wczesnym rankiem powrócili Michał z Jakubem i zdali relację ze swoich czynności.

Dwadzieścia kroków od oberży Michał spotkał się z Piotrem; po kilku słowach rozmowy przekonał się, że pan de Valensolle jest jeszcze w oberży i że odjedzie dopiero w nocy. Piotr nie wątpił, że podróżny udaje się do Genewy.

Michał zaproponował Piotrowi wino, za co ten obiecał mu donieść o ewentualnej zmianie planów Valensolle'a.

Pili tak do północy. O północy Piotr wyszedł do oberży, aby się czegoś dowiedzieć. Do świtu pozostały cztery godziny. Piotr wrócił i zaproponował Michałowi nocleg w stajni.

Michał przyjął propozycję i obaj położyli się na słomie.

O trzeciej nad ranem służący z oberży zawołał Piotra.

Podróżny wyjeżdżał. Michał pożegnał przyjaciela i ukrył się za rogiem ulicy.

W piętnaście minut potem bramę otwarto i jakiś jeździec pojawił się na drodze. Koń jego szedł z krocza.

Był to Valensolle. Wjeżdżał na drogę do Genewy.

Michał szedł za nim jakiś czas, pogwizdując niedbale.

Wkrótce jeździec zniknął mu z oczu.

Na skrzyżowaniu trzech dróg miał jednak czekać Jakub.

Czy wytrwał na stanowisku, w śniegu i na mrozie, od szóstej wieczorem? – dumał Michał.

Zaniepokojony popędził na przełaj.

Na skrzyżowaniu Jakuba nie było.

Michał wprawnym okiem kłusownika obejrzał ślady. Zorientował się, że Jakub, chcąc się ogrzać, chodził raz w jedną stronę, raz w drugą, że zszedł ze stanowiska, że wreszcie ukrył się w lepiance po przeciwnej strome drogi.

Lepianka była jednak pusta. Kiedy wyszedł? I dlaczego?

Na pierwsze pytanie nie potrafił odpowiedzieć. Zorientował się natomiast – po co wyszedł.

Ślady Jakuba szły od lepianki w kierunku Ceyzeriat. Widać było, że śledził jeźdźca, który rzeczywiście jechał drogą do Genewy. Z szeroko stawianych kroków, Michał wywnioskował, że Jakub biegł. Ślady znać było wzdłuż drogi; przypuszczalnie ukrywał się za drzewami.

Michał doszedł do podrzędnej karczmy. Ślady Jakuba zaprowadziły go pod okno. Widocznie jeździec zatrzymał się w karczmie. Nieopodal, Michał dostrzegł jednak ślady pod murem dookoła domu. Idąc nowym tropem, natrafił na furtkę. Po drugiej stronie odnalazł po

raz pierwszy ślady eleganckiego obuwia kawalerzysty. Ale tuż obok drobnych stóp widać było ślady grubych butów chłopskich. Jakub szedł krok w krok za jeźdźcem.

Była piąta rano. Michał postanowił odpocząć. Zatoczył duże koło i wrócił polem do wioski od strony Cyzeriat. Poszedł prosto do karczmy. Tam postanowił zaczekać na Jakuba.

Michał znał karczmarza, przyzwyczajonego do jego nocnych wycieczek. Zażądał butelki wina, polamentował nad tym, że natrudził się na darmo i przekonał karczmarza, by pozwolił zaczekać na syna, który polował na własną rękę, być może szczęśliwszą od ojca.

Po jakimś czasie Jakub zastukał w okno. I jemu się nie powiodło; wracał z niczym.

Wypili tedy razem i, ogrzawszy się, zapłacili za wino i wyszli.

Zaraz za progiem Michał zbliżył się do syna.

Jakub opowiedział mu, że szedł po śladach w głąb lasu, lecz ktoś zagrodził mu drogę i, grożąc strzelbą, pytał, co robi w lesie o tej porze.

Na odpowiedź Jakuba, że poluje na wychodnego, człowiek odrzekł:

– No, to idź dalej; widzisz, że tu miejsce zajęte.

Jakub uznał uwagę za słuszną i oddalił się o jakieś sto kroków.

Gdy jednak skręcił w lewo, aby powrócić na teren, z którego go usunięto, ponownie natknął się na człowieka uzbrojonego w strzelbę, który zadał mu podobne pytanie.

Jakub odpowiedział tak samo, jak pierwszemu.

Człowiek ten, na to, tonem groźnym rzekł mu, wskazując palcem skraj lasu:

– Radzę ci, kochany przyjacielu, pójść tam; zdaje mi się, że tam jest lepsze miejsce.

Jakub usłuchał, a raczej udał, że słucha. Wyszedłszy jednak na zaśnieżone pole, zrozumiał że nie odnajdzie teraz śladów Valensolle'a. Dotarł do drogi i pomaszerował do karczmy, w której spodziewał się zastać ojca.

Do zamku powrócili z pierwszym brzaskiem dnia.

O wszystkich przygodach opowiedzieli Rolandowi bardzo szczegółowo. Młody oficer wywnioskował z ich opowiadania, że dwaj ludzie uzbrojeni w strzelby, którzy zagrodzili drogę Jakubowi, nie byli kłusownikami, lecz towarzyszami Jehudy.

Lecz gdzie mogło być ich legowisko? W tamtej stronie nie było przecież ani opuszczonego klasztoru, ani ruin.

Wtem Roland uderzył się w głowę.

– Cóż za gamoń ze mnie! – zawołał. – Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

Uśmiech triumfu zaigrał mu na ustach. I zwracając się do obu, rzekł:

– Moje dzieci! Wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć. Idźcie i śpijcie spokojnie. Zasłużyliście na to!

Sam także zasnął, jak człowiek, który rozwiązał zadanie nadzwyczajnej doniosłości, z którym długo nie mógł się uporać.

Roland wpadł na myśl, że towarzysze Jehudy opuścili klasztor Kartuzów w Seillon i przenieśli się do jaskiń w Ceyzeriat; a jednocześnie przypomniał sobie, że pomiędzy tymi jaskinami a kościołem w Brou jest podziemne przejście.

# Na zwiady

Około pierwszej po południu, sir John, korzystając z pozwolenia, stawił się przed panną de Montrevel.

Wszystko odbyło się tak, jak sobie tego życzył Morgan. Sir John przyjęty został, jak przyjaciel rodziny, lord Tanlay – jak konkurent, którego zamiary przynosiły zaszczyt.

Amelia nie sprzeciwiała się ani życzeniom brata i matki, ani rozkazom pierwszego konsula; prosiła tylko o zwłokę z powodu stanu swego zdrowia. Lord Tanlay zgodził się. Osiągnął to, czego się spodziewał: został przyjęty.

Rozumiał jednak, że jego zbyt długi pobyt w Bourgu byłby niewłaściwy z powodu nieobecności matki i brata.

Wobec tego, zapowiedział Amelii drugą wizytę nazajutrz i swój odjazd tegoż dnia wieczorem.

Dzięki zatem delikatności sir Johna, życzeniom Morgana i Amelii stało się zadość; kochankowie mieli przed sobą dużo czasu.

Michał dowiedział się o tym wszystkim od Karoliny, a Roland od Michała.

Gdy nadeszła noc, Roland zarzucił bluzę Michała, okrył twarz szerokim kapeluszem, zatknął parę pistoletów i nóż myśliwski za pas i wyszedł na drogę do Bourgu.

Doszedłszy do koszar żandarmerii, zażądał widzenia z kapitanem. Ten, wiedząc już o wydarzeniach na drodze do Lugdunu, spodziewał się jego wizyty.

Ku wielkiemu zdziwieniu kapitana, Roland zażądał tylko kluczy od kościoła oraz obcęgów i prosił, aby zachować jego obecność w tajemnicy.

Po otwarciu bocznych drzwi kościoła natknął się na stos siana.

W kościele panowała cisza. Roland powrócił wspomnieniami do czasów dzieciństwa i zorientował się w położeniu. Po chwili wdrapał się na siano i ześlizgnął z drugiej strony stosu na posadzkę. Obok pomnika Filipa Pięknego wielka kwadratowa płyta zamykała wejście do grobów.

Roland znał to miejsce; klęknął obok płyty, podważył ją obcęgami, podniósł i zszedł do podziemi.

Jakiś czas brnął po omacku w ciemnościach, aż dotarł do kraty, za którą ciągnął się korytarz.

Przy pomocy obcęgów otworzył kratę.

Nasłuchując i wpatrując się w ciemności, posuwał się dalej naprzód, z pistoletem gotowym do strzału.

Tak szedł około piętnastu minut.

Po kilku kroplach zimnej wody, które spadły mu na ręce, zorientował się, że ma nad sobą rzeczkę Reyssouse.

Gdy przy drzwiach, oddzielających podziemia od kamieniołomów usiadł, by odpocząć, dostrzegł migocące światło i usłyszał jakieś szmery.

Ruszył, znowu przylepiony do ściany, jak ruchoma płaskorzeźba.

Wreszcie zbliżył się, wychylił głowę zza skały i ujrzał obozowisko towarzyszy Jehudy.

Było ich dwunastu, może piętnastu.

Rolandowi przyszła do głowy szalona myśl, by rzucić się na nich i rozpocząć śmiertelną walkę. Opanował się jednak, cofnął głowę za wyłom i przez nikogo nie dostrzeżony powrócił tą samą drogą.

Wszystko stało się jasne: opuszczenie klasztoru Kartuzów, zniknięcie Valensolle'a i fałszywi kłusownicy w okolicach groty w Ceyzeriat.

Roland zapałał chęcią zemsty.

Wracał szybko i już bez obawy, że zabłądzi.

Na zewnątrz czekał kapitan żandarmerii. Razem poszli do Bourgu.

Na ulicy de Greffe kapitan opuścił Rolanda i odszukał pułkownika dragonów. Obaj, po krótkiej rozmowie, przybyli na plac. Roland wyszedł z ukrycia.

Chwilę stali razem. Roland wydawał rozkazy, dwaj pozostali słuchali.

Potem rozeszli się. Pułkownik powrócił do siebie; Roland i kapitan żandarmerii udali się na drogę Pont-d'Ain. Tutaj kapitan skręcił do swoich koszar, a Roland poszedł dalej.

Po dwudziestu minutach był już w zamku. Bojąc się obudzić Amelię, zastukał w okno Michała.

Amelia jednak nie spała. Czytała list Morgana, przyniesiony przez Karolinę.

„Muszę cię koniecznie zobaczyć, muszę cię uścisnąć i przytulić do serca. Gnębią mnie złe przeczucia. Wyślij jutro Karolinę, aby dowiedziała się, czy sir John rzeczywiście odjechał. Jeśli tak – daj zwykły sygnał. I nie bój się. Nie mów mi o śniegu, nie mów, że spostrzegą moje ślady.

Tym razem nie ja do ciebie przyjdę, lecz ty do mnie. Czy rozumiesz? Będziesz mogła przejść przez park. Nikt nie będzie szedł za tobą. Okryj się szalem, ubierz się ciepło. W łódce, przywiązanej pod wierzbami, spędzimy godzinę, ale w zmienionych rolach. Zazwyczaj ja zwierzam się ze swoich obaw, a ty dodajesz mi otuchy; jutro, ubóstwiana Amelio, ty będziesz mówiła mi o swoich nadziejach i ja podniosę cię na duchu.

Przyjdź, gdy tylko dam znak. Będę czekał w Montagnac. Z Montagnac do Reyssouse mam tylko pięć minut drogi.

Do widzenia, biedna Amelio! Byłabyś szczęśliwsza, gdybyś mnie nie spotkała.

Zły duch postawił mnie na twej drodze i boję się, czy nie zrobiłem z ciebie męczennicy.

Twój Karol.

Do jutra, nieprawdaż? – jeśli nie zajdą jakieś nieprzewidziane przeszkody”.

# Przeczucia Morgana sprawdzają się

Bardzo często spokój i pogoda poprzedzają wielkie burze.

Dzień nastał piękny, pogodny, choć mroźny; dzień, w którym pomimo białego całunu, okrywającego ziemię, słońce śmieje się do ludzi i zapowiada wiosnę.

Około południa sir John przyszedł z wizytą pożegnalną. Zdawało mu się, że ma słowo Amelii i słowo to mu wystarczało. Amelia odłożyła małżeństwo na czas nieokreślony, ale przyjęła oświadczyny. Marzenia sir Johna spełniły się.

W kwadrans po jego wyjściu z zamku, Karolina poszła do Bourgu.

Około czwartej powróciła, oświadczając swej pani, że widziała na własne oczy, jak sir John wsiadał do karety koło hotelu Francuskiego i odjechał drogą do Mâçon.

Amelia starała się natchnąć Morgana spokojem, którego sama nie zaznała. Od chwili, kiedy Karolina zawiadomiła ją o obecności Rolanda w Bourgu, przeczuwała, podobnie jak i Morgan, że zbliża się straszliwa chwila.

Wiedziała nadto o napadzie na karetkę pocztową z Chambery, wiedziała o śmierci pułkownika strzelców; wiedziała, że brat jest zdrów, lecz znikł.

Od brata nie miała żadnego listu.

To zniknięcie i milczenie było gorsze niż otwarta i jawna walka.

Morgana nie widziała od chwili, gdy obiecała mu dostarczyć broń.

Toteż oczekiwała zapowiedzianego spotkania z taką samą niecierpliwością, jak i Morgan.

W porze, w której, jak sądziła, Michał z synem powinni byli spać, zapaliła w czterech oknach świece, dając sygnał Morganowi.

Następnie ubrała się ciepło, wyszła do parku i skierowała ku rzece.

Morgan już tam czekał. Dwoma uderzeniami wioseł dobił do brzegu i schwycił Amelię w objęcia.

– Czy masz mi co dobrego do powiedzenia?

– Dlaczego o to pytasz? – rzekł Morgan.

– W twoich oczach widzę coś więcej, niż radość ze spotkania.

– Masz słuszność, moja Amelio. Przeczucia mnie omyliły.

– Mów, mów – zawołała Amelia – co się stało?

– Przypominasz sobie, droga Amelio, co odpowiedziałaś mi podczas naszej ostatniej rozmowy na moją propozycję ucieczki?

– Pamiętam. Powiedziałam ci, Karolu, że jestem twoja i że przezwyciężę obawy.

– A ja ci oświadczyłem, że mam zobowiązania, z powodu których nie mogę uciec; że jest ktoś, od kogo zależymy i komu winniśmy bezwzględne posłuszeństwo; że wreszcie tym człowiekiem jest przyszły król Francji, Ludwik XVIII. Otóż zostaliśmy zwolnieni z przysięgi posłuszeństwa, nie tylko przez króla Ludwika XVIII, ale i przez generała Jerzego Cadoudala.

– Ach, mój drogi! Więc będziesz nareszcie takim, jak wszyscy, lepszym od innych.

– Będę zwyczajnym wygnańcem, Amelio. Nie dla nas będzie amnestia!

– Dlaczego?

– Nie jesteśmy żołnierzami, moje dziecko. Nie jesteśmy nawet buntownikami. Jesteśmy tylko towarzyszami Jehudy.

Amelia jęknęła.

– Jesteśmy bandytami, rozbójnikami – dodał Morgan z naciskiem.

– Przestań! – zawołała, kładąc rękę na ustach kochanka. – Milcz i nie mówmy o tym. Powiedz lepiej, jak król uwolnił was od obowiązków, jak wasz generał was uwolnił.

– Pierwszy konsul chciał widzieć się z Cadoudalem. Posłał do niego twego brata z propozycjami. Cadoudal nie chciał wchodzić w układy. Lecz otrzymał, jak i my, rozkaz zaprzestania walki od Ludwika XVIII. Rozkaz ten zbiegł się z drugim poselstwem pierwszego konsula. Generał Wandejczyków otrzymał zaproszenie do Paryża, słowem propozycję pertraktacji pomiędzy dwoma potęgami. Cadoudal przyjął zaproszenie i jest już pewnie w Paryżu. Mamy więc, jeśli nie pokój, to przynajmniej zawieszenie broni.

– Co za szczęście, mój Karolu!

– Nie ciesz się zbytnio, skarbie.

– A dlaczego?

– Czy wiesz, dlaczego nadszedł rozkaz zawieszenia walki?

– Nie.

– Pan Fouché jest bardzo chytry. Nie mogąc zwyciężyć, postanowił nas zhańbić. Utworzył samozwańczych towarzyszy Jehudy, którzy działają w okolicach Andegawenii i Maine. Grabią nie tylko pieniądze rządowe, ale i prywatne; napadają po nocach na zamki i fermy; właścicieli przypiekają ogniem i torturami zmuszają do wydania ukrytych pieniędzy. Otóż ci bandyci, ci nędznicy nazywają się tak samo, jak my. W ten sposób policja pana Fouchégo nie tylko wyjęła nas spod prawa, ale zhańbiła.

– Och!

– To właśnie chciałem ci powiedzieć, Amelio, zanim zaproponuję po raz drugi ucieczkę. W oczach Francji, w oczach zagranicy, w oczach naszych książąt, którym służyliśmy i dla których narażaliśmy się na śmierć, będziemy w przyszłości, a być może już jesteśmy tylko nędznikami godnymi szafotu.

– Tak. Ale dla mnie, mój ukochany, jesteś człowiekiem idei i poświęcenia, zawziętym rojalistą, który walczył, gdy wszyscy złożyli broń. Dla mnie jesteś szlachetnym baronem de Sainte-Hermine. Dla mnie, jeśli to wolisz, jesteś szlachetnym, odważnym i niezwyciężonym Morganem.

– To tylko pragnąłem usłyszeć. Więc nie wahasz się być moją żoną?

– Ani trochę. Jestem już twoją żoną wobec Boga. Bóg spełni wszystkie moje pragnienia w dniu, w którym pozwoli, abym była nią i wobec ludzi.

Morgan upadł na kolana.

– Więc czy chcesz uciekać? Czy chcesz opuścić Francję? Amelio, czy chcesz być moją żoną?

Amelia ścisnęła czoło obiema rękoma.

Morgan chwycił ją za ręce i patrzył na nią z niepokojem.

– Czy się wahasz? – zapytał głucho.

– O nie! Jestem twoja zawsze i wszędzie. Lecz propozycja jest tak niespodziewana...

– Namyśl się, Amelio. Wszak proponuję ci ucieczkę z ojczyzny i od rodziny. Idąc za mną, opuszczasz zamek, w którym się urodziłaś; matkę, która cię wykarmiła; brata, który cię kocha i który być może znienawidzi cię, jeśli się dowie, że jesteś żoną rozbójnika.

– Karolu! Bez bojaźni, bez wahania i bez żalu mówię ci: Jestem twoja! Kiedy odjeżdżamy?

– Jeśli mamy odjechać, to zaraz. Jutro musimy być po drugiej stronie granicy.

– Jak uciekniemy?

– Mam w Montagnac dwa osiodłane konie. Mam dwa tysiące franków w przekazach na Londyn lub Wiedeń. Dokąd chcesz jechać?

– Będę tam, gdzie i ty będziesz, a gdzie – to jest mi obojętne.

– No, to chodź!

– Za pięć minut. Czy nie za długo, Karolu?

– Dokąd idziesz?

– Chcę pożegnać wiele rzeczy. Chcę wziąć ukochane listy, kilka drogich pamiątek. Za chwilę będę z powrotem.

– Amelio!

– Co?

– Nie chciałbym cię opuszczać. Wydaje mi się, że utracę cię na zawsze, jeśli odejdziesz choć na chwilę. Amelio, pójdę z tobą.

– Chodź! Niechaj nas widzą razem. Jutro będziemy daleko. Chodź!

Młodzieniec wyskoczył z łodzi i oboje pobiegli do domu.

Na ganku Karol zatrzymał się.

– Idź – rzekł do niej – sama. Zaczekam tutaj. Idź i wracaj zaraz.

Amelia odpowiedziała mu na to pocałunkiem, po czym szybko wbiegła po schodach do swego pokoju. Zabrawszy kilka najdroższych sercu rzeczy, uklękła przed wizerunkiem Chrystusa.

Karol zaczął wołać.

Zbiegła szybko ze schodów.

Karol stał wciąż na ganku, ale pochylony, wsłuchiwał się w odległy hałas.

– Co to takiego? – zapytała Amelia, chwytając go za rękę.

– Słuchaj, słuchaj!

Amelii zdawało się, że słyszy odgłosy strzałów od strony Ceyzeriat.

– Ach! – zawołał Morgan. – Miałem rację, żeby nie wierzyć swemu szczęściu aż do ostatniej chwili! Moi przyjaciele biją się! Żegnaj! Żegnaj!

– Jak to! Żegnaj? – krzyknęła Amelia, blednąc – opuszczasz mnie?

Strzelanina była coraz donioślejsza.

– Czyż nie słyszysz? Oni się biją, a ja nie jestem z nimi!

Amelia, córka i siostra żołnierza, zrozumiała i nie opierała się dłużej.

– Idź – rzekła, opuszczając ręce – miałeś słuszność, jesteśmy zgubieni!

Młody człowiek uścisnął dziewczynę i pomknął w kierunku Ceyzeriat.

Amelia upadła na kolana, ręce wyciągnęła za Morganem, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Morgan tymczasem znikł, jak cień wśród starych drzew parku.

# Odwet Rolanda

Roland zapoznał kapitana żandarmerii z podziemnym przejściem od kościoła w Brou do groty w Ceyzeriat.

O godzinie dziewiątej wieczorem kapitan z osiemnastoma ludźmi miał zejść do grobów książąt sabaudzkich i bagnetami zagrodzić wyjście z kamieniołomów.

Roland na czele dwudziestu dragonów miał otoczyć lasek i posuwać się tak, aby oba skrzydła obławy zeszły się koło groty w Ceyzeriat.

Wiadomość o zwolnieniu towarzyszy Jehudy ze służby przyszła jednocześnie z Mitawy i z Bretanii. Każdy z nich poczuł się wolny.

Toteż zebrali się wszyscy w grocie Ceyzeriat, by świętować. O północy zamierzali się rozejść. Każdy na swoją rękę miał wyjechać z kraju. Sprawili sobie pożegnalną ucztę, nie wiedząc, gdzie i czy w ogóle spotkają się po przekroczeniu granicy Francji.

Biesiadowali, gdy doszedł ich odgłos strzału.

Zerwali się, jak porażeni.

Rozległ się drugi strzał.

Potem z głębi korytarza ktoś krzyknął:

– Do broni!...

I wszyscy chwycili za broń.

Wśród głębokiej ciszy słychać było szybko zbliżające się kroki; wkrótce w świetle pochodni zjawił się jakiś człowiek.

– Do broni! – zawołał. – Atakują nas!

– Gdzie Morgan? – odezwało się dwadzieścia głosów.

– Nieobecny! – odparł Montbar. – Więc ja dowodzę! Zgasić ognie i cofać się do kościoła. Bitwa jest bezcelowa. Nie ma sensu przelewać krwi.

Usłuchano szybko rozkazu. Montbar, który znał labirynty podziemia, poprowadził ich w głąb kamieniołomu.

Wtem zdało mu się, że słyszy przed sobą cichą komendę i szczęk nabijanej broni.

Wyciągnął rękę i szeptem zakomenderował: „Stój!”

W tejże chwili wyraźnie usłyszeli komendę: „Pal!”

Zaledwie padła komenda, w podziemiu błysnął ogień i rozległ się huk wystrzałów.

– „Ognia!” – zakomenderował Montbar. Odezwało się siedem, może osiem strzelb. I znowu na chwilę błysk oświetlił ciemności. Dwóch towarzyszy Jehudy leżało na ziemi: jeden zginął, drugi został śmiertelnie ranny.

– Odwrót odcięty – rzekł Montbar. – Próbujmy od strony lasku.

Oddziałek wykonał zwrot z wojskową precyzją.

Żandarmi dali ognia po raz drugi.

Nikt nie odpowiedział: ci, którzy strzelali, nabijali broń; inni zachowywali ładunki na trudniejszą walkę, która miała się rozegrać u wejścia do groty.

Jęki kolegów świadczyły, że i po drugiej salwie żandarmów nie obeszło się bez ofiar.

Po pięciu minutach Montbar stanął.

– Czy wszystkie strzelby nabite? – zapytał..

– Wszystkie – odpowiedziano mu.

– Pamiętacie, jak zeznawać, jeśli wpadniemy w ręce sprawiedliwości? „Należymy do bandy pana de Teyssonneta. Przybyliśmy tu werbować ludzi dla sprawy monarchii; nic nie wiemy o napadach na karetki i dyliżanse pocztowe".

– Pamiętamy.

– W obu przypadkach czeka nas śmierć; ale w pierwszym będzie to śmierć żołnierzy, w drugim – złodziei; rozstrzelanie albo gilotyna.

– A co to rozstrzelanie – odezwał się ktoś – wiemy o tym dobrze. Niech żyje strzelanina!

– Naprzód, przyjaciele! – zawołał Montbar. – Sprzedajmy drogo nasze życie.

– Naprzód! — powtórzyli towarzysze. I mały oddziałek, prowadzony przez Montbara, ruszył. W miarę, jak się posuwali, Montbara coraz bardziej niepokoił snujący się dym.

– Zdaje mi się, że te łotry chcą nas wykurzyć – zauważył.

– Może myślą, że mają do czynienia z lisami?

– Och, zobaczą po naszych pazurach, że jesteśmy lwami.

Dym był coraz gęstszy, blask coraz żywszy.

Doszli do ostatniego zakrętu.

Kilkadziesiąt kroków przed wejściem do jaskini podpalono stos drzewa, aby oświetlić jej wnętrze.

W świetle płomieni widać było błyszczącą broń dragonów.

Dziesięć kroków przed nimi stał Roland, oparty o karabin. Odsłonięty, przed płonącym ogniem, stanowił wyborny cel.

To jednak, co go miało zgubić, zbawiło go.

Montbar poznał oficera i cofnął się.

– Roland de Montrevel! – wyszeptał. – Pamiętajcie o prośbie Morgana.

– Dobrze – odparli towarzysze.

– A teraz umrzyjmy – krzyknął Montbar – ale zabijajmy!

Pierwszy wbiegł w krąg światła i strzelił do dragonów. Ci odpowiedzieli mu salwą.

Trudno opisać, co potem działo się w grocie: wypełnił ją dym, który rozpraszały tylko strzały. Oba oddziały zwarły się. Dobyto pistoletów i sztyletów. Na odgłos bitwy nadbiegli żandarmi. Nie mogli jednak strzelać, gdyż trudno było odróżnić wrogów od przyjaciół.

Zdawało się, że demony biorą udział w tym boju. Widać było stłoczone grupy, walczące w tej atmosferze dymu i ognia. Wściekłe wrzaski mieszały się z okrzykami umierających.

Zostający przy życiu szukali nowych ofiar i rzucali się w wir bitwy.

Rzeź trwała piętnaście, może dwadzieścia minut.

Po upływie tych dwudziestu minut grota usłana była dwudziestoma trupami.

Padło trzynastu żandarmów i dragonów oraz dziewięciu towarzyszy Jehudy.

Pięciu z nich, z niezliczonymi ranami, zmożonych przeważającą liczbą nieprzyjaciół, dostało się do niewoli.

Kapitan żandarmów miał strzaskane prawe ramię, pułkownikowi dragonów kula przeszyła biodro.

Tylko Roland, oblany cudzą krwią, nie odniósł żadnych obrażeń.

Dwóch jeńców było tak ciężko rannych, że trzeba było wziąć ich pod ramiona.

W chwili, gdy wychodzili z lasu na gościniec, rozległ się tętent konia.

– Idźcie dalej – rzekł Roland – ja sprawdzę co to za jeździec. Przygotował karabin do strzału.

– Stój! – krzyknął. – Kim jesteś?

– Jeszcze jednym jeńcem, panie de Montrevel – odpowiedział jeździec. – Nie mogłem wziąć udziału w bitwie, chcę przynajmniej zginąć z nimi na szafocie. Gdzie moi towarzysze?

– Tam, panie – odparł Roland, poznając młodego człowieka po głosie. I wskazał dłonią eskortowaną grupę.

– Jestem szczęśliwy, widząc, że nic się panu nie stało, panie de Montrevel – rzekł młodzieniec. – Jestem bardzo szczęśliwy, zapewniam pana.

I dawszy ostrogę, w kilku skokach znalazł się przy żandarmach i dragonach.

– Przepraszam panów – odezwał się, zsiadając z konia – proszę o miejsce dla mnie wśród moich towarzyszy, wicehrabiego de Jayata, hrabiego de Valensolle'a i markiza de Ribiera.

Trzej więźniowie wydali okrzyk podziwu i wyciągnęli ręce do przyjaciela.

Dwaj ranni unieśli się na nogach i wyszeptali:

– Pięknie, Sainte-Hermine... pięknie!

– Zdaje mi się – wykrzyknął Roland – że d bandyci do końca będą zachowywać się wspaniale!

# Cadoudal w Tuileries

Nazajutrz po opisanych wypadkach dwóch ludzi przemierzało wielką salę w pałacu Tuileries, rozmawiając z ożywieniem.

Byli to: pierwszy konsul Bonaparte i Jerzy Cadoudal.

Cadoudal, z powodu nieszczęść, jakie mogłyby spaść na Bretanię w razie dalszego oporu, podpisał pokój z Brunem.

Po jego podpisaniu, zwolnił z przysięgi towarzyszy Jehudy. Niestety, jego rozkaz dotarł o dzień za późno. Układając się z Brunem, Cadoudal zastrzegł sobie tylko natychmiastowy wyjazd do Anglii. Za namową Brune'a, przystał jeszcze na rozmowę z pierwszym konsulem i pojechał do Paryża. Gdy wprowadzono Cadoudala do gabinetu pierwszego konsula, ten zawołał żywo:

– Ach! nareszcie pana widzę. Rad jestem pana widzieć. Jeden z pańskich nieprzyjaciół, mój adiutant Roland de Montrevel, opowiadał mi dużo dobrego o panu.

– Nie dziwię się – odparł Cadoudal. – Dostrzegłem w nim dużo rycerskości.

– Posłuchaj, generale – rzekł Bonaparte, patrząc jak jastrząb na generała rojalistów – szukam energicznego człowieka dla pewnej sprawy. Czy chcesz być ze mną? Ofiarowałem ci stopień pułkownika. Lecz to za mało: ofiarowuję ci stopień generała dywizji.

– Dziękuję z głębi serca, obywatelu pierwszy konsulu – odparł Cadoudal. – Ale gardziłbyś mną, gdybym przyjął tę nominację.

– Dlaczego? – zapytał żywo Bonaparte.

– Gdyż przysięgałem domowi Burbonów; zostanę mu wierny, mimo wszystko.

– Czy nie ma sposobu, abym mógł pana sobie zjednać?

– Generale – odparł Cadoudal – czy mogę powtórzyć, co mi mówiono?

– Dlaczego nie?

– To dotyczy najgłębszych tajników polityki.

– Pewnie jakaś bajka – rzekł pierwszy konsul z niespokojnym uśmiechem.

– Mówią, że w Aleksandrii stanął układ pomiędzy panem a komodorem Sidney'em-Smithem, na mocy którego miał panu pozostawić wolny powrót do Francji z warunkiem, który pan przyjął, przywrócenia tronu naszych dawnych królów.

Bonaparte wybuchnął śmiechem.

– Jacyście wy dziwni, wy, plebejusze – odezwał się – z waszym przywiązaniem do waszych dawnych królów! Przypuśćmy, że przywrócę ten tron – o czym zresztą wcale nie myślę – cóż wam z tego przyjdzie, wam, którzy przelewaliście krew za ten tron? Nawet nie

uzyskasz, generale, potwierdzenia stopnia, który sobie zdobyłeś! Czy widziałeś w armii królewskiej pułkownika nie-szlachcica? Czy słyszałeś, żeby się przy tych ludziach ktokolwiek wybił dzięki własnym zasługom? Tymczasem przy mnie, Jerzy, możesz dojść do wszystkiego, gdyż im wyżej ja pójdę, tym wyżej wyniosę z sobą tych, którzy są przy mnie. Nie liczcie na to, że odegram rolę Monka. Monk żył w wieku przesądów, które obaliliśmy i zwalczyliśmy w 1789 r. Monk chciał być królem, ale nie mógł. Został tylko dyktatorem. Na to trzeba było być Cromwellem. Ryszard temu nie podołał. Był on prawdziwym synem wielkiego człowieka, a więc głupcem. Gdybym chciał zostać królem, nic by mi nie przeszkodziło, jeśli jeszcze kiedykolwiek zechcę – nic mi nie przeszkodzi. Czy możesz mi na to odpowiedzieć? Odpowiadaj.

– Mówisz, obywatelu pierwszy konsulu, że położenie Francji w 1800 r. nie jest takie samo, jakie było w Anglii w 1660 r. Ja nie widzę żadnej różnicy. Karol I został ścięty w 1649 r. Ludwik XVI – w 1793 r. Jedenaście lat upłynęło w Anglii od śmierci ojca do powrotu syna na tron; już siedem lat minęło we Francji od śmierci Ludwika XVI... Może powiesz, generale, że rewolucja angielska miała charakter rewolucji religijnej, gdy rewolucja francuska jest polityczna; odpowiem na to, że równie łatwo dać kartę swobód, jak ją odwołać.

Bonaparte uśmiechnął się.

– Nie – odparł – tego nie powiem. Powiem tylko to: Cromwell miał 50 lat, gdy ścięto Karola I; ja miałem 24 lata, gdy ścięto Ludwika XVI. Cromwell umarł w 1658 r., w pięćdziesiątym dziewiątym roku życia. W ciągu dziesięciu lat władzy mógł próbować wiele, a zrobić mało. Zresztą on zamierzał dokonać reformy całkowitej, reformy politycznej przez ustanowienie rządu republikańskiego na miejscu monarchii. Dajcie mi tylko tyle lat życia, ile przeżył Cromwell, 59 lat. Miałbym przed sobą dwa razy tyle czasu, co Cromwell. Zważ tylko, że nic nie zmieniam, lecz rozwijam dalej; nic nie obalam, lecz buduję. Przypuśćmy, że w trzydziestym roku życia Cezar nie byłby pierwszym rozpustnikiem w Rzymie, lecz pierwszym obywatelem; przypuśćmy, że już odbył kampanię w Galii i w Egipcie i że kampanię w Hiszpanii zakończył pomyślnie; przypuśćmy, że miał 30 lat, a nie 50: czy, sądzisz, że nie mógłby być i Cezarem, i Augustem?

– Tak, gdyby nie spotkał na swej drodze Brutusa, Kasjusza i Kaski.

– Więc moi wrogowie liczą na morderstwo! No, to rzecz łatwa, choćby dla pana pierwszego. Bo i cóż panu przeszkadza, skoro podzielasz przekonania Brutusa, zadać mi cios, jak on zadał Cezarowi? Jestem sam. Drzwi zamknięte. Możesz dopaść mnie, zanim dopadną ciebie.

Cadoudal cofnął się.

– Nie – rzekł. – Nie liczymy wcale na morderstwo. Sądzę, że tylko jakaś ostateczność skłoniłaby nas do skrytobójstwa. Ale losy wojny są zmienne. Pierwsza nieudana – a tracisz generale swój urok; porażka może wprowadzić wrogów w samo serce Francji; z granicy Prowansji widać ognie obozu austriackiego; kula armatnia może ci urwać głowę, jak marszałkowi de Berwick. A wtedy cóż się stanie z Francją? Nie masz dzieci, a bracia twoi...

– Pod tym względem masz rację; ale ja wierzę w Opatrzność. Wierzę, że nic nie robi ona na ślepo. Skoro pozwoliła, aby 15 sierpnia 1769 r., to jest w rok po wydaniu edyktu, przyłączającego Korsykę do Francji, narodził się w Ajaccio chłopiec, który dokonał 13 vandémiaire'a i 18 brumaire'a, to miała ona wielkie plany wobec tego chłopca. Tym chłopcem jestem ja. Jeśli mam przed sobą jaką misję – nie obawiam się niczego; ona jest moją tarczą. Jeśli tej misji nie mam, jeśli się mylę –jeśli zamiast żyć jeszcze 25 lub 35 lat, otrzymam pchnięcie sztyletem lub jeśli kula urwie mi głowę – no, to widać Opatrzność mieć będzie powody do tego i ona wskaże Francji drogę... Mówiliśmy przed chwilą o Cezarze. Kiedy cały Rzym szedł za jego zwłokami, spalono domy jego zabójców. Gdy wieczne miasto rozglądało się na cztery strony świata, wypatrując, skąd przyjść może geniusz, który by położył kres wojnom domowym, gdy drżało na widok pijaka Antoniusza lub hipokryty Lepida, nie

myślało ono wcale o wychowanku Appoloniusza, o siostrzeńcu Cezara, o młodym Oktawianie. Bo i któż myślał o tym synu bankiera z Velletri? Kto go przejrzał, gdy przyszedł, mrugając oczyma, aby dokonać przeglądu starych band Cezara? Nawet przenikliwy Cicero mówił: Ornandum et tollendum. No i co? Ten dzieciak podszedł senat i panował prawie tak długo, jak Ludwik XIV! Jerzy, Jerzy! nie walcz z Opatrznością, gdyż ona cię zmiażdży.

– To zginę, ale idąc drogą mych ojców i zachowując ich religię – odparł Cadoudal. – Mam nadzieję, że Bóg wybaczy mi błąd, który będzie błędem gorącego chrześcijanina i dobrego syna.

Bonaparte położył rękę na ramieniu młodego naczelnika.

– Niech i tak będzie – rzekł – ale przynajmniej pozostań neutralny. Pozwól, niech się spełni to, co się spełnia; patrz, jak będą padały trony i korony. Zazwyczaj płacą widzowie; ja zapłacę tobie, żebyś mógł zobaczyć, co się stanie.

– A ile mi dasz, obywatelu pierwszy konsulu? – zapytał ze śmiechem Cadoudal.

– Sto tysięcy franków rocznie.

– Jeśli dajesz sto tysięcy dowódcy buntowników, to ile dasz królowi, za którego on walczył?

– Nic. Wynagradzam w tobie odwagę, a nie zasady, w imię których działasz. Chcę pokazać ci, że dla mnie ludzie istnieją tylko przez swe czyny. Przyjmij to, proszę cię.

– A jeśli odmówię?

– Popełnisz błąd.

– Czy będę mógł pójść, dokąd zechcę?

Bonaparte podszedł ku drzwiom i otworzył je.

– Adiutant dyżurny! – zawołał.

Spodziewał się, że wejdzie Rapp. Zobaczył Rolanda.

– Ach, to ty?

A zwracając się do Cadoudala, rzekł:

– Nie potrzebuję ci, pułkowniku, przedstawiać mego adiutanta Rolanda de Montrevel: to twój znajomy. – Rolandzie, powiedz pułkownikowi, że jest tak samo wolny w Paryżu, jak w swoim obozie pod Muzillac i że, jeśli chce paszportu dokądkolwiek, to Fouché wyda mu go.

– Twoje słowo, obywatelu pierwszy konsulu, wystarcza mi – odparł Cadoudal. – Dziś wieczorem odjeżdżam.

– Czy mogę zapytać, dokąd?

– Do Londynu, generale.

– Tym lepiej.

– Dlaczego tym lepiej?

– Bo tam zobaczysz z bliska ludzi, dla których się biłeś.

– No i cóż?

– Porównasz ich z tymi, przeciw którym walczyłeś... Lecz skoro raz opuścisz Francję, pułkowniku...

Bonaparte zatrzymał się.

– Słucham – rzekł Cadoudal.

– To nie wracaj bez zawiadomienia mnie o tym; inaczej nie dziw się, jeśli będziesz traktowany jak nieprzyjaciel.

–Będzie to dla mnie zaszczyt, generale, gdyż dowiedziesz w ten sposób, że jestem człowiekiem, którego trzeba się bać.

Z tymi słowy Jerzy skłonił się i wyszedł.

– Miałem chyba rację. – rzekł Roland. – Jest taki, jakim go przedstawiłem.

– Tak – odparł Bonaparte zamyślony. – Tylko źle bierze rzeczy; ale jego zasady płyną z uczuć szlachetnych, które muszą mu zapewniać wielki wpływ wśród swoich.

A potem dodał po cichu:

– Jednak trzeba z nim raz skończyć.

Po czym, zwracając się do Rolanda, zapytał:

– A cóż ty?

– Ja? Skończyłem.

– Tak! Więc towarzysze Jehudy...?

– Już nie istnieją, generale. Trzy czwarte zginęło, reszta w niewoli.

– A ty zdrów i cały?

– Nie mów mi tego, generale. Zaczynam wierzyć, że nieświadomie zawarłem pakt z diabłem.

Wieczorem tego dnia Cadoudal odjechał do Anglii.

Dowiedziawszy się, że dowódca Bretończyków przybył szczęśliwie do Londynu, Ludwik XVIII napisał doń:

„Dowiedziałem się z wielką radością, generale, że nareszcie wyrwałeś się z rąk tyrana, który do tego stopnia nie poznał się na tobie, że ci zaproponował służbę u siebie. Bolałem nad nieszczęśliwymi okolicznościami, z powodu których musiałeś z nim pertraktować. Lecz ani na chwilę nie miałem wątpliwości: znam za dobrze serca moich wiernych Bretończyków, a twoje w szczególności. Dziś jesteś wolny, jesteś przy boku mego brata. Cała nadzieja we mnie odżywa. Nie mam nic więcej do powiedzenia takiemu, jak ty, Francuzowi.

Ludwik”.

Do listu dołączona była nominacja na generała-porucznika i Wielki Sznur Św. Ludwika.

# Armia rezerwowa

Pierwszy konsul osiągnął to, czego pragnął: towarzysze Jehudy zostali zniesieni, Wandea uspokojona.

Proponując Anglii pokój, chciał jednak wojny. Rozumiał dobrze, że zrodzony z wojny, mógł rosnąć tylko dzięki wojnie.

Ale jak tę wojnę wypowiedzieć?

Jeden z artykułów konstytucji z roku VIII nie pozwalał, aby pierwszy konsul osobiście dowodził armią i opuszczał Francję.

Każda konstytucja zawiera jeden artykuł bezsensowny.

Ale pierwszy konsul znalazł i na to sposób.

Założył obóz w Dijon. Armia mająca stać w tym obozie, miała otrzymać nazwę armii rezerwowej. Jej dowódcą został generał Berthier.

Bonaparte chciał podbić Włochy w jednej bitwie, jedną wielką wygraną.

Jak ta armia miała dostać się do Włoch?

Powziął myśl zaskoczenia Austriaków. Chciał runąć w dolinę Piemontu, zanim nieprzyjaciel dowiedziałby się, iż przeszedł Alpy.

Postanowił tedy przejść przez górę Św. Bernarda.

W tym celu wysłał 50000 franków zakonnikom klasztoru, aby mogli zebrać zapasy potrzebne dla 50-tysięcznej armii na jednodniowy postój.

W rezultacie pod koniec kwietnia wysłał artylerię do Lozanny, Villeneuve, Martigny i Saint-Pierre.

Lannes wyruszył naprzód z całą dywizją, przeszedł przez górę Św. Bernarda bez artylerii i taborów, i zajął Châtillon.

Austriacy zostawili w Piemoncie tylko straże przy magazynach i małe oddziałki obserwacyjne. Pozostawało tylko uporać się z przyrodą.

Rozpoczęto operację.

Działa przeciągano w wydrążonych pniach drzew.

Pierwszy konsul u podnóża góry dawał znak odjazdu dla każdego działa.

Tak wojsko doszło do lodowców; ludzie dostali nowe buty. Zjedli suchary, łyknęli wody z manierek i ruszyli dalej.

W końcu dotarli do wiecznych śniegów.

Tam praca była łatwiejsza. Drzewo ślizgało się po śniegu i można było iść prędzej.

Dotarli do góry, na której stał klasztor.

Po jednodniowym odpoczynku ruszyli dalej; zejście wydawało się łatwiejsze. Toteż oficerowie oświadczyli,, że pomogą ciągnąć armaty. Ale tym razem działa zsuwały się akurat prędzej, niż chciano.

Generał Lannes szedł wciąż w awangardzie; dotarł do Aoste i tam otrzymał rozkaz pójścia na Ivréę u wejścia do doliny Piemontu.

Lecz tam natknął się na nie przewidzianą przeszkodę – na fort w Bard.

Wioska Bard leży osiem mil od Aoste. Idąc drogą do Ivréi, dochodzi się do wzgórka, który szczelnie zamyka dolinę. Pomiędzy tym wzgórkiem a masywem górskim po prawej stronie płynie rzeczka Doire, wypełniająca przestrzeń.

Po lewej stronie prowadzi przez góry droga. W tym miejscu znajduje się fort w Bard.

Bonaparte postawił na drodze dwa działa i zaczął strzelać do fortecy, ale bez skutku. Pocisk z fortu natomiast rozbił jedno z dział.

Pierwszy konsul dał rozkaz do ataku, który trzeba było przeprowadzić szybko i cicho. Lecz pułkownik Dufour dowodzący jedną z kolumn, kazał bić w bębny i śmiało ruszył naprzód. Oczywiście został odrzucony, i sam przeszyty kulą na wylot.

Potem wybrano najlepszych strzelców. Ci wczołgali się pomiędzy skałami na platformę, znajdującą się nad fortem. Na inną, jeszcze wyżej, wciągnięto dwie armaty i z dwóch stron ostrzeliwano fort.

Wreszcie generał Marmont przedstawił projekt, którego nie przewidział nawet nieprzyjaciel.

Chodziło po prostu o przejście artylerii w nocy drogą tuż koło fortu.

Rozrzucono na drodze wełnę, wszystkie materace, jakie znaleziono we wsi; następnie obwiązano koła armat, łańcuchy i wszystko, co mogło brzęczeć, skręconymi z siana powrósłami. Potem odczepiono przodki od tylnych kół, wyprzężono konie i każdą część ciągnęło po 50 ludzi.

Generał Marmont, projektodawca, sam poprowadził pierwsze działo.

Na szczęście, dzięki burzy, noc była ciemna.

Pierwsze sześć dział minęło fort szczęśliwie.

Gdy przeciągano drugą partię, nieprzyjaciel spostrzegł się i otworzył straszny ogień, ale strzały, oddawane z dużej wysokości i prawie pionowo, robiły więcej huku niż szkody.

Stracono pięciu do sześciu ludzi na każde działo, ale artyleria przeszła. Losy kampanii zostały rozstrzygnięte.

Francuzi znaleźli się we wspaniałej dolinie Piemontu.

Nad Tessinem spotkano 12-tysięczny korpus z armii nadreńskiej, przyprowadzony przez Moreau. Bonaparte, wsparty przez ten korpus, wkroczył bez strzału do Mediolanu.

Wyruszywszy 6 maja z Paryża, pod pretekstem wyjazdu na 15 dni do Dijon, by dokonać przeglądu armii rezerwowej, pierwszy konsul 26 maja obozował pomiędzy Turynem a Casal. Tego dnia po silnej ulewie nastał pogodny wieczór.

Pierwszy konsul dał znak Rolandowi, aby szedł za nim. Wyszli obaj z małej mieściny Chivasso i spacerowali na brzegiem rzeki. Sto kroków od ostatniego domu usiedli na złamanym przez burzę drzewie.

Jakiś czas panowało milczenie; pierwszy przerwał je Bonaparte.

– Czy przypominasz sobie, Rolandzie – rzekł –jedną z naszych rozmów w Luksemburgu?

– Generale – odparł Roland ze śmiechem – dużo rozmów prowadziliśmy w Luksemburgu; w jednej z nich zapowiedziałeś, że pójdziemy do Włoch na wiosnę, i że pobijemy generała Mélasa w Torre di Garofolo albo w San-Giuliano. Czy tak ma być?

– Tak; ale nie o tej rozmowie chciałem mówić.

– Przypomnij mi, generale.

– Mówiliśmy o małżeństwie.

– Ach, tak. O małżeństwie mojej siostry.

– Nie twej siostry, lecz twoim.

– Masz tobie! – rzekł Roland z gorzkim uśmiechem. – Myślałem, że tej sprawy nie będziemy już poruszali.

I chciał wstać, ale Bonaparte przytrzymał go za rękę.

– Czy wiedziałeś kogo miałem na myśli, gdy o tym rozmawialiśmy?

– Nie, generale.

– Przeznaczałem ci moją siostrę Karolinę.

– Twoją siostrę, generale?

– Tak; czy to cię dziwi?

– Nigdy nie przypuszczałem, że mógł mnie spotkać taki zaszczyt.

– Jesteś niewdzięczny, Rolandzie; wiesz, że cię lubię.

– Och, generale! – zawołał Roland.

– Otóż chciałem cię mieć za szwagra.

– Twoja siostra, generale, i Murat kochają się – rzekł Roland. – Może dobrze się stało, że ten zamysł nie doszedł do skutku. Zresztą, nigdy się nie ożenię.

Bonaparte uśmiechnął się.

– Powiedz lepiej, że zostaniesz trapistą.

– Doprawdy, generale, przywróć tylko klasztory i nie dawaj mi okazji do znalezienia śmierci, a przekonasz się, iż odgadłeś, gdzie skończę.

– Co, pewnie jakieś rozczarowanie w miłości, jakaś niewierność kobiety?

– Czyż sądzisz, generale – rzekł Roland – że jestem zakochany? Wygląda na to, że mnie nie znasz i niewłaściwie oceniasz.

– Nie możesz skarżyć się na sposób w jaki cię traktuję, ty, któremu chciałem dać swoją siostrę.

– Tak, ale rzecz jest niemożliwa. Trzy siostry wydałeś już, generale, za mąż. Najmłodsza wyszła za generała Leclerca, druga – za księcia Bacciocchiego, a najstarsza za Murata.

– Słowem, jesteś kontent... uwolniłeś się od związków pokrewieństwa ze mną.

– Ależ, generale!... – zawołał Roland.

– Nie jesteś, zdaje się, ambitny?

– Generale! Pozwól się kochać za łaskę, którą mi wyświadczyłeś, i za tę, którą chcesz mi zrobić.

– A gdybym tak chciał przez egoizm przywiązać cię do siebie nie tylko więzami przyjaźni ale i pokrewieństwa? A gdybym ci powiedział, że w moich przyszłych planach mało liczyć mogę na braci, gdy w ciebie nigdy nie zwątpię?

– Pod względem uczuciowym będziesz miał rację, generale.

– Pod każdym względem! Co mam robić z Leclerciem? To człowiek przeciętny. Bacciocchi nie jest Francuzem. Murat – lwie serce, ale głowa wariacka. A jednak muszę ich kiedyś zrobić książętami, gdyż są mężami moich sióstr. Czym zrobię wtedy ciebie?

– Marszałkiem Francji.

– A potem?

– Jak to potem? Uważam, że i to dużo.

– Ale będziesz dwunastą częścią, zamiast być całością.

– Pozwól mi być, generale, po prostu przyjacielem; pozwól, że ci zawsze będę mówił prawdę, a tym wyróżnisz mnie z tłumu.

– Tobie, być może, to wystarczy, ale nie mnie – odparł Bonaparte.

A gdy Roland milczał:

– Nie mam więcej sióstr – rzekł – to prawda. Ale marzyłem dla ciebie o czymś lepszym niż zaszczyt bycia moim bratem.

Roland wciąż milczał.

– Jest na świecie, Rolandzie, śliczne dziecko, które kocham, jak swą córkę. Skończyła teraz 17 lat. Ty masz 26 lat, jesteś generałem brygady; przed końcem kampanii będziesz generałem dywizji. Po skończonej kampanii powrócimy do Paryża i poślubisz...

– Generale – przerwał Roland – zdaje mi się, że Bourrienne nas szuka.

W istocie, sekretarz pierwszego konsula był o dwa kroki od nich.

– Czy to ty, Bourrienne? – zapytał Bonaparte z niecierpliwością w głosie.

– Tak, generale... Kurier z Francji.

– Ach!

– List od pani Bonaparte.

– Dobrze – rzekł pierwszy konsul, wstając żywo. – Dawaj.

I wyrwał mu prawie list z rąk.

– A do mnie? – zapytał Roland.

– Nic.

– To dziwne – rzekł młody człowiek w zamyśleniu.

Księżyc świecił tak jasno, że Bonaparte mógł czytać.

Po przeczytaniu sposępniał i spojrzał ukradkiem na Rolanda.

– Zdaje mi się – odezwał się Roland – że jest o mnie mowa w liście.

Bonaparte nic nie odpowiedział, schował list do bocznej kieszeni. Potem zwrócił się do Bourrienne'a:

– Wracamy. Pewnie wyślę kuriera. Idź, czekaj na mnie i przygotuj pióro.

Bourrienne ukłonił się i powrócił do miasta.

Bonaparte zbliżył się do Rolanda i, kładąc mu ręce na ramionach, rzekł:

– Nie mam szczęścia do małżeństw, które układam.

– Jak to? – zapytał Roland.

– Małżeństwo twojej siostry nie dochodzi do skutku.

– Czy odmówiła?

– Nie, nie ona.

– Co? Więc lord Tanlay?

– Tak.

– Odmówił po tym, gdy prosił o jej rękę mnie, matkę, ciebie, generale, i wreszcie ją samą?

– Nie unoś się tylko, lecz zrozum, że jest w tym jakaś tajemnica.

– Tajemnicy nie widzę, widzę tylko zniewagę.

– Ach tak! Rozumiem teraz, dlaczego ani matka, ani siostra nie chciały o tym pisać do ciebie. Ale Józefina sądziła, że sprawa jest ważna i że musisz o niej wiedzieć. Donosi o tym, z prośbą abym ci zakomunikował, jeśli uznam za właściwe. Widzisz, że się nie wahałem.

– Dziękuję szczerze, generale... Czy lord Tanlay podaje powody swego kroku?

– Podaje powód, który nie jest prawdziwy.

– Jaki?

– To nie może być istotną przyczyną.

– Ale co? Cóż mówi?

– Że twoja siostra jest o wiele mniej zamożna niż przypuszczał.

Roland wybuchnął śmiechem, znamionującym silne wzburzenie.

– O tym przecież – odezwał się – uprzedziłem go z góry.

– O czym?

– Że moja siostra nie ma ani grosza.

– Cóż ci odpowiedział?

– Że ma majątek, który wystarczy dla dwojga.

– Widzisz zatem, że ten powód nie jest prawdziwą przyczyną odmowy.

– Czy sądzisz, generale, że twój adiutant może przyjąć taką zniewagę bez wyjaśnień?

– W tego rodzaju sprawach, kochany Rolandzie, osoba, czująca się obrażoną sama przyczynia się do kłopotów.

– Generale, za ile dni może dojść do decydującej bitwy?

Bonaparte liczył.

– Nie wcześniej, jak za dwa albo trzy tygodnie – odpowiedział.

– Więc proszę cię, generale, o dwutygodniowy urlop.

– Pod warunkiem.

– Jakim?

– Że pojedziesz przez Bourg i porozmawiasz z siostrą, aby dowiedzieć się, która strona właściwie zerwała.

– Taki właśnie miałem zamiar.

– No, nie trać ani chwili... Poczekaj. Weźmiesz moje depesze do Paryża?

– No, to chodźmy.

– Poczekaj jeszcze. Młodzi ludzie, których schwytałeś...

– Towarzysze Jehudy?

– Tak... Otóż zdaje się, że wszyscy należą do rodzin szlacheckich. To są raczej fanatycy, niż przestępcy. Podobno twoja matka, ofiara jakiejś niespodzianki sądowej, świadczyła w ich sprawie i jej zeznania przyczyniły się do skazania ich.

– To możliwe. Przecież to oni napadli na matkę; ona dostrzegła twarz ich przywódcy.

– Otóż twoja matka błaga mnie za pośrednictwem Józefiny o ułaskawienie tych narwańców, jak sama ich nazywa. Złożyli apelację. Jeśli uznasz za stosowne, wspomnij w moim imieniu ministrowi sprawiedliwości, aby apelacji nie odrzucał. Gdy wrócisz, pomyślimy nad tym, co należy zrobić ostatecznie.

– Dziękuję, generale. Czy nie masz innych rozkazów?

– Nie, poza tym, żebyś pomyślał o rozmowie, którą przed chwilą prowadziliśmy.

– O czym?

– O twoim małżeństwie.

– Odpowiem tak, jak ty przed chwilą: pogadamy o tym po moim powrocie.

– Na Boga! – odezwał się Bonaparte. – Zabijesz jeszcze i tego, jak zabiłeś innych. Jestem pewien. Ale przyznam ci się, że żałowałbym go.

– Jeśli go tak bardzo żałujesz, generale, mogę zginąć zamiast niego.

– Tylko nie rób głupstw – odezwał się żywo pierwszy konsul. – Ciebie żałowałbym jeszcze bardziej.

– Doprawdy, generale – odparł Roland ze śmiechem – trudno cię zadowolić.

Roland wrócił do Chivasso. Pół godziny później jechał karetką pocztową do Francji.

# Sąd

Młodzi ludzie wzięci do niewoli w grocie Ceyzeriat tylko jedną noc spędzili w więzieniu w Bourgu; nazajutrz przeniesiono ich do Besançon, w którym mieli stanąć przed sądem wojennym.

Pozostało ich tylko czterech. Jeden zmarł bowiem wskutek otrzymanych ran pierwszego dnia po schwytaniu, drugi zaś trzeciego dnia po przybyciu do Besançon.

Przeżyli: Morgan, który oddał się dobrowolnie w ręce policji oraz Montbar, Adler i d'Assas, którzy odnieśli niegroźne rany.

Pod tymi czterema pseudonimami ukrywali się: baron de Saint-Hermine, hrabia de Jayat, wicehrabia de Valensolle i margrabia de Ribier.

Podczas wstępnego śledztwa przestał obowiązywać akt, który poddawał przestępstwa napadów na dyliżanse kompetencji sądów wojennych. Więźniowie mieli stanąć przed trybunałem cywilnym, co miało dla nich znaczenie: sąd wojenny skazałby ich na rozstrzelanie, sąd cywilny – na ścięcie.

Sądzeni mieli być w Bourgu. Pod koniec marca przewieziono ich tam z Besançon.

Oskarżeni sprawiali sędziemu śledczemu niemało kłopotów. Upierali się, że nie należy ich utożsamiać z Morganem, Montbarem, Adlerem i d'Assasem, którzy napadli na dyliżanse.

Przyznali się, że tworzyli oddziały zbrojne, nie rabujące jednak, lecz należące do bandy pana de Teyssonneta i związane z armią w Bretanii; mieli działać na Wschodzie i Południu, armia bretońska zaś – na Zachodzie.

Od pewnego czasu czekali na złożenie broni przez Cadoudala, by zrobić to samo.

Trudno było dowieść im kłamliwości zeznań, gdyż ludzie napadający na dyliżanse byli zawsze zamaskowani i nikt, oprócz pani de Montrevel oraz sir Johna, nie widział twarzy awanturników.

Zarówno pani de Montrevel, jak i sir John zostali skonfrontowani z oskarżonymi; oboje jednak oświadczyli, że ich nie rozpoznają.

O ile postępowanie pani de Montrevel można było zrozumieć, gdyż darzyła ona sympatią człowieka, który uratował Edwarda i przyszedł jej z pomocą, o tyle trudniej było wytłumaczyć milczenie sir Johna, który powinien był zidentyfikować przynajmniej dwóch napastników.

Amelia, rozgorączkowana, z niepokojem oczekiwała powrotu matki i lorda Tanley'a od sędziego śledczego.

Pierwszy wrócił lord Tanley.

– No i cóż? – zapytała, wybiegając na spotkanie.

– Ani ja, ani pani matka nie rozpoznaliśmy nikogo.

– Jest pan szlachetny i dobry, milordzie! – zawołała dziewczyna, usiłując ucałować rękę sir Johna.

Anglik, wyrwawszy się, mówił dalej:

– Postąpiłem tylko zgodnie z naszą umową, zrobiłem, co obiecałem. Ale zdaje mi się, że pani matka nadchodzi. Zachowajmy ostrożność.

Amelia cofnęła się o krok.

– Więc matko rzekła – nie przyczyniłaś się do skompromitowania tych nieszczęśników?

– Czy chciałabyś, abym wysłała na szafot człowieka, który przyszedł mi z pomocą i który mógł zabić Edwarda?

– Ale poznałaś go, matko?

– Doskonale – odrzekła pani de Montrevel – blondyn z czarnymi oczyma i brwiami; nazywa się Karol de Sainte-Hermine.

Amelia wydała stłumiony okrzyk.

– A zatem odezwała się – wszystko już skończone. Nie będą was więcej wzywali?

– Zdaje się, że nie.

– W każdym razie – odezwał się sir John – sądzę, że pani de Montrevel, tak jak i ja nie zmieni zeznań.

– Oczywiście – rzekła pani de Montrevel.

Amelia uspokoiła się.

Spojrzawszy z wdzięcznością na sir Johna, pobiegła do swego pokoju, w którym czekała na nią Karolina.

Karolina była prawdziwą przyjaciółką Amelii.

Od chwili, gdy oskarżeni powrócili do więzienia w Bourgu, Karolina, co dzień spędzała z ojcem godzinę na rozmowie o więźniach, następnie przynosiła wiadomości swojej pani.

W tym czasie, matka z sir Johnem powrócili właśnie do Paryża.

Pierwszy konsul, za pośrednictwem Rolanda i Józefiny, dał do zrozumienia pani de Montrevel, że pragnie, aby małżeństwo zostało zawarte jak najprędzej.

Pani de Montrevel pozwoliła na poufną rozmowę córce z sir Johnem właśnie w dniu, w którym zostali wezwani do złożenia zeznań.

Rozmowa trwała przeszło godzinę. Bezpośrednio po niej, sir John pojechał z panią de Montrevel do sędziego.

Wieczorem tego dnia pani de Montrevel odbyła rozmowę z córką.

Amelia, zasłaniając się złym stanem zdrowia, prosiła o zwłokę w zawarciu małżeństwa.

Nazajutrz, pani de Montrevel musiała powracać do Paryża. Chciała zabrać z sobą Amelię, ale ponieważ chodziło o jej stan zdrowia, zgodziła się pozostawić córkę na wsi.

Razem z nią wyjechał sir John. W czasie podróży ani razu nie wspomniał o małżeństwie, co dziwiło panią de Montrevel.

W Paryżu, pani Bonaparte, już podczas pierwszego spotkania zapytała:

– Kiedy wydajemy za mąż Amelię?

Pani de Montrevel odpowiedziała:

– To zależy tylko od lorda Tanlay'a.

Odpowiedź zastanowiła panią Bonaparte, która nie rozumiała zmiany w zachowaniu Anglika.

Tylko czas mógł wyjaśnić tajemnicę.

A czas mijał.

Więźniów skonfrontowano z wszystkimi podróżnymi, którzy podpisali protokoły o napadach. Żaden z oskarżonych nie został zidentyfikowany.

Zresztą podróżni zeznali, że nie ponieśli strat, nikomu nie zrabowano pieniędzy ani klejnotów.

Śledztwo trwało dwa miesiące. Niewątpliwy był jednak tylko zarzut winy, do której oskarżeni sami się przyznali. Winą zaś było współdziałanie z powstańcami z Bretanii i Wandei oraz bandami pana de Teyssonneta, które grasowały w górach Jury.

Sędziowie odwlekali, jak tylko mogli, rozpoczęcie procesu. Spodziewali się znaleźć nowych świadków. Bezskutecznie. Nikt bowiem oprócz skarbu państwa, nie był poszkodowany.

Domniemania sędziów, przeświadczonych o napadach towarzyszy Jehudy, nie wystarczały. Oskarżeni mieli, poza tym, za sobą sympatię opinii publicznej.

Proces trzeba było rozpocząć.

Oskarżonych przeprowadzono z więzienia do sali sądowej.

Więzienie w Bourgu sąsiadowało z sądem. Przeszli wewnętrznymi korytarzami.

Poruszona publiczność przyglądała się młodzieńcom z zaciekawieniem, a nawet ze współczuciem. Wzbudzali sympatię.

Zapytani o nazwiska, imiona, wiek i miejsce urodzenia, odpowiedzieli:

Karol de Sainte-Hermine, urodzony w Tours, lat 24;

Ludwik-Andrzej de Jayat, urodzony w Bagé-le-Château, lat 29;

Raul Fryderyk de Valensolle, urodzony w Sainte-Colombe, lat 27;

Piotr-Hektor de Ribier, urodzony w Bollène, lat 26.

Zapytani o stan i pochodzenie odparli, że są szlachcicami i rojalistami.

Wspaniale wyglądała ta grupa czterech młodych ludzi. Bronili się przed gilotyną, ale nie przed rozstrzelaniem. Chcieli umrzeć i oświadczyli, że na śmierć zasłużyli. Chcieli jednak umrzeć, jak żołnierze.

Sędziowie zaś rozumieli, że oskarżeni o bunt zbrojny, wobec podbicia Wandei i uspokojenia się Bretanii, mogliby zostać uwolnieni. Tymczasem nie tego chciał minister policji. Nie wystarczał mu nawet wyrok śmierci. Chciał, by zginęli z piętnem hańby, jak zbrodniarze.

Karolina, obecna na wszystkich posiedzeniach, pocieszała Amelię, rozbudzając jej nadzieje.

Czwartego dnia Amelia nie wytrzymała. Przygotowała stosowny kostium z woalką i razem z Karoliną poszły do sądu.

Ojciec Karoliny, poczciwy stróż więzienny, wtajemniczony we wszystko, udał, że nie poznaje panny de Montrevel. Pozwolił dziewczynom stanąć w korytarzu, wiodącym do sali.

Wkrótce zadźwięczały szable żandarmów. Otworzono drzwi. Najpierw pojawiła się eskorta; za nią więźniowie.

Saint-Hermine szedł pierwszy.

– Karolu! – wyszeptała Amelia.

Więzień poczuł, że ktoś wsuwa mu papier do ręki.

Poznał głos Amelii, uścisnął ukochaną dłoń, wyszeptał jej imię i przeszedł.

Pozostali, idąc za nim, albo nie zauważyli, albo też udali, że nie widzą młodych kobiet.

Morgan, znalazłszy się w jaśniejszym miejscu, rozwinął kartkę:

„Bądź spokojny, Karolu. Jestem i będę ci wierna za życia i po śmierci. Wyznałam wszystko lordowi Tanlay'owi. Jest to najszlachetniejszy człowiek na ziemi. Dał słowo, że zerwie małżeństwo i weźmie na siebie za to odpowiedzialność. Kocham cię!”

Morgan, przeczytawszy liścik, pocałował go i schował. Odwrócił się.

Obie dziewczyny stały w drzwiach. Przypuszczały, że będzie to decydujący dzień rozprawy, o ile nie pojawią się nowi świadkowie. Bez nich oskarżeni nie mogli być skazani. Brakowało dowodów.

Wtem wszedł woźny, zbliżył się do przewodniczącego i przekazał mu po cichu wiadomość.

Zebrani zaniepokoili się. Jedni spoglądali na drugich.

Żandarmi powstali, by odprowadzić oskarżonych z powrotem do celi. Kochankowie podali sobie dłonie.

– Cokolwiek się stanie, dziękuję – rzekł Karol.

Przewodniczący przeszedł do sali narad.

Zastał w niej zawoalowaną kobietę, która przed chwilą wysiadła z powozu i bez możliwości zamienienia z kimkolwiek słowa, wprowadzona została do sądu.

– Pani – rzekł przewodniczący – przepraszam za tę nieco brutalną procedurę, za to, że na mocy przysługującego mi prawa sprowadziłem panią z Paryża. Chodzi jednak o ludzkie życie.

– Nie ma pan za co przepraszać – odparła kobieta. – Oto jestem.

– Pani – rzekł przewodniczący. – Ja i sąd oceniliśmy pani powściągliwość podyktowaną wzniosłym uczuciem w czasie konfrontacji z więźniem, który przyszedł pani z pomocą. Wtedy jeszcze oskarżeni nie przyznawali się do niczego. Teraz, przyznali się już do wszystkiego. Musimy jednak poznać człowieka, który okazał pani szacunek, by polecić go łasce pierwszego konsula.

– Jak to! Przyznali się do wszystkiego?

– Tak, pani; ale nie chcą wskazać tego, który pani pomógł. Być może nie chcą kosztem wykazania sprzeczności swoich zeznań z zeznaniami pani okupywać łaski.

– Czego pan ode mnie żąda?

– Niech pani uratuje tego człowieka.

– Cóż mam zrobić?

– Odpowiedzieć na pytanie, które pani zadam.

– Jestem gotowa.

– Proszę zaczekać chwilę. Zaraz zostanie pani wprowadzona.

Przewodniczący wyszedł. Żandarmi, stojący przy drzwiach, nie wpuszczali nikogo do przybyłej.

Przewodniczący zajął swoje miejsce za stołem.

– Panowie, posiedzenie otwarte.

W sali zawrzało; woźni wezwali do uciszenia się.

Jeden z nich otworzył drzwi do sali narad i poprosił damę w woalce.

Zwróciła uwagę wszystkich obecnych.

Pierwsza dostrzegła ją Amelia.

– Boże! – wyszeptała – Obym się myliła!...

– Pani – rzekł przewodniczący – oskarżeni wejdą na salę. Wskaż tego z nich, który podczas napadu na dyliżans, jadący z Genewy, udzielił ci pomocy.

Znowu zawrzało wśród zgromadzonych. Przeczuwali, że w pytaniu kryje się jakiś podstęp.

Dwie osoby chciały zawołać: „Nie mów!” – ale na znak przewodniczącego woźni krzyknęli groźnie:

– Cicho!

Przejęta Amelia zamarła.

– Wprowadzić oskarżonych – rzekł przewodniczący – a pani niech się zbliży i podniesie woal.

Wezwana usłuchała.

– Moja matka! – jęknęła Amelia.

– Pani de Montrevel! – rozległ się szmer na sali.

Weszli żandarmi, za nimi oskarżeni.

Najpierw szedł Montbar. Pani de Montrevel zaprzeczyła ruchem głowy.

Po nim szedł Adler. Ten sam ruch głowy pani de Montrevel.

Obok Amelii przechodził w tej chwili Morgan.

– Jesteśmy zgubieni! – rzekła Amelia.

Spojrzał na nią zdziwiony; ścisnęła konwulsyjnie jego rękę.

Wszedł.

– To on – rzekła pani de Montrevel, widząc Morgana – albo, jeśli panowie wolicie, to baron Karol de Sainte-Hermine.

Montbar wybuchnął śmiechem.

– Chciałeś być, przyjacielu – rzekł – usłużny wobec dam.

A zwracając się do pani de Montrevel, rzekł:

– Pani! Dwoma słowami ścięłaś cztery głowy.

W przejmującej ciszy słychać było jęk jednej istoty.

– Woźny – rzekł przewodniczący – czy uprzedzono publiczność, że wszelkie oznaki sympatii lub niechęci są zabronione?

Woźny próbował ustalić, kto naruszył majestat wymiaru sprawiedliwości.

Młodą kobietę, w stroju włościanki, wyniesiono do izby stróża więziennego.

Od tej chwili oskarżeni nie próbowali niczemu zaprzeczać.

Cztery głowy miały spaść razem albo razem odzyskać wolność.

Tegoż dnia o godzinie dziesiątej sąd przysięgłych uznał ich winnymi, a izba wydała wyrok śmierci.

W trzy dni potem, na usilne prośby adwokatów, pozwolono złożyć apelację.

Ale skazani z łaski korzystać nie chcieli.

# Amelia dotrzymuje słowa

Wyrok wywarł przygnębiające wrażenie nie tylko w sali sądowej, ale w całym mieście. Było to 6 maja.

Pani de Montrevel zrozpaczona rolą odegraną wbrew swojej woli w dramacie, kończącym się śmiercią, postanowiła wyjechać do Paryża, rzucić się do nóg pierwszego konsula i prosić go o ułaskawienie czterech skazańców.

Odjechała natychmiast, nie żegnając się nawet z Amelią. Bonaparte miał opuścić Paryż w początkach maja.

Córce pozostawiła krótki list, tłumacząc, jak wskutek wybiegu, chcąc uratować oskarżonych, przyczyniła się do ich skazania.

Do Paryża przyjechała 8 maja rano.

Bonaparte wyjechał 6 maja wieczorem.

Odjeżdżając powiedział, że udaje się do Dijon, najdalej do Genewy. Zamierzał wrócić po trzech tygodniach.

Odwołanie, nawet, gdyby zostało odrzucone powinno przeciągnąć sprawę do pięciu, sześciu tygodni.

Nadzieja zmalała jednak, gdy nadeszły wieści, że wyjazd do Dijon był tylko pretekstem i Bonaparte, zamiast do Szwajcarii pojechał do Włoch.

Pani de Montrevel zwróciła się do Józefiny. Józefina postanowiła napisać do Bonapartego.

Ale sprawa nabrała rozgłosu. Działalność wymiaru sprawiedliwości okazała się sprawniejsza niż zwykle i trzydziestego piątego dnia po zakończeniu procesu, apelację odrzucono.

Do Bourgu natychmiast wysłano rozkaz wykonania wyroku w ciągu dwudziestu czterech godzin. Zanim jednak wiadomość dotarła do sądu otrzymali ją skazani. Podczas spaceru na podwórzu więziennym kamień z przywiązaną kartką spadł pod nogi Morgana.

Morgan otworzył list i przeczytał.

Potem, zwracając się do towarzyszy, rzekł:

– Panowie! Apelacja odrzucona. Prawdopodobnie jutro odbędzie się ceremonia.

Valensolle i Ribier, którzy zabawiali się jakąś grą ucichli, aby usłyszeć nowinę.

Usłyszawszy zaś, powrócili do gry.

Jayat, który czytał *Nową Heloizę*, powrócił do książki mówiąc:

– Zdaje mi się, że nie zdążę skończyć arcydzieła pana Jana Jakuba Rousseau; ale słowo honoru, że nie żałuję. Jest to nieprawdziwa i najnudniejsza książka, jaką kiedykolwiek czytałem.

Sainte-Hermine potarł czoło ręką, szepcząc:

– Biedna Amelia!...

A spostrzegłszy Karolinę w oknie, podszedł do niej:

– Powiedz Amelii – rzekł – że dziś w nocy musi spełnić daną mi obietnicę.

Córka stróża więziennego ucałowała ojca, zapowiadając mu, że wróci wieczorem, i poszła drogą, którą od dwóch miesięcy odbywała dwa razy dziennie: raz do więzienia, drugi raz do zamku Noires-Fontaines.

Karolina zdziwiona była spokojem, z jakim Amelia przyjęła powtórzone przez nią polecenie.

Nie dostrzegła bowiem w zmroku smutnej twarzy Amelii i nie czuła drżenia jej serca.

Chciała wejść za swoją panią na górę, ale Amelia zatrzymała ją ręką.

– Zaczekaj tu na mnie! – szepnęła.

Zamknęła za sobą drzwi i weszła do pokoju Rolanda.

Była to komnata prawdziwego żołnierza i myśliwego; jej największą ozdobę stanowiły trofea myśliwskie i broń.

Zbiór był imponujący, od pistoletów z fabryki w Wersalu po pistolety z Kairu, od noży katalońskich po jatagany tureckie.

Amelia zdjęła ze ściany cztery sztylety i osiem pistoletów różnego kalibru. Do woreczka włożyła kule, a proch do rogu. Ubrała się w strój włościanki i zeszła do Karoliny.

Długi czerwcowy dzień opóźniał wyprawę.

Amelia stała nieruchomo oparta o kominek, patrząc przez otwarte okno na wieś Ceyzeriat, która stopniowo ginęła w mroku. Gdy wreszcie ściemniło się, rzekła:

– Już czas.

I obie wyszły. Michał nie zwrócił uwagi na Amelię. Wziął ją za przyjaciółkę Karoliny.

Biła dziesiąta, gdy przechodziły koło kościoła w Brou.

Krótko przed jedenastą Karolina zastukała do drzwi więzienia.

Courtois, ojciec Karoliny, z przekonania rojalista, darzył skazanych sympatią; miał nadzieję, że pani de Montrevel wyjedna ułaskawienie u pierwszego konsula. Z towarzyszami Jehudy nie obchodził się więc surowo i nie utrudniał im pobytu w więzieniu.

Courtois znał też jednak swój fach i obowiązki; toteż pomimo sympatii dla uwięzionych, odmówił przyjęcia sześćdziesięciu tysięcy franków w złocie – sumy, która miała olbrzymią wartość – za ułatwienie im ucieczki.

Ale wtajemniczony przez Karolinę, ułatwił Amelii, przebranej za wieśniaczkę, wejście do sądu.

I tym razem, nie wiedząc jeszcze o odrzuceniu apelacji, dał się ubłagać.

Karolina powiedziała mu, że jej pani wyjeżdża w nocy do Paryża, aby przyspieszyć ułaskawienie i że chce przed odjazdem pożegnać się z baronem de Sainte-Hermine.

Courtois sam zaprowadził Amelię do celi. Karolina poszła za nimi.

– Panienka poznaje to miejsce – odezwał się. – Tutaj była panienka uwięziona z matką. Przywódca tych nieszczęśliwych młodych ludzi, baron Karol de Saint-Hermine, prosił mnie o celę nr l, jak o łaskę. Nie odmówiłem mu, wiem, że on panienkę kocha. Niech się panienka nie obawia: tej tajemnicy nie zdradzę nikomu. Potem rozpytywał mnie, gdzie stało łóżko panienki. Ma nawet to samo łóżko.

Amelia westchnęła.

Więc była kochana tak, jak sama kochała, i dowiedziała się o tym z obcych ust.

Świadomość tego w chwili rozstania była najpiękniejszym brylantem w jej męczeńskiej koronie.

Doszedłszy do celi nr l, Amelia położyła rękę na ramieniu stróża.

Wydawało jej się, że słyszy jakiś śpiew.

Ktoś recytował.

Nie był to jednak głos Morgana.

Deklamowany wiersz miał w sobie coś smutnego – jak elegia i coś religijnego – jak psalm.

Amelia dała znak stróżowi, żeby otworzył drzwi.

Ojciec Courtois widać podzielał wzruszenie dziewczyny, bo uchylił je jak najciszej.

Valensolle stał oparty o mur i trzymał jeszcze w ręku książkę, z której przed chwilą czytał. Jayat siedział przy stole, trzymając głowę w rękach, Ribier tuż przy nim. Sainte-Hermine leżał na łóżku z oczyma zamkniętymi, jakby spał.

Na widok Amelii, Jayat i Ribier powstali.

Morgan pozostał bez ruchu; nic nie słyszał.

Amelia podeszła wprost do niego i, jak gdyby uczucia, które miała dla swego kochanka uświęcone były zbliżającą się śmiercią, pocałowała go, nie zważając na obecność trzech przyjaciół.

– Zbudź się, Karolu! Twoja Amelia dotrzymała słowa.

Morgan wydał krzyk radości i objął rękoma głowę dziewczyny.

– Panie Courtois – rzekł Montbar – jesteś dzielnym człowiekiem. Pozostaw tych dwoje nieszczęsnych razem. Byłoby profanacją z naszej strony, zakłócać te kilka chwil, przez które będą razem.

Ojciec Courtois, nic nie mówiąc, otworzył drzwi sąsiedniej celi i wprowadził do niej Valensolle'a, Jayata i Ribiera. Poten dał znak Karolinie, aby wyszła i kochankowie zostali sami.

Po godzinie Courtois wrócił. Młodzi ludzie usłyszeli, jak obraca klucz w zamku. Byli smutni lecz spokojni.

Dozorca wyglądał na jeszcze bardziej ponurego i zakłopotanego. Amelia i Morgan podziękowali mu uśmiechem.

Podszedł do drugiej celi i otworzył drzwi mrucząc:

– Niech razem spędzą tę ostatnią noc.

Valensolle, Jayat i Ribier powrócili. Wszyscy trzej ucałowali dłoń Amelii, po czym Morgan podprowadził ją do drzwi.

– Do widzenia! – rzekł.

– Do widzenia! – odpowiedziała Amelia.

Pożegnali się długim pocałunkiem.

Drzwi zamknęły się za Amelią; zadzwoniły łańcuchy, zazgrzytał klucz.

– No i cóż? – zapytali naraz Valensolle, Jayat i Ribier.

– Są – odpowiedział Morgan, wyjmując na stół zawartość worka.

Młodzieńcy krzyknęli z radości, widząc pistolety i sztylety. Tymczasem dozorca odprowadził Amelię do drzwi, wychodzących na ulicę.

– Panno de Montrevel – odezwał się – przepraszam, że muszę sprawić ból, ale niepotrzebnie jedzie pani do Paryża...

– Czy dlatego, że odrzucono apelację i że wyrok wykonany będzie jutro?

Dozorca, zdziwiony, cofnął się o krok.

– Wiedziałam o tym – rzekła Amelia.

A zwracając się do służącej:

– Odprowadź mnie do najbliższego kościoła; przyjdziesz po mnie jutro, gdy będzie już po wszystkim.

Najbliższy kościół był niedaleko; był to kościół Świętej Klary.

Przed trzema miesiącami, na rozkaz pierwszego konsula, został ponownie otwarty.

Pora była jednak późna, drzwi zamknięte i Karolina poszła poszukać zakrystiana.

Amelia czekała. W pewnej chwili przeszło obok niej trzech ludzi, ubranych na czarno, prowadzących wózek pomalowany na czerwono.

Wózek wypełniony był deskami. Na wierzchu leżała drabina, także pomalowana na czerwono. Szli w kierunku placu egzekucji.

Amelia padła na kolana i krzyknęła.

Jeden z ludzi, ubranych na czarno, zbliżył się do niej.

– Nie podchodź! – zawołała.

Człowiek pokornie powrócił do wózka. Poszli dalej, znikając za rogiem ulicy Więziennej.

Karolina z zakrystianem zastali Amelię na klęczkach.

Zakrystian otworzył drzwi kościoła i zapalił świecę w jednej z kaplic.

Amelia uklękła przed ołtarzem, prosząc, aby ją zostawiono samą.

Około trzeciej nad ranem słońce oświetliło okna kaplicy.

Miasto powoli się budziło. Ruch był większy niż zwykle. Ludzie od wczesnych godzin rannych gromadzili się wokół więzienia.

Amelia usłyszała łomot spowodowany przejazdem oddziału konnego. Niebawem hałas stał się jeszcze większy. Za oddziałem biegł tłum.

Gdy o dziewiątej ojciec Courtois wszedł do celi, aby oznajmić skazanym o odrzuceniu apelacji i, mającym nastąpić wykonaniu wyroku, zastał ich uzbrojonych od stóp do głów.

Więźniowie niespodziewanie wciągnęli dozorcę do środka i zatrzasnęli drzwi. Wyrwawszy mu pęk kluczy, zamknęli go w swojej celi, sami zaś przeszli do sąsiedniej, w której Valensolle, Jayat i Ribier przebywali podczas pożegnania Amelii z Morganem.

Otworzyli drugie drzwi, wychodzące na więzienne podwórze. Stamtąd, po otwarciu trzech wrot, przedostali się do korytarza, prowadzącego do izby stróża. Z izby, po przejściu piętnastu stopni, wyszli na dziedziniec otoczony kratą, którą zazwyczaj zamykano tylko na noc.

Młodzi ludzie mieli nadzieję tędy uciec.

Tym razem jednak krata była zamknięta. Przed nią stało osiemdziesięciu żandarmów i dragonów.

Na widok wolnych i uzbrojonych więźniów, rozległ się okrzyk zdziwienia i lęku.

Więźniowie rzeczywiście budzili grozę.

Chcąc zachować zupełną swobodę ruchów, obnażyli się do pasa. Przepasani zaś byli łachami, za którymi tkwiła broń.

Skazani zrozumieli, że byli panami swojego życia, ale nie wolności.

Wśród zgiełku tłumu i brzęku wydobywanych przez żandarmów szabel naradzali się przez chwilę.

Nagle, Montbar, uścisnąwszy ręce towarzyszom, odłączył od nich, zszedł ze schodów i podszedł do kraty. Skłonił się tłumowi, który zamilkł i zwrócił się do żołnierzy:

– Doskonale, panowie żandarmi! Doskonale, panowie dragoni!

I włożywszy lufę pistoletu do ust, strzelił; strzał rozsadził mu czaszkę.

Po strzale rozległy się krzyki szalone; lecz wkrótce zapanowała cisza. Ze schodów schodził Valensolle: trzymał w ręku ostry sztylet; pistolety zostawił za pasem.

Podszedł do małej komórki, podpartej trzema filarami; o jeden z nich oparł rękojeść sztyletu, ostrze skierował w serce, rękoma objął filar, skłonił się ostatni raz przyjaciołom i przywarł do filaru tak, że ostrze utknęło w piersi po rękojeść.

Przez chwilę jeszcze stał; potem śmiertelnie blady, rozwarł ręce i padł.

Tym razem tłum milczał. Był przerażony.

Przyszła kolej na Ribiera: trzymał dwa pistolety.

Zbliżył się do kraty i wycelował z obu pistoletów do żandarmów.

Nie wystrzelił jednak. Strzelili żandarmi.

Ribier runął przeszyty dwiema kulami.

Wśród widzów zapanował podziw dla tych młodych ludzi, którzy chcieli umrzeć i sami wybierali sobie śmierć. Jak starożytni gladiatorzy, chcieli umrzeć pięknie.

Gdy ze schodów zszedł Morgan zaległa cisza. Wyciągnął rękę na znak, że chce mówić.

Żądny krwi tłum miał widowisko wspanialsze niż oczekiwał.

Obiecano mu cztery jednakowe egzekucje, cztery ścięte głowy, a patrzył na niespodziewane, malownicze zgony. Dlatego tłum zamilkł, gdy zobaczył schodzącego Morgana.

Morgan nie miał w ręku ani sztyletu, ani pistoletu. Broń trzymał za pasem.

Ominął trupa Valensolle'a i stanął pomiędzy zwłokami Ribiera i Jayata.

Panowie! – rzekł. – Ułóżmy się.

Wszyscy słuchali z zapartym oddechem.

– Mieliście już jednego, który sobie roztrzaskał głowę (tu wskazał na Jayata); drugi zasztyletował się (wskazał na Valensolle'a), trzeci został rozstrzelany (wskazał na Ribiera); chcielibyście widzieć, jak czwartemu zetną głowę – rozumiem to.

Tłum wzdrygnął się przerażony.

– Więc – ciągnął dalej Morgan – zrobię wam tę przyjemność. Chcę się poddać, ale pragnę iść na rusztowanie z własnej woli, nikt nie może mnie tknąć. Kto się zbliży, tego zastrzelę. Chyba, że będzie to kat. Jest to sprawa pomiędzy nim a mną.

Tłumowi żądanie nie wydało się widocznie zbyt wygórowane, bo zewsząd rozległy się wołania:

– Dobrze, dobrze, dobrze!

Oficer żandarmerii uznał, że prościej będzie skończyć wszystko, przystając na warunki.

– Przyrzeknij mi pan – zwrócił się do Morgana – że nie będziesz usiłował uciec.

– Daję słowo honoru – odparł Morgan.

– No to oddal się pan – rzekł oficer – i pozwól nam wynieść zwłoki swoich towarzyszy.

– W porządku – odpowiedział Morgan i oddalił się o dziesięć kroków.

Otworzono kratę.

Trzech ludzi, ubranych na czarno weszło na dziedziniec i zabrało zwłoki.

Ribier jeszcze żył; otworzył oczy i szukał wzrokiem Morgana.

– Jestem – odezwał się Morgan – bądź spokojny, będę z wami.

Ribier zamknął oczy, nie mówiąc słowa.

Gdy wyniesiono zwłoki, oficer żandarmerii zwrócił się do Morgana:

– Gotów pan?

– Tak, panie – odpowiedział Morgan z grzecznym ukłonem.

– No, to proszę iść.

– Już idę – odpowiedział Morgan.

Stanął pomiędzy plutonem żandarmów i oddziałem dragonów.

– Czy pójdzie pan sam, czy chce pan jechać na wózku? – zapytał oficer.

– Sam, sam; chcę, żeby widziano, iż mam kaprys dać się ściąć; nie boję się.

Ponury pochód minął plac des Lices i posuwał się wzdłuż ogrodu pałacu Montbazon.

Wózek z trzema zwłokami jechał przodem; za nim jechali dragoni, za dragonami szedł Morgan, za Morganem żandarmi z kapitanem na czele.

Gdy mur skończył się, pochód skręcił w lewo.

Morgan dostrzegł rusztowanie, a na nim dwa czerwone słupy, jak krwawe ramiona wzniesione do niebios.

– Nigdy nie widziałem gilotyny – odezwał się – jakież to brzydkie.

Wyrwał sztylet zza pasa i utopił go w piersi po rękojeść.

Kapitan żandarmerii spiął konia i podjechał. Morgan, ku zdziwieniu wszystkich, stał jeszcze na nogach; wyciągnął zza pasa pistolet i, celując, zawołał:

– Stój! Umówiliśmy się, że nikt mnie nie tknie. Umrę sam, albo umrzemy we dwóch; twoja wola.

Kapitan wycofał konia.

– Idźmy dalej – powiedział Morgan.

I naprawdę poszedł.

Przed gilotyną wyciągnął sztylet i pchnął się nim po raz drugi.

I krzyknął, z wściekłości raczej niż z bólu.

– Twarde muszę mieć życie!

Pomocnicy kata chcieli go wciągnąć na schodki, ale Morgan zaprotestował:

– Niech mnie nikt nie dotyka!

Stanąwszy na platformie, jeszcze raz wyjął sztylet z rany i utopił go w piersi po raz trzeci.

Zaśmiał się przy tym strasznie. Rzucił sztylet pod nogi kata. Trzecia rana także nie była śmiertelna.

– Ach! Mam już tego dość – zawołał. – Na ciebie kolej.

Głowa dzielnego młodzieńca spadła na deski.

Do dziś mówią w Bourgu, że wyszeptał imię Amelii.

Po nim ścięto trzech nieżywych. Podwójne było widowisko.

# Wyznanie

Trzeciego dnia po tych wydarzeniach, około siódmej wieczorem, przed bramą zamku Noires-Fontaines stanął okryty kurzem powóz, zaprzężony w dwa pocztowe konie, białe od pokrywającej je piany.

Ku wielkiemu zdziwieniu przybysza, który, jak widać, śpieszył się bardzo, brama była otwarta, lud zalegał dziedziniec, na ganku klęczeli mężczyźni i kobiety.

Podróżny usłyszał dźwięk dzwonka.

Wyskoczył żywo z powozu, przebiegł przez dziedziniec i wpadł na schody, prowadzące na piętro.

Pokój Amelii był otwarty.

Przy łożu klęczała pani de Montrevel. Obok Edwardek; nieco dalej Karolina, Michał i jego syn.

Proboszcz z kościoła Św. Klary udzielał Amelii ostatnich sakramentów. Ten ponury obraz oświetlały dwie palące się gromnice.

Pogrążeni w modlitwie poznali Rolanda. Wszedł i klęknął obok matki.

Umierająca, wpatrzona przed siebie, nie dostrzegła go.

Pani de Montrevel, płacząc, oparła głowę na ramieniu syna.

Płacz matki również nie zwrócił uwagi Amelii. Dopiero, gdy udzielono jej ostatniej komunii, wyrzekła:

– Amen.

Znowu zadźwięczał dzwonek; ksiądz i ministranci wyszli.

Wyszli też z pokoju wszyscy obcy.

Umierająca nie poruszyła się.

Roland nachylił się do pani de Montrevel i wyszeptał:

– Chodźmy, matko; chciałbym porozmawiać.

Pani de Montrevel wstała i popchnęła Edwardka w kierunku Amelii; chłopak zbliżył się i ucałował siostrę w czoło. To samo zrobiła matka, potem Roland. Amelia leżała nieruchomo.

Gdy wychodzili szepnęła.

Roland odwrócił się.

Amelia drugi raz wymówiła jego imię.

– Czy mnie wołasz? – zapytał.

– Tak – odparła umierająca.

– Tylko mnie?

– Tylko ciebie.

Głos był słaby, ale wyraźny, brzmiał jak echo z zaświata.

– Wyjdź, matko – rzekł Roland. – Ona chce porozmawiać tylko ze mną.

– Boże, czyżby była jeszcze nadzieja? – wyszeptała pani de Montrevel.

– Nie, matko – odezwała się Amelia. – Bóg pozwolił, żebym zobaczyła jeszcze brata; ale dziś w nocy będę już u Boga.

Pani de Montrevel załkała. Na znak Rolanda wyszła z Edwardkiem.

Roland zamknął drzwi i zbliżył się do łóżka umierającej.

Ciało Amelii było już prawie sztywne; z trudem oddychała. Szeroko otwarte oczy błyszczały, jakby w nich ześrodkowało się życie.

Zrozumiał, w jakim stanie była Amelia.

– Siostro! – odezwał się. – Jestem, czego pragniesz?

– Wiedziałam, że przyjedziesz, czekałam na ciebie.

– Skąd wiedziałaś, że przyjadę?

– Widziałam, jak jechałeś.

Roland zadrżał.

– A czy wiedziałaś, po co przyjeżdżam?

– Tak. Dlatego też błagałam Boga, aby mi pozwolił wstać i napisać do ciebie.

– Kiedy?

– Ostatniej nocy.

– Gdzie masz list?

– Pod poduszką. Weź i czytaj.

Roland zawahał się, sądząc, że Amelia mówi w gorączce.

– Biedna Amelia! – wyszeptał.

– Nie żałuj mnie. Idę połączyć się z nim.

– Z kim?

– Z tym, którego kochałam, a którego ty zabiłeś. Roland krzyknął.

– Amelio – rzekł – przyjechałem, aby cię zapytać...

– O lorda Tanlay'a; wiem – odpowiedziała Amelia.

– Tak; więc mów.

– Nie odrywaj mnie od Boga, Rolandzie; napisałam wszystko; przeczytaj mój list.

Roland wsunął rękę pod poduszkę i wyciągnął kopertę, na której siostra napisała:

„Dla Rolanda, który jutro przyjedzie".

Roland rozerwał kopertę. List był datowany dnia poprzedniego o godzinie jedenastej wieczorem.

Czytał:

„Bracie mój! Mamy sobie wzajemnie do wybaczenia rzeczy okropne..."

Roland spojrzał na siostrę; wciąż leżała nieruchomo.

Czytał dalej:

„Kochałam Karola de Sainte-Hermine; nawet więcej niż kochałam, bo byłam jego kochanką..."

– Ach! – szepnął Roland przez zęby. – Zginie!

– Już zginął – odezwała się Amelia.

– Jak to?

– Czytaj.

„Zalegalizowanie mego związku z przywódcą towarzyszy Jehudy było niemożliwe, w tym tkwiła tajemnica, której nie mogłam wyjawić. Jedna osoba powinna była ją znać i dowiedziała się o niej – a mianowicie lord Tanlay. Niech Bóg błogosławi tego szlachetnego człowieka; obiecał mi, że zerwie nasze małżeństwo i dotrzymał słowa. Życie lorda Tanlay'a powinno być dla ciebie święte, Rolandzie. Był prawdziwym przyjacielem.

Kochałam Karola de Sainte-Hermine, byłam jego kochanką... tę okropną rzecz musisz mi przebaczyć. Ty z kolei stałeś się przyczyną jego śmierci. I to też jest rzecz okropna; ja już ci przebaczyłam.

A teraz przybywaj prędko, Rolandzie, bo umrzeć mogę dopiero po twoim przyjeździe.

Umrzeć – to zobaczyć jego, to połączyć się z nim na wieki. Jestem szczęśliwa, że umieram".

Wszystko było w liście zrozumiałe; nic nie znamionowało śladów gorączki.

Roland odczytał list dwukrotnie i przez jakiś czas stał bez ruchu; wreszcie litość wzięła górę nad gniewem.

Zbliżył się do Amelii, wyciągnął do niej rękę i odezwał się łagodnie:

– Siostro! Przebaczam ci!

Ciało Amelii przebiegł lekki dreszcz.

– A teraz – odezwała się – zawołaj matkę, chcę umrzeć na jej rękach.

Roland wezwał matkę.

Pani de Montrevel przybiegła, pytając:

– Cóż się stało?

– Nic – odparł Roland. – Amelia chce umrzeć na twoich rękach.

Pani de Montrevel upadła na kolana przy łóżku córki.

Amelia uniosła się powoli, odjęła ręce od piersi i wzięła matkę za rękę.

– Matko – rzekła – dałaś mi życie i odebrałaś mi je. Bądź błogosławiona. Zrobiłaś, co mogła zrobić matka, gdyż twoja córka nie mogła być już szczęśliwa.

Roland klęczał z drugiej strony łóżka. Amelia zwróciła się do niego:

– Przebaczyliśmy sobie wzajemnie, bracie.

– Tak, Amelio – odparł Roland – i mam nadzieję, że szczerze.

– Proszę cię tylko o jedną rzecz.

– O co?

– Nie zapominaj, że lord Tanlay okazał się prawdziwym przyjacielem.

– Bądź spokojna – rzekł Roland – jego życie będzie dla mnie święte.

Amelia westchnęła.

Po chwili, bardzo słabym już głosem, odezwała się:

– Żegnaj, Rolandzie; żegnaj, matko. Ucałujcie ode mnie Edwarda. A potem, zupełnie niespodziewanie, z radością w głosie, zawołała:

– Idę, Karolu!

I opadła na łóżko.

Roland i pani de Montrevel powstali i pochylili się nad nią.

Leżała z zamkniętymi oczyma.

Cierpienia skończyły się. Amelia skonała.

# Pojedynek

Amelia umarła w nocy z poniedziałku na wtorek, z drugiego na trzeciego czerwca 1800 r.

W czwartek wieczorem, piątego czerwca, w operze były tłumy. Wystawiano drugi raz „Osjana czyli Bardów".

Na balkonie, po lewej stronie, zaaferowany mężczyzna słuchał uważnie muzyki. Podczas pierwszej przerwy, weszła na balkon garderobiana i, zbliżywszy się do niego, zapytała:

– Przepraszam! Czy lord Tanlay?

– Tak.

– W korytarzyku czeka na pana jakiś młody człowiek, który twierdzi, że ma panu coś ważnego do powiedzenia.

– Tak? – zapytał sir John. – Czy oficer?

– Ubrany po cywilnemu, ale wygląda na żołnierza.

– Już wiem, kto to.

Z tymi słowy wstał, wyszedł na korytarz i zobaczył Rolanda.

Lord Tanlay nie był zaskoczony jego wizytą. Lecz surowe oblicze młodzieńca, nie pozwalało na oznaki radości i przyjaźni.

– Jestem, panie – odezwał się sir John.

Roland ukłonił się.

– Byłem w hotelu, milordzie. Szwajcar powiedział mi, że jesteś w operze. Zdaje się, że od pewnego czasu informujesz go, dokąd idziesz, aby łatwiej było cię znaleźć.

– Tak jest, panie.

– Doskonały zwyczaj, zwłaszcza dla takich, jak ja, którzy przyjeżdżają z daleka i nie mają czasu.

– Więc przyjechał pan z armii do Paryża, aby się ze mną widzieć? – zapytał sir John.

– Wyłącznie w tym celu, milordzie. Mam nadzieję, że odgadniesz przyczynę mego przyjazdu i zaoszczędzisz mi wszelkich wyjaśnień.

– Panie – odparł sir John – od tej chwili jestem do twoich usług.

– O której godzinie jutro moi dwaj przyjaciele będą mogli stawić się u pana?

– Od siódmej rano do północy; a może chce pan zaraz?

– Nie, milordzie. Dopiero przyjechałem, muszę jeszcze znaleźć świadków i dać im wskazówki. Przyjdą do pana zapewne dopiero jutro między jedenastą a dwunastą. Byłbym panu wdzięczny, gdyby sprawa mogła być załatwiona tego samego dnia.

– Myślę, że to możliwe. Z chwilą, gdy chodzi o zadośćuczynienie pańskiemu życzeniu, z mojej strony zwłoki nie będzie.

– To chciałem wiedzieć, milordzie. Nie będę panu zabierał więcej czasu.

I Roland ukłonił się.

Sir John odpowiedział i powrócił na balkon na swoje miejsce.

Tego dnia odbywało się przyjęcie u ministra wojny. Roland udał się do hotelu, przebrał i przed dziesiątą był już w pałacu obywatela Carnota.

Tam znalazł swoich świadków. W kilku słowach zapoznał ich ze sprawą. Zaznaczył, że chodzi o ciężką obelgę, która powinna pozostać tajemnicą nawet dla nich; że jest stroną obrażoną i że jemu zatem przysługuje wybór broni i warunki walki.

Świadkowie mieli nazajutrz rano spotkać się w hotelu Mirabeau ze świadkami lorda Tanlay'a, a potem z Rolandem w hotelu Paryskim.

Roland powrócił do hotelu o godzinie jedenastej, przez godzinę pisał, po czym położył się spać.

O godzinie wpół do dziesiątej przyszli sekundanci; wracali od sir Johna.

Sir John przyznawał Rolandowi prawo dyktowania warunków spotkania, jako stronie obrażonej.

Sekundanci musieli pertraktować bezpośrednio z lordem Tanlay'em, ponieważ nie znał on bliżej nikogo w Paryżu. Lord Tanlay wyraził nadzieję, że jeden z sekundantów Rolanda zostanie jego świadkiem.

Roland uznał żądanie za słuszne.

Pozostawało uzgodnić warunki.

Pojedynek miał odbyć się na pistolety. Ustalono, że dystans wynosić będzie pięć kroków. Po trzecim sygnale przeciwnicy mieli strzelać.

Warunki były ciężkie. Przeciwnik mógł pozostać przy życiu tylko świadomie oszczędzony. Toteż świadkowie ostrzegli Rolanda; on jednak obstawał za zachowaniem warunków wobec doniosłości doznanej obrazy.

Sekundant sir Johna oświadczył, że bez porozumienia się ze swoim mocodawcą nie może zgodzić się na takie warunki.

– Nie unoś się, przyjacielu – rzekł mu Roland – znam sir Johna i wiem, że przystanie na to chętniej, niż ty.

Sekundanci powrócili do sir Johna. Zastali go przy śniadaniu.

Na ich widok sir John wstał i zaproponował posiłek. Gdy podziękowali za zaproszenie, przeszedł do sprawy.

Sekundant Rolanda wyłuszczył warunki spotkania.

Sir John na wszystko odpowiadał:

– Bardzo dobrze.

Gdy jego świadek chciał wnieść pewne zastrzeżenia co do warunków, lord Tanlay prosił go, aby się nie sprzeciwiał.

– Pan de Montrevel jest tak miły – rzekł – że nie chcę mu się przeciwstawiać; co zrobi – uznam za słuszne.

Wreszcie ustalono godzinę pojedynku. I w tym przypadku lord Tanlay zastosował się do życzeń Rolanda.

Obaj sekundanci wyszli zachwyceni sir Johnem.

Opowiedzieli o wszystkim Rolandowi.

– Czy nie mówiłem?

Roland wyznaczył spotkanie na siódmą wieczór w lasku w alei Milczenia.

Sekundanci zaproponowali, aby Roland kupił u puszkarza dwa pistolety.

– Nie – odparł Roland – lord Tanlay ma parę wspaniałych pistoletów, które już wypróbowałem. Wolałbym strzelać z nich, jeśli się zgodzi.

Sekundant sir Johna powrócił jeszcze raz do niego z pytaniem, czy czas i miejsce spotkania uznaje za odpowiednie i czy zechce udostępnić swoje pistolety.

Lord Tanlay, w odpowiedzi, wyregulował swój zegarek według zegarka sekundanta i wręczył mu pudełko z pistoletami.

– Czy mam przyjść po pana? – zapytał sekundant.

– Zbyteczne – odparł ten – jest pan przyjacielem pana de Montrevel; jedź pan przeto z nim. Ja przyjadę konno z moim służącym. Spotkacie mnie na placu.

Młody oficer powtórzył Rolandowi odpowiedź sir Johna.

Ponieważ było dopiero południe, Roland pożegnał swoich przyjaciół, prosząc, aby po szóstej byli u niego i przyprowadzili mu konia.

O oznaczonej godzinie pod bramą hotelu stali dwaj sekundanci i dwóch służących. Jeden z nich trzymał konia.

Roland powitał ich serdecznie i wskoczył na siodło.

Bulwarami dotarli do placu Ludwika XV, a stamtąd wjechali na Pola Elizejskie.

W czasie jazdy Roland tryskał humorem, jego wesołość można by nawet uznać za przesadzoną, gdyby nie była szczera.

Młodzi ludzie widywali odważnych, ale z taką niefrasobliwością jeszcze się nie spotkali. Co innego, gdyby chodziło o zwykły pojedynek, w którym zimna krew i zręczność pozwalają uzyskać przewagę nad przeciwnikiem. Ale w takiej walce, jak ta, której mieli być świadkami, przeciwników nie mogła uratować ani zimna krew, ani zręczność, jeśli nie od śmierci, to przynajmniej od ciężkiej rany.

Roland poganiał konia, chcąc dojechać jak najprędzej. Pięć minut przed wyznaczoną godziną byli na placu.

Sir John spacerował już aleją.

Młodzi ludzie spojrzeli na Rolanda. Nie ukrywał życzliwości dla przeciwnika.

Sir John był zupełnie spokojny, ale smutny.

Widać było, że to spotkanie jest dlań bolesne.

Zsiedli z koni. Jeden z sekundantów wziął pudełko z pistoletami z rąk służących, którym kazał jechać dalej wolno i wrócić tylko na odgłos strzału.

Przeciwnicy i sekundanci weszli do lasku, szukając odpowiedniego miejsca.

Lasek był pusty. Była pora obiadowa.

Znaleźli polankę nadającą się doskonale do pojedynku.

Sekundanci spojrzeli na przeciwników.

Ci dali znak, że zgadzają się na to miejsce.

– Nic się nie zmieniło? – zapytał jeden ze świadków lorda Tanlay'a.

– Proszę spytać o to pana de Montrevel – odpowiedział lord Tanlay – wszystko zależy od niego.

– Nic – odezwał się Roland.

Wyjęto pistolety i zaczęto je nabijać.

Sir John stanął z boku, ścinając trawę końcem szpicruty.

Roland spojrzał na niego, przez chwilę jakby się wahał, wreszcie podszedł.

– Milordzie – odezwał się Roland. Mam do pana pewne pretensje, niemniej jednak uważam pana za człowieka honoru.

– I ma pan słuszność – odpowiedział sir John.

– Jeśli zostanie pan przy życiu, czy spełni pan obietnicę złożoną w Awinionie?

– Niewielkie są szanse, abym pozostał przy życiu – odparł lord Tanlay – ale rozporządzaj pan mną.

– Chodzi o moje zwłoki.

– Czy twoja wola jest taka, jak w Awinionie?

– Taka sama, milordzie.

– Dobrze... Może pan być zupełnie spokojny.

Roland skłonił się i powrócił do swoich przyjaciół.

– Czy chcesz coś nam przekazać na wypadek nieszczęścia? – zapytał jeden z nich.

– Tak.

– Mów.

– Nie sprzeciwiajcie się w niczym lordowi Tanlay'owi w sprawie mojego pogrzebu. W lewej ręce trzymam list do niego. Jeśli nie zdążę przed śmiercią nic powiedzieć, wyjmijcie list i oddajcie go lordowi.

– To wszystko?

– Wszystko.

– Pistolety nabite.

– To uprzedźcie lorda Tanlay'a.

Jeden z sekundantów podszedł do sir Johna.

Drugi odmierzył pięć kroków.

Roland dostrzegł, że dystans jest za duży.

– Przepraszam – odezwał się – mówiliśmy o trzech krokach.

– O pięciu – odparł mierzący.

– Bynajmniej, przyjacielu! Mylisz się.

I zwrócił się do sir Johna i jego świadka, pytając ich wzrokiem.

– Doskonale! Trzy kroki – odpowiedział sir John.

Skrócono dystans do trzech kroków, po czym położono na ziemi dwie szable dla wyznaczenia granicy.

Sir John i Roland zbliżyli się do stanowisk.

Podano im pistolety. Przeciwnicy skłonili się na znak, że są gotowi.

Świadkowie odsunęli się; mieli trzykrotnie klasnąć w dłonie.

Wraz z pierwszym klaśnięciem przeciwnicy mieli odciągnąć kurki, z drugim wziąć się na cel, po trzecim strzelać.

Rozległy się kolejno trzy klaśnięcia.

Po trzecim padły jednocześnie dwa strzały.

Ku wielkiemu zdziwieniu świadków, walczący stali na swoich miejscach.

W chwili strzału Roland odchylił lufę i strzelił w ziemię.

Lord Tanlay podniósł lufę i kula obcięła gałąź trzy stopy nad głową Rolanda.

Każdy z nich był zdziwiony tym, że żyje.

Pierwszy przemówił Roland:

– Milordzie! Prawdę mówiła moja siostra, że jesteś najszlachetniejszym człowiekiem na ziemi.

I odrzuciwszy broń, wyciągnął dłoń do sir Johna.

Sir John podał rękę.

– Ach, rozumiem. Znowu chciałeś zginąć. Ale Bóg na szczęście nie dopuścił, abym został twoim zabójcą!

Podeszli obaj sekundanci.

– Co się stało? – zapytali.

– Nic! – odpowiedział Roland. – Chciałem umrzeć, ale z ręki człowieka, którego najbardziej kocham. Niestety, on sam wolał zginąć niż mnie zabić. Chodźmy! Widzę, że tę robotę muszę powierzyć Austriakom.

Uścisnąwszy jeszcze raz lorda Tanlay'a i dłonie przyjaciół:

– Wybaczcie, panowie – rzekł – ale pierwszy konsul ma wydać wielką bitwę we Włoszech i nie mam chwili do stracenia.

I poleciwszy sir Johnowi wyjaśnić wszystko oficerom, Roland skoczył na konia i wrócił galopem do Paryża, wciąż opanowany fatalną manią śmierci.

# Zakończenie

Armia francuska tymczasem posuwała się dalej i 2 czerwca weszła do Mediolanu.

Austriacy stawili słaby opór. Murat zdobył Plaisance bez wystrzału. Wreszcie Lannes rozbił generała Otta pod Montebello.

W ten sposób armia francuska stała na tyłach armii austriackiej, która o tym nie wiedziała.

W nocy 8 czerwca przybył kurier od Murata, który zajął Plaisance. Murat przejął depeszę generała Mélasa i przysłał ją pierwszemu konsulowi.

Depesza donosiła o kapitulacji Genui. Massena, zjadłszy już konie, psy, szczury i koty, musiał się poddać.

Mélas zresztą traktował armię rezerwową z pogardą; o obecności Bonapartego we Włoszech mówił, jak o bajce i wiedział z wiarygodnego źródła, że pierwszy konsul jest w Paryżu.

Wiadomości te należało zaraz zakomunikować Bonapartemu, zwłaszcza że była wśród nich niepomyślna wiadomość o kapitulacji Genui.

Toteż Bourrienne obudził generała o trzeciej rano i przetłumaczył mu depeszę.

Pierwsze słowa Bonapartego brzmiały:

– Bourrienne! Nie umiesz po niemiecku!

Bourrienne po raz drugi przetłumaczył depeszę dosłownie.

Potem generał wstał, kazał wszystkich obudzić, wydał rozkazy, po czym położył się znowu i zasnął.

Tegoż dnia wyszedł z Mediolanu i kwaterę generalną ustanowił w Stradelli, gdzie pozostał do 12 czerwca. 13 czerwca ruszył na Scrivię, przeszedł przez Montebello, gdzie widać było jeszcze świeże ślady bitwy, stoczonej przez Lannesa.

– Do diabła! – zwrócił się do zwycięzcy – musiało tu być gorąco?

– Tak gorąco, generale, że kości trzeszczały w mej dywizji, jak gdyby grad bił w szyby.

11 czerwca połączył się z Bonapartem w Stradelli generał Desaix.

Wolny, na mocy kapitulacji w El-Arisz, powrócił 6 maja do Tulonu, a więc w dniu, w którym Bonaparte wyjeżdżał z Paryża.

Desaix zapytał listownie Bonapartego, czy ma jechać do Paryża.

– Do Paryża! – rzekł Bonaparte. – Napiszcie mu, żeby połączył się z nami we Włoszech.

Bourrienne spełnił polecenie i Desaix przybył 12 czerwca do Stradelli.

Pierwszy konsul powitał go z radością z dwóch powodów: po pierwsze, odzyskał człowieka, który nie miał ambicji, inteligentnego oficera i oddanego przyjaciela; następnie

dlatego, że Desaix przybył w chwili, kiedy trzeba było wyznaczyć dowódcę dywizji zabitego Boudeta.

Na skutek błędnego raportu generała Gardanne'a, pierwszy konsul sądził, że nieprzyjaciel nie chce przyjąć bitwy i cofa się do Genui; wysłał tedy Desaixa do Novi, aby mu przeciąć drogę.

Noc z 13 na 14 czerwca przeszła spokojnie. W wiglię tego dnia, pomimo strasznej burzy, doszło do potyczki z Austriakami, którzy zostali pobici.

Bonaparte był spokojny. Na Bormidzie był jeden most; ale zapewniono go, że most ten jest zajęty.

Przez całą noc nieprzyjaciel przeprawiał się przez rzekę.

O drugiej nad ranem Austriacy napadli znienacka na dwa wysunięte posterunki. Jeden z napadniętych zdołał umknąć, wołając: „do broni!"

W tejże chwili pchnięto kuriera do pierwszego konsula, który nocował w Torre-di-Garofolo.

A tymczasem na całej linii bębniono na alarm.

Trzeba przeżyć taką chwilę, aby wiedzieć, jaki jest wpływ bębnienia na uśpioną armię.

Nawet najodważniejszych przechodzą dreszcze.

Żołnierze położyli się spać w ubraniach; toteż momentalnie chwycili za broń.

Szeregi sformowały się na obszernej równinie Marengo.

Gdy wzeszło słońce, około 25 – 26000 wojska francuskiego stało w szyku bojowym, nie licząc dywizji Monniera i Boudeta oraz 10000 wojska, dowodzonego przez Desaixa, który stał na drodze do Genui, aby przeciąć nieprzyjacielowi odwrót.

Nieprzyjaciel jednak nie cofnął się, lecz zaatakował.

O czwartej rano strzelano już na prawym skrzydle.

O piątej huk armat zbudził Bonapartego.

Gdy ubierał się w pośpiechu, nadbiegł adiutant generała Victora i doniósł, że nieprzyjaciel przeszedł przez rzekę i że bój wre na całej linii.

Pierwszy konsul kazał przyprowadzić konia i galopem pomknął na miejsce, w którym rozpoczęła się bitwa.

Z wierzchołka wzgórza dojrzał pozycje obu armii.

Nieprzyjaciel ustawił się w trzy kolumny: lewa szła w kierunku Castel-Ceriolo drogą do Salo, środkowa i prawa, stykając się blisko, szły drogą do Tortone w górę rzeki Bormidy.

Zaraz po przejściu rzeki, kolumny natknęły się na oddziały generała Gardanne'a. Tutaj właśnie przybył Bonaparte.

Przyjechał w chwili, gdy dywizja Gardanne'a pod morderczym ogniem armat zaczęła się cofać i gdy generał Victor pchnął jej na pomoc dywizję Chamberliaca. Dzięki temu Gardanne cofał się w porządku na Marengo.

Położenie było poważne. Naczelny wódz chciał, jak zwykle, sam zaatakować, tymczasem zaatakowano jego, zanim zdołał ześrodkować wojska.

Austriacy szli liniami równoległymi do linii francuskich; tylko było ich dwóch na każdego Francuza!

Niedaleko Bormidy, w głębokim jarze, płynie strumyk Fontanone, który otacza półkolem wioskę Marengo.

Generał Victor wykorzystał ten jar do połączenia dywizji Gardanne'a i Chamberliaca.

Bonaparte nakazał Victorowi bronić Marengo do ostateczności, chciał bowiem mieć czas na zorientowanie się w grze, którą prowadził na szachownicy otoczonej Bormidą, Fontanone i Marengo.

Wysłano trzech adiutantów dla odwołania korpusu Desaixa.

Następnie Bonaparte nakazał ogólny, regularny odwrót do chwili, gdy zwarta masa skoncentrowanych wojsk pozwoli mu nie tylko zatrzymać się, ale i uderzyć na nieprzyjaciela.

Oczekiwanie na tę chwilę było jednak straszne.

Austriacy doszli do Fontanone, na którego drugim brzegu byli Francuzi. I z obu stron posyłano sobie kule z niewielkiej odległości.

Nieprzyjaciel, przeważający liczebnie, mógł rozciągnąć linię i otoczyć Francuzów.

Generał Rivaud dostrzega ten ruch nieprzyjaciela, wychodzi z Marengo, ustawia batalion w szczerym polu i nakazuje mu nie cofać się ani na krok. Gdy artyleria celuje do tego batalionu, Rivaud formuje jazdę i spada na trzy tysiące idących do ataku Austriaków, odrzuca ich, rozprasza i zmusza do cofnięcia się poza linię główną.

Potem powraca do batalionu, który nie ruszył się z miejsca.

W tym czasie jednak nieprzyjaciel odrzucił dywizję Gardanne'a do Marengo, dokąd weszły za nim pierwsze linie Austriaków. Tutaj jednak dywizja Chamberliaca odrzuciła nieprzyjaciela poza granice wioski.

Bonaparte nakazuje obu dywizjom połączyć się i odebrać Marengo za wszelką cenę.

Na czele połączonych dywizji staje generał Victor, wchodzi do wsi, odbiera ją, znowu traci i znowu odbiera, lecz ostatecznie ustępuje, zgnieciony przeważającą siłą.

Było to o jedenastej. O tej porze Desaix, którego dopędzili adiutanci, powracał w kierunku, skąd szły strzały armatnie.

Na pomoc odrzuconym dywizjom przychodzą dwie dywizje Lannesa. Cztery dywizje ustawiły się równolegle do linii nieprzyjaciela, który wynurzył się ze wsi Marengo, po obu stronach wioski.

Lannes ze swoimi mniej zmęczonymi dywizjami usiłuje uderzyć na dwa skrzydła austriackie. Oba wojska spotkały się z wściekłością i za chwilę bitwa, przerwana przez manewry, rozpoczyna się od nowa na całej linii.

Po godzinie korpus Kaima cofnął się; rozbija go ostatecznie generał Champeaux, a generał Watrin ściga nieprzyjaciela aż po strumień.

Tymczasem generał Kellermann robi na lewym skrzydle to samo, czego dokonali na prawym Watrin i Champeaux. Dwie szarże jazdy przebiły się przez linię nieprzyjacielską, lecz tam natknęły się na drugą linię. Nie decydując się iść dalej, generał Kellermann utracił owoce pierwszego chwilowego zwycięstwa.

Było to w południe.

Linia francuska, która falowała, jak wąż na długości prawie mili, złamana została w środku. Centrum, cofając się, porzuciło skrzydła, które musiały cofać się również.

Odwrót odbywał się pod ogniem 80 dział.

Jedna dywizja cofała się przez pole dojrzałego zboża. Pękł granat i pole stanęło w płomieniach; trzy tysiące żołnierzy znalazło się w ogniu. Zapaliły się ładownice i ładunki zaczęły wybuchać.

Bonaparte wówczas pchnął gwardię konsulów, która powstrzymała marsz Austriaków. Na domiar, grenadierzy uderzyli ze swej strony i odrzucili jazdę austriacką.

W tym czasie dywizja, która wycofała się z płonącego zboża, otrzymała nowe naboje i powróciła do bitwy.

Dzięki temu cofanie się armii francuskiej nie zamieniło się w ucieczkę.

Była godzina druga.

Bonaparte patrzył na odwrót z wału nad rowem, koło drogi do Aleksandrii. Był sam; konia trzymał za cugle, zarzucone na ramię i końcem szpicruty podbijał kamyczki. Dookoła padały pociski.

Zdawało się, że jest obojętny na rozgrywający się wokół dramat, od którego wyniku zależały jednak wszystkie jego nadzieje.

Nigdy jeszcze nie rozgrywał tak trudnej partii.

Wtem, wyrwał się z zamyślenia; wśród przerażającego huku strzelb i armat usłyszał tętent konia. Podniósł głowę. Od strony Novi nadjeżdżał jeździec, co koń wyskoczy.

Bonaparte wykrzyknął:

– Roland!

Ten zaś, ze swej strony, krzyczał:

– Desaix! Desaix! Desaix!

Bonaparte otworzył ramiona i Roland rzucił się na szyję pierwszemu konsulowi.

– Więc Desaix?... – zapytał pierwszy konsul.

– Jest milę stąd.

– Chodźmy – rzekł Bonaparte – może zdąży na czas.

– Jak to na czas?

– Patrz.

Roland jednym rzutem oka na pole bitwy, zrozumiał położenie.

Pierwsza kolumna austriacka szła na Castel-Ceriolo, zachodziła prawe skrzydło francuskie.

Groziło to klęską.

Desaix przychodził za późno.

– Weź dwa moje ostatnie pułki grenadierów – rzekł Bonaparte – połącz się z gwardią konsulów i idź z nią na prawe skrzydło... Rozumiesz? Rolandzie, powstrzymaj te kolumny.

Roland skoczył na koń i wykonał rozkaz.

Dojechawszy do generała Eisnitza, zakomenderował:

– W czworobok! Patrzy na nas pierwszy konsul.

Czworobok sformował się; każdy żołnierz jakby wrósł w ziemię.

Generał Eisnitz, zamiast ominąć tych 900 ludzi i iść na pomoc generałom Mélasowi i Kaimowi, uderzył na czworobok.

I zrobił błąd, który uratował armię francuską.

Tych 900 stało murem, jak tego chciał Bonaparte; armaty, strzały karabinowe, bagnety – słowem nic nie mogło ich obalić.

Bonaparte patrzył na nich z podziwem.

Odwróciwszy wzrok w stronę drogi od Novi, dojrzał pierwsze bagnety dywizji Desaixa.

Stojąc na najwyższym miejscu placu boju, widział to, czego nie mógł dojrzeć nieprzyjaciel.

Skinął na grupę oficerów, stojących opodal i czekających na rozkazy.

Bonaparte pokazał jednemu z nich las bagnetów, błyszczących w słońcu.

– Galopem do tych bagnetów! – rzekł. – Niech pośpieszają. Desaixowi powiedzieć, że jestem tu i że czekam na niego.

Oficer pomknął galopem.

Bonaparte znowu patrzył na pole bitwy.

Odwrót Francuzów trwał dalej, ale generał Elsnitz stał w miejscu, powstrzymany przez Rolanda i jego 900 żołnierzy.

Czworobok gęsto ział ogniem.

Bonaparte zwrócił się do pozostałych oficerów:

– Jeden w centrum! Dwaj inni na skrzydła! Wszędzie mówić o nadejściu rezerw i zapowiedzieć przejście do ofensywy.

Oficerowie rozbiegli się we wskazanych kierunkach.

Przez chwilę patrzył za nimi Bonaparte. Gdy się odwrócił, dostrzegł o 50 kroków generała Desaixa.

Przyjaciele uścisnęli sobie ręce.

Bonaparte wyciągnął ramię w kierunku pola bitwy.

Z 20000 żołnierzy, którzy rozpoczęli bitwę o 5 rano na przestrzeni zaledwie dwóch mil, pozostało być może z 9000 piechoty, 1000 jazdy i 10 dział zdatnych do użytku. Jedna czwarta armii była niezdolna do boju, drugie tyle zajęte było przenoszeniem rannych. Wszyscy cofali się, tylko Roland i jego 900 ludzi stali murem.

Desaix objął spojrzeniem te wszystkie szczegóły.

– Cóż myślisz o bitwie? zapytał Bonaparte.

– Myślę – odparł Desaix – że przegrana; ale ponieważ jest dopiero trzecia po południu, mamy jeszcze czas wygrać drugą.

– Tylko – odezwał się jakiś głos – trzeba nam armat. Był to Marmont, główny dowódca artylerii.

– Masz rację, Marmont. Ale skąd weźmiesz armaty?

– Mam pięć armat, które wycofałem z pola bitwy i pięć, które przybyły ze Scrivii.

– I osiem, które przyprowadziłem – dorzucił Desaix.

Jeden z adiutantów pomknął, aby przyspieszyć przyjście dział Desaixa.

Rezerwy wciąż się zbliżały; były już tylko o ćwierć mili.

Pozycję miały doskonałą. Na lewo od drogi stał olbrzymi płot, idący prostopadle do drogi, zakryty zaroślami.

Tam umieszczono piechotę; nawet konnica mogłaby ukryć się za tą szeroką zasłoną.

W tym czasie Marmont zebrał 18 armat i ustawił je na prawym froncie nieprzyjaciela.

I zagrały, zasypując Austriaków pociskami.

W szeregach nieprzyjacielskich nastąpiła chwila dezorientacji.

Bonaparte skorzystał z tego i przebiegł wzdłuż całej linii francuskiej.

– Towarzysze! – wołał. – Dosyć cofania się. Pamiętajcie, że mam zwyczaj nocowania na polu bitwy.

Jak gdyby w odpowiedzi na kanonadę Marmonta, zaczęły strzelać plutony na lewym skrzydle, biorąc Austriaków z boku. To Desaix i jego dywizja zaatakowali Austriaków.

Armia zrozumiała, że to rezerwy wstąpiły w bój i że trzeba je poprzeć ostatnim wysiłkiem.

Od lewego do prawego skrzydła przebiegł rozkaz:

– Naprzód!

Uderzyły bębny.

Austriacy, którzy nie widzieli przyjścia rezerw i sądzili, że bitwę wygrali, i którzy szli z bronią na ramieniu, jak na spacer, poczuli, że w szeregach francuskich zaszło coś nadzwyczajnego.

Chcieli utrzymać wymykające się im z rąk zwycięstwo, ale Francuzi atakowali na całej linii przy dźwiękach zwycięskiej *Marsylianki*. Bateria Marmonta zionęła ogniem, Kellermann skoczył ze swymi kirasjerami i przebił się przez dwie linie nieprzyjaciela.

Desaix przeskoczył przez rów, wybiegł na wzgórze i padł zabity w chwili, gdy się oglądał, by sprawdzić czy dywizja idzie za nim. Jego śmierć zagrzała żołnierzy, którzy bagnetami zaatakowali kolumnę generała Zacha.

Kellermann tymczasem zawrócił i uderzył na Zacha z boku, rozbił jego szeregi i rozproszył. W kwadrans 5000 grenadierów austriackich zostało zupełnie zniesionych. Generał Zach ze sztabem dostał się do niewoli.

Nieprzyjaciel chciał rzucić swą jazdę, ale ogień francuski i straszne bagnety zatrzymały ją na miejscu.

Murat operował na bokach przy pomocy trzech lekkich dział.

Na chwilę musiał zaprzestać ognia, ze względu na Rolanda i jego czworobok. Gdy w szeregach austriackich wybuchnął jeden pocisk, powstało szerokie przejście. Skoczył w nie Roland, a za nim gwardia konsulów. Dopadli do rozbitej skrzynki z amunicją, otoczonej żołnierzami. Roland wsunął lufę pistoletu w otwór i wystrzelił.

Rozległ się piekielny huk i buchnął wulkan, pożerający wszystko dookoła.

Korpus Elsnitza uciekał.

Austriacy zaczęli uciekać na całej linii, armia francuska w pół godziny przeszła przez równinę, której broniła, cofając się krok za krokiem, przez osiem godzin.

Nieprzyjaciel zatrzymał się dopiero pod Marengo, na próżno usiłując sformować się pod ogniem armat, zapomnianych w Castel-Ceriolo.

Ale nadbiegły dywizje Desaixa, Gardanne'a i Chamberliaca i zdobyły Marengo. Nieprzyjaciel cofnął się do Petra-Bona, ale i stąd odrzucili go Francuzi.

Rzucili się Austriacy na most na Bormidzie, ale tam stał już Carra-Saint-Cyr z armatami. Austriacy uciekali wpław pod ogniem całej linii francuskiej, który trwał do dziewiątej wieczorem.

Resztki armii austriackiej powróciły do obozu w Alessandrii. Armia francuska rozłożyła się koło mostu.

Austriacy mieli 4500 zabitych, 6000 rannych, 5000 wziętych do niewoli. Francuzi zdobyli 12 sztandarów i 30 dział.

O drugiej Bonaparte był rozbity; o piątej – odzyskał za jednym zamachem Włochy, a w perspektywie tron francuski.

Wieczorem tegoż dnia, pierwszy konsul pisał następujący list do pani de Montrevel:

„Pani!

Odniosłem dziś najświetniejsze zwycięstwo, ale utraciłem Desaixa i Rolanda.

Niech pani nie płacze. Pani syn chciał umrzeć, a nie mógłby znaleźć śmierci sławniejszej.

Bonaparte”.

Pomimo poszukiwań, nie można było znaleźć zwłok Rolanda: znikł podczas burzy, jak Romulus.

Nikt nie dowiedział się, dlaczego tak uporczywie szukał śmierci, której tak długo nie mógł znaleźć.